Wołodymyr Małyk

Jedwabny sznur

Wołodymyr Małyk (właśc. Syczenko), prozaik i poeta ukraiński, urodził się w 1921 r. na Kijowszczyźnie. W 1938 r. rozpoczął studia na wydziale filozoficznym uniwersytetu kijowskiego. W czasie wojny przebywał w obozie jenieckim, a potem za współpracę z partyzantami został wywieziony w głąb Niemiec do obozu koncentracyjnego. Od 1945 r. pracował jako nauczyciel, kontynuując jednocześnie przerwane wojną studia.

Małyk debiutował w 1954 r. utworem dla dzieci. Kolejno ukazują się: opowiadania dla dzieci „Czerwony pierścień", powieść „Czarny równik", poemat „Mściciel z lasu". Równocześnie pociąga go tematyka historyczna. Pisze powieść poświęconą bohaterskiej walce narodu ukraińskiego i bułgarskiego z nawałą turecką w latach 1677—1678 pt. „Poseł Urus-szejtana". Dwie następne powieści: „Firman sułtana" oraz „Czarny jeździec" rozwijają tenże temat, zaczerpnięty z burzliwej epoki walk wyzwoleńczych Słowiańszczyzny w drugiej połowie XVII w. Napisana w 1976 r. książka „Jedwabny sznur" jest powieścią z gatunku płaszcza i szpady. Osią opisywanych w niej wydarzeń jest odsiecz wiedeńska króla Jana Sobieskiego w 1683 r. i na jej tle perypetie sercowe młodego Kozaka.

Wołodymyr Małyk

Jedwabny sznur

JEDWABNY
SZNUR

Tytuł oryginału ukraińskiego
SZOWKOWYJ SZNUROK

Wołodymyr Małyk

Jedwabny sznur

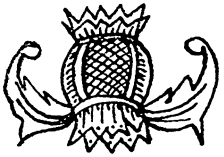

Tłumaczył
KAJA NATALIA SAKOWICZ

WYDAWNICTWO LUBELSKIE

Projekt obwoluty, okładki
i karty tytułowej
JERZY KOSTKA

Redaktor
JADWIGA BIAŁOWĄS

ISBN 83-222-0231-8

© Copyright by Wydawnictwo Lubelskie
Lublin 1983

CZĘŚĆ PIERWSZA

ODALISKA

1

Wielki wezyr Hasan Mustafa Köprülü, czyli Kara Mustafa, jak nazywano go w całej ziemi tureckiej, spojrzał na swoje odbicie w wielkim, weneckiej roboty lustrze o złoconych ramach. Ujrzał w nim szczupłego mężczyznę średniego wzrostu, odzianego w szaty białego koloru — oznakę godności wielkiego wezyra. Na głowie miał śnieżnobiały zawój przybrany wielkim klejnotem i srebrnym czełankiem — medalem za odwagę.

Zbliżył się do lustra i niemal go dotykając, jął pilnie studiować swoje odbicie. Było ciemne, podłużne, ozdobione wydatnym, typowo greckim nosem, gdyż pochodząca z Grecji rodzina Köprülü, podobnie jak wiele innych, uległa sturczeniu po zawojowaniu Konstantynopola przez Osmanów. Dwie bruzdy biegły od skrzydełek nosa w dół, podkreślając mocno linię zaciśniętych warg i nadając całej twarzy wyraz surowości. Pierś przysłaniała czarna, z przebłyskami siwizny, broda. Spod srogich brwi przenikliwie spoglądały ciemne oczy, których badawczego spojrzenia nikt nie mógł wytrzymać — nawet sułtan Mohamed.

Pomyślawszy o sułtanie, Kara Mustafa uśmiechnął się krzywo.

Niedorostek! Dojrzały fizycznie niedorostek, z woli losu władca przeogromnego mocarstwa! A przecież bardziej niż do rządzenia nadaje się do tego, by spędzać czas na rozrywkach i zabawach z odaliskami, których

w jego haremie jest ponad pół tysiąca! Albo do polowań... Polowania są żywiołem i największą namiętnością sułtana, dla której bez namysłu gotów porzucić sprawy państwowe, wojsko i harem i pomknąć w dzikie ostępy Rodopów, aby tam uganiać za dzikiem, kozicą czy lisem. Nie na próżno zyskał sobie przydomek Hadżi, co znaczy Myśliwy...

Kara Mustafa znów się uśmiechnął. Tym razem był to smutny uśmiech. Oto on, faktyczny władca cesarstwa Osmanów, zmuszony jest uginać karku przed tą miernotą i próżniakiem, który ma czelność pozować na wielkiego wojownika i marzyć o laurach Aleksandra Macedońskiego! A kto wzniósł go na te niedosiężne wyżyny? Ród Köprülü, najpotężniejszy ród w cesarstwie, a może nawet na całym świecie, z którego pochodzi również on, Kara Mustafa! To przecież dzięki niemu Mohamed IV znajduje się u szczytu władzy, zamiast gnić w lochach Zamku Siedmiu Wież, dokąd nie omieszkaliby go wtrącić bardziej odeń przebiegli bracia, pretendenci do tronu... Miernota! Ale gdyby tylko Kara Mustafa spróbował palcem poruszyć nie po jego myśli! Z miejsca zostałby pozbawiony nie tylko tytułu i stanowiska wielkiego wezyra, ale i głowy...

Lecz nie wszystko jeszcze stracone! Wcześniej czy później nastanie czas, gdy Kara Mustafa nie będzie musiał przed nikim kornie chylić czoła. Sam zostanie władcą, sułtanem czy cesarzem potężnego imperium, które zbuduje na gruzach Austrii, Wenecji, Polski i księstw niemieckich. Ogromna armia już się sposobi do wymarszu. Ugną się przed nią, jak trawy zwarzone mrozem, zjednoczone siły wrogów Porty. A on przejdzie na czele tych hufców wzdłuż Dunaju, niszcząc wszystko na swojej drodze. Podobnie jak Tamerlan, stanie się postrachem i biczem bożym dla niewiernych giaurów! Na ich ziemiach zaszczepi islam, pół

Europy nawróci na wiarę Proroka, a Wiedeń, przepiękną stolicę austriackiego cesarza Leopolda, uczyni swoim głównym miastem!

Sprawy układają się wyjątkowo pomyślnie. Chwała niech będzie Allachowi! Z carem moskiewskim Fiodorem podpisane zostało porozumienie — od północy więc nic nie zagraża. Cesarz Leopold, podjudzany przez jezuitów, utopił we krwi całe Zachodnie Węgry, zaciekle tłumiąc szerzące się tam powstanie, dzięki czemu Turcy zdołali przeciągnąć na swoją stronę młodego księcia Emeryka Tökölyego, który został wodzem Węgrów. Tököly pomoże Osmanom w wojnie z Austrią, za nim pójdą wielotysięczne rzesze gotowych na wszystko straceńców, a kiedy już zrobi swoje, usunie się go, zaś Węgry, ten błogosławiony kraj nad brzegami Dunaju, za sprawą Kara Mustafy stanie się paszałykiem nowo utworzonego cesarstwa, jego spichlerzem.

Zausznicy donoszą, że Leopold wysyła tajemnie posłów do króla Francji Ludwika XIV, by po latach nienawiści, niesnasek i wojen zyskać w nim sprzymierzeńca lub przynajmniej skłonić do zachowania neutralności. Daremny trud! Wielki wezyr otrzymał od Ludwika XIV zapewnienie, iż Francja nigdy nie pójdzie na ugodę z Austrią, swoją odwieczną rywalką na kontynencie. Ponadto, za pośrednictwem królowej Lechistanu Marii Kazimiery, córki zubożałego markiza, kapitana d'Arquien, Ludwik XIV domaga się od Jana Sobieskiego zachowania pokoju z Turkami i podtrzymania Madziarów w ich walce przeciw Austrii. Jan Sobieski, odwieczny nieprzyjaciel Porty, na razie waha się. Niech tam! Waha się nie bez przyczyny: nie ma ani wojska, ani pieniędzy....

Wielki wezyr pogrążył się w rozmyślaniach, w których rzeczywistość w sposób przedziwny przeplatała się z urojeniami, a trzeźwe refleksje doświadczonego

wojownika i męża stanu — z różowymi marzeniami młodzieńca.

Patrzył w lustro i nie dostrzegał swojej twarzy ani nawet lekkich worków pod oczyma, które pojawiły się tam ostatnimi czasy; widział siebie jako władcę bezkresnego cesarstwa, które rozciągać się będzie od Żelaznej Bramy na Dunaju aż po jasne wody Renu, a może nawet dalej. Plany, które spaliły na panewce na północy, urzeczywistnią się za jego sprawą na zachodzie... I kto wie, czy nie z jeszcze większym pożytkiem?

Zamiast na wpół pustynnych stepów ukraińskich, rozciągających się po obu brzegach rzeki Ozy, którą giaurowie zowią Dnieprem, będzie miał u swoich stóp gęsto zaludnione, bogate prowincje Krainy Złotego Jabłka *. Podkowy jego konia skrzeszą iskry u kamienistych wybrzeży Oceanu Ciemności **, który widzieli w swoich snach Atylla i Czyngis-chan, i nawet ten wąskooki grubas o niewieścich kształtach, Batu-chan. Ręka Kara Mustafy zatknie zielony sztandar Proroka na samym krańcu świata! Tak się stanie! Dokona tego! Ale jeszcze nie teraz. W przyszłości. Teraz natomiast...

Kara Mustafa uśmiechnął się i jak psotny chłopczyk zrobił oko do swojego odbicia w lustrze, po czym wygładził palcami fałdkę między brwiami.

Teraz uda się do lewego skrzydła swojego ogromnego pałacu, wnijdzie tajnym przejściem do wieży i zajrzy do komnaty, w której prawie od miesiąca przebywa pewna branka, piękna jak kwiat rajskich ogrodów. Niezwykła uroda dziewczyny wzburzyła serce pierwszego dostojnika cesarstwa.

---

* Kraina Złotego Jabłka — Europa Zachodnia.

** Ocean Ciemności — tak nazywano w starożytności i wczesnym średniowieczu północny Atlantyk wraz z Morzem Północnym i Bałtykiem (przyp. tłum.).

Wyszedł z gabinetu, minął salę audiencyjną i przez mroczną galerię skierował się do wieży strażniczej, która przytykała do pałacu i łączyła się z nim niewidocznymi dla niepowołanego oka drzwiami.

Nigdzie nie było widać straży.

Kara Mustafa odsunął lekką dekoracyjną szafę i bez wysiłku otworzył masywne dębowe drzwi — zawiasy musiały być dobrze naoliwione. Wąskimi krętymi schodami wszedł na górę i znalazł się w obszernej niszy.

Gęsty mrok otaczał wszystko dokoła, lecz Kara Mustafa zdawał się tym nie przejmować. Wyciągnął przed siebie rękę, namacał na ścianie ramę obrazu i zdjął go ze ściany. W tej samej chwili w niszy zrobiło się jaśniej. Pod obrazem znajdowało się niewielkie okienko, które przepuszczało trochę przyćmionego światła. Kara Mustafa ostrożnie umieścił obraz na podłodze i przypadł twarzą do szyby.

Oczom jego ukazała się wielka okrągła komnata urządzona z niebywałym przepychem, niezwykłym nawet dla pałacu wezyra. Ściany jej były udrapowane barwnym jedwabiem i kilimami. Z lewej strony drzwi wisiało wielkie lustro w pozłacanej ramie, z prawej stała szafa z brązowymi okuciami. Pośrodku pokoju w pięknej marmurowej czaszy swawolnie tryskała w górę niewielka fontanna, ocieniona wachlarzowatymi liśćmi palmy o delikatnym zielonym odcieniu. Z drugiej strony fontanny stała szeroka, zaścielona ciężkim perskim dywanem otomana. Leżała na niej dziewczyna. Obok na podłodze siedziała stara kobieta. Jedynie mocne kraty w oknach nie harmonizowały ze wspaniałością tego otoczenia.

Kara Mustafa postał parę chwil w zadumie, ciesząc oko urodą dziewczyny, po czym westchnął leciutko, powiesił obraz na miejsce i zaczął powoli schodzić ze stromych schodów. W ostatnich dniach stało się to je-

go obsesją — przychodzić tutaj i przez kilka minut napawać oczy widokiem uwięzionej. Zawsze znajdował czas, aby oderwać się od bardzo nieraz absorbujących spraw państwowych i zajrzeć do pokoju na wieży.

Ot, chociażby dzisiaj. Jest dżumhad, święty piątek, czyli dzień, w którym odprawia się uroczysty sułtański namaz *. Jako wielki wezyr powinien wraz z innymi najwyższymi dostojnikami państwa przez najbliższych parę godzin towarzyszyć padyszachowi w jego modłach w meczecie Solemana i w świątyni Aja Sofia. A on tymczasem nie mógł się powstrzymać, żeby nie przyjść tutaj i nie popatrzeć na przecudną twarzyczkę, wspaniałe warkocze i krągłe delikatne ramiona tej młodziutkiej piękności!

2

Kara Mustafa wrócił do gabinetu tą samą drogą. Jeszcze raz przyjrzał się uważnie w lustrze swojemu śnieżnobiałemu dolmanowi ** przybranemu gronostajem oraz pięknej czarnej brodzie pociągniętej z lekka szronem siwizny i zadowolony ze swojego wyglądu, pośpieszył ku wyjściu. Na dziedzińcu oczekiwał nań poczet. Starszy koniuszy trzymał za uzdę jabłkowitego wierzchowca.

Kara Mustafa zatrzymał się na moment na ganku, obrzucił szybkim spojrzeniem dziedziniec, pełną piersią odetchnął rześkim porannym powietrzem.

O Allachu, jakże tu pięknie! Niech sobie ludzie gadają, co chcą — jego posiadłość Ejub, leżąca za murami stolicy przy samym koniuszku Złotego Rogu, jest rajem na ziemi!

---

* Namaz (tur.) — modlitwa muzułmańska, odmawiana pięć razy na dzień.

** Dolman (tur.) — krótki płaszcz zarzucany na ramię.

Wielki dwupiętrowy pałac z przylegającym do niego haremem oraz kuchnią i innymi pomieszczeniami gospodarczymi tonie w zieleni cienistych ogrodów. Wokół morze kwiatów. Na wprost wejścia znajduje się przystań, gdzie stale czeka w pogotowiu galera. Od Złotego Rogu ciągnie lekka bryza, która niesie zapachy morza. Raj, istny raj! Nic dziwnego, że nawet sułtan podczas odwiedzin w Ejubie, tym niewielkim zakątku podmiejskim, powiedział: „Gdyby nie było na świecie seraju, sam chciałbym tutaj zamieszkać!"

Kara Mustafa zszedł po stopniach, lekko wskoczył na siodło i skierował konia do przystani. Na galerze podniesiono banderę wielkiego wezyra. Po paradnej schodni Kara Mustafa wszedł na pokład. Aga w randze kapitana zasalutował szablą, po czym galera natychmiast odbiła od brzegu. Przepłynęli Złoty Róg, okrążyli prawie całe miasto i wypłynęli na wody morza Marmara, gdzie wzięli kurs na mobejn * sułtana.

W pałacu czekali już na nich członkowie Dywanu ** — wezyrowie, a także dworzanie, o urzędach i roli których nawet wielki wezyr miał nader mgliste wyobrażenie. Istnieli od wieków i, jak się zdaje, żaden sułtan nie mógł się bez nich obejść.

Cały ten tłum ruszył w ślad za wielkim wezyrem do pałacu padyszacha, gdzie został wchłonięty przez jeszcze większą ciżbę dworzan, którzy oczekiwali na ukazanie się sułtana, szczelnie wypełniając trzy dziedzińce i niezliczone pomieszczenia seraju.

Wreszcie wszyscy gdzieś poznikali i Kara Mustafa pozostał sam w wielkiej sali tronowej. Postał chwilę, po czym skierował się wolnym krokiem do wielkich, pokrytych złoceniem drzwi, po obu stronach których

* Mobejn (tur.) — nazwa męskiej połowy seraju — selamika.

** Dywan (tur.) — rada państwa w dawnej Turcji.

stali na straży dwaj czarni Nubijczycy. Jednocześnie przez otwarte okna doleciał ze dworu przeciągły śpiew rogów. Dały się słyszeć odgłosy bicia w tułumbas.

Pozłacane skrzydła drzwi otworzyły się i do sali wkroczył sułtan Mohamed. Towarzyszył mu jeden tylko dworzanin — główny eunuch.

Kara Mustafa skłonił się w milczeniu i szybko wyprostowawszy się stanął na czele tej niewielkiej procesji. Drzwi otwierały się przed nimi bezszelestnie. Straż prezentowała broń. W miarę posuwania się przez amfiladę komnat dołączali się do nich wezyrowie, rajcowie, paszowie i czauszowie, a także szejk ulemów *. Niebawem „namiestnikowi Boga na ziemi" towarzyszyły setki dworzan.

Gdy wstąpili na trzeci dziedziniec seraju, do sułtana podprowadzono białego jak śnieg, pięknego wierzchowca. Kilku najbliżej stojących janczarów momentalnie rzuciło się do przodu, przypadło do ziemi i utworzyło żywe schody. Sułtan wszedł po nich i dosiadł konia.

Znowu rozległo się bicie w bębny. Otworzono bramy drugiego a następnie pierwszego dziedzińca i procesja wyruszyła. Rozległ się śpiew surm, fletów i rogów. Zagrzmiały tułumbasy. Z tysięcznych gardzieli wyrwał się okrzyk: „Uj ja uj!" **

Najpierw bramy pałacu Topkapi opuścił oddział janczarów w sile czterystu ludzi. Byli w pełnym uzbrojeniu i na głowach mieli piękne paradne czapy.

Tysięczne tłumy, które wypełniły ulice i place, rozstąpiły się przed nimi, tworząc szerokie przejście. Rośli, silni janczarowie popychali tych, którzy nie zdążyli w porę usunąć się z drogi i nie szczędzili im ra-

* Ulema (tur.) — teolog muzułmański pełniący obowiązki sędziego (przyp. tłum.).

** Uj ja uj! (tur.) — Bóg zstąpił na ziemię!

zów pięścią między żebra, tak że ludzie padali twarzą na bruk. Poszkodowani nie mieli jednak o to pretensji i pozbierawszy się, znowu chłonęli oczami pyszne, barwne i butne widowisko.

Janczarowie z ochronnych ort* sułtana z dumą obnosili swoje kosztowne szaty, wzorzyste jedwabne pasy i niejednolite, acz równie kosztowne uzbrojenie. Różnili się między sobą także nakryciami głowy. Niektórzy mieli czapy z białego płótna, pozbawione jakichkolwiek ozdób, inni — żółte lub granatowe przybrane srebrem, jeszcze inni nosili czapki ozdobione złotem i drogimi kamieniami, które mieniły się w słońcu wszystkimi kolorami tęczy.

Za janczarami postępował hufiec strażników-siłaczy. Potem z bramy wyjechali ajabaszowie — konni wartownicy. Na ich srebrnych hełmach powiewały przetykane złotem pióropusze. Łuki i strzały trzymali przed sobą w pełnej gotowości bojowej.

Za oddziałem ajabaszów ukazali się czauszowie i czausz-paszowie w swoich wspaniałych strojach i niezwykle wysokich turbanach na głowach. Ich rącze rumaki miały opończe ze złotogłowiu, skrzące się złotem rzędy i siodła nabijane srebrem.

Zanim mieszkańcy Stambułu zdążyli nasycić oczy całą tą wspaniałością, w bramie ukazali się pajakowie — dzicy z wyglądu, muskularni, nadzy do pasa szybkobiegacze. Z obnażonymi szablami i jataganami przypominali sforę głodnych psów, gotowych rzucić się na wrogów padyszacha. Na ich głowach połyskiwały srebrem i złotem okrągłe jak korony szyszaki.

Dopiero po nich wystąpili stambulscy wielmoże — agowie i zajmowie, paszowie, dwóch kazi-askierów,

* Orta (tur.) — jednostka wojskowa w sile jednej kompanii, zagon.

muftowie *. Na cienkonogich arabskich biegunach dumnie zasiadali wezyrowie.

Za nimi w pewnej odległości postępował pieszo, gdyż tak nakazywał zwyczaj i dworska etykieta, wielki wezyr Kara Mustafa. Za Kara Mustafą jechał na koniu padyszach.

Piękny biały rumak z rozwianym pysznym ogonem zaledwie muskał podkowami ziemię. Siodło, czaprak i reszta uprzęży jaśniały szczerym złotem, perłami i drogimi kamieniami.

Oślepieni widokiem takiego zbytku, wykrzykując „uj ja uj!", ludzie nie mogli oderwać oczu od wierzchowca, który niósł na sobie „namiestnika Boga na ziemi", „padyszacha całego świata".

Sułtan Mohamed IV, czterdziestoletni, nieco już ociężały mężczyzna o miękkich, nijakich rysach twarzy, trzymał się w siodle znakomicie, z wprawą urodzonego jeźdźca — nie darmo przecież pasją jego była jazda konna i polowania! Strój miał tak olśniewający i tak gęsto wysadzany złotem, perłami i szlachetnymi kamieniami, że roztaczał blask nie mniejszy niż słońce! Szczególną uwagę przyciągał turban sułtana, ozdobiony dwoma pióropuszami i wprost usiany klejnotami, z których każdy kosztował majątek.

Tuż za sułtanem jechali konno dwaj brodaci osiłkowie z szablami u pasa, uzbrojeni w jatagany i łuki; z ich sajdaków sterczały pęki strzał. Trzymali w pogotowiu ciężkie buzdygany z wtopionymi w głowice błyszczącymi metalowymi kolcami. Z tyłu posuwali się strażnicy skarbów koronnych i główny eunuch.

Przez całą drogę do meczetu Solemana, gdzie sułtan zszedł z konia i pokłonił się prochom swoich poprzedników, padyszachów minionych epok, i dalej, aż do świątyni Aja Sofia, w której został odprawiony hair

* Mufti (arab.) — tytuł uczonego teologa, znawcy Koranu.

kalifa, czyli sułtański namaz, wokół falowało nieprzebrane morze głów. Wraz z ukazaniem się sułtana tysięczne tłumy klękały na bruku z okrzykami „uj ja uj!", by zaraz zerwać się na równe nogi i podążyć za orszakiem, depcząc po tych, którzy mieli nieszczęście potknąć się i znaleźć pod stopami idących...

3

Gdy po ceremonii namazu wrócili do seraju, cały ten ogromny orszak stopniał bardzo szybko. Sułtan zszedł z konia i udał się do swoich apartamentów w mobejnie, janczarowie rozeszli się po sajbanach — koszarach, wielmoże odjechali do swoich rezydencji, a prosty lud, nacieszywszy oczy olśniewającym widowiskiem, w zamyśleniu podążał ulicami miasta, powracając do trosk codzienności.

Z najwyższych dostojników w pałacu pozostali jedynie najbliżsi sułtanowi ludzie — główny eunuch i wielki wezyr.

Kara Mustafa przechadzał się z wolna wzdłuż okien w cieniu wachlarzowatych palm, które były ozdobą wielkiej sali. Kipiała w nim złość. I nie bez przyczyny: sułtan nie przyjął go od razu, kazał zaczekać, aż trochę odpocznie. Kiedy indziej wielki wezyr nie czekałby ani minuty, lecz wróciłby do swojego Ejubu, aby zażywać sjesty, jednak dwie nie cierpiące zwłoki sprawy nie pozwalały mu odłożyć audiencji do jutra.

Jak donosił umyślny, z godziny na godzinę należało oczekiwać przybycia z Niemirowa zagonu janczarskiego, który miał przyprowadzić hetmana Jerzego Chmielnickiego wraz z jego skarbami. Sułtan już wyraził zgodę na odsunięcie hetmana od władzy nad Ukrainą, teraz należało wymóc na nim zezwolenie na stracenie Chmielnickiego lub osadzenie go w strasz-

nych lochach Yedikule *. Dopiero wtedy można będzie bez przeszkód zawładnąć jego majątkiem.

Po drugie, znad Dunaju, od paszy Ibrahima z Budy, przybył posłaniec, który przywiózł świeże wieści z Wiednia. Utwierdziwszy się w postanowieniu wojny z Austrią, Porta pilnie śledziła każdy krok wiedeńskiego dworu. O tych ostatnich ważnych doniesieniach trzeba natychmiast powiadomić padyszacha. Tu właśnie kryła się przyczyna zniecierpliwienia wielkiego wezyra.

Gdy mała strzałka wielkiego złoconego zegara, stojącego w rogu sali na wysokim stoliku o takich samych złoconych nóżkach, opisała na tarczy podwójne koło, Kara Mustafa udał się do apartamentów padyszacha. Na jego spotkanie podniósł się z podłogi główny eunuch, który jak wierny pies warował na „progu szczęśliwości".

— Już czas! — rzucił krótko Kara Mustafa.

— Zapytam o pozwolenie, efendi. — Tamten skłonił się i zniknął za drzwiami.

Po pewnym czasie rzezaniec wrócił z zapewnieniem, że padyszach przychyla się do prośby o posłuchanie i z jeszcze bardziej uniżonym ukłonem wpuścił Kara Mustafę do łożnicy sułtana.

Był to wielki, zbytkownie urządzony pokój. Sułtan na pół leżał na szerokiej, haftowanej srebrem otomance, a na kobiercu u jego stóp siedziała młoda piękna odaliska. Grała na lutni i z cicha nuciła włoską piosenkę.

Kara Mustafa skłonił się nisko.

Odaliska natychmiast urwała śpiew, opuściła na twarz muślinową zasłonę i zniknęła w bocznych drzwiach. Główny eunuch również się oddalił. Sułtan

* Yedikule — twierdza w Stambule, niegdyś więzienie polityczne.

uniósł się na posłaniu. Przez jego otyłą, wypielęgnowaną twarz przemknął cień niezadowolenia i irytacji.

— Urząd wielkiego wezyra po to chyba został ustanowiony przez Allacha, żeby sułtanowie nie mieli spokojnego życia — powiedział Mohamed kapryśnym tonem. — Przestraszyłeś tę malutką włoską ptaszynę i oto odfrunęła...

Kara Mustafa znowu się ukłonił.

— Wyznaję swoją winę, o mój panie, lecz niestety, nawet namiestnicy Boga na ziemi mają swoje obowiązki do spełnienia, chociaż nie będę ukrywał, że są one mniejsze niż obowiązki wielkich wezyrów... Dlatego właśnie ośmieliłem się niepokoić mojego władcę w święty piątek.

Sułtan skinął głową na znak zgody.

— Dobrze już, dobrze... Mów, o co chodzi?

— O mój władco — zaczął Kara Mustafa cichym głosem. — Po zakończeniu zwycięskiej wojny przeciw Urusom...

— To zwycięstwo zbyt wiele mnie kosztowało — przerwał ponuro sułtan. — Niech w przyszłości Allach strzeże nas od takich zwycięstw!

Słowa sułtana nie przypadły do smaku Kara Mustafie. Udał, że nie słyszał i jeszcze raz powtórzył to samo co przedtem, tylko teraz w jego głosie zadźwięczały metaliczne nutki. Pozwalał sobie niekiedy na to w rozmowach z sułtanem, ale jedynie wówczas, gdy wyczuwał podświadomie, że padyszach znajduje się w stanie prostracji duchowej i nie rozgniewa się na niego.

— Mój władco, po zwycięstwie na północy zaczęliśmy się od razu przygotowywać do wojny na zachodzie... Nastał czas podjęcia ostatecznych decyzji. Są wiadomości od paszy Ibrahima. Nasi zwiadowcy donoszą, że dwór wiedeński też nie drzemie. Cesarz Leopold

z błogosławieństwem papieża Innocentego wysłał posłów do Warszawy do króla Jana Sobieskiego, by ustalić warunki sojuszu...

— Co? Pragną zawrzeć umowę pokojową?

— Nie inaczej. Przyłączają się do nich kurfirści* niemieccy.

Mohamed zerwał się z kanapy. Wiadomość wstrząsnęła nim.

— Wysieczemy ich w pień! — wykrzyknął. — Poślemy wszystkich na galery! Przecież Sobieski nie ma nawet dziesięciu tysięcy wojska!

— A jednak przebąkują, że zobowiązał się wystawić czterdzieści tysięcy.

— Chciałbym widzieć te czterdzieści tysięcy! Skąd weźmie tyle? Przecież ma pustki w skarbcu!

— Ale skarbiec papieża jest pełny. Złoto da Watykan...

— Hm, może masz rację... Ile wobec tego może uzbierać ten nikczemnik Leopold?

— Jak donoszą szpiedzy, Leopold ponoć obiecuje przyszłym sojusznikom wystawić przeciwko nam sześćdziesiąt tysięcy... Realna liczba jego wojska wyniesie, jak mniemam, jakieś czterdzieści tysięcy...

— A kurfirści?

— Ci przyprowadzą ze dwadzieścia tysięcy... Najwyżej trzydzieści...

— Ha, w takimi razie rzucimy pod Wiedeń dwa razy tyle! — z młodzieńczym wprost zapałem zawołał Mohamed. — I ja sam poprowadzę to wojsko, by zetrzeć na proch Austrię i Lechistan! Zniszczę niewiernych giaurów!

Ostatnie słowa sułtan wymówił już bez patosu, obojętnie, tonem apatycznym. Kara Mustafa ukrył

---

* Kurfirst (niem. kurfürst) — książę.

uśmiech w brodzie. Wiedział najlepiej, że zapał padyszacha jest niczym słomiany ogień.

— Mój władco! Uważam, że powinniśmy rozbić ich, zanim zdążą połączyć swoje siły — twardo, choć z szacunkiem przemówił wielki wezyr. — Wysłałem już do Ibrahima-paszy polecenie, by uczynił wszystko, żeby przeciągnąć na naszą stronę Emeryka Tökölyego...

— Dobrześ uczynił.

— Poza tym ściągam wojska do stolicy, aby mogły wyruszyć na wroga, kiedy tylko mój najjaśniejszy władca uzna to za stosowne. W tych dniach zwołamy Dywan, na którym poważmie się ostateczne postanowienie.

— Również pochwalam... Coś jeszcze?

Kara Mustafa zniżył głos:

— Dostojny władco i światłości boskiej mądrości! Ten giaur, hetman Jerzy Chmielnicki, o czym już donosiłem, okazał się człowiekiem niegodnym najwyższej łaski...

— Czy dopuścił się nowego wykroczenia?

— Jak donoszą mi zaufani, jego szwagier, pułkownik Janeńczenko, przebywa obecnie w Lechistanie i prowadzi jakieś tajemne pertraktacje z hetmanem Jabłonowskim, a może nawet z samym królem. Podejrzewam, iż te pertraktacje z wrogami Porty, czynione poza naszymi plecami, są...

Kara Mustafa zawiesił głos. Ale sułtan już zapłonął gniewem.

— Giaur! Pies! Śmierć dla niego jeszcze nie byłaby najcięższą karą!

— Tak jest, o sławetny władco trzech kontynentów... Poleciłem ująć niegodziwca. Czy każesz go powiesić?

Sułtan zamyślił się.

— Powiesić?... Hm, to nie jest trudne do wykona-

nia... Ale po cóż ten pośpiech? Nie, lepiej każ go wtrącić do Yedikule. Do lochu! — Sułtan zrobił pauzę. — A kto teraz będzie rządzić Ukrainą?

Kara Mustafa chytrze przymrużył oko.

— Zrobiliśmy ruch skoczkiem... Jak w szachach, o mój panie.

— Mianowicie?

— Nakazałem hospodarowi Aflaku *, Duce, odkupić od nas ten obszerny i żyzny kraj i nie pozostało mu nic innego, jak odemknąć swoje skrzynie, które pękają od złota. W ten sposób zdobyliśmy pieniądze na nową wyprawę i na pokrycie znacznej części wydatków wojennych...

— To było z twojej strony mądre posunięcie... Cha, cha, cha! Zmusić tego sknerę Dukę do potrząśnięcia trzosem! Cha, cha, cha! — Sułtan zanosił się od śmiechu. — W jaki sposób wpadłeś na ten pomysł?

— Gdy skarbiec państwa jest pusty, mimo woli stajesz się sprytny i przebiegły jak sam szatan.

— A Duka co? Pewnie stawał dęba?

— Proszę sobie wyobrazić — wcale... Widać, złakomił się na bezkresne połacie Prawobrzeżnej Ukrainy... Z miejsca przeniósł rezydencję władcy tego kraju z Niemirowa do Peczer, gdzie osadził Pułk Bracławski, a w Czyhyrynie mianował pułkownikiem jakiegoś Kozaka Hrymaszewskiego...

— Ha, cóż, niech się rządzi... Ale daj mu do zrozumienia, że dżizi ** z Wołoszczyzny zwiększy się teraz w dwójnasób... I żeby płacił regularnie! A prócz tego, nim nadejdzie wiosna, musi wyekwipować dziesięć tysięcy konnych żołnierzy z taborem i przyprowadzić ich do Belgradu!

---

* Aflak (tur.) — Valachia, Wołoszczyzna.

** Dżizi (tur.) — poduszne, podatek pogłowny płacony przez niemuzułmanów.

— To jest mądrze pomyślane, o mój władco — pochylił się w ukłonie Kara Mustafa. — Hospodar wykona to polecenie, już moja w tym głowa!

— Czy to wszystko, z czym przyszedłeś?

— Wszystko, o panie. Czy mogę odejść?

— Idź!

Kara Mustafa znowu się skłonił i skierował tyłem do drzwi, zgodnie z dworską etykietą, która nie pozwalała poddanym padyszacha obracać się do niego plecami. Ale w momencie, gdy już sięgał klamki wyciągniętą poza siebie ręką, sułtan zatrzymał go słowami:

— Czekaj, Mustafo!

Wielki wezyr zatrzymał się i spojrzał na sułtana z pytaniem w oczach:

— Podejdź no tutaj! — rozkazał Mohamed i gdy Kara Mustafa zbliżył się, zapytał, badawczo patrząc mu w oczy: — Doszły mnie słuchy, iż w twoim haremie zakwitła róża rajskich ogrodów... Czy to prawda?

— Co mój pan chce przez to powiedzieć?

— No, jakże! Ponoć tak cudną pięknością nie może poszczycić się nawet sułtański harem!

Wiele wysiłku kosztowało Kara Mustafę opanowanie zdenerwowania, które go ogarnęło w tym momencie. Zrozumiał, którą z piękności ma na myśli sułtan.

— Złe języki przesadzają jak zawsze, o mój boski władco — odezwał się. — To prawda, że w moim haremie przebywa parę ślicznotek, ale czyżby mogły one równać się w piękności z mieszkankami sułtańskiego haremu?! Zaiste, trudno w to uwierzyć... A poza tym wciąż nie mogę odgadnąć, o którą z dziewcząt tutaj chodzi. — Kara Mustafa śmiało spojrzał na sułtana.

— Podobno ową brankę przywieziono ci z Kamienicze *?

* Kamienicze (tur.) — Kamieniec Podolski.

Więc sułtan wie o wszystkim — przemknęło przez myśl Kara Mustafie. — Ciekawym, który z moich ludzi jest jego szpiegiem? Gdy dowiem się, który to — wypalę psu oczy i wyrwę język!

Głośno natomiast rzekł:

— Aa, teraz rozjaśnia mi się w głowie... Owszem, jest taka. Ładniutka. Nie oszukano cię, mój władco, odmalowując jej urodę w słowach pełnych zachwytu... Lecz mimo wszystko w porównaniu z różami, które kwitną w twoim haremie, owa dziewczyna wydałaby ci się zaledwie skromnym polnym kwiatkiem.

— Ależ na tym właśnie polega cały urok! — wykrzyknął Mohamed. — Róże mają kolce i pomimo swoich woni i urody potrafią szybko obrzydnąć, podczas gdy mniej pyszne polne kwiaty są w stanie umilić nam serce... Czyż nie tak?

Kara Mustafa doskonale rozumiał, do czego prowadzi sułtan i tym razem nie śmiał zaprzeczyć. Chociaż w jego głosie brzmiała serdeczność i życzliwość i sułtan niczego nie domagał się wprost, za tą zewnętrzną dobrocią kryła się natura mściwa i zazdrosna — i jedno niebacznie wypowiedziane słowo mogło spowodować natychmiastowy wybuch. W obecnej chwili, w przeddzień wyprawy na Austrię, z którą Kara Mustafa wiązał własne dalekosiężne plany i ambicje, nie należało komplikować sytuacji. Dlatego też wielki wezyr pochylił się w ukłonie i chociaż serce jego przepełniała gorycz, powiedział z przyjaznym uśmiechem:

— Bez wątpienia masz rację, o skarbnico mądrości Proroka! Nastanie czas — i ten skromny polny kwiatek rozkwitnie przepysznie jak najpiękniejsza róża. Wtedy ręka oddanego sługi wręczy go tobie, o panie, w całej jego niewinnej krasie. Mniemam, iż będzie to podarunek miły sercu mojego władcy, uświetniający dzień, w którym przebrzydli i dumni giaurowie padną

pod ciosami szabel niezwyciężonych żołnierzy naszego siejącego grozę hondkara *, największego zdobywcy wszechczasów!

Oblicze sułtana rozpogodziło się: lubił pochlebstwa.

— Nic się nie dzieje bez woli Allacha! Zawsze wiedziałem, że jesteś moim najbardziej oddanym sługą, Mustafo... Możesz odejść!

Znowu cofając się tyłem, wielki wezyr opuścił łożnicę sułtana, unosząc gorycz w sercu.

4

Kara Mustafa dopiero na górnym pokładzie galery zaczął z wolna przychodzić do siebie, gdy poczuł na twarzy orzeźwiający podmuch morskiego wiatru i przyjął z rąk sług dzban zimnego sorbetu **. Właściwie cóż takiego się stało? Ależ wszystko układa się jak najlepiej!

Sułtan powierzył mu misję przygotowania armii do wielkiej wojny w Europie i nie ulega wątpliwości, że wyznaczy go na czas tej wyprawy serdarem ***, gdyż raczej nie starczy mu siły i chęci, by samemu znosić trudy obozowego życia. A to jest pewna droga do zrealizowania jego, Kara Mustafy, marzeń i zamiarów! Mohamed może sobie myśleć, że wyprawa jest podejmowana po to, aby okryć chwałą jego osobę. Cha, cha, cha! Zarozumiałe chłopaczysko! Nie, Kara Mustafa nie jest na tyle głupi, by stojąc u steru rządów państwa, nie zadbać o własny interes i o własną przyszłość, a także o przyszłość swoich potomnych! Nie byłby przedstawicielem rodu Köprülü, gdyby zostaw-

---

* Hondkar (tur.) — jeden z tytułów sułtana.

** Sorbet (tur.) — napój chłodzący z soku owocowego i cukru.

*** Serdar (pers.) — głównodowodzący.

szy wielkim wezyrem, nie zamarzył o czymś więcej — o tronie padyszacha czy koronie cesarza! Pierwszy pomyślny krok na tej drodze został już zrobiony. Skąd więc ta nękająca go troska?

Miał szczęście, że bez zbytnich komplikacji pozbył się także Jerzego Chmielnickiego. Jak donieśli gońcy, lada chwila przybędzie zagon janczarów ze skarbem hetmana, który znacznie powiększy własny skarbiec wielkiego wezyra. Czegóż chcieć więcej?

Ach, tak. Zgryzota toczy serce z powodu pięknej branki, o której dowiedział się sułtan i którą zapragnął mieć w swoim haremie. Jego aluzje na ten temat były aż nadto wyraźne... Nie jest to zbyt przyjemne. Sułtanowie, jak zresztą wszyscy śmiertelnicy, lubią otrzymywać prezenty. To nie byłoby bezpieczne — udać, że się nie zrozumiało aluzji. Hm, trzeba będzie sprezentować mu dziewczynę, chociaż jej uroda i rozum zniewoliły serce samego wielkiego wezyra. Tfu, szatanie! Jak niedobrze się składa... A wszystkiemu winien ten szpieg sułtański!

Kara Mustafa próbował ustalić w myślach, który to ze sług, wartowników, czauszów czy doradców mógłby być owym okiem i uchem sułtana w jego domu, ale wkrótce dał za wygraną. Otaczało go takie mnóstwo ludzi, że nie mógł sobie przypomnieć nawet połowy z nich.

Po przybyciu do Ejubu natychmiast kazał przywołać starszego eunucha. Do pokoju wtoczył się niski grubas w pięknym aksamitnym odzieniu, miękkich, haftowanych srebrem pantoflach i śnieżnobiałym zawoju na głowie. Zbliżywszy się, grubas z wysiłkiem zgiął w ukłonie krótki, podobny do beczułki korpus i w milczeniu utkwił oczy w twarzy swojego pana.

Czyżby to on właśnie był szpiegiem sułtana? — pomyślał Kara Mustafa, a głośno zapytał:

— No i co z nią, kislar-ago *?

— Bez zmian, efendi... Dzisiaj ją badał Pedro-aga, ten lekarz włoski. Mówi, że dziewczyna jest zdrowa ciałem, ale że choruje w niej dusza.

— Och, ten Rzymianin!

— Pedro-aga to bardzo dobry lekarz, efendi — miękko zaprzeczył kislar-aga. — Sam zresztą wiesz o tym najlepiej. A poza tym umie odczytywać przyszłość z gwiazd...

— Ale ma zbyt litościwe serce! Wszystkich żałuje... A najbardziej niewolników.

— To jest zrozumiałe. Sam był przez długie lata niewolnikiem.

— No dobrze, dobrze, na wszystko masz gotową odpowiedź. Prowadź mnie do niej!

— Proszę, efendi. Po tym, jak dziewczyna usiłowała rzucić się z wieży, przeniosłem ją zgodnie z twoim rozkazem na dół, do okrągłej ody. Dzień i noc czuwa nad nią stara Fatyma...

Zeszli marmurowymi schodami na parter i kislar-aga zaprowadził Kara Mustafę do komnaty w wieży.

Obok okna na otomanie siedziały dwie kobiety — stara i młoda. Na widok wielkiego wezyra obie natychmiast zerwały się z miejsca i zastygły w niskim ukłonie.

Kislar-aga kiwnął głową na starą kobietę:

— Chodź ze mną, Fatymo!

Stara wyszła pośpiesznie. Młodsza zrobiła ruch, jakby chciała ją zatrzymać, ale zaraz wyprostowała się dumnie, śmiało spojrzała na Kara Mustafę i już nie odwracała od niego oczu.

Była to piękność z Bułgarii, imieniem Złatka, którą

* Kislar-aga (tur.) — nadzorca dziewcząt, opiekun mieszkanek haremu.

Kara Mustafa otrzymał w darze od hetmana ukraińskiego Jerzego Chmielnickiego.

Jakże zmieniła się ta dziewczyna przebywając w niewoli! Gdyby mógł ją teraz zobaczyć Arsen, jej ukochany, na wieki utracony Arsen, na pewno nie poznałby jej w pierwszej chwili!

Odziana w zbytkowne jedwabne suknie i haftowane złotą oraz srebrną nicią trzewiczki i skąpana w haremowej łaźni, gdzie ogrzewaną wodę skrapia się olejkiem różanym, aby skóra nabrała delikatności i zapachu róż, wydałaby mu się cudownie piękna, ale i obca jednocześnie. Arsen na pewno zauważyłby, że zmarniała i że pod oczami zaległy jej cienie, które przydały twarzy ten rodzaj powabu, jaki wysoko ceni się w pałacach wielmożów, ale który zupełnie nie harmonizuje z urodą dziewcząt ze Starej Planiny czy stepów Ukrainy. Zauważyłby również, że jej cudowne ciemnoniebieskie oczy przygasły; krył się w nich teraz głęboki, pozbawiony nadziei smutek.

Kara Mustafa przez jakiś czas w milczeniu sycił wzrok pięknością dziewczyny. Przemknęła mu myśl, że przysłał mu ją w podarunku Jerzy Chmielnicki, ten sam człowiek, którego on jednym pociągnięciem pióra wykreślił z grona żyjących, ale odegnał ją szybko. Czy warto niepokoić sumienie z powodu jakiegoś politycznego niedołęgi, jakiegoś hetmana-giaura? Co innego własne uczucia — z nimi należy się liczyć!

Co do uczuć — już bez mała tydzień, jak Kara Mustafa nie może sobie z nimi poradzić. Śmiesznie to brzmi: zakochał się niczym chłopak! Utracił spokój w tej samej chwili, gdy ta dziewczyna zjawiła się w Ejubie. Z początku myślał, że okaże się jedną z wielu setek odalisek, jakie zapełniają jego harem i jakie były mu najzupełniej obojętne. Ale gdy niespodziewanie otrzymał od dziewczyny kosza i gdy mu za-

groziła, że raczej zada sobie śmierć, niż pozwoli się dotknąć, miłość wybuchła w nim jak ogień i Kara Mustafa zrozumiał, że zakochał się naprawdę.

Ta miłość cieszyła go, gdyż pozwalała mu odczuć, że jest jeszcze młody i pełen zapału, a jednocześnie irytowała, bo uparta dziewczyna od początku nawet słyszeć nie chciała o jego roszczeniach... A potem zachorowała...

Ukrywał to swoje uczucie przed wszystkimi. Jedynie stara Fatyma i kislar-aga domyślali się jego istnienia. No i oczywiście wiedziała o wszystkim Złatka...

Nie uszło jego uwagi, że dziewczyna bardzo zmieniła się ostatnimi czasy. Zamiast rezygnacji i strachu w jej oczach błyskało rozpaczliwe zdecydowanie, a w mocno zaciśniętych ustach i dumnie wzniesionej główce zgadywało się siłę woli.

O Allach akbar *! Oddać sułtanowi tę ślicznotkę, delikatną jak wiosenny poranek i dumną jak królewna?! Żeby uczynił z niej swoją kadynę **? Nie, za żadne skarby!

Nie, nie przyłoży ręki do unicestwienia własnego szczęścia! Potrafi przechytrzyć sułtana i nie odda mu tej dziewczyny, aż sam zostanie sułtanem w Krainie Złotego Jabłka. A wtedy... Wtedy uczyni ją swoją bach-kadyną, czyli pierwszą małżonką, a jeszcze lepiej — cesarzową... Weźmie z nią prawdziwy ślub w wiedeńskiej katedrze Świętego Stefana, która po zdobyciu Wiednia stanie się meczetem Aja Stefano, a ona urodzi mu szacha-zade, królewicza i następcę tronu. W ten sposób Kara Mustafa zostanie założycielem nowej dynastii, która będzie panować we wszystkich prowincjach Krainy Złotego Jabłka, czyli w Europie.

---

* Allach akbar (tur.) — Wielki Allach.

** Kadyna (tur.) — małżonka sułtana, wybrana spośród obcoplemiennych niewolnic.

Dynastii Köprülü. Nie wielkich wezyrów Köprülü, lecz cesarzy!

Ale zanim to nastąpi i zanim na jego skroniach zabłyśnie cesarska korona, musi być przebiegły i dobrze baczyć, by o tych zamiarach nie wywiedział się żaden pies. A z sułtanem należy prowadzić zręczną grę do ostatka — grę, w której głównym atutem będzie owa piękna branka! Jak to dobrze, że przyszła mu wtedy na myśl tak mgliście sformułowana obietnica: podaruje dziewczynę sułtanowi, ale dopiero po zwycięstwie nad giaurami. I dlatego będzie miał dosyć czasu, żeby zastosować jakiś manewr i zachować Złatkę dla siebie... Chociaż należy też oczekiwać, że sułtan każdego dnia może mu przypomnieć o jego obietnicy — i wtedy trzeba będzie poświęcić uczucie i odprowadzić brankę do haremu sułtana... Tak, ale nie stanie się to ani dziś, ani jutro.

Jeszcze raz uważnie spojrzał na dziewczynę.

Doprawdy, lekarz Pedro postawił trafną diagnozę: tą dziewczyna ma chorą duszę — pomyślał ze smutkiem, zauważywszy głęboką boleść w jej cudnych oczach. — Ale też wiadomo nie od dzisiaj, że chorą duszę leczy się nie ziołami czy maściami i nawet nie uzdrawiającą wodą, lecz często jednym dobrym słowem.

Złatka stała w milczeniu pełna napięcia, nie spuszczając z jego twarzy trwożnego spojrzenia. Wyglądała prześlicznie, jak delikatny polny kwiatuszek...

Kara Mustafa stłumił westchnienie. Do diabła, gdyby nie sułtan, ta polna królewna, z własnej woli czy też nie, podzieliłaby z nim jego łoże!

Złatka wytłumaczyła sobie po swojemu myśli i uczucia, jakie wbrew jego woli odmalowały się na twarzy wielkiego wezyra, i z oczu jej znów wyjrzał lęk.

— Nie bój się mnie, ptaszyno. Nie uczynię ci nic

złego — łagodnie przemówił Kara Mustafa, postępując krok naprzód.

— Ja się nie boję. Bóg stanie w mojej obronie — skuliła się Złatka.

— Nie Bóg, lecz ja, dziewczyno... Obronię cię przed całym złem tego świata! Gdyż w mocy mojej jest czynić zarówno dobro, jak i zło. Rozumiesz?

— Rozumiem. Uczyń więc dobro i daruj mi wolność...

Kara Mustafa uśmiechnął się.

— Głupiutka, a gdzie ci będzie tak dobrze jak tutaj? Ileż to pięknych kobiet z całego świata uważałoby za zaszczyt i szczęście zostać moimi odaliskami!

— Nigdy nie zgodzę się zostać nałożnicą, nawet nałożnicą padyszacha! — Złatka wyprostowała się dumnie, a jej głos zabrzmiał twardo, wprawiając Kara Mustafę w zdumienie.

— Mówisz tak, jakbyś miała możność wyboru!

— Tak, mam jeszcze jedną możliwość...

— Jakąż to?

— Śmierć... Wszak nieraz mówiłam ci o tym!

— Śmierci nikt nie ujdzie... Ale taka młoda i piękna dziewczyna powinna przeżyć długie życie. I przeżyć je w zbytku i miłości. A to mogę ci dać tylko ja!

— Zbytek — tak, miłość — nie.

— Dlaczego?

— Bo ja ciebie nie kocham i nigdy nie pokocham!

Kara Mustafa przeczesał przystrojonymi w kosztowne pierścienie palcami swoją czarną brodę. Hm... Dawno już nie słyszał, aby jakikolwiek zdrowo myślący człowiek przeciwstawiał mu się czy mówił rzeczy nieprzyjemne. A ta dziewczyna nie zawahała się tego uczynić! Jej szczera wypowiedź boleśnie ubodła jego miłość własną. Ale czyż mógł się na nią obrażać, czy

mógł się gniewać na tę przepyszną różę, która zraniła go swoim kolcem!

— Będę czekał, aż zmienisz zdanie co do mnie — przemówił wielki wezyr cichym głosem. — Miesiąc, dwa... rok... Będę czekał...

— To się nigdy nie stanie! Nie masz na co czekać!

Przez oblicze Kara Mustafy przemknął cień.

— Więc będę czekał tak długo, aż przestanę ciebie miłować.

— A wtedy co?

— Wtedy... Lepiej nie mówmy, co stanie się wtedy...

— Każesz mnie zabić?

— Nie, po co? Po prostu dam cię w prezencie człowiekowi, który ciebie nie kocha.

Złatka umilkła. Potem powiedziała:

— Dziękuję za szczerość, efendi... Czy pozostawiasz mi czas do namysłu?

— Tak.

— A więc będę namyślała się, a ty mi nie przeszkadzaj!

— Nadużywasz mojej dobroci i mojej cierpliwości! — wykrzyknął dotknięty do żywego Kara Mustafa. — Pamiętaj, że nawet zakochany może stracić cierpliwość!

Złatka westchnęła i nic na to nie odrzekła. Zrozumiała, że znalazła się w położeniu bez wyjścia, że nie ma nadziei, aby wyzwoliła się kiedykolwiek z pazurów wielkiego wezyra. Nie mogła także spodziewać się, że odnajdzie ją tutaj Arsen, ojciec czy brat. A mimo to, zgodnie z naturą ludzką, która zawsze spodziewa się zmiany na lepsze, Złatka również czekała, a czekając — walczyła. Walczyła o życie, o honor, o przyszłość...

Kara Mustafa przeszedł wzdłuż komnaty i przyjrzał się jej urządzeniu oraz przedmiotom, jakimi na jego

polecenie kislar-aga otoczył tę hardą niewolnicę — owemu mnóstwu drobiazgów, do których kobiety bardzo szybko przywiązują się i bez których potem nie wyobrażają sobie życia.

Oględziny zadowoliły go. Minie trochę czasu — i Złatka przyzwyczai się do tego wszystkiego: do smacznych potraw i łakoci, pięknych sukien, tryskających fontann, palm, miękkich otomanek, zwierciadeł w złoconych ramach i słoików z wonnymi maściami i perfumami. A gdy to nastąpi, na pewno sama nie zechce stąd odejść. W ten sam sposób przyzwyczai się również i do niego, mężczyzny w sile wieku i, jak mu się zdawało, bardzo przystojnego. A wtedy...

Złatka obserwowała w napięciu każdy gest i nieprzeniknione oblicze wielkiego wezyra, którym ten w ciągu tylu lat przebywania na dworze sułtana nauczył się władać mistrzowsko. Ale nie zauważyła, żeby jej miało cokolwiek zagrażać z jego strony. Przeciwnie, wzrok Kara Mustafy był raczej łagodny niż groźny.

— Może masz jakieś życzenia, Złatko? Rzeknij tylko słowo, a wszystkie twoje pragnienia będą natychmiast zaspokojone — powiedział cicho Kara Mustafa.

— W tej chwili nie mam żadnych.

— Gdybyś zapragnęła czegokolwiek, powiedz Fatymie, a ona zastosuje się do twoich życzeń... Możesz także zwracać się wprost do mnie. Poprzez kislar-agę Dżalila... Wierz mi — wielki wezyr, przed którym drżą narody i państwa, będzie szczęśliwy, jeśli nadarzy mu się dodatkowa okazja ujrzenia ciebie, o kwiecie raju, i zadośćuczynienia wszystkim twoich zachciankom i kaprysom!

Ostatnie słowa Kara Mustafy przepełniało uczucie. Mimo to odpowiedź Złatki była chłodna:

— Dziękuję. Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie.

Kara Mustafa popatrzył na nią długim, uważnym

spojrzeniem, po czym powolnym krokiem bez pożegnania opuścił komnatę.

Przez jakiś czas Złatka pozostawała milcząca i pełna napięcia, jakby spodziewając się powrotu wielkiego wezyra. Lecz on nie wrócił. Echo kroków, rozlegające się pod wysokim sklepieniem, zacichało w oddali. Gdy umilkło zupełnie, z piersi Złatki wydarł się jęk, a z oczu trysnęły łzy. Wyciągnęła przed siebie szczupłe ramiona i zaszlochała:

— Arsenie! Arsenie mój! Umiłowany mój! Przyjdzie mi tu zostać na wieki!

Wstrząsana łkaniem opadła na otomanę, przykrytą barwnym kilimem.

5

Janczarski zagon Safar-beja, brata Złatki, który w rzeczywistości nazywał się Nenko, przybył do Ejubu w południe i zatrzymał się na dziedzińcu gospodarskim. Pozostawiwszy wartę przy wozach z ekwipunkiem wojskowym, skarbcem hetmana, zgłodniali janczarowie pędem pobiegli do kuchni, żeby przegryźć coś niecoś po podróży.

Safar-bej z Arsenem otrząsnęli z siebie kurz dalekich dróg i umywszy się zimną wodą ze studni, udali się do pałacu wielkiego wezyra.

Arsen miał wątpliwości, czy powinien pokazywać się na oczy Kara Mustafie, ale Safar-bej nalegał:

— Trzeba, żebyś został oficjalnie przydzielony do mojego zagonu i najlepiej będzie, jeśli uczyni to Kara Mustafa osobiście.

— A jeśli nie zechce tego zrobić?

— No i cóż z tego? Już sam fakt, że wielki wezyr udzielił ci audiencji, podniesie cię niebywale w oczach janczarów i pocztu wezyra, tak że nikomu nawet w

myśli nie postanie rozpytywać, kim jesteś i skąd przybywasz.

— Może i tak — zgodził się Arsen. — Nie myśl, że się boję... Po prostu nie chciałbym z miejsca popaść w jakieś tarapaty, gdyż serce moje czuje, że Złatka nasza przebywa gdzieś w pobliżu... Teraz, gdy udało nam się przedostać aż tutaj, żeby pośpieszyć jej z pomocą, byłoby co najmniej nieopatrznie z naszej strony zrobić jakiś fałszywy krok...

— Zgadzam się z tobą. Bądźmy jednak dobrej myśli. Chciałbym cię uprzedzić jedynie...

— O czym?

— Zapomnij, że mam na imię Nenko! Nawet gdy jesteśmy sami, nazywaj mnie Safar-bejem. Pomyłka może okazać się dla nas zgubna.

Arsen uśmiechnął się niewesoło.

— Zrozumiałem, Safar-beju. I nie zapomnę.

— Doskonale. A teraz chodźmy.

Otworzyli ciężkie malowane drzwi i weszli do zbytkownie urządzonego pałacowego przedsionka. Na ich spotkanie pośpieszył korpulentny, wysoki kapudżi-aga *. Wysłuchał uważnie Safar-beja i polecił im zaczekać, po czym zniknął za drzwiami. Wrócił po pewnym czasie i kazał im iść ze sobą.

Weszli do wielkiego, wytwornie umeblowanego pokoju. Kara Mustafa siedział przy stoliku o wygiętych złoconych nóżkach i coś pisał. Skończywszy, przysypał atrament piaskiem i dopiero wtedy uniósł głowę.

— Podejdźcie no bliżej! — Głos jego brzmiał chłodno, ostro. — A ty, kapudżi-ago, wyjdź!

Kapudżi-aga bezszelestnie zniknął za drzwiami. Safar-bej i Arsen postąpili kilka kroków do przodu i skłonili się nisko.

---

* Kapudżi-aga (tur.) — oficer straży, wartownik.

— Przybywacie z Kamienicze? — zapytał Kara Mustafa.

— O nie, szlachetny wezyrze i sławny obrońco tronu padyszacha. Przybyliśmy z Niemirowa — odpowiedział Safar-bej.

— Przywieźliście hetmana Chmielnickiego?

— Tak jest, wielki wezyrze.

— A... — Kara Mustafa zrobił pauzę, jakby zastanawiał się, czy ma wypowiedzieć swoją myśl, czy też nie. Domyślny Safar-bej ukłonił się.

— Skarbiec hetmański również przywieźliśmy, o wielki wezyrze — powiedział cicho, lecz wyraźnie, a jego nieruchoma twarz pozostała bez wyrazu.

Kara Mustafa z zadowoleniem skinął głową.

— Doskonale! — powiedział i dodał, uważnie się im przyglądając: — Wydaje mi się, jakbym widział już was obu poprzednio... Przede wszystkim ciebie, czorbadżi * — wskazał na Arsena. — Tylko że nie mogę sobie przypomnieć, gdzie to było...

— W Kamienicze, o wielki wezyrze — Arsen ukłonił się. — Było to w zimie, u paszy Chalila... Przywieźliśmy wówczas wiadomość z Niemirowa, iż hetman Chmielnicki wysłał swojego krewniaka, pułkownika Janeńczenko, do Lechistanu...

— Aa, przypominam sobie...

Kara Mustafa przymknął powieki. Rzeczywiście przypomniał sobie obu młodych oficerów i swoją z nimi rozmowę, która naprowadziła go na myśl usunięcia Jerzego Chmielnickiego i zawładnięcia jego bogactwami.

— Jestem rad widzieć was u siebie. — Na twarzy wielkiego wezyra zagościł uśmiech.

Czorbadżowie znowu ukłonili się, a Safar-bej zapytał:

— Jakie będą twoje dalsze rozkazy odnośnie het-

* Czorbadżi (tur.) — stopień oficerski.

mana i jego skarbca, o wielki wezyrze? Czy nie zechciałbyś rzucić nań okiem?

Kara Mustafa wstał od stołu i podszedł do nich.

— Jak się nazywasz?

— Safar-bej, efendi.

— A ty? — zwrócił się do Arsena.

— Arsen-aga.

— Jestem z was zadowolony — powiedział Kara Mustafa. — Może chcielibyście wstąpić do mnie na służbę? Potrzebni mi są tacy roztropni i odważni oficerowie! Ty, na przykład — skinął na Safar-beja — mógłbyś być moim kapudżi-agą, a ty, Arsen-ago — czauszem...

Safar-bej i Arsen wymienili spojrzenia i odpowiedzieli jednogłośnie:

— Będziemy szczęśliwi służąc tobie, wielki wezyrze!

— Doskonale. Zajmą się wami na dworze... A teraz chodźmy do taboru! — I pierwszy ruszył do drzwi.

Postępujący za nim przyjaciele jeszcze raz w milczeniu popatrzyli sobie w oczy. Safar-bej zmrużył oko: no i proszę, wszystko układa się jak najpomyślniej!

Minęli amfiladę sal, gdzie przy drzwiach stało po dwóch milczących, ponurych wartowników, zeszli na dół do przedpokoju i wyszli na dziedziniec. Z tyłu pośpiesznie kroczył kapudżi-aga ze strażnikami.

Wielki wezyr w swoim białym odzieniu, stąpający krokiem lekkim i płynnym, był podobny do dumnego łabędzia prującego gładziznę stawu.

Nagle usłyszeli brzęk tłuczonego szkła, a następnie rozległ się rozpaczliwy, nabrzmiały bólem okrzyk dziewczęcy:

— Aaa!...

Kara Mustafa drgnął i zatrzymał się w miejscu. Przystanęli również czorbadżowie.

Ten głos przeszył serce Arsena jak strzała. Był to

głos Złatki. Młodzieniec zbladł i obrócił się w stronę wieży, która przytykała do budynku haremowego. Tam, w wybitym oknie, przytulona twarzą do krat, stała Złatka i spoglądała w dół. Uczepiona grubych żelaznych prętów, zdawała się nie dostrzegać swojej skaleczonej dłoni, z której cienkim strumyczkiem ściekała krew.

6

— Kislar-ago! Dżalilu! Każę wyrwać ci język, ty obmierzły szakalu! — krzyknął głośno Kara Mustafa. — To tak pilnujesz dziewczyny? Co robi Fatyma, ta stara wiedźma?

Spoza ramienia Złatki wyjrzała żółta przestraszona twarz rzezańca. Usiłował oderwać ręce dziewczyny od krat. Pomagała mu w tym stara Fatyma. Ale Złatka trzymała się mocno, nie zwracając uwagi na krew, która zabarwiła czerwienią jej ramiona i piersi.

— Zaraz, zaraz wszystko będzie znowu dobrze, najjaśniejszy mój efendi... — mamrotał kislar-aga. — Zaraz my jej pomożemy... O Allachu, żeby się tylko tak nie szamotała!

Przez cały ten czas Złatka nie spuszczała wzroku z twarzy Arsena. W jej oczach były zarówno błaganie i prośba o ratunek, jak też bezgraniczna miłość. Ale nie wyrwało się z jej ust ani jedno słowo mogące zdradzić wezyrowi jej znajomość z dwoma młodymi oficerami. Złatka ani na moment nie straciła panowania nad sobą.

Wreszcie Dżalilowi i Fatymie udało się oderwać ręce dziewczyny od krat i odciągnąć ją od okna. Z komnaty w wieży rozległy się pojękiwania i przygadywania Fatymy.

Arsen zacisnął zęby, żeby nie krzyczeć. Drżał na

całym ciele. Rozumiał jednak, że wystarczy jedno niebaczne słowo czy gest, żeby wywołać podejrzenia wielkiego wezyra i zaprzepaścić wszystko. Safar-bej również nakazywał mu milczenie, mocno, jak obcęgami, ściskając ramię Arsena.

Kara Mustafa postał w milczeniu pod wybitym oknem, pogrążony we własnych myślach, po czym — czy to może tylko wydawało się Arsenowi? — westchnął lekko i ruszył powoli dróżką usypaną miałkim morskim piaskiem. Nie wspomniał jednak ani słowem o dziewczynie.

Gdy znaleźli się na dziedzińcu gospodarskim, podszedł prosto do wozu, w którym, pilnowany przez janczarów, siedział w cieniu Jerzy Chmielnicki.

Były hetman, zdrożony, sterany, w zdeptanych długą wędrówką butach i wypłowiałym żupanie, wbił obojętny i ponury wzrok w ziemię i zdawał się nie dostrzegać nic dokoła siebie — ani cudownych ogrodów, gęstych i cienistych, nie tkniętych jeszcze pozłotą jesieni, ani równie wspaniałego pałacu czy solidnych stajen i komór, ani ludzi kręcących się po podwórzu.

Ale gdy niespodziewanie zobaczył przed sobą wielkiego wezyra, jego zobojętnienie i znużenie zniknęły jak ręką odjął. Oczy rozbłysły mu radośnie, zaiskrzyły się w nich łzy. Wstał, rzucił się ku Kara Mustafie i zaczął mówić szybko, kalecząc tureckie słowa:

— O mój najmiłościwszy władco, jestem niewymownie szczęśliwy, iż mój gorzki niewolniczy szlak skrzyżował się z jasną drogą, po której kroczysz! Czy wolno mi spodziewać się, że okażesz mi swoją łaskę, stając w mojej obronie?

Oblicze Kara Mustafy wykrzywiło się obrzydzeniem.

— No i co powiesz, Chmielnicki?

— O wielki wezyrze, proszę o zmiłowanie i ratunek! Znalazłem się w sytuacji godnej politowania, a nie po-

czuwam się do żadnej winy... Obszczekali mnie przed paszą Chalilem wrogowie moi ukryci... A pasza Chalil, nawet nie zbadawszy sprawy jak należy, kazał mnie ująć i niczym złodzieja odesłać do Stambułu!

— Mylisz się. Pochwycono cię na rozkaz sułtana, Chmielnicki! — powiedział surowo Kara Mustafa. — Sułtana!

Juraś zbladł, opadła mu szczęka porosła rzadką czarną szczeciną.

— S-sułtan, o mój władco? Z-za co?... — wybełkotał zacinając się.

— Za to, żeś chciał przejść na stronę Lechistanu, psie niewierny.

— Ja?! Niech mnie Bóg broni, nawet nie pomyślałem o czymś podobnym!

— Nie kłam, giaurze! Wiadomości moje są pewne. Prócz tego szpiedzy donieśli mi ze Lwowa, że pułkownik Janeńczenko, któregoś ty tak niebacznie wysłał do tego miasta, został rozstrzelany jako złoczyńca na rozkaz hetmana koronnego Jabłonowskiego. Widocznie nie uwierzył twoim kłamliwym obietnicom. I dobrze zrobił!

Śmiertelne przerażenie zniekształciło rysy Jurasia. Twarz jego zrobiła się zielona. Szare wargi drżały jak u wystraszonego dziecka.

— Ależ to w-wszystko... odbyło się... inaczej! — wykrzyknął. — Pies Janeńczenko uciekł ode mnie! Sam bym go ustrzelił jak gadzinę!

— A poza tym — nie słuchając usprawiedliwień hetmana, ciągnął nieubłaganie Kara Mustafa — nie potrafiłeś, ty miernoto, sprostać oczekiwaniom padyszacha! Powierzono ci połowę Ukrainy, z tym że miałeś zebrać wojsko i zdobyć zbrojnie drugą połowę, tę, którą do dziś włada car Urusów! Ale nie dość, że te-

go nie uczyniłeś, że nie zdołałeś zebrać wojska i przeciągnąć na swoją stronę tych zbójów Zaporożców! Potrafiłeś nawet utracić to, co ci dał padyszach! Uciekli od ciebie, jak od dżumy, wszyscy twoi poddani! Czyżbyś naprawdę myślał, że Wysokiej Porcie potrzebni są tacy zarządcy?

— Zlituj się, wielki władco prawowiernych — ledwo dosłyszalnie bełkotał Juraś, a jego ramiona chyliły się coraz niżej. — Przebacz twojemu nikczemnemu niewolnikowi, o wszechpotężny!

— Jesteś doprawdy nikczemny... Nie błaznuj! Nie nadawaj mi tytułu, który przysługuje jedynie padyszachowi! Nie spodziewaj się, iż swoimi obłudnymi słowami ugłaskasz moją miłość własną i wybłagasz dla siebie przebaczenie! Nie, nie zasługujesz na litość! — Kara Mustafa klasnął w dłonie i natychmiast u jego boku zjawił się kapudżi-aga. — Wziąć mi tego człowieka, nie zwlekając odprawić do Stambułu i rzucić do Yedikule! Do osobnego lochu!

— Wielki wezyrze, wstrzymaj się! Dozwól jeno rzec słówko... Zgadzam się być prochem pod twoimi stopami, tylko nie zamykaj mnie w ciemnych i wilgotnych lochach! Dosyć namęczyłem się w nich w Polsce, w Marienburskiej fortecy... Nie zapominaj, proszę, że jestem nie tylko żołnierzem, ale też ulemą, duchowną osobą... Byłem nawet kiedyś w Stambule archimandrytą... Więc poślij mnie znowu do prawosławnego klasztoru — w charakterze archimandryty *, postrzyżeńca czy prostego sługi... Kogokolwiek... Tylko nie do Yedikule! Zaklinam cię w imię Allacha! Przypomnij sobie moją wierną służbę i to, że byłem twoim sprzymierzeńcem w kampanii czyhyryńskiej! A jakie podarunki ci posyłałem! Między innymi podarowałem ci pięk-

* Archimandryta (gr.) — przełożony kilku klasztorów w kościele prawosławnym.

ną dziewczynę, jakiej nie posiada chyba nawet sam sułtan...

Ostatnie słowa Jurasia ukłuły Kara Mustafę jak żądło. Jego czarne oczy rozbłysły gniewem.

— Śmiesz wypominać mi swoje podarunki, niegodny! Powinieneś całować ślad moich stóp w podzięce za łaskę, jaką ci okazywałem i na jaką nie zasłużyłeś! Precz z moich oczu! Straż! Brać go!

Juraś nie zdążył nawet okiem mrugnąć, gdy pochwycono go i gdzieś powleczono.

Arsen długo patrzył za nim, usiłując wycisnąć z serca choćby kropelkę litości i współczucia dla pokonanego, powalonego wroga, ale nie czuł nic prócz wstrętu. Był głęboko przekonany, że sam Juraś Chmielnicki jest sprawcą własnego nieszczęścia i klęski, a także nieszczęść całego swojego narodu; jest tym, który zaprzepaścił dzieło Bohdanowe. Jego czarne sumienie obciążają dziesiątki tysięcy ofiar ludzkich, a także ruina i upadek Prawobrzeżnej Ukrainy oraz zdziesiątkowanie siedemnastu pułków kozackich. Nie, nie masz dla takiego litości! Każdemu wedle zasługi!

Z zamyślenia wyrwał go głos Kara Mustafy:

— Gdzież są te skarby niegodziwca? Pokażcie!

Safar-bej i Arsen odrzucili derkę krytego wozu. Na wozie stała niewielka dębowa skrzynia, ściągnięta pasami z żelaza i zaopatrzona w uchwyty. Czorbadżowie przyciągnęli ją na brzeg wozu i pytająco spojrzeli na wielkiego wezyra: co mają robić dalej?

— Nieście ją za mną! — rozkazał Kara Mustafa i skierował się w stronę pałacu.

Zaprowadził ich nie do głównego podjazdu, lecz do maleńkich drzwiczek, które wiodły do podziemi. Eunuch-kaznodar * otworzył ciężki masywny zamek i zapalił świecę.

* Kaznodar (tur.) — skarbnik, dozorca skarbca.

Był to zupełnie pusty niewielki pokój o niskim sklepieniu. W przeciwległej ścianie znajdowały się jeszcze jedne drzwi, zamknięte na zamek, ale kaznodar nie śpieszył się z ich otworzeniem.

— Postawcie skrzynię tutaj — polecił Kara Mustafa — a sami idźcie do kuchni, tam wam dadzą jeść.

— Dziękujemy, efendi — czorbadżowie pochylili się w ukłonie i wyszli z zionących chłodem podziemi.

Nareszcie byli sami. Westchnąwszy z ulgą, popatrzyli sobie w oczy.

— No i jak? — spytał Safar-bej. — Wygląda na to, że ten pierwszy dzień w Ejubie zakończy się dla nas pomyślnie.

— Anim się spodziewał, że tak szybko zwrócimy uwagę Kara Mustały i że weźmie nas do siebie na służbę... A tym bardziej nie myślałem, że zaraz pierwszego dnia zobaczymy Złatkę.

— Ależ to ona pierwsza nas zobaczyła i wybiła szybę w oknie, żeby w ten sposób dać nam znać o sobie! — powiedział Safar-bej.

— Biedna dziewczyna! — Arsen westchnął. — Tyle się nacierpiała... No, teraz już niedługo tu pozostanie! Wyrwę ją stąd i zawiozę do domu!

— Czyżbyś myślał, że to takie łatwe i proste?

— Rozejrzałem się tutaj trochę... I wcale nie myślę, że to będzie łatwe... O tym, że we dwóch przypuścimy atak na pałac, nawet marzyć nie warto. Zabić strażników i wyłamać drzwi? To też pomysł do niczego. Pozostają dwie możliwości...

— Jakie!

— Albo wyłamać kraty w oknie, gdy wszyscy usną, albo też wyczekać na jakąś bardziej dogodną okazję. Przecież nie mogą trzymać Złatki cały czas w zamknięciu! Prowadzą ją chyba od czasu do czasu na spacer. Wtedy właśnie ją porwiemy.

— Hm... Są to jedynie pobożne życzenia, Arsenie — poważnym tonem powiedział Safar-bej. — Życie podpowie, co mamy uczynić. W każdym razie nie trzeba się śpieszyć. Bo, jak mówią u was, ludzi śmieszy, gdy kto śpieszy!

— Zgadzam się z tobą, Safar-beju — ponuro odezwał się Arsen. — Tylko nie wiem, czy zdołam się powstrzymać... Może się zdarzyć, że zabiję Kara Mustafę własnymi rękoma!

— I zgubisz nas wszystkich — Złatkę, siebie i mnie! — Safar-bej spojrzał na przyjaciela surowym wzrokiem. — Nie śmiej nawet myśleć o tym!

— Jeśli on zrobił z niej swoją nałożnicę, zabiję go! — uparcie powtarzał Arsen. — A potem niech będzie, co ma być!

— Głupiś! — wybuchnął Safar-bej. — Myślałem, że jesteś mądrzejszy!

— Łatwo ci mówić, Nenku — wyszeptał Arsen. — A ja... Czy wiesz, co czuję?

— Nie jestem Nenko, tylko Safar-bej! Słyszysz?! Safar-bej, do diabła! — zasyczał janczarski czorbadżi. — Nie wolno ci o tym zapominać!

— Wybacz... Tak mi się wyrwało...

— No dobrze już, dobrze, przebaczam, przyjacielu... I wiesz, co ci powiem? Weź się w garść! Trzymaj się! Mnie też nie jest lekko. Wszak Złatka jest moją siostrą!

— To zupełnie co innego...

— No proszę, ten znowu swoje... Lejesz łzy jak panienka. Nie zapominaj, że prócz wyzwolenia Złatki mamy tutaj do wykonania pewne odpowiedzialne zadanie! Skoro udało nam się przeniknąć w najbliższe otoczenie wielkiego wezyra, powinniśmy w pełni wykorzystać nadarzające się możliwości z największym pożytkiem dla tych, którzy czekają na wiadomość od nas.

Arsen zacisnął pięści. W duchu skarcił się za to, że przejawił taką małoduszność i poddał się nastrojowi chwili, a głośno powiedział:

— Koniec, Safar-beju! Więcej nie będę! Jeśli Kara Mustafa nie zechce się nas pozbyć, żeby nie mieć niewygodnych świadków swego przestępstwa, wyzwolimy Złatkę! A z Kara Mustafą jak na razie trzeba żyć w dobrej komitywie, bo to nie Jurko Chmielnicki... Takiego przeciwnika w życiu nie miałem! Podejść, okręcić sobie dokoła palca samego wielkiego wezyra, a może nawet przyczynić się do jego upadku — powiem ci, bracie, to nie będzie łatwe zadanie!

— Tak, niełatwe — zgodził się Safar-bej. — Wleźliśmy prosto w jaskinę niedźwiedzia. Ale mamy też w ręku nie byle jaki atut...

— Jakiż to?

— W tę jaskinię udało nam się przeniknąć w charakterze przyjaciół niedźwiedzia. I dopóki cieszymy się zaufaniem, mamy prawo spodziewać się, że nam się powiedzie!

Arsen skinął głową twierdząco i obaj pospieszyli do kuchni — niskiego ceglanego budynku, skąd właśnie wytoczyła się czereda janczarów rozgrzanych po spożyciu gorącego posiłku.

7

Złatka siedziała na otomanie i z kamienną twarzą przypatrywała się krzątaninie Dżalila i Fatymy, którzy opatrywali jej skaleczoną rękę. Serce dziewczyny przepełniała radość.

Arsenie, miły mój! Kochany! Nie zapomniałeś o mnie! Odnalazłeś swoją Złatkę i teraz przemyśliwasz nad sposobami jej uwolnienia! Na pewno musiałeś przejść wiele dróg i pokonać niezliczoną ilość przesz-

kód, a także ominąć wiele zasadzek, zanim udało ci się przybyć do Stambułu — serca ziemi tureckiej i dostać się na dwór samego Kara Mustafy! Wiem, że nieprzypadkowo znalazłeś się tutaj, musiałeś dowiedzieć się, że tu właśnie jestem więziona... Miły mój! Najdroższy! Gdybyś wiedział, jak cię miłuję! Jak się stęskniłam za tobą! I jaka niepowstrzymana radość przepełniła moje serce, gdy stojąc przy oknie nieoczekiwanie zobaczyłam poprzez kraty ciebie i Nenka!

Fatyma zaciągnęła zębami węzeł bandaża i smutno pokiwała głową.

— Gupiutka! Coś narobiła! I sobie bólu zadałaś, i nas za to po główce nie pogłaszczą...

— Nie martw się, Fatymo — odrzekła Złatka. — Już mnie nie boli. Nawet chce mi się jeść... Podaj, coś przyniosła!

Twarze starej służącej i rzezańca rozpogodziły się. Byli pewni, że ta kapryśna ślicznotka będzie na nich krzyczeć, jak to bywało niejednokrotnie, tupać nogami i szturchańcami wypychać z pokoju... A tymczasem burza ich ominęła. I jeśli Allach nie pomieszał rozumu tej dziewczynie, gotowa jeszcze, co daj Boże, wstawić się za nimi u wielkiego wezyra... Fatyma, podając tacę, otworzyła nawet usta, chcąc prosić o to, ale Złatka odezwała się:

— A teraz idźcie sobie! Pragnę być sama... Zjem, a potem położę się i odpocznę... Nie chcę, żeby mnie niepokojono!

Dżalil i Fatyma pośpiesznie wyszli z pokoju. Złatka zaczekała, aż umilknie echo ich kroków, i rzuciła się na posłanie. Z jej oczu trysnęły łzy radości.

Arsenie, umiłowany mój! Znowu jesteś przy mnie! Jakżem szczęśliwa!... Teraz nie lękam się niczego, teraz będę spokojna, bo wiem, że mnie kochasz, o mój luby!

Długo leżała nieruchomo, zatopiona w marzeniach o tej szczęśliwej godzinie, gdy los znowu połączy ją z Arsenem. Zapomniała o jedzeniu, które stało na rozesłanym kilimie, o bólu w ręce, o wzbudzającym wstręt wielkim wezyrze... Zapomniała o całym świecie! Przed jej oczami stał Arsen — o twarzy zmienionej, surowej i ciemnej, ale drogi i wytęskniony jak zawsze.

Czas mijał niepostrzeżenie. Złatka zasnęła. Obudziła się pełna przykrego uczucia, że ktoś jej się przypatruje. Serce uderzyło trwożnie, uniosła się na posłaniu.

Pośrodku komnaty, ze skrzyżowanymi na piersi rękoma, stał Kara Mustafa. Broda podobna do łopaty przykrywała dłonie, wyraźnie odbijając swoją czernią od bieli odzieży. Płonące spojrzenie zdawało się przewiercać ją na wylot, zaglądać w głąb serca. .

Złatka poczuła się nieswojo. Skłoniła się w milczeniu i spuściła głowę.

— Cóż ci się stało, ptaszyno? — zapytał Kara Mustafa. — Dlaczego chciałaś rzucić się przez okno? Czy cię ktoś przestraszył?

— Nie, nikt mnie nie przestraszył, efendi — Złatka znowu się ukłoniła. — Po prostu nie chciało mi się jeść...

Kara Mustafa powiódł spojrzeniem po pełnych półmiskach.

— Ale przecież musisz jeść, gołąbko. Nie potrzebuję w moim haremie chuderlawych i suchotniczych kobiet. A może jedzenie nie jest smaczne?

— Ach nie, bardzo smaczne, efendi. Fatyma z Dżalilem wciąż namawiają mnie, żebym jadła, ale... — Złatka zamilkła i ze smutkiem w oczach spojrzała na wielkiego wezyra.

— Co — ale? Powiedz, nie bój się! — Kara Mustafa podszedł bliżej i wziął dziewczynę za rękę. — Spełnię każde twoje życzenie!

Złatka chciała wyrwać rękę, ale powstrzymała się. Pomyślała: a dlaczegóż by nie skorzystać z życzliwości Kara Mustafy? Powiedziała więc głośno:

— Czyż chce się człowiekowi jeść, jeśli siedzi cały dzień zamknięty w czterech ścianach, jak w więzieniu? Przykrzy mi się tu, za kratami...

Kara Mustafa uważnie spojrzał na dziewczynę. Wzrok jego złagodniał.

— Powiem Dżalilowi i Fatymie, żeby wyprowadzali cię na spacer — do ogrodu lub nad morze...

— Dziękuję, efendi — szczerze ucieszyła się Złatka, gdyż otworzyła się przed nią nieoczekiwana możliwość; jeśli w czasie spaceru spotka Arsena czy Nenka, będzie mogła przekazać im wiadomość o sobie.

Jakby czytając w jej myślach, Kara Mustafa zaskoczył Złatkę niespodziewanym pytaniem:

— Powiedz mi, gołąbko, czy znasz tych dwóch czorbadżów, którzy towarzyszyli mi dzisiaj?

Złatka poczuła, że podłoga usuwa się jej spod nóg. Co zauważył wielki wezyr? Czyżby się domyślił, że rozbiła szybę w jakimś celu?

— Nie, nie znam ich — odpowiedziała możliwie spokojnie, chociaż głos jej zadrżał. — Skąd bym miała znać wszystkich czorbadżów, jacy towarzyszą ci, efendi?

— Tak, ale chodzi o to, że nie są to zwykli czorbadżowie... Obaj przez długi czas służyli w Niemirowie u hetmana Jerzego Chmielnickiego i właśnie tam mogłaś ich spotkać.

— Może nawet spotkałam, nie pamiętam — ze wzrastającą pewnością siebie odparła Złatka, zrozumiawszy, że Kara Mustafa nie dostrzegł nic podejrzanego w zachowaniu Arsena i Nenka, a jedynie był zaskoczony i zdumiony tym, co uczyniła. — U hetmana służyło wielu janczarów w stopniu czorbadżów, a tak-

że murzów tatarskich... Dobrze zapamiętałam tylko tego człowieka, który mnie porwał i wywiózł do paszy Chalila, ale to nie był Turek, lecz Urus.

Kara Mustafa zdawał się być zadowolony z tej odpowiedzi. Milczał przez pewien czas i tylko bacznie przyglądał się Złatce, rozkoszując się jej wdziękiem. Potem leciutko ścisnął jej dłoń palcami, usiłując przygarnąć do siebie. Złatka delikatnie uwolniła się z jego objęć i podeszła do okna. Kara Mustafa chciał pójść za nią, ale rozmyślił się i pozostał w miejscu.

— Dzikuska z ciebie, dziewczyno... Milutkie dzikie stworzonko! Ale chyba dlatego właśnie cię miłuję... Przyjdzie czas — i będziesz moja! I dopomoże mi w tym Allach!

Słysząc te słowa, Złatka skuliła się w sobie, jakby pod uderzeniem bicza i pochyliła głowę. Ale serce jej przepełniała radość. Nie, nie twoja, wezyrze! Arsena — albo niczyja!

8

Wieczorem tego samego dnia Kara Mustafa jeszcze raz udał się do wieży, ale tym razem wszedł na górę. Bez pukania otworzył drzwi i znalazł się w przestronnym okrągłym pokoju z wąskimi oknami-strzelnicami, które wychodziły na cztery strony świata. Pokój był zawalony różnymi, osobliwie wyglądającymi w pałacowym wnętrzu, przedmiotami — naczynkiem z żarem, glinianymi tyglami, szklanymi kolbami i retortami, książkami, mapami przedstawiającymi obie sfery — ziemską i niebieską, słojami i garnuszkami, pełnymi minerałów, proszków i płynów...

Mieszkał tutaj Lombardczyk Pedro, lekarz i astrolog, niegdyś niewolnik-galernik, którego Kara Mustafa za grube pieniądze odkupił od skarbu państwa.

Pedro leżał na kanapie i czytał książkę przy świecy. Zobaczywszy w drzwiach dostojnego gościa, natychmiast zerwał się z miejsca i zamarł w niskim ukłonie.

Był to krępy mężczyzna lat czterdziestu, o wielkiej łysiejącej głowie i gęstych czarnych brwiach. Pod barwnym jedwabiem jego długiej szaty wyraźnie zarysowywał się okrągły brzuszek.

— Czy postawiłeś horoskop? — zapytał Kara Mustafa siadając na twardym drewnianym zydlu, własnoręcznie sporządzonym przez Lombardczyka.

— Postawiłem, o dostojny efendi — przypochlebnie uśmiechnął się astrolog. — Kilka nocy z rzędu nie schodziłem z dachu, obserwując gwiazdy i ich konstelacje, które wyznaczają twój los...

Kara Mustafa mimo woli spojrzał w kierunku stromych schodów wiodących z pokoju na poddasze, a stamtąd na dach, i wyobraził sobie Pedra siedzącego na stołeczku i kierującego w niebo wielką lunetę, zakupioną specjalnie dla niego we Włoszech.

— No i jak? Pokaż!

Pedro szybko otworzył drzwi ogromnej szafy i ostrożnie wyjął z niej zwój pergaminu.

— Proszę, łaskawy panie! — I rozwinąwszy zwój na stole, umieścił obok niego świecę.

Kara Mustafa z nie ukrywanym lękiem spojrzał na niezrozumiałe znaczki i rysunki i spytał:

— Cóż przepowiadają gwiazdy?

— Są przychylne dla ciebie, efendi — krótko odpowiedział astrolog, ale przy tych słowach czoło mu się zachmurzyło.

Nie uszło to uwagi wielkiego wezyra. Pytał dalej zaniepokojony:

— Cóż więc przepowiadają gwiazdy? Powiedz wszystko. Chcę znać prawdę! Słyszysz? Stoję przed

wyborem i nie wiem, czy mam rozpoczynać pewne przedsięwzięcie, od którego zależy nie tylko mój los, ale także przyszłość naszego imperium i całego świata islamskiego! Rozumiesz?

— Tak jest, efendi, rozumiem... Dlatego też zabrałem się do tego horoskopu z należytą uwagą. Niczym więcej się nie zajmowałem, tylko tym. I miło mi oświadczyć, iż gwiazdy zwiastują pomyślność we wszystkich twoich poczynaniach wojennych. Bóg wojny Mars stale ci towarzyszy, nie odstępuje cię ani na krok...

— Tak, tak... A poza tym?

— Szlak twój wiedzie pod znakiem Marsa... Wiele krwi się przeleje, ogromna pożoga i wiele nieszczęść po ziemi się rozprzestrzeni... Przyjdzie pomór wielki, głód i bieda wszelka spadną na ludzi!

— A ja? Co mówią gwiazdy o mnie?

— Mars wszędzie towarzyszy mojemu panu, strzeże go i wiedzie szczęśliwie przez zasadzki życia... Chyba że... — Pedro umilkł.

Kara Mustafa słuchał w napięciu. To pewne, że ustami tego Lombardczyka przemawia sam Allach! Przecież astrolog nie mógł nic wiedzieć o mającej rozpocząć się wojnie, którą zamyślają najwyżsi urzędnicy Porty, a mówi tak, jakby było mu o tym wiadomo! Nie ulega wątpliwości, że te słowa podpowiedziały mu gwiazdy...

Jednak Pedro czegoś nie dopowiadał. Ale czego?

— A poza tym? — nalegał niecierpliwie Kara Mustafa. — Dlaczego mówisz: chyba że? Co się ukrywa za tymi słowami?

Pedro spuścił oczy.

— Efendi, prócz boga wojny Marsa na niebie jest jeszcze bogini Wenus... Wiesz to sam...

— Wiem... No więc?

— Ta bogini nie jest obecnie tobie przychylna...

— Jest wrogo do mnie usposobiona?

— Nie to, żeby wrogo, ale... Właśnie nieprzychylnie. Coś niepokoi mnie w przepowiedni tej gwiazdy. Ale nie mogę zrozumieć, co mianowicie. Szczególnie nie podobna mi się początek horoskopu. Wenus jakby uprzedza o jakichś nieszczęściach, które mogą cię spotkać...

— A potem?

— Potem fortuna obraca się do ciebie twarzą i Wenus, tak jak i Mars, wróży ci takoż powodzenie i szczęście...

Kara Mustafa otarł dłonią spocone czoło. Pomyślał przy tym: Ho, ho! Ten głupi Pedro wbrew własnej woli napędził mi tęgiego stracha! A niepotrzebnie, gdyż wszystko jest dla mnie jasne. Chodzi o tę dziewczynę-brankę, Złatkę... Teraz jest dla mnie obca i daleka. Prócz tego zainteresował się nią sułtan i ta właśnie okoliczność grozi mi wielkimi nieprzyjemnościami. Ale z czasem, za pół roku czy za rok, gdy los wyniesie mnie na najwyższy szczebel władzy, Złatka będzie moja... Oto dlaczego Wenus z początku odwraca się ode mnie, a potem nagle okazuje mi swoją przychylność. Wszystko jest jasne... Co się zaś tyczy sprawy najważniejszej — wojny, to tutaj nie może być dwóch zdań: tylko wielka i zwycięska wyprawa pomoże mi urzeczywistnić moje zamysły. Wojna — to jest ten „mój szlak"!

Długo siedział w milczeniu i rozmyślał, nie zwracając żadnej uwagi na gwiaździarza, który klęczał przed nim. Potem wstał gwałtownie z miejsca i powiedział:

— Dziękuję ci, Pedro. Postarałeś się i jestem z ciebie zadowolony. Teraz z lekkim sercem przystąpię do przedsięwzięcia, które zlecił mi Allach!

Kara Mustafa rzucił na stół mocno nabitą sakiewkę

i opuścił pokój. Oszołomiony Pedro odprowadził go wzrokiem, a gdy drzwi się zamknęły, długo patrzył na nie, po czym chwycił sakiewkę i wytrząsnął jej zawartość na stół. Było to szczere złoto. Tego Pedro nie oczekiwał. Toż to cały majątek! Nigdy przedtem wielki wezyr nie miał tak szczodrej ręki! Ciekawe, dlaczego właśnie dzisiaj okazał się taki hojny?...

DO KRAINY ZŁOTEGO JABŁKA

1

Nie minął tydzień, gdy w całym Stambule zawrzało i zakotłowało się niczym w ulu. We wszystkie krańce mocarstwa pomknęli czauszowie z rozkazami dla paszów i bajler-bejów *, by natychmiast ściągano wojska do Edirne, czyli Adrianopola, skąd prowadziła prosta droga na zachód, do Krainy Złotego Jabłka.

Taki był początek wielkiej wojny z Austrią. Dwór wielkiego wezyra w Ejubie przypominał prawdziwe mrowisko. Przybywali tutaj gońcy, zjeżdżali wezyrowie i paszowie. Było powszechnie wiadomo, że sułtan osobiście stanie na czele wojska i poprowadzi je na niewiernych. Ale przygotowaniami do wojny kierował Kara Mustafa.

Brama Ajwasari-kapu, znajdująca się w murze miejskim na brzegu Złotego Rogu, nie zamykała się ani w dzień, ani w nocy. Tędy prowadziła droga ze Stambułu do Ejubu, podmiejskiej rezydencji wielkiego wezyra. Owej jesieni 1682 roku chyba żadna inna dro-

* Bajler-bej — zarządca prowincji.

ga w cesarstwie Osmanów nie była tak zapchana żołnierzami i najwyższymi urzędnikami państwa jak właśnie ta.

Safar-bej i Arsen-aga nie mieli ani jednej wolnej chwili, by spotkać się i porozmawiać. Kara Mustafa bardzo szybko przekonał się, że Nenko jest zdolnym i wykształconym czorbadżi i powierzył mu funkcję swojego sekretarza, nadając mu tytuł czausz-paszy. Safar-bej stał się zaufanym wielkiego wezyra i od wschodu słońca do ciemnej nocy wykonywał jego niezliczone polecenia.

Arsen-aga był tylko szeregowym czauszem, ale i on miał pełne ręce roboty. Niepowstrzymany potok wydarzeń wciągnął go w swój wir. Pewnej nocy obudził go Safar-bej, tarmosząc za ramię.

— Arsen-ago, wstawaj! Wyjdź na dziedziniec, będę na ciebie czekał przy studni. Musimy porozmawiać...

Noc była ciemna. Z północy dął chłodny porywisty wiatr, od czasu do czasu spadały wielkie krople deszczu, ściekały po twarzy i wtedy Arsen głębiej wciągał głowę w ramiona i jeszcze uważniej wpatrywał się w ciemność.

Safar-bej już czekał na niego.

— Co się stało? — Arsen nie ukrywał zaniepokojenia. — Czy może dowiedziałeś się czegoś o Złatce?

— Nie. Wszystkie moje usiłowania, by przeniknąć do niej, skończyły się niepowodzeniem — cicho odpowiedział Safar-bej. — I chyba nieprędko ją zobaczymy...

— Czemu?!

— Jutro opuszczamy Ejub...

Arsen chwycił Safar-beja za ramię. Zrozumiał, że chodzi o wojnę.

— Opowiadaj!

— Dzisiaj byłem obecny przy rozmowie Kara Mu-

stafy z wezyrami oraz paszami... Zięć sułtana, pasza Budy Ibrahim, któremu podlegają paszałyki w Serbii i na Wschodnich Węgrzech, donosi, że cesarz austriacki Leopold bez przerwy śle gońców do Polski, do Jana Sobieskiego, pragnąc zapewnić sobie pomoc Polaków. Ale polska magnateria rozdzieliła się na dwie partie — francuską i austriacką. Austriacka partia pragnie sojuszu z Austrią i przystąpienia do wojny przeciw Turcji. Podtrzymuje ją papież w Rzymie... A partia francuska na czele z królową Marią Kazimierą, córką francuskiego markiza, sprzeciwia się temu stanowczo. Podobno na sejmie dochodzi wręcz do starć zbrojnych i przelewu krwi.

— A to jest na rękę Turkom, niech ich piekło pochłonie! — Z ust Arsena wyrwało się przekleństwo. — Póki magnaci czubią się w Warszawie, Kara Mustafa zdąży pokonać Austrię.

— Właśnie na to liczy wielki wezyr. A także na pomoc hrabiego Emeryka Tökölyego, który przewodził Węgrom w ich walce o wyzwolenie kraju spod jarzma austriackiego. Jeśli Tököly pójdzie na ugodę z Kara Mustafą, popełni wielki błąd, gdyż popchnie swój kraj z jednej zależności w drugą, stokroć straszniejszą! Ale póki co Kara Mustafa skorzysta z pomocy Węgrów i zaatakuje Austrię, zanim ta znajdzie sobie sprzymierzeńców! Tak właśnie się wyraził: „Rozbijemy te kraje pojedynczo, jeden po drugim: najpierw Austrię, a potem Lechistan, i wtedy zgarnę od razu pół Europy!"

W ciemności nie było widać twarzy Arsena, ale Safar-bej poczuł, jak palce Kozaka mocno wpijają się w jego ramię.

— Nenku, powinniśmy coś robić! — gorąco szepnął Arsen. — Jeśli Turcy rozgromią Austrię, a potem Pol-

skę, znowu zwrócą się na północ i będą usiłowali zająć Kijów. Trzeba zanieść wiadomość królowi Sobieskiemu do Warszawy.

— Któż to ma zrobić?

Arsen westchnął.

— Wygląda na to, że ja... Bo któż by inny?

— A Złatka?

Arsen westchnął jeszcze boleśniej.

— Ech, gdybyż udało się wyrwać ją z rąk wezyra! Z jakąż radością pognałbym z nią na Ukrainę!

— To może przekazać wojewodzie Mladenowi, żeby rozesłał swoich gońców? — zapytał po dłuższym milczeniu Safar-bej.

— Nie! — zdecydowanie zaprzeczył Arsen. — Zbyt ważna to wiadomość, żeby ją powierzać komuś innemu.

— Cóż więc zrobimy?

Arsen zamyślił się. Serce mu się krajało. Rzeczywiście, co robić? Czy ma pozostawić Złatkę jej losowi, teraz, gdy po tylu trudach wreszcie zdołał ją odszukać i może nawet uda mu się wyzwolić dziewczynę lada chwila? Lada chwila? Co to znaczy? Że dzisiaj? Za miesiąc, za rok?... I czy nie będzie już wtedy na wszystko za późno? Czy szabla Osmanów nie spadnie na Austrię i na Polskę, a następnie na Kijów i Moskwę prędzej, niż on, Arsen, zdąży zanieść wiadomość o tym straszliwym niebezpieczeństwie? O nie, Arsenie! Miej siłę zwalczyć w sobie te sprzeczne uczucia, złóż Ojczyźnie w ofierze to, co ci jest najdroższe!

Safar-bej również milczał, jakby czuł, jaka burza miota sercem przyjaciela.

Wreszcie Arsen przerwał milczenie.

— Pojadę! Tak trzeba, Nenku. A potem — powrócę... Jeśli zdołasz uwolnić Złatkę własnymi siłami, od-

wieź ją do ojca na Starą Planinę... A jeśli nie — niech czeka na mnie! Wrócę i wyzwolę ją albo zginę!

Safar-bej ścisnął dłonie przyjaciela.

— No cóż, ruszaj, jeśli tak!

— Tak od razu?

— Nie ma co zwlekać, jutro może być za późno... Pojedziesz jako czausz z poleceniem do wołoskiego hospodara Duki. Papiery już ci przygotowałem. Pieniądze także.

— Skąd je wziąłeś?

Safar-bej poklepał Arsena po ramieniu i zaśmiał się cicho.

— No wiesz! Byłbym ostatnim głupcem, gdybym opiekując się w drodze przez dwa bite miesiące skarbem hetmana Chmielnickiego, nie zajrzał do niego... Pomyślałem sobie, że pieniądze mogą się nam przydać nie mniej niż wielkiemu wezyrowi... Cha, cha, cha! Jak się zdaje, miałem rację. Teraz właśnie się przydadzą, gdyż droga przed tobą długa i niełatwa...

2

Przy dźwiękach tułumbasów, fletów i wesołych armatnich wystrzałów ruszył sułtan Mohamed na wyprawę na niewiernych. Droga jego wiodła ze Stambułu do Krainy Złotego Jabłka.

Na czele ogromnego wojska jechała w otoczeniu strażników wspaniała karoca sułtańska. Wyprzedzali ją na rączych wierzchowcach jaskrawie odziani ajabaszowie, którzy okrzykami „Halwet war! Halwet war!" * rozpędzali zbierające się na drodze tłumy pragnące ujrzeć „padyszacha całego świata". Za karocą sunęło sto krytych powozów wiozących sułtańskie irabele **

* Halwet war! (tur.) — Rozejść się!

** Irabela (tur.) — faworyta.

i gezdy *, wybrane spośród haremowych piękności osobiście przez Walid-sułtankę (matkę sułtana) i najstarszą skarbniczkę.

Młode kochanki sułtana oraz ich niewolnice z ciekawością wyglądały przez okienka powozów, podziwiając malownicze krajobrazy i nie mniej malowniczo przyodzianych młodych czorbadżów — janczarów i spahisów **, harcujących na rączych koniach.

Za haremem ciągnęły ogromne tabory, złożone z wozów naładowanych wszelkim dobrem dla dworu sułtana — odzieżą, naczyniami, kuchniami, żywnością.

Następnie kroczyły wojska — piesze oddziały janczarów i konne — spahisów, a także zagony arabskiej i kurdyjskiej kawalerii.

Z tyłu jechali akindżowie ***, z trudem powstrzymujący swoje gorącokrwiste rumaki. Akindżowie w czasie pochodu zwykle pędzili na czele wojska, grabiąc bez litości, paląc i niszcząc wszystko na swojej drodze, toteż teraz, póki trwał przemarsz przez ziemię turecką, Kara Mustafa umyślnie pozostawił ich w ariergardzie, pragnąc ostudzić ten grabieżczy zapał.

Wielki wezyr zaopatrzył się w drogę również nie najgorzej, wiozący ze sobą namioty, odzież, kosztowną broń, pieniądze, złote i srebrne naczynia. Ponadto towarzyszyli mu: odaliski, eunuchowie, czauszowie i kapudżowie, a także astrolog i lekarz Pedro. W osobnej karocy, pod opiekę Fatymy i Dżalila, który siedział obok woźnicy, jechała Złatka.

Ze Stambułu do Adrianopola jest sześć dni drogi. Wszystkie te dni Złatka spędziła przy okienku karo-

---

* Gezda (tur.) — dziewczyna, na której „spoczęło oko" sułtana, kandydatka na faworytę.

** Spahis (pers.) — żołnierz dawnej nieregularnej kawalerii tureckiej.

*** Akindżi (tur.) — atakujący; od słowa akin — napad.

cy, w nadziei ujrzenia Arsena lub Nenka. Ale nie udało się jej zobaczyć ani jednego, ani drugiego.

W Adrianopolu, wielkim i pięknym mieście, które wznosi się na równinie przy ujściu dwóch rzeczek — Tudżi i Ardy do Maricy, sułtan zarządził postój. Przez ostatnie dwa dni padał zimny jesienny deszcz i drogi zupełnie rozmokły.

Dwór sułtański rozlokował się w przestronnym pałacu otoczonym wspaniałymi ogrodami. Nie mniej okazały pałac zajął wielki wezyr wraz z członkami Dywanu, którzy natychmiast zaczęli się w nim wygodnie urządzać.

I nie na próżno, okazało się bowiem, że w Adrianopolu i przyległych miejscowościach wojska będą zmuszone spędzić całą zimę. Zaczęło się dość łatwe, tyle że mało urozmaicone życie. Deszcze padały niemal codziennie. Sułtan był wściekły, gdyż niepogoda uniemożliwiała mu łowy, a tydzień bez polowania był dla niego nie do zniesienia.

Jednak ten przymusowy postój w jednym miejscu miał też swoje dobre strony. Ze wszystkich krańców niezmierzonego imperium ściągały coraz to nowe oddziały. Jak donieśli gońcy, z dalekiego Krymu wyruszyła orda tatarska pod dowództwem chana Murad Gireja. Przyłączyli się do niej Nogajowie * i Budżacy **. Orda kierowała się prosto na Belgrad, dokąd miały przybyć także zagony hrabiego Tökölyego i hospodara Duki. Zebrało się ogromne wojsko, jakim nigdy nie dysponował dotąd sułtan Mohamed.

---

* Nogajowie — potomkowie części ludności Złotej Ordy Nogajskiej, zamieszkujący płn.-wsch. Kaukaz (przyp. tłum.).

** Budżacy — popularna w kręgu kultury wschodnio- i południowosłowiańskiej nazwa plemion tatarskich zamieszkujących ówczesną turecką część Węgier ze stolicą w Budzie (przyp. tłum.).

3

Munedżim-pasza, osobisty astrolog sułtana, odrzucił ciepłą kołdrę, zerwał się z łóżka i wsunąwszy stopy w obramowane futrem sukienne bambosze, poczłapał do drzwi, które ktoś szturmował natarczywie.

Astrolog niósł przed sobą świecę. Jego piwne oczy z wyrazem niepokoju były utkwione w drzwi, za którymi stał nieznajomy.

Któż by to mógł być? Nikogo przecież nie oczekiwał.

— Kto tam?

— Munedżim-paszo, otwórz! — dał się słyszeć jakiś znajomy głos.

Szczęknęła zasuwa. W drzwiach stał wielki wezyr Kara Mustafa. Astrolog nie był zbytnio zaskoczony tą wizytą. Nieraz już przyjmował takie odwiedziny, bo któż nie pragnie dowiedzieć się czegoś o swojej przyszłości? Munedżim-pasza słynął z tego, że jego przepowiednie były niezwykle trafne. Dzięki temu otrzymał tytuł paszy i osobistego gwiaździarza padyszacha.

Zdziwiło go jednak niezmiernie, że Kara Mustafa wybrał dla odwiedzin tak późną porę i zjawił się ubrany w odzież prostego janczara, a nie w swój wspaniały strój wezyra. Cóż miała znaczyć ta maskarada?

Jednak Munedżim-pasza był zbyt wytrawnym dworakiem, by ujawnić swoje uczucia.

— O! — wykrzyknął. — Jakże szczęśliwy jestem, mogąc powitać w tych progach sławnego obrońcę tronu padyszacha!

— Tss! Nie krzycz tak, paszo! — syknął Kara Mustafa, pośpiesznie zamykając za sobą drzwi. — Swoim donośnym głosem rozbudzisz całe miasto!

Astrolog rzeczywiście miał głos przypominający grzmot pioruna przeplatany złowieszczymi nutkami, którym zresztą umiał znakomicie posługiwać się w czasie wygłaszania przepowiedni.

— Już milczę, milczę... Proszę tędy, o mój władco! — Gwiaździarz otworzył drzwi do przyległego pokoju.

Znajdowała się tam dość typowa dla owych czasów wielka pracownia astrologiczno-alchemiczna. Jej urządzenie było doskonale znane Kara Mustafie. Na długich stołach stały szklane retorty napełnione proszkiem, okruchami kolorowych minerałów i różnymi cieczami. Pod oknem w tyglu przygasał ciemnoczerwony żar. W pokoju unosił się zapach spalenizny i jeszcze jakaś nie znana mu woń, nie bardzo przyjemna dla przyzwyczajonego do wyrafinowanych zapachów nosa wielkiego wezyra. Pośrodku, na drewnianej podstawce, wisiała wielka mapa gwiezdnego nieba, poprzecinana łamanymi liniami i wymalowana w znaki zodiaku. Strome schody wiodły na poddasze, gdzie, jak wiedział Kara Mustafa, Munedżim-pasza czynił swoje obserwacje nad obrotem ciał niebieskich. Wszędzie w nieładzie poniewierały się jakieś przyrządy i instrumenty, których widok napełnił serce wielkiego wezyra szacunkiem dla ich właściciela i zabobonnym strachem.

Astrolog podsunął Kara Mustafie fotel i zapytał:

— Jakaż to przyczyna sprawiła, iż sam wielki wezyr uszczęśliwił mnie swoimi odwiedzinami?

Kara Mustafa zdecydowanie odsunął fotel i długo wpatrywał się w oliwkowe, nieprzeniknione oblicze nadwornego astrologa, jakby rozważał w myślach, czy i co ma mu powiedzieć. Następnie ujął go za ramię powyżej łokcia i przemówił cicho, chociaż tonem rozkazującym:

— Munedżim-paszo, spodziewam się, iż zechcesz wyświadczyć mnie i całemu naszemu cesarstwu wielką przysługę...

— Słucham, efendi — krótko odpowiedział astrolog, chyląc głowę w ukłonie.

— Jednak to, co mam ci do powiedzenia, może usłyszeć jedynie Bóg i my dwaj! — Kara Mustafa uniósł palec wskazujący. — Zrozumiałeś?

— Zrozumiałem.

— Nawet padyszach nie może o tym wiedzieć! On przede wszystkim, gdyż to, co czynię, czynię w jego interesie...

— Tak jest, o mój władco. — Jeszcze niżej pochylił głowę Munedżim-pasza, chociaż zimno mu się zrobiło na myśl, że tajemnica, o której się zaraz dowie, może kosztować go życie.

Kara Mustafa pochylił się prawie do samego ucha astrologa i wyszeptał ledwo dosłyszalnie:

— Słuchaj uważnie! Najwyższy interes cesarstwa Osmanów, a także wielkość i sława padyszacha wymagają, abyśmy uzyskali decydującą przewagę w kampanii, którą rozpoczynamy nad brzegami Dunaju...

— Ja wiem — również szeptem odpowiedział pasza.

— Na czele naszej armii stanął padyszach we własnej osobie... Jego wierni poddani są tym faktem zaniepokojeni, gdyż grozi mu niebezpieczeństwo utraty życia. Jak wiadomo, na wojnie giną nie tylko szeregowi żołnierze, ale i wodzowie... Wszyscy zawdzięczamy nasze życie łasce padyszacha, jego rozumowi i jego chwale i stąd wypływa nasza troska o to, by nie wystawiał on swojego cennego życia na największe ryzyko, jakie czyha w takiej wyprawie...

— Zgadzam się z tobą, efendi. Cóż więc należy czynić?

— Będzie o wiele lepiej i bezpieczniej, jeśli padyszach powróci do Stambułu i będzie się zabawiał z pięknymi gezdami, jeździł na tak miłe jego sercu polowania i spędzał wesoło czas w mobejnie, przyglądając się błaznom tańczącym dżurdżunę*... Są to zajęcia

* Dżurdżuna (tur.) — taniec błaznów przypominający kankan.

o wiele przyjemniejsze niż trzymanie nogi w strzemieniu bojowego rumaka!

— Bez wątpienia, o mój władco.

— Prócz tego dźwiganie na swych barkach zielonego sztandaru Proroka jest zbyt wielkim ciężarem dla namiestnika Boga na ziemi. — Głos Kara Mustafy był cichy, ale surowy. — Nie ma sensu obciążać go kłopotami codzienności, skoro znajdą się miliony wiernych poddanych, którzy z radością poniosą ten ciężar.

Sprytny i przenikliwy Munedżim-pasza dawno przejrzał, do czego zmierza wielki wezyr. Nie ulega wątpliwości, że Kara Mustafa pragnie wyprawić sułtana do Stambułu, by samemu zostać serdarem i zgarnąć laury zwycięzcy. Jednak doświadczony dworak ani słowem nie zdradził, czego się domyśla. Czekał, aż skończą się aluzje, a padną konkretne polecenia. Dlatego też znowu niepewnie kiwnął głową.

— Tak jest, o mój władco.

— Więc zrozumiałeś, o czym mówię? — spytał Kara Mustafa ostro, bo zaczęło go wreszcie irytować owo przypochlebne, ale nic zgoła nie wyrażające potakiwanie.

Astrolog skrzywił się.

— Nie we wszystkim, efendi... Nie jest dla mnie jasne, jaka ma być moja rola...

— Powinieneś namówić padyszacha do powrotu do Stambułu!

— O! Jestem przecież tylko małym biednym astrologiem!

— Nie udawaj biednego! Od ciebie wiele zależy... Padyszach postąpi tak, jak nakażą mu gwiazdy!

— Gwiazdy przepowiedziały, że padyszach okryje się chwałą na wojennych ścieżkach... Jeszcze w Stambule stawiałem mu horoskop.

— Nie ma nic pewnego na tym świecie.

— Tak jest, o panie! Chyba że złoto... Złoto zawsze pozostanie tym, czym jest...

Było to dosyć przejrzyste wyrażenie zgody. Ale zgoda kosztuje. Kara Mustafa westchnął z ulgą, gdyż w tej zabawie ryzykował stanowiskiem i głową nie mniej, a może nawet więcej niż astrolog. W milczeniu wyciągnął z kieszeni wielki, grubo nabity trzos i rzucił go na stół. Rozległ się głuchy brzęk metalu.

Munedżim-pasza przywarł spojrzeniem do mieszka, jak głodny pies do chleba. Nie wątpił, że znajdowało się w nim szczere złoto. Poczuł, że zaschły mu wargi i oblizał je językiem. Wszak w tym mieszku kryje się wielkie bogactwo! Więc aż w takim stopniu Kara Mustafa jest zainteresowany tym, żeby wyprawić padyszacha z powrotem do Stambułu, że nie poskąpił na ten cel fortuny!

— Gwiazdy także zmieniają swoje niebieskie układy — zagadkowo przemówił Kara Mustafa. — Wczoraj mówiły jedno, dzisiaj drugie, a jutro powiedzą jeszcze coś innego... Czyż nie tak, paszo?

— Bezsprzecznie tak, mój szczodrobliwy panie — astrolog skłonił się nisko. — Padyszach kazał mi obserwować bieg gwiazd i sporządzić jeszcze jeden horoskop, a ja nie jestem pewny, czy tym razem gwiazdy będą zwiastowały zwycięstwo wojskom Osmana, jeśli na ich czele stanie władca prawowiernych osobiście!

Kara Mustafa uśmiechnął się samymi ustami.

— Zrozumiałeś mnie dobrze, paszo... Życzę ci, aby twoja gwiazda przewodnia wywróżyła ci długie lata życia!

W ostatnich słowach można było wyczuć ukrytą pogróżkę. Astrolog, pragnąc zadokumentować swoje całkowite oddanie, rzucił się do nóg wielkiego wezyra i pocałował jego zakurzony, prosty żołnierski but.

1

Dzień był szary i chłodny. Wczesne mrozy zakuły rzeki i jeziora w lodowe pancerze, tworząc dogodne przeprawy. Natomiast na drogach piętrzyły się grudy zamarzniętej ziemi — po czymś takim nie ujedziesz daleko! Toteż Arsen posuwał się naprzód bardzo powoli. Drogą lub bezdrożem — jak się dało.

Pieniądze Safar-beja bardzo mu się przydały. Przez Bułgarię i Wołoszczyznę przejechał w ciągu dwunastu dni. Koni nie żałował. Kupował na targowiskach wciąż nowe, wypoczęte i pędził dalej. Ponieważ jednak na wyniszczonych terenach Prawobrzeżnej Ukrainy targi nie odbywały się, musiał posuwać się wolniej, oszczędzając siły gniadosza, zakupionego jeszcze w Benderach.

W Niemirowie przytrafiła mu się niemiła przygoda, której o mało nie przypłacił życiem. Arsen jakby przeczuwał, że nie powinien wstępować w granice tego miasta. Ale chyba sam diabeł naszeptywał mu do ucha, gdy nie schodząc z konia, oglądał z pagórka dalekie bezludne ulice: „Wstąp tutaj! Wstąp! Może spotkasz kogo ze znajomych i dowiesz się, jakie zmiany zaszły w mieście od czasu upadku Jerzego Chmielnickiego!"

Spotkał rzeczywiście. Diabeł zwyciężył w jego sercu i Arsen, miast skierować konia na trakt białocerkiewski, w objazd — ściągnął lejce i popędził w kierunku Szpoliwiec.

Przejeżdżając obok dworku babci Seklety, którą pamiętał z dawnych czasów, zatrzymał się. Żyje babcia czy umarła? Spojrzał na zarośnięte zielskiem podwórze, na stłuczone maleńkie okienko, otwarte na oścież

drzwi, które poskrzypywały żałośnie, targane wiatrem, i ze smutkiem pokiwał głową: nie ma już wśród żywych babci Seklety! Przeżyła swojego męża, przeżyła synów i córki, wnuków i prawnuków — a wreszcie sama zgasła jak samotna iskierka na popielisku. Rozwiał się po świecie, wymarł, sczezł ze wszystkim niegdyś potężny jej ród — i kto wie, czy w ogóle znalazła się jaka dobra dusza, która by odprowadziła staruszkę w jej ostatnią podróż...

Jadąc, rozmyślał Arsen nad tym, czy nastanie kiedykolwiek kres nieszczęść, co jak kruki obsiadły tę ziemię? Kiedyż wreszcie nadejdzie dzień, gdy te opuszczone podwórka rozszczebioczą się wesołymi dziecięcymi głosami, a z kominów strzeli znowu w niebo siwy dym, niosąc smakowity zapach świeżo upieczonego chleba?

Mocno zacisnął spieczone na wietrze usta i westchnął, czując, że oczy napełniają mu się łzami.

Cóż to się z tobą dzieje, Arsenie? Rozkleiłeś się, jak nie przymierzając stary Zawierucha. A przecież daleko ci jeszcze do jego lat! Czy to może serce twoje poczuło się znużone tylu klęskami i kłopotami, których końca nie widać?

Otarł oczy pięścią, trącił konia. I w tej samej chwili dostrzegł, że zbliża się do niego oddziałek konny. Nie było sensu zawracać w pole. Nie ucieknie! I dlaczego właściwie miałby uciekać? Jest przecież czauszem samego wielkiego wezyra!

— Hej, chłopcze, kim jesteś? — Już z daleka wołał jadący na przedzie niewysoki człeczyna w kożuchu i nasuniętej głęboko na oczy spiczastej czapce. — Skąd jedziesz i gdzie podążasz?

— Ty nie musisz o tym wiedzieć, dobrodzieju... Tam, gdzie byłem, już mnie nie ma. Tam, dokąd jadę — nie czekają! — odpowiedział Arsen ostrym tonem.

— Oo, mądrala z ciebie, widzę, młodzieńcze! W taki to sposób odpowiadasz setnikowi hospodara Duki? Zuchwalcze! Tym większą mam ochotę dowiedzieć się, coś za jeden! — szyderczo odezwał się jeździec. Przybliżył się do Arsena i wykrzyknął: — A, ba! Kogoż to ja widzę?! Toż to Arsen Zwenyhora we własnej osobie! Niech mi oczy powyłażą, jeśli się mylę! Co za spotkanie! Anim się spodziewał!

Arsen poznał Swiryda Mnohohrisznego i aż chłód go przeszedł. Spotkanie z tym człowiekiem nie wróżyło mu nic dobrego.

Tymczasem jeźdźcy — Wołosi, sądząc z ubrania — otoczyli Arsena, który znalazł się w środku ludzkiego pierścienia, oko w oko ze swoim dawnym wrogiem.

Mnohohrisznyj zsunął czapkę na tył głowy, odsłaniając poorane zmarszczkami czoło z lepiącymi się do niego pasmami rzadkich siwiejących włosów. Twarz jego wykrzywił uśmiech — radosny i drapieżny jednocześnie.

— No, nareszcie ptaszek wpadł w moje sidła! — wykrzyknął zacierając ręce. — Dawnośmy tu, gołąbeczku, nie oglądali twojej pięknej buźki! Nie mogliśmy się ciebie wprost doczekać! No, ale za to teraz dam upust swojej radości, ty przybłędo zaporoska! Teraz ty u mnie potańcujesz! I zaśpiewasz, i zapłaczesz, gdy ci wzuję czerwone safianowe buty! Cha, cha, cha!

Śmiech jego był skrzypiący, przykry.

Arsen milczał.

— Dlaczego nic nie mówisz? Czyżby zatkało cię ze strachu?

— Wcale się ciebie nie boję, wujku Swirydzie...

— E, chyba jednak masz powody, żeby się mnie bać! Zdaje mi się, że nigdy nie kochaliśmy się za bardzo...

— Ale nie byliśmy też nieprzyjaciółmi — odparł

ugodowo Arsen, nie chcąc doprowadzić do sprzeczki, która mogłaby przybrać niebezpieczny dlań obrót.

— Nie byliśmy, mówisz? — Mnohohrisznyj ze zdziwienia aż oczy wytrzeszczył. — Chyba ze strachu pomąciło ci się w głowie! Ha, cóż, przypomnę ci w takim razie... Chłopcy — zwrócił się do swoich Wołochów — ściągnijcie no z niego buty i poczęstujcie kijami po piętach! Niech zatańczy bosaka na mrozie!

Wołosi natychmiast zeskoczyli z koni i rzucili się na Arsena. Jeszcze chwila — a leżałby na ziemi, smagany z całej siły po piętach przez tych obwiesiów.

— Stójcie! — głośno zawołał Arsen, wydobywając z zanadrza pergamin, w który przezornie zaopatrzył go Safar-bej. — W imieniu wielkiego wezyra nakazuję wam — wstrzymajcie się!

Powołanie się na wielkiego wezyra odniosło magiczny skutek. Wołosi opuścili ręce i zatrzymali się, w zamieszaniu spoglądając jeden na drugiego.

Mnohohrisznyj zaczął krzyczeć:

— Dlaczego stoicie?! Brać go! — I zaczął wyciągać szablę z pochwy.

Arsen uniósł rękę z pergaminem.

— Który z was rozumie po turecku?

Wystąpił smagły parobczak.

— Ja!

— Masz, czytaj!

Wołoch przebiegł szybkim spojrzeniem krótką treść pergaminu, spojrzał na pieczątkę — i zbladł.

— Braciszkowie — wyszeptał zmartwiałymi wargami. — Toż to czausz samego wielkiego wezyra!... O mało co nie napytaliśmy sobie biedy!

— Nie może być! — wykrzyknął Mnohohrisznyj. — Daj to!

Schwycił perganim, obrócił go w palcach. Słów nie

rozumiał, ale pieczęć znał bardzo dobrze — i też zbladł.

— Przekleństwo! — wycedził przez zęby. — Wykręciłeś się, psiajucho! No, miałeś szczęście...

Wcisnął Arsenowi do ręki sztywny żółtawy rulon i pogalopował precz. Wołosi popędzili jego śladem.

Arsen otarł spocone czoło, postał chwilę w zadumie, a potem zdecydowanie zawrócił wierzchowca na trakt białocerkiewski.

2

Do Nowosiłek nie dojechał: niespodziewanie wszystkich swoich zastał w Fastowie. Już z daleka zobaczył nad miastem siwe dymy unoszące się z kominów i był niezmiernie zdziwiony, gdy przy wjeździe do miasta zastąpił mu drogę uzbrojony w muszkiet wartownik. Musiał wyskoczyć z jakiejś kryjówki, w której chował się przed przenikliwym lodowatym wiatrem. Wykrzyknął:

— Stój ty, taki owaki! Bo jak grzmotnę z rury, będzie po tobie!

Arsen roześmiał się głośno. Przecież to Iwanyk! Tylko skąd on się tutaj wziął?

Śmiech Arsena rozeźlił wartownika nie na żarty. Podskoczył jak kogut i szturchnął jeźdźca rurą muszkietu pod żebro.

— No i czego zęby szczerzysz, taki i owaki! Pijany jesteś czy rozum sąsiadom wypożyczyłeś? Złaź z konia, pajacu!

— Iwanyku, nie poznajesz mnie? Arsen jestem. Zwenyhora...

Iwanyk w osłupieniu zamrugał oczami. Trudno było poznać w tym wychudzonym ogorzałym brodaczu dawnego pięknisia Arsena.

— Nie może być!

Arsen zeskoczył z siodła, zdjął czapkę. Oblicze Iwanyka rozjaśniło się, muszkiet wypadł mu z rąk.

Przyjaciele uściskali się. W oczach Iwanyka zabłysły łzy.

— Arsenie! Druhu! Skąd się tutaj wziąłeś?

— Jadę od samego sułtana, ze Stambułu. A jak ty się tutaj znalazłeś, Iwanyku?

Iwanyk podniósł muszkiet, poprawił siermięgę zsuwającą mu się z wąskich ramion.

— To nie wiesz?... Semen Palij przyprowadził wszystkich naszych do Fastowa i powiedział: „Tutaj będziemy teraz mieszkać! Niech każdy bierze tyle ziemi, ile zdoła obrobić, i wybiera sobie chatę mniej zniszczoną... A fortecę odbudujemy wspólnymi siłami, żeby nas dobrze broniła". Tak powiedział, taki owaki! No to przeprowadziliśmy się...

— Nie wiesz, gdzie są moi?

— Też tutaj... W dole zamieszkali, nad Unawą. Piękne miejsce — rzeka, łąka, las za rzeką. Chatynka, co prawda, maleńka, ale nie gorsza niż tamta w Dębowym Jarze. A najważniejsze — tuż obok mojej. Nie darmo mówi się, że nie miejsce należy wybierać, tylko dobrych sąsiadów!

— A Palija gdzie mogę znaleźć? Czy przypadkiem nie na Siczy?

— Tu go znajdziesz. Cały czas przebywa w fortecy, zamieszkał razem z wdową po Semaszce...

— A o panu Marcinie nic nie wiesz?

— O Spychalskim? Opowiadał Roman, jakoby we Lwowie przebywał. Przekazał wiadomość o sobie i kazał pozdrowić wszystkich... I o mnie nie zapomniał, i o Zińce — Iwanyk zrobił oko. — Też ją pozdrowić kazał, taki owaki.

Arsen uśmiechnął się, kryjąc uśmiech w gęstej bro-

dzie, która zdążyła mu odrosnąć w czasie podróży ze Stambułu. Kogo jak kogo, ale Ziŋki pan Marcin na pewno nie zapomniał, gdyż bardzo sobie upodobał ową białogłowę!

— No cóż, prowadź mnie, Iwanyku— Arsen położył rękę na wątłym ramieniu druha. — Najpierw do Palija, a potem do domu... Płonę cały z niecierpliwości!

Ruszyli szeroką ulicą. Obok jednego z ocalałych budynków Iwanyk zatrzymał się.

— Powiem Ostapowi, żeby zastąpił mnie na warcie. Bo u nas, trzeba ci wiedzieć, taki owaki, surowo pod tym względem... Nie ominą cię kije od pułkownika, jeśli źle sprawujesz żołnierską służbę!

Wpadł do chaty, po chwili pojawił się w towarzystwie bardzo wysokiego ponurego Kozaka, uzbrojonego jedynie w szablę.

— Masz mój muszkiet — skwapliwie zakrzątnął się Iwanyk. — Przy najmniejszym niebezpieczeństwie pal, panie bracie, żeby aż w fotecy usłyszeli! A ja wrócę niedługo...

— Dobra — kiwnął głową ponury olbrzym i nie oglądając się, odmaszerował na rogatki miasta.

Arsen uważnie rozglądał się dokoła. W mieście było wiele ruin i pogorzelisk, ale wśród zgliszcz tu i tam można było dostrzec ocalałe od ognia zabudowania. Z niektórych chat unosił się dymek, na podwórzach można było zauważyć ślad ludzkiej ręki: tutaj podreperowano płot i bramę, ówdzie pobielono ściany, a gdzieniegdzie nawet pokryto dachy nową strzechą.

W fortecy powitał ich gwar ludzkich głosów. Zewsząd dobiegały uderzenia dębowych kafarów *, szpadli i łopat, postukiwania siekier. Wrzała tu praca. Jedni robotnicy osadzali pale, drudzy sypali ziemię w mię-

* Kafar (niem. Keffer) — przyrząd do wbijania pali za pomocą bijaka, zwanego babą.

dzymurze, jeszcze inni zbijali z dębowych belek forteczną bramę.

Wszyscy byli tak strasznie wychudzeni, wymęczeni i obdarci, że Arsen aż się zdziwił: skąd ci ludzie tutaj przyszli? Czyżby żebracy z całej okolicy zeszli się do Fastowa? Pomimo chłodów większość z nich miała na sobie jedynie łataną koszulę albo wysłużoną kapotę. Rzadko który miał buty, przeważnie nosili na nogach chodaki lub łapcie uwite z łyka, z których wystawały jakieś gałgany. Twarze zarośnięte, z oczu wyzierał głód.

Arsen chciał zapytać Iwanyka, kim są ci ludzie, ale w tym samym momencie wzrok jego padł na wysoką znajomą postać: Palij!

— Ojcze Semenie! — Arsen rzucił się do Palija i z wielkiej radości zagarnął pułkownika w ramiona. — Ojcze Semenie! Jakżem rad, że znowu was widzę!

— Arsen? — Palij nie mógł uwierzyć własnym oczom i w zdumieniu spoglądał na Kozaka. — Naprawdę Arsen i to we własnej personie, jak mawiają kijowscy żacy... Ale jakiś ty zarośnięty! Wyglądasz jak dziadyga!

— Nie jesteście wcale piękniejsi ode mnie — Arsen powiódł ręką, wskazując pracujących wzdłuż murów ludzi. — Skąd się ci tutaj w ogóle wzięli?

Czoło Palija nachmurzyło się. Nie zwalniając kroku, powiedział surowo:

— Teraz chyba połowa Ukrainy żyje w taki sposób. Wojna pozbawiła ludzi wszystkiego: bliskich, domostwa, odzieży... Zaczynamy na pustym miejscu. Musimy sobie jakoś radzić!

— Ale co zaczynamy? — nie rozumiał Arsen.

— Żyć na nowo — odparł Palij. — Długo rozważaliśmy tam, na Zaporożu, co należy robić dalej. Prawobrzeżna Ukraina splądrowana, zniszczona, stratowana kopytami tatarskich koni... W myśl umowy bachczysa-

rajskiej jest to teraz ziemia niczyja... Ale to przecież nasza ziemia! I dopóki tutaj mieszkamy, nikt nie ma do niej prawa — ani sułtan, ani chan, ani hospodar wołoski, ani król polski... Dlatego też rzuciliśmy zawołanie: kto nie ma dachu nad głową, niech przybywa na ziemię fastowską, korsuńską i bogusławską, niech zasiedla te obszary i uprawia rolę, chociaż nie wolno mu wypuszczać szabli z ręki! I oto widzisz początki. Zewsząd pościągali do nas nieszczęśliwcy skrzywdzeni przez los. Nic ze sobą nie przywieźli — ani pieniędzy, ani odzienia, ani zboża czy jakiegoś innego dobra. Za to przynieśli tutaj w sercach swoich nienawiść do wrogów, którzy puścili ich z torbami, i miłość do ziemi. Biedacy jesteśmy. Oj, jacy biedacy! Zimą za progiem, a u nas żywność już się kończy... Widzisz te kotły? Dwa razy dziennie gotujemy w nich kulisz* z jagły. Nie kulisz — nazwa ino... Ale ludzie radzi są nawet tej odrobinie strawy...

— W jakiż sposób zamyślacie przeżyć zimę?

— Jakoś przeżyjemy... Ciaśniej ściągniemy pasa, będziemy polować, chodzić na ryby nad Unawę i Irpień... Ale całą naszą nadzieję pokładamy w pomocy z zewnątrz.

— Czyjej pomocy?

— Moskwa poratuje nas pieniędzmi i bronią, Kijów — zbożem i żywnością. Świat stoi na dobroci ludzkiej.

— Owszem, ja również nieraz miałem sposobność doświadczyć tego na sobie. Chociażby i teraz: udało mi się przebyć taki szmat drogi ze Stambułu do Fastowa tylko dlatego, że pomogli mi dobrzy ludzie. I tak jakoś i do Warszawy się dostanę.

— Jedziesz do Warszawy? Po co?

Arsen obejrzał się. Iwanyk zdążył już wejść w komitywę z kucharzami i wycyganiwszy od nich miskę

* Kulisz (ukr.) — kasza ugotowana na rzadko.

kuliszu, siorbał rzadziutkie gorące jadło. W pobliżu nie było nikogo, każdy zajmował się swoimi sprawami. Mimo to Arsen ściszył głos.

— Ojcze Semenie, chcę, żebyście wiedzieli, iż pozostaję w służbie wielkiego wezyra Kara Mustafy... Razem z Nenkiem... Przywożę niezwykle ważne wieści.

— Jakież to?

— Turcy rozpoczęli wojnę z Austrią. Sułtan Mohamed zebrał ogromną armię i poprowadził ją na Wiedeń... Spieszę do Warszawy, żeby uprzedzić króla Jana.

Czoło Palija nachmurzyło się.

— Uważasz, że należy uprzedzić Sobieskiego?

— Turcy chcą rozbić najpierw Austrię, a potem Polskę... Nenko słyszał o tym z ust samego Kara Mustafy.

— Więc tak się sprawy mają! Gdy padnie Austria, a w ślad za nią Polska, Mohamed znowu skieruje swoje hufce przeciwko nam. I wtedy nic już nie zdoła mu przeszkodzić!

— Obaj z Nenkiem też tak uważamy i doszliśmy do wniosku, że należy koniecznie powiadomić Polaków...

— Bez wątpienia. Najazd Turków można powstrzymać jedynie wspólnymi siłami. Pochwalam twój zamiar udania się do Warszawy. Ze swej strony wyślę listy do Moskwy i do Baturyna, żeby tam też wiedzieli, co zamyśla sułtan.

— Dziękuję wam za poparcie, ojcze Semenie. Wiedziałem, że będziecie tej samej myśli, co i ja z Nenkiem.

— A jakżeby inaczej? Tak samo jak świętej pamięci Sirko uważam, że pośród rozlicznych nieprzyjaciół najgorszy i najniebezpieczniejszy jest dla nas sułtan turecki... I teraz chodzi o to, kto kogo? Albo my go zwyciężymy pospołu z innymi narodami, którym sułtan zagraża tak samo jak nam, i obetniemy mu te jego za-

chłanne pazury albo też pozwolimy się wysiec w pień, że nawet wspomnienie po nas nie zostanie...

— W jakich to strasznych czasach żyjemy! — w zamyśleniu odezwał się Arsen, wspominając wielkie i małe wydarzenia, w jakich uczestniczył. — Czy zdzierżymy?

— Zdzierżymy! Musimy. Gdyż w przeciwnym razie byłby to koniec wszystkiego...

Doszli do wielkiego budynku z gankiem. Arsen pamiętał, że mieszkała w nim stara babuleńka z chłopczykiem i dziewczynką. Teraz budynek prezentował się zgoła inaczej: miał nowe drzwi pachnące smołą, gliniane ściany świeżo pobielone, zamiast wybitych szyb w okna wstawiono dobrze dopasowane deszczułki. W obejściu panował porządek. Widać było, że gospodarują tutaj zapobiegliwe kobiece ręce.

— Proszę do mojej kwatery — powiedział Palij. — Tymczasowej. Później urządzimy w tej chacie pułkową kancelarię, ale że pułku na razie nie mamy i własnej chaty też jeszcze się nie dorobiłem, tutaj się zatrzymałem. Na przyczepkę, można powiedzieć. Właściwie mieszka tutaj Teodozja z dziećmi, wdowa po Semaszce. A ja jestem jej lokatorem. — Wstępując na ganek Palij krył uśmiech w jasnej brodzie.

— Jesteście jeszcze młodzi, ojcze, dopiero czterdziestka wam stuknęła. A Teodozja jest piękną kobietą. Toż i nieboszczyk Semaszko, jak pamiętam, powierzył ją waszej opiece. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdybyście się z nią ożenili...

Palij natychmiast spoważniał. Podszedł do Arsena, niemal go dotykając, i powiedział cicho:

— I ja tak myślę, chłopcze... Teodozja to cudowna niewiasta. Rozumna i przystojna. I serce moje skłania się ku niej. Ale tego jeszcze za mało!

— Czegóż wam jeszcze potrzeba?

Palij żartobliwie szturchnął Arsena w ramię.

— Chłopcze, ja chcę, żeby mnie także kochano. Tylko wtedy zdecyduję się na żeniaczkę. Dobrze przypatruj się wszystkiemu, a potem mi powiesz, miłuje mnie ona czy też nie.

Otworzył drzwi i pierwszy wszedł do świetlicy. Arsen z miejsca zauważył, że nie jest to ten sam pokój, który niegdyś zajmowała babuleńka z dziećmi. Pieca z paleniskiem nie było, a zamiast niego stała w pokoju piękna kaflowa hruba *, w której wesoło potrzaskiwały sosnowe polana. Pośrodku, na czysto wyszorowanej, chociaż pociemniałej ze starości podłodze, leżał dość zniszczony kilim. Na ścianie, nad nowym, niedawno zbitym stołem wisiała broń: muszkiet, dwa pistolety, dwa tatarskie jatagany i kunsztownie zdobiona szabla. Pod ścianami stały żółte, ustrugane z sosnowych desek ławy.

W świetlicy panował harmider. Czwórka dzieciaków kręciła się wokół stołu powodując wesoły rejwach. Przy stole siedziały dwie kobiety, zajęte szyciem. Arsen poznał je: były to Teodozja i staruszka, która niegdyś była jedyną mieszkanką Fastowa.

— A sio, wróbelki! — Z udaną surowością zawołał Palij na dzieci, ale te wcale nie przestraszyły się, tylko z wrzaskiem i śmiechem rzuciły się nań i uwiesiły jego potężnych ramion.

Hałas w pokoju spotęgował się.

Zwenyhora uśmiechnął się, patrząc na zarumienione buzie trzech dziewczynek i chłopca i zanotował w myśli, że Palij umie zdobywać serca nie tylko dorosłych, ale i dzieci. A dzieci, jak wiadomo, są niezwykle wrażliwe na okazywaną im dobroć i nigdy nie obdarzą zaufaniem człowieka oschłego czy bezdusznego.

---

* Hruba (ukr.) — piec z otwartym paleniskiem; kominek.

Teodozja spojrzała na staruszkę:

— Babciu Hanno, zabierzcie stąd dzieci!

Staruszka wstała — teraz nie miała na sobie łachmanów, tylko całkiem porządną sukienkę — i wrzuciwszy szycie do koszyka, ujęła go swoją wysuszoną ciemną dłonią i zawołała na dzieci:

— Chodźcie ze mną, dam wam kawona!

— Chodźmy! Chodźmy! — Uradowana dzieciarnia hałaśliwym stadkiem wyfrunęła za staruszką do przyległego pokoju.

Palij odprowadził dzieci czułym spojrzeniem, a gdy drzwi się za nimi zamknęły, zwrócił się do Teodozji:

— Witaj gości, Teodozjo! Poznajesz?

Teodozja wstała od stołu, zatrzymała się przed Arsenem i przyjrzała mu się uważnie.

Była to kobieta urodziwa, która pomimo swoich trzydziestu pięciu lat i wydania na świat czwórki dzieci zachowała dziewczęce kształty. Kolorowa zapaska i biała wyszywana koszula ciasno oblegały jej cienką kibić. Czarny, lśniący warkocz był zwinięty na karku w mocny węzeł. Spod czarnych brwi patrzyły na Arsena przepastne oczy ocienione długimi rzęsami.

Arsen poczuł ukłucie w sercu. Ta kobieta w jakiś sposób przypominała mu Złatkę — daleką, odnalezioną, ale wciąż jeszcze pozostającą w niewoli, jego ukochaną Złatkę.

Teodozja uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę.

— Czyżby Arsen?... Boże mój, toż to Arsen! Jakże się cieszę... A gdzież to Złatka? Co z nią? — Uścisk jej dłoni był niespodziewanie mocny. — Czyżbyś jej nie odnalazł?

— Odnalazłem... Ale nie zdążyłem wyzwolić, pani dobrodziko — smutno odpowiedział Arsen. — Gdyż przebywa ona w haremie samego Kara Mustafy. Ale wyratuję ją! Powrócę tam i uwolnię ją!

— Bądźmy dobrej myśli... Proszę do stołu.

Arsen usiłował wymówić się od poczęstunku, usprawiedliwiając się brakiem czasu oraz tym, że spieszno mu do domu, ale Teodozja posiadała widać ów czar, który ułatwia postępowanie z ludźmi — przy czym posługiwała się zarówno miłym uśmiechem i dobrym słowem, jak też mądrą kobiecą nieustępliwością charakteru, wobec której stają bezradni nawet najtwardsi mężczyźni. Ujęła Kozaka za rękaw, uśmiechnęła się, przechylając na bok swoją piękną główkę, i przemówiła łagodnie:

— Czyż godzi się odmawiać skosztowania chleba i soli, którymi częstuje się ze szczerego serca? — I zwróciła się do Palija: — Czyż nie tak, pułkowniku?

Spojrzenie, jakie spoczęło na pułkowniku, było krótkie, ale aż nadto wystarczające, by Arsen przekonał się, że Teodozja patrzy na Semena jakoś osobliwie, z ukrytym uczuciem i podziwem, które przebijały na zewnątrz poprzez maskę wrodzonego opanowania.

— Masz rację, gołąbko moja... Arsen jest jeszcze bardzo młody i trzeba go pouczyć, iż nie wolno gardzić gościnnością szczerych przyjaciół! — odpowiedział Palij, zdejmując z półki płaską flaszkę i trzy czarki. — A co masz tam w piecu, gospodyni?

Teodozja postawiła na stole miskę gryczanych placuszków, okraszonych podsmażaną na oleju cebulą i trzy talerze kaszy z dyni.

— Czym chata bogata — zawstydzona rozłożyła ręce. — Miejmy nadzieję, że kiedyś będzie lepiej... A obecnie z jedzeniem u nas krucho.

— Ale za to ty masz złote ręce — powiedział Palij napełniając czarki. — I z niczego potrafisz ugotować smaczną strawę!

Teodozja zarumieniła się z zadowolenia, jej ciemne oczy rozbłysły i tylko ślepiec nie zauważyłby w tym

spojrzeniu szczerej miłości i przywiązania. Arsen trącił nieznacznie Palija pięścią w bok, jakby chciał powiedzieć: cóż to, ojcze, czyżbyś nie widział, jak ona ciebie miłuje?

Palij uśmiechnął się pod wąsem i wzniósł toast.

— No to wypijmy, najmilsi, za wszystko najlepsze — za powrót Arsena, za szczęście Złatki i zdrowie nas wszystkich!

— Za szczęście i zdrowie gospodyni tego domu! — z przekonaniem zawtórował Arsen.

— Dziękuję — odpowiedziała kobieta i pierwsza podniosła czarkę do ust.

3

Powoli schodzili w dół ze wzniesienia, na którym stała twierdza fastowska. Arsen prowadził konia pod uzdę. Czerwone słońce zachodziło za ciemnozielone lasy, zwiastując na jutro mroźną pogodę. Błyszczała skuta lodem wąska, wijąca się Unawa.

— Twoja rodzina, Arsenie, wybrała sobie piękne miejsce niedaleko rzeki. — Palij wskazał ręką w stronę, gdzie wzdłuż łąki ciągnął się rządek chałup. — Proponowałem im, żeby osiedlili się na górze, ale wszyscy dawni mieszkańcy Dębowego Jaru jednogłośnie oświadczyli, że pragną zamieszkać w dolinie, gdzie wszystko przypomina im rodzinne strony — i rzeka, i łąka, i wysokie wzgórze. Powiedzieli, że tutaj łatwiej im będzie przywyknąć do nowego miejsca... Więc zgodziłem się — niech będzie, jak sobie życzą! Aby ludziom było dobrze!

— A jeśli powrócą dawni mieszkańcy?

— Niech powracają. Będziemy im tylko radzi. Ziemi starczy dla wszystkich.

W dole na szerokim placyku ze dwudziestu cieśli krzątało się wokół jakiejś większej budowli.

Zauważywszy zdziwiony wzrok Arsena, Palij wyjaśnił:

— Tutaj stanie cerkiew. Malutka, skromniutka, ale własna *. Świątynia jest potrzebna. Ludzie chcą przystępować do stołu Pańskiego, brać śluby, spowiadać się... Będzie gotowa — wezmę tutaj ślub z Teodozją...

— Ona was kocha, ojcze — powiedział Arsen. — Czyżbyście tego nie widzieli?

Palij otoczył ramieniem plecy Arsena.

— Dlaczegóż bym nie miał widzieć, gołąbeczku? Oczywiście, że widzę. I ze swojej strony darzę ją miłością. Przyjdzie czas — pobierzemy się. Dlatego powracaj szybciej do domu, żebyś mógł być na moim weselu.

— Daleka droga przede mną, ojcze. Najpierw muszę jechać do Warszawy, a stamtąd nad Dunaj, możliwe, że i do samego Wiednia.

— Długa podróż i niebezpieczna.

— Tak. I wcale bym jej nie przedsięwziął, gdyby nie to, że czeka na mnie Złatka. Czeka i spodziewa się, że ją wyzwolę.

Palij zatrzymał się przed bramą wyplecioną ze świeżych witek łozy.

— Tutaj właśnie mieszka twoja matka z dziadziusiem. A tutaj obok — Roman ze Stechą.

— Roman ze Stechą? Czyżby się pobrali?

— Tak. Własna rodzina — własna chata. Cóż może być lepszego? Chatynka, co prawda, zmurszała, ale oboje są młodzi, dorobią się z czasem i postawią nową.

---

* Cerkiew, o której wspomina Palij, istnieje w Fastowie po dzień dzisiejszy i jest otoczona opieką konserwatorską jako pomnik historyczno-architektoniczny końca XVII stulecia.

A miejsce — raj prawdziwy! Ogród, dalej pastwisko i łąki. A jeszcze dalej Unawa. Można hodować gęsi i kaczki, można ryby łowić... Sam bym tu chętnie zamieszkał.

Widać było, że Palij jest naprawdę rozkochany w tej pięknej okolicy. Ale Arsen słuchał nieuważnie. Za plecionym płotem dostrzegł znajomą niewysoką postać w siermiężce i szarej, domowego wyrobu chustce na głowie. Matka!

Serce zaczęło mu bić jak szalone, gotowe wyrwać się z piersi, a nogi zrobiły się sztywne, jakby wrosły w ziemię. Chciał pobiec i nie mógł. Patrzył tylko nie odrywając oczu. Matka! Maleńka, przygarbiona, codzienna i skromna jak zawsze. Ubrana w swoją odwieczną siermiężkę, w szarą wełnianą chustynę i w stare zdeptane trzewiki. Stała w otwartych drzwiach chlewa i poiła z cebrzyka niewielką płową cieliczkę. Cieliczka mocno opierała się nogami o ziemię, wyciągała szyję i bodła mordką cebrzyk, pociągając smaczny napój. Matczyna dłoń głaskała ją po szyi i za uszami niczym dziecko.

— Mamo! — wyszeptał Arsen i poczuł, jak ostry ból ścisnął mu serce. — Mamo! — zawołał znowu i tym razem głos jego zadźwięczał głośno, chociaż ochryple.

Matka uniosła głowę. Cebrzyk wypadł jej z rąk, poidło rozlało się po ziemi.

— Arsenie! Syneczku!

Szybko, na ile pozwalały jej siły, rzuciła się ku synowi. Arsen przycisnął ją do piersi. Całował zimne, zgrubiałe w codziennym trudzie ręce i szeptał słowa pełne otuchy, żeby nie zaczęła płakać z radości. Matka otarła brzeżkiem chustki wilgotne oczy, ogarnęła syna spojrzeniem pełnym miłości.

— Sam jesteś?

— Sam — cicho odpowiedział Arsen.

— Biedaku mój, kiedyż wreszcie uśmiechnie się do ciebie los, jak do innych? Kiedyż skończy się twoja poniewierka i to wieczne tułanie się po świecie?

— Teraz, matko, w całej naszej ziemi nie masz człowieka, do którego los by się uśmiechał. Wszędzie jedna niedola się panoszy... Czyż mogę wylegiwać się na przypiecku, gdy trzeba wyjść naprzeciw tylu nieszczęściom?

Zwenyhorowa chwyciła w obie dłonie głowę syna, przytuliła mocno, pocałowało w czoło.

— Biednaż ty moja głowino!

Uśmiechnęła się smutno do Palija, który stał na uboczu i w zadumie przypatrywał się tej scenie.

Dał się słyszeć okrzyk. Z sąsiedniego obejścia pędem nadbiegała Stecha, z gołą głową i rozwianym pszenicznym warkoczem. Jej śladem podążał Roman. Od strony ganku, świecąc różową łysiną, kuśtykał dziadunio Onoprij, a za nim dostojnym krokiem zbliżał się Jakub. Arsena przekazywano z rąk do rąk. Radości nie było końca. Do pełni szczęścia brakowało jedynie Złatki...

Gdy burza pierwszych powitań nieco przycichła, wszyscy weszli do chaty. Była niewielka, przedzielona sienią na dwie izby. W czysto wybielonym i ogrzanym mieszkaniu pachniało cząbrem i suszonymi grzybami.

Matka pośpieszyła do pieca, chcąc przyrządzić coś do zjedzenia, ale Arsen powstrzymał ją.

— Nie trzeba, mamo. Przed chwilą jadłem obiad u pułkownika. Ale tak ze dwa gary gorącej wody, żebym mógł się wymyć po podróży, przydałoby się, i to bardzo!

Matka zaczęła rozpalać w piecu, przysłuchując się jednocześnie, o czym się rozmawiało w izbie. Najwięcej mówił Arsen. Opowiadał o swoich przygodach, o Złatce i Nenku, mówił o wojnie, do której przygotowu-

je się sułtan i która, chociaż skierowana na Zachód, może zahaczyć swoim śmiercionośnym skrzydłem o Ukrainę, i wreszcie powiedział, że wpadł jedynie na krótko — zaledwie na jedną noc, gdyż jutro skoro świt musi wyruszyć dalej.

Matka zbladła, wypuściła z rąk uchwyt do garnków, w jej oczach zaiskrzyły się łzy.

— Oj, biednaż ja, biedna!... Dokąd to?... Nie zdążył progu przestąpić, a już znowu w drogę mu pilno! Arsenku, syneczku mój najdroższy, ileż to już lat tak oto po świecie się tułasz? Odpocząłbyś trochę w domu... Żebym się mogła na ciebie napatrzyć, krwi ty moja rodzona!

Arsen podszedł do matki, objął ją, przycisnął do piersi jej posrebrzoną głowę.

— Nie płacz, matko! Przyjdzie czas — i powrócę do ciebie na zawsze. I nigdy już cię nie porzucę, gołąbko ty moja siwiuteńka! Ale teraz muszę...

— Znowu do Turcji? — przez łzy zapytała matka.

— I do Turcji, i gdzie indziej — uchylił się od odpowiedzi Arsen. — Następnym razem powrócę razem ze Złatką.

— Daj ci Boże szczęścia, biedaku ty mój! — matka łkając ucałowała Arsena w bujnie porosłą włosami, dawno nie strzyżoną głowę. Potem leciutko odsunęła go od siebie, otarła chustką spłakane oczy i powiedziała: — A teraz nie będę wam więcej przeszkadzała — rozmawiajcie sobie...

Przez cały wieczór nie ucichały głosy w ciepłej izbie. I gdyby nie napomnienia Stechy, która oświadczyła, że Arsen musi wypocząć, nikt nie zmrużyłby oka do rana.

Dopiero po północy Arsen wykąpał się, ogolił, pozostawiając niewielki ciemny wąs, przebrał się w czystą

bieliznę pożyczoną od Romana i położył się spać. Ale o wschodzie słońca już znowu był na nogach.

Nakarmiony i oporządzony wierzchowiec stał przy ganku i cicho rżał, bijąc kopytem o ziemię w przeczuciu dalekiej podróży, a dziadunio Onoprij i Jakub przytraczali mu do siodła sakwy i żałośnie popatrywali na swojego pupila, który właśnie żegnał się z matką. Pośrodku podwórza stali Palij z Teodozją, Roman ze Stechą i Iwanyk z Zińką. Wszyscy byli smutni. Kiedyż się znowu z nim zobaczą?

Odprowadzający wyszli przed bramę. Arsen skłonił się po raz ostatni, Roman oddał mu lejce. W tym momencie Palij położył Kozakowi rękę na ramieniu.

— Nie spiesz się tak! Odprowadzę cię kawałek...

Wszyscy zrozumieli, że pułkownik chce pomówić z Arsenem na osobności, dlatego też pozostali przy bramie, a oni dwaj zaczęli iść powoli ulicą. Gniadosz lekkim krokiem stąpał z tyłu, obserwując z ukosa czarnym okiem stadko wron, które z krakaniem uniosło się z wierzb.

— Więc jedziesz do Lwowa? — spytał Palij, gdy minęli cerkiew i skierowali się na zachód.

— Tak, do Lwowa... Najpierw odszukam pana Marcina, a potem z nim razem pojadę do króla. Spychalski zna Warszawę, ma znajomości wśród szlachty. Myślę, że nie odmówi mi pomocy...

— Byłoby o wiele lepiej, gdybyś ty również wystąpił jako szlachcic — powiedział Palij. — Polak czy Ukrainiec, ale szlachcic. Miałbyś wtedy łatwiejszy dostęp do jaśnie panów możnowładców. Sam wiesz, jak nieprzychylnie spoglądają tacy na prostego Kozaka.

Arsen roześmiał się.

— No, jeśli o to chodzi... Drobnostka. Powiedzmy, że przybiorę miano Andrzeja Komarnickiego. Czyż nie

brzmi po szlachecku? Jestem pan Andrzej Komarnicki. Nieźle, co?

— Całkiem nieźle. — Palij zaśmiał się również, po czym pogrzebał w kieszeni i wyjął z niej niewielką sakiewkę. — A jeśli do takiego nazwiska dodasz jeszcze mieszek ze złotymi polskimi, wtedy można być pewnym, że staną przed tobą otworem nie tylko drzwi szynków i pałaców, ale także serca ich właścicieli...

— Ależ ojcze! — zawołał Arsen. — Głodem przecież tu w Fastowie przymieracie! Czyż nie lepiej byłoby kupić za te pieniądze ziarna pod zasiew albo i parę dorodnych krów na przychówek, bo jałówka mojej matki nieprędko jeszcze będzie cielną krową...

— O nas się nie martw! My tu wspólnymi siłami jakoś damy sobie radę. A przed tobą daleka podróż, pieniądze są ci niezbędne. I nie jest to moja własność, tylko pieniądze skarbowe. Z naszej pułkowej kasy. Bierz i nie mów tyle!

— Dziękuję, 'ojcze — Arsen schował sakiewkę do kieszeni. — W drodze na pewno się przydadzą...

— No, a teraz żegnaj! Niech pod kopytami twojego konia ściele się droga równa i gładka! — Pułkownik objął Kozaka, pocałował w policzek, po czym gwałtownym ruchem odsunął od siebie, jakby oderwał od serca, i surowym tonem, za którym krył się smutek, powiedział: — Komu w drogę, temu czas. Bywaj!

4

Odszukanie we Lwowie Spychalskiego nie było zbyt trudne. Ponieważ Arsen przybył do pałacu Jabłonowskiego wieczorem i na dziedzińcu już nie było nikogo prócz wartowników, zwrócił się z zapytaniem do podstarzałego żołnierza, który razem z towarzyszem stał przy bramie.

— Pan Marcin Spychalski? — powtórzył żołnierz. — A jakże, znam.

— Gdzie mógłbym go znaleźć?

— Niech pan przyjdzie jutro z samego rana...

— Muszę go widzieć jeszcze dzisiaj.

— No, jeśli znajdzie się u pana w kieszeni jaka niepotrzebna złotówka...

— Znajdzie się.

— O, to zupełnie co innego — ucieszył się żołnierz i zwrócił się do współtowarzysza:

— Słuchaj, Janku, postój tu chwilę sam, a ja odprowadzę wielmożnego pana. To niedaleko... Chodźmy, panie!

Skręcili za róg pałacu i zanurzyli się w gęsty mrok. Nie uszli daleko.

— To tutaj — poinformował żołnierz, wskazując ponury budyneczek, który przysiadł jak grzyb pod wysokimi bezlistnymi drzewami. — Zaraz zawołam...

— Nie trzeba — powstrzymał go Arsen wręczając monetę. — Dziękuję. Dalej sam sobie poradzę.

Żołnierz podniósł monetę do oczu, obrócił ją w palcach, nawet powąchał i przekonawszy się, że to prawdziwe złoto, oddalił się szybko.

Arsen podszedł do oświetlonego okna, postał chwilkę, walcząc z ogarniającym go wzruszeniem, a potem cicho zapukał w szybę. Trudno mu było uwierzyć, że zaraz otworzą się drzwi i da się słyszeć głos pana Marcina.

Drzwi nie otworzyły się, natomiast firanka w oknie została odsunięta ciężką męską ręką i do szyby przylgnęła wąsata twarz z wyłupiastymi oczyma. Był to Spychalski we własnej osobie.

— Kto tam? — usłyszał Arsen jego donośny głos.

— Andrzej Komarnicki.

— Kto taki?... Głupie żarty, mój panie! — Spychal-

ski wytrzeszczył jeszcze bardziej oczy, chcąc dojrzeć nieznajomego. Na jego twarzy pojawił się wyraz niepokoju. — Jeszcze raz pytam: kto tam?

Arsen zaczął się śmiać. Nie chciał wymieniać głośno swojego prawdziwego imienia.

— Czyżbyś nie poznawał mnie, panie Marcinie? Więc to tak! A jeszcze tak niedawno przysięgałeś, że póki życia, o przyjacielu nie zapomnisz!

Spychalski wydał cichy okrzyk. Firanka opadła. Po chwili trzasnęły drzwi i Spychalski jak wicher wypadł na zewnątrz.

— Cholera jasna! Gołąbeczku mój! Tyżeś to naprawdę, Arsenie?

— Tss! — Arsen przysłonił mu usta dłonią. — Mówiłem przecież — jestem Andrzej Komarnicki. Czyżbyś mnie nie poznawał?

Spychalski fyrknął niczym kot i roześmiawszy się głośno, pochwycił Arsena w objęcia.

— Poznałem, od razu poznałem! Jak mi Bóg miły! Tylko że sam sobie nie wierzyłem. Skądś ty? Jakie wiatry cię tu przygnały? Wejdź, proszę...

Weszli do przestronnego, acz nieprzytulnego pokoju. Arsenowi wystarczyło jedno spojrzenie, żeby zrozumieć, że pan Marcin wiedzie kawalerski żywot. W pokoju panował bałagan nie do opisania. Odzież wisiała na gwoździach, leżała rozrzucona na stołkach i na podłodze. Łóżko nie było zaścielane chyba od dobrych paru tygodni. Na stole stał brudny talerz z kurzymi kosteczkami, kawałek czerstwego chleba i nadgryziona cebula... Niewielka łojowa świeczka dawała mało światła, ale za to w górę ulatywało dużo kopciu.

Spychalski odsunął talerz, rękawem zgarnął ze stołu okruchy, przerzucił na łóżko jakieś szmaty, nogą podsunął gościowi stołek.

— Siadaj! — Umieścił się naprzeciwko, pilnie przy-

glądając się druhowi. — Opowiadaj wszystko! Bo mam bardzo mało czasu.

— Spieszy ci się?

— Nim zapieje trzeci kur, mam wyruszyć do Warszawy.

— Ależ to świetnie się składa! Ja też jadę do Warszawy... Będziemy więc mieli czas, by porozmawiać w drodze.

— Doprawdy świetnie! — ucieszył się Spychalski, ale natychmiast spoważniał: — A po co ty tam jedziesz Arsenie?

— Nikt nas nie podsłucha? — Arsen wskazał oczami ścianę. — Czy masz sąsiadów?

— Był jeden, ale już po nim... Niejaki pułkownik Janeńczenko.

— Co się z nim stało?

Spychalski zrobił znaczącą pauzę.

— Rozstrzelano go... Z wyroku sądu wojskowego...

Arsen milczał, gdyż wzmianka o Janeńczence natychmiast przypomniała mu Dębowy Jar, pożogę i porwanie Złatki... Potem westchnął i opowiedział Spychalskiemu o swoich przygodach i tułaczce po świecie.

— A jednak nie powiedziałeś mi, jakie licho gna cię do Warszawy. Czy to może tajemnica? — zapytał Polak. — Jeśli tak, to lepiej nic nie mów...

— Nie obrażaj się, panie Marcinie. Nie mam przed tobą tajemnic i nigdy nie miałem, gdyż zjedliśmy razem niejeden pud soli, przyjacielu! Wiedz zatem, że jadę do samego króla. — Arsen opowiedział mu o przyczynie swoich wędrówek. — Oto dlaczego nie chcę, żeby poznano tutaj moje prawdziwe imię. I nie tylko z tej racji, że pewne wysoko postawione osoby gotowe zrobić wszystko, by nie dopuścić Kozaka do króla, ale i z tej jeszcze, że zarówno we Lwowie, jak i w Warszawie mogą znajdować się szpiedzy sułtana. Moja mis-

ja ma sekretny charakter, jak sam chyba rozumiesz...

— Rozumiem — Spychalski skinął głową twierdząco. — Dobrze to wszystko umyśliłeś i dlatego chętnie ci pomogę!

— Nigdy w to nie wątpiłem, dlatego też nie pojechałem prosto do Warszawy, a wstąpiłem po ciebie do Lwowa.

— Szczęście twoje, że przybywasz na czas. Bo jakbyś się spóźnił o jeden dzień, moglibyśmy się minąć w drodze, cholera jasna!

— Jakaż to przyczyna gna cię do stolicy?

— Nie tylko mnie. Wojewoda ruski Stanisław Jabłonowski udaje się na Sejm Walny i mam mu towarzyszyć wraz z pocztem. Jutro rano wyruszamy... Pojedziesz z nami!

— A twój pan? Nic nie będzie miał przeciwko temu?

— Mój pan, niech go piorun trzaśnie! — wybuchnął Spychalski. — Dobrze powiedziałeś — mój pan! Żebyś wiedział, że twój najlepszy przyjaciel, szlachetnie urodzony Marcin Spychalski, został chłopcem na posługi u możnowładcy pana Jabłonowskiego, żeby go choroba pokręciła!

— To porzuć go!

— A jakże! Łatwo ci mówić — porzuć! A jeść co będę? Tatarzy spalili mój dom, ograbili ze wszystkiego, co miałem, chociaż tak Bogiem a prawdą niewiele miałem, i puścili w świat z torbami, gołego jak święty turecki! Toteż jestem zmuszony za kawałek chleba i to oto mieszkanie służyć panu Jabłonowskiemu w charakterze prostego chłopa... Co mi każe — to robię, gdzie pośle — tam jadę... Wciąż mam nadzieję uskładać trochę grosza, a wtedy plunę na to wszystko i wrócę do swojego Zakopanego. Wystawię nową chatę, ożenię się, zacznę żyć spokojnie...

— A z czego będziesz żyć?

— Widzisz, zostało mi tam kilkanaście morgów ziemi, której Tatarzy nie zdołali unieść ze sobą. Będę orał, siał...

— To dobre zajęcie. Na cóż czekasz? Nie bardzo, widzę, dorobiłeś się tutaj. Siadaj więc na konia i ruszaj do tego twojego Zakopanego!

— E, bracie!... Nająłeś się — zaprzedałeś się. Wlazłeś w długi — trzeba odrabiać... A do tego wszystkiego przebąkują cichcem, że na Sejmie Walnym Jabłonowski może zostać obrany królem na miejsce Jana Sobieskiego. Może wtedy i moja persona pójdzie w górę? — Spychalski uśmiechnął się gorzko.

— O, to coś nowego! — ożywił się Arsen. — Dlaczegoż by to?...

Spychalski rozejrzał się wokół, jakby w obawie, że może zostać podsłuchany, i zaczął szeptać konspiracyjnie:

— Tobie jednemu odsłonię tajemnicę... Ale nikomu ani słowa, pamiętaj! Gdyż pan Stanisław skory jest do zemsty, szlag by go trafił! Ma na swoich usługach łajdaków, którzy gotowi dopaść człowieka w jakim ciemnym zaułku i pchnąć nożem pod żebro, że pozostanie jeno pomodlić się za duszę sługi bożego Marcina...

— Znasz mnie przecież, panie Marcinie!

— No to słuchaj... Wpadłem ci ja tutaj jak drop w rozstawione sidła! Nawet sen utraciłem. Zasnę — i we śnie spokoju nie mam, cholera jasna!

— Ale cóż się stało, przyjacielu? Opowiadaj po kolei.

Spychalski jeszcze raz się obejrzał i pochylił do ucha Arsena.

— Słyszałeś coś może o francuskiej i austriackiej partii, na jakie rozdzieliła się nasza szlachta?

— Coś niecoś słyszałem.

— No więc tak. Pan Jabłonowski, kochanek królowej, którą król mimo to miłuje bez pamięci, zawsze był zwolennikiem partii austriackiej i Sobieskiego. Może pragnie po prostu uśpić czujność jego królewskiej mości, który nie widzi, że małżonka uderza w amory z jego własnym wojewodą... Aż tu nagle ja stałem się świadkiem i uczestnikiem zdrady pana Stanisława...

— Mianowicie?

— Od pewnego czasu zaczął nas tu we Lwowie odwiedzać posłaniec podskarbiego wielkiego, senatora Morsztyna, który przewodzi partii francuskiej... Nic bym o tym nie wiedział, gdyby pewnego razu nie zawołał mnie do siebie pan Stanisław i nie powiedział: „Panie Marcinie, wiem, że jesteś mi oddany". „Bez wątpienia, mości panie wojewodo" — odpowiadam. „No więc, czy mógłbyś, panie Marcinie, wyświadczyć mi jedną wielce ważką przysługę?" — „Jaką?" — pytam. „Odwieziesz list do Warszawy... Ale jest to list, który może mnie kosztować stanowisko wojewody, a ciebie — głowę"! I tutaj popełniłem wielki błąd. Zamiast odmówić, zgodnie z tym, co podpowiadał zdrowy rozum, zachowałem się jak ostatni dureń i klapnąłem: „Z radością, jaśnie wielmożny panie!" Słyszysz? Z radością! Że też język nie stanął mi kołkiem w tym momencie! No i tak się zaczęło... Ledwo zdążyłem powrócić z Warszawy, gdzie w sekrecie przekradałem się do tego zdrajcy Morsztyna, gdy znów musiałem jechać. I wiesz czego się dowiedziałem?

— Czego? — Arsen słuchał bardzo uważnie, gdyż z miejsca zmiarkował, że chodzi tutaj o wielce ważne sprawy.

— Zarówno Morsztyn, jak i Jabłonowski zaczęli uważać mnie za sprzymierzeńca i nawet doszło do tego, że nie bardzo kryją się przede mną... Morsztyn

wciągnął w spisek, prócz pana Stanisława, obu braci Sapiehów, a także przekupił wiele szlachty na sejmikach, by ci jednomyślnie wystąpili przeciw Sobieskiemu na Sejmie Walnym... Chodzą słuchy, że Jabłonowski zgodził się na propozycję braci Sapiehów, aby obrano go królem... Teraz widzisz, w jakie wlazłem tarapaty? Czy tu się obrócę, czy tam — jednako śmierć mi pisana! Jeśli nie wykończą mnie spiskowcy, to król jegomość z całą pewnością pośle mnie na szubienicę!

— Rzeczywiście... Współczuję ci, Marcinie — ozwał się Arsen.

— Ale to jeszcze nie wszystko — ciągnął po chwili Spychalski zrezygnowanym tonem.

— Cóż jeszcze?

— Zupełnie przypadkowo dowiedziałem się, że pan Morsztyn co tydzień donosi o wszystkich posunięciach spiskowców posłowi francuskiemu panu de Butin, żeby go cholera! A prócz tego porozumiewa się bezpośrednio z sekretarzem ministerstwa w Paryżu, Couliersem i wyprasza u niego pieniądze na rzecz spisku... A to już czysta zdrada, polecą głowy z karków, a w tej liczbie również i moja głupia bania... No i co ty byś począł na moim miejscu?

Spychalski wyglądał na zgnębionego. Twarz miał bladą, postarzałą jak po ciężkiej chorobie. A przecież dopiero przekroczył trzydziestkę... Arsen nigdy jeszcze nie widział go takim.

Objął przyjaciela za ramiona.

— Nie martw się, Marcinie! Bywaliśmy w gorszych tarapatach, a jakoś nie upadaliśmy na duchu!

— Ee, wtedy to wszystko było jasne: masz przed sobą wroga — więc bij go! A wszak tutaj wokół sami swoi. Chociaż wychodzi na to, że też wrogowie...

— Na to wychodzi, Marcinie. Dlatego musimy roz-

ważyć, kto jest tym naszym największym nieprzyjacielem.

— A jak ty myślisz? — po raz pierwszy oczy pana Marcina zabłysły nadzieją.

Arsen uważnie spojrzał na druha.

— Widzisz, panie Marcinie, gnałem ja ze Stambułu do Warszawy nie po to bynajmniej, aby wychylić kielich starki w szynku nad Wisłą. Pilno mi do Warszawy, żeby uprzedzić Polaków o groźnym niebezpieczeństwie, jakie zawisło nad Polską.

— Rozumiem.

— Ty rozumiesz, ale tacy panowie, jak Morsztyn i Jabłonowski zdają się nie rozumieć, skoro pozwalają się prowadzić na pasku królowi francuskiemu, który jest sojusznikiem sułtana Mohameda. Pomyśleć tylko, do czego ci dwaj skłaniają Polaków? Do zerwania z Austrią? Ależ dzisiaj Austria to jedyny sojusznik Polski!... Tylko wspólnymi siłami oba te państwa zdołają przeciwstawić się Turkom. A jeśli wystąpią pojedynczo — Turcy połkną je nie mrugnąwszy okiem! A potem znowu wyciągną ręce po nas...

— Więc wychodzi na to, że powinniśmy podtrzymać partię austriacką, czyli króla Jana?

— Na to wychodzi... Sobieski pragnie sojuszu z Austrią, żeby pobić Turków wspólnymi siłami. Czegoż nam więcej potrzeba? Czy mamy czekać, aż sułtan zajmie Wiedeń, następnie wyruszy na Warszawę, a stamtąd na Kijów?

— Byłoby to strasznym głupstwem z naszej strony!

— A widzisz! Życie samo podpowiada, co należy czynić.

— A mimo wszystko — co czynić?

Arsen spojrzał uważnie na Spychalskiego.

— Panie Marcinie, czy ufasz mi naprawdę?

— Oczywiście! Czyżbyś w to wątpił?

— Tedy zdaj się we wszystkim na mnie... Do Warszawy pojedziemy razem. Żeby uśpić podejrzenia Jabłonowskiego, przedstawię mu się jako szlachcic Andrzej Komarnicki. A z tobą poznamy się i zaprzyjaźnimy dopiero w drodze. Zrozumiałeś?

— Zrozumiałem.

— W Warszawie ułatwisz mi widzenie się z królem. A potem zobaczymy, co robić dalej.

— Doskonale. Ale ty masz głowę, panie bracie! Gdybym ja miał taką, byłbym dzisiaj senatorem Rzeczypospolitej, niech mnie piorun, jeśli się mylę! — Rozczulony Spychalski przyciągnął Arsena do siebie, ścisnął mocno i pocałował w czoło. — No, dosyć rozmów! Siadaj do wieczerzy...

5

Droga do Warszawy była ciężka. Niespodziewanie zerwał się wicher, podniosła się zamieć — drogi zaniosło śniegiem, w którym konie zapadały się po brzuchy. Dlatego też, wbrew rachubom Jabłonowskiego, który chciał być w stolicy w wigilię Bożego Narodzenia, tabor dotarł tam po Nowym Roku. Zatrzymali się na rozległym podwórcu pałacu senatora Morsztyna.

Nikt nie pytał Arsena, kim jest i skąd przybywa, gdyż okazało się, że zewsząd ściągały gromady szlachciców podążających na Sejm Walny, którzy przyłączali się do orszaku lwowskiego magnata i wspólnie pokonywali zaśnieżony szlak wiodący na Lublin, a stamtąd do Warszawy.

Na drugi dzień po przyjeździe, ogoleni i wystrojeni, Arsen i pan Marcin udali się do Zamku Królewskiego. Zawsze taki rozmowny, Spychalski był tego dnia dziwnie ponury i milczący.

— Czy nie połknąłeś przypadkiem języka, panie

Marcinie? — spytał Arsen, gdy obeszli Zamek dookoła i przekonali się, że niełatwo dostać się do środka. — Dlaczegoś taki milczący?

— A cóż mogę powiedzieć? Przez te mury chyba jeno ptak przeleci! A gdy zechcesz wejść przez bramę, zatrzyma cię warta. No i w ten sposób możemy tu sobie stać pod murami do sądnego dnia...

W tej samej chwili z bramy, rozrzucając płozami śnieg, wypadły niewielkie zielone sanie z budką, zaprzężone w szybkonogie gniadosze. Na koźle zasiadał ponury brodaty woźnica. W budce siedział jakiś dostojny jegomość w bobrowym futrze i czapce z pawim piórem.

Arsen i Spychalski ledwie zdążyli uskoczyć w bok.

— Cholera! W ten sposób jak nic można przejechać człowieka! — burczał pan Marcin strząsając śnieżny pył z kołnierza i wąsów. — Widać jakaś ważna persona, bo gna jak na pożar!

Znowu zaczęli przyglądać się wysokim kamiennym murom, wieżom i zabudowaniom Zamku.

— Gdybyś miał tutaj jakiegoś znajomego... — niepewnie zaczął Arsen, pragnąc przypomnieć przyjacielowi, że ten jeszcze we Lwowie obiecał mu znaleźć kogoś, kto pomoże im dostać się do króla.

Ale Spychalski, jak widać, zapomniał o swojej obietnicy.

— Ha! Gdybym miał znajomych w tym pałacu, nie musiałbym wysługiwać się Jabłonowskiemu, bodajby skisł!

— A we Lwowie przechwalałeś się, że masz — nastawał Arsen.

Spychalski zmieszał się, poczerwieniał. Wreszcie machnął ręką skruszony.

— E tam, człowiek gotów byle co gadać z tej radości, że spotkał serdecznego druha! — Z poczuciem

winy łypnął niebieskimi wypukłymi oczami, z których wyzierała prawdziwie głęboka i szczera przyjaźń.

Arsen uśmiechnął się, otoczył ramieniem plecy przyjaciela.

— No dobrze, już, dobrze... Nie martw się! Coś wymyślimy!

— Cóż tutaj wymyślisz? Będziemy musieli poczekać, aż sam miłościwy król raczy opuścić Zamek.

— Możesz w ten sposób czekać nawet tydzień... Nie, to odpada!

Arsen zawrócił i poszedł w kierunku bramy, gdzie stali dwaj otuleni w kożuchy wartownicy.

— Dzień dobry panom! — zagadnął z udanym ożywieniem.

Jeden z wartowników, chyba dowódca, zapytał surowo:

— Czego panowie sobie życzą?

— Jesteśmy szlachcicami, przybyliśmy na sejm. Chcielibyśmy się widzieć z królewskim sekretarzem...

— Z panem Talenti?

— Właśnie — szybko odpowiedział Arsen, ciesząc się, że jego mały podstęp przyniósł pierwsze owoce.

— Ależ panowie — zdziwił się wartownik — pan Talenti dopiero co wyjechał z Zamku!

— Na pewno? Trzebaż pecha, nie poznaliśmy go — Arsen rozłożył ręce. — Musimy wobec tego zaczekać, aż wróci.

Odeszli na przyzwoitą odległość. Czekali godzinę, a może i dłużej, aż znowu zobaczyli zielone sanie zaprzężone w gniadosze.

Arsen wyszedł na drogę i podniósł w górę ręce.

— Prrr!

Konie stanęły w miejscu. Brodaty i ogromny jak niedźwiedź woźnica zamachnął się batem.

— Z drogi, łajdaku!

Ale Spychalski zdążył już pochwycić gniadosze za wędzidła. Arsen śmiało przystąpił do sań. Jegomość, który siedział w budzie z otulonymi niedźwiedzią burką nogami, polecił woźnicy opuścić bat.

— Proszę nam wybaczyć, panie Talenti, to obcesowe zatrzymanie pana na drodze. Jedynie nie cierpiąca zwłoki okoliczność zmusiła nas do tego, iż uciekliśmy się do tak mało szlachetnego sposobu — powiedział Arsen spoglądając wyczekująco w twarz smagłego jegomościa i nawet nie wiedząc na pewno, czy to pan Talenti.

— O co chodzi? — chłodno zapytał ów pan.

— Pragniemy widzieć się z królem!

Brwi królewskiego sekretarza poruszyły się nieznacznie.

— Tylko tyle? — Nawet nie usiłował ukryć ironicznej intonacji swojego głosu.

Arsen ściszył głos.

— Proszę pana, chodzi o nadzwyczaj doniosłe i ważkie sprawy... Proszę umożliwić nam rozmowę z królem, a dobrze przysłuży się pan ojczyźnie!

— Służę ojczyźnie dzień po dniu — napuszenie odparł tamten. — Jestem sekretarzem króla, mnie możecie opowiedzieć wszystko!

Teraz już nie było żadnych wątpliwości. Był to Talenti we własnej osobie. Arsen powiedział zdecydowanym tonem:

— Proszę nam wybaczyć, ale przy całym naszym szacunku do pana nie mamy prawa ujawnić czegokolwiek. Jedynie, co mi wolno uczynić, to powiadomić, iż przybywam ze Stambułu. Jeśli pan, panie Talenti, rozumie wagę tego wyznania...

Sekretarz królewski momentalnie zorientował się, o co chodzi.

— O! — wykrzyknął. — Prosto ze Stambułu!

— Tak.

Talenti wychylił się z budki, uważnie przyjrzał się Arsenowi.

— Nie do uwierzenia!... Kim pan jest?

— Dowie się pan w swoim czasie... Nazywam się Andrzej Komarnicki, ale to nazwisko też nic panu nie powie.

— Więc dobrze, proszę wejść do bramy. Powiem, żeby was wpuszczono...

Konie ostro ruszyły z kopyta, sanie pomknęły w kierunku bramy zamkowej.

— Ale z ciebie zuch, Arsenie! — wykrzyknął ucieszony Spychalski, pozostający pod wrażeniem tej sceny. — Teraz nie mam już wątpliwości, że otworzą się przed nami drzwi królewskiej komnaty! Niech mnie piorun trzaśnie, jeśli kłamię!

Arsen również się cieszył.

— No myślę! Teraz na pewno się otworzą! Chodźmy!

Wartownicy przy bramie odebrali od nich broń i przepuścili na dziedziniec. Od razu zobaczyli pana Talenti, który stał obok wysokiego kamiennego ganku. Królewski sekretarz z daleka machał do nich ręką.

— Tędy, panowie!

Zaprowadził ich wąskimi schodami na piętro. Tutaj w niewielkiej, nisko sklepionej sali stała wewnętrzna warta pałacowa, składająca się z kilku dobrze wyszkolonych żołnierzy. Dowódca warty nakazał przybyłym rozebrać się z kożuchów i czapek i doprowadzić odzież do porządku, a sam tymczasem uważnie obejrzał obu, czy nie mają broni.

— Proszę, panowie! — wskazał ręką w stronę szerokiego korytarza.

Talenti szedł pierwszy, dowódca warty jako ostatni. Wreszcie, gdy znaleźli się w wielkiej jasnej sali z kolumnadą, królewski sekretarz kazał im się zatrzymać

— Zaczekajcie na mnie tutaj — powiedział półgłosem i zniknął za rzeźbionymi drzwiami z godłem Orła Białego. Po paru chwilach zjawił się z powrotem i oznajmił uroczyście: — Król czeka na was, panowie!

Arsen i pan Marcin weszli do królewskiego gabinetu. Była to wielka i wspaniale umeblowana komnata. Onieśmieleni spoglądali na ogromne, rzeźbione biurko, na równie wspaniałe, zdobione rzeźbą i złotem szafy i krzesła, na portrety w ciężkich ramach i wyglansowaną do lustrzanego połysku podłogę i wcale nie zauważyli króla, który stał pod ścianą na prawo od nich, pomiędzy dwoma zbrojami rycerskimi. Gdy zobaczyli go wreszcie, obaj skłonili się nisko w milczeniu.

Jan Sobieski wyszedł na środek gabinetu. Był to wysoki, korpulentny mężczyzna z nalaną twarzą, czarnymi oczami i również czarnymi, chociaż już zaznaczonymi nalotem siwizny wąsami i takąż czupryną. Skinieniem głowy odpowiedział na ich powitanie i spytał:

— Czy to prawda, panowie, że przybywacie ze Stambułu?

— Tak jest, najjaśniejszy panie — odpowiedział Spychalski, gdyż król patrzył na niego. — Ale tylko w połowie...

— Jak to?

— Ja również bywałem w Stambule i nawet dobrze pamiętam to miasto, bodajby sczezło z powierzchni ziemi! Nieraz zakosztowałem tam batów, gdy byłem niewolnikiem na galerze. Ale to było dawno... Natomiast ze Stambułu świeżo powrócił mój najlepszy przyjaciel, wasza wielmożność... eee... Pan Andrzej Komarnicki...

Arsen ukłonił się w milczeniu, a potem, w obawie, że pan Marcin zdradzi się z czymś, czego nie należało mówić w obecności sekretarza, odezwał się:

— Od tego czasu, jak wyjechałem ze Stambułu, wa-

sza królewska mość, minął już miesiąc z górą. Przywożę niezwykle ważne wieści, które chciałbym przekazać, wasza wysokość, na osobności.

Sobieski szybko spojrzał na swojego młodego rozmówcę i rzucił sekretarzowi:

— Panie Talenti, proszę nas zostawić samych!

Sekretarz wyszedł. Król przeniósł spojrzenie z Arsena na Spychalskiego.

— Pan Komarnicki powiedział, że chciałby mówić ze mną na osobności... A pan...

— Pan Marcin Spychalski jest moim przyjacielem, przed którym nie mam tajemnic — wyjaśnił Arsen i dodał: — Poza tym służy u pana Jabłonowskiego i może opowiedzieć jego królewskiej mości wielce ciekawe rzeczy o konszachtach swojego zacnego chlebodawcy z senatorem Morsztynem i jego przyjaciółmi...

— Oo! — mimo woli wyrwało się z królewskich ust. Oblicze jego przejaśniło się, uśmiechnął się przyjaźnie i wskazał obite niebieskim aksamitem krzesła. — Proszę siadać, panowie! Opowiadajcie, z łaski swojej.

Najpierw zabrał głos Arsen. Z początku opowiedział zwięźle o sobie, o Jerzym Chmielnickim i swoich bułgarskich przyjaciołach. Potem bardziej dokładnie przedstawił swoje spotkanie z Kara Mustafą i otaczającymi go ludźmi. A już z największymi szczegółami, na ile je znał i umiał powtórzyć, opowiedział o przygotowaniach Porty do wojny z Austrią i celach, jakie stawiał sułtan przed swoim wojskiem.

Jan Sobieski słuchał uważnie, a jego wielkie czarne oczy ani na chwilę nie odrywały się od twarzy Arsena. Wreszcie, gdy Arsen skończył, król powiedział:

— Wszystko to, co pan tu mówisz, panie Komarnicki, jest wielce interesujące i niezwykle ważne... O ile oczywiście jest to prawda.

— Byłoby wielce nierozważnie ze strony waszej kró-

lewskiej mości nie wierzyć moim słowom — z godnością odparł Arsen. — Ale przewidziałem to i dlatego przyprowadziłem ze sobą pana Spychalskiego, który opowie waszej wielmożności o tym, w co wprost trudno uwierzyć, gdyż dotyczy to osoby waszej królewskiej mości. Stąd też, jako że pan Marcin powierzył tę tajemnicę mnie, wasza królewska mość powinna uwierzyć również i w to wszystko, co mówiłem dotychczas.

— Nie obrażaj się, panie Komarnicki! Zmuszony jestem każdą wiadomość sprawdzać wielokrotnie, nim powezmę jakiekolwiek postanowienia — król łagodnie klepnął Arsena po kolanie i zwrócił się do Spychalskiego: — Cóż masz mi ciekawego do powiedzenia, mości szlachcicu?

— Mój najjaśniejszy panie! — zaczął uroczyście pan Marcin. — Otóż wbrew swoim chęciom stałem się mimowolnym uczestnikiem spisku skierowanego przeciwko waszej królewskiej mości i, jak to powiedział mój przyjaciel, również przeciwko Rzeczypospolitej...

— Słucham pana... Mów dalej, a sprawi ci to ulgę — zachęcająco przemówił król.

Pan Marcin odkaszlnął.

— Wojewoda ruski, pan Stanisław Jabłonowski, w służbie którego mam zaszczyt się znajdować, od pewnego czasu wielce się zaprzyjaźnił z senatorem Morsztynem. Pan wojewoda kilkakrotnie w ciągu ostatniego roku wysyłał mnie do Warszawy z sekretną korespondencją do pana senatora, a tamten z kolei słał swoich gońców do pana wojewody. Trzeba ci wiedzieć, miłościwy panie, iż jestem uczciwym człowiekiem i nigdy się nie zainteresowałem treścią tych listów, tym bardziej że uprzedzono mnie, iż są one niezwykle ważne i tajne i mogą kosztować mojego pana utratę stanowiska, a mnie — głowy. Nawet się nie domyślałem, niech mnie cholera, treści tych posłań, aż do czasu, gdy za-

słyszałem od ludzi senatora, że partia francuska wysuwa pana Jabłonowskiego na króla Rzeczypospolitej... O, ja nieszczęsny! Doznaję niewypowiedzianej udręki duchowej od czasu, gdy stałem się posiadaczem tej tak straszliwej tajemnicy!

Zaskoczony król odezwał się cicho:

— Odpokutowałeś swoją winę szczerym wyznaniem, mój synu! — Położył swoją pulchną, acz ciężką rękę na ramieniu Spychalskiego. — Czy jest jeszcze coś, co niepokoi twoje serce?

— Dowiedziałem się, również przypadkowo, że wielki podskarbi Morsztyn, któremu wasza królewska mość nie skąpiła dowodów łaski i szczodrobliwości, donosi francuskiemu posłowi panu de Butin o wszystkim, co się dzieje w Rzeczypospolitej, a także pisze listy do sekretarza ministerstwa Couliersa w Paryżu... A to już czysta zdrada, psiakrew! — Dał upust swojej złości pan Marcin, ale natychmiast się opamiętał i poczerwieniał. — Proszę o wybaczenie, wasza jaśnie wielmożność...

Sobieski aż pobladł ze zdenerwowania i gniewu.

— O Chryste Panie! Co ja słyszę! — zawołał. — Wiele wiedziałem o jego sprawkach, ale w to, że pan Stanisław sięgnie po koronę, trudno mi wprost uwierzyć!

— Ja również bym nie uwierzył, gdybym nie słyszał na własne uszy, niech mię piorun trzaśnie! — zawtórował królowi Spychalski.

— A pan Morsztyn! — nie mógł się uspokoić Sobieski. — Ileż dobrego doznał z mojej ręki! Obsypywałem go zaszczytami i łaską, podniosłem do godności senatora i wielkiego podskarbiego Rzeczypospolitej! A on... Zdrajca, bydlak, a nie szlachcic! — Król zaczął kląć jak prosty żołnierz. — Jeśli to wszystko prawda, zasłużył na najwyższy wymiar kary!

— Jakich dowodów potrzebuje wasza królewska

mość? — spytał Arsen w obawie, że Sobieski ograniczy się tylko do wybuchu złości, po którym jego gniew przygaśnie.

Król pochylił się do swoich rozmówców i powiedział tonem nie znoszącym sprzeciwu:

— Potrzebny mi jest dowód rzeczowy, który jednoznacznie świadczyłby o winie Morsztyna i Jabłonowskiego! Potrzebny mi jest chociażby jeden list! I to niezwłocznie, gdyż w najbliższych dniach zaczyna swoje obrady Sejm Walny, na którym ma zapaść decyzja, jaką drogą ma dalej kroczyć Rzeczpospolita — czy podtrzyma Austrię w jej wojnie z Turcją, czy też będzie spokojnie popatrywała z boku, jak sułtan połyka ten kraj, by w najbliższym czasie połknąć też i Polskę! Zrozumieliście mnie, panowie? — Król podniósł się z miejsca.

— Zrozumieliśmy, najjaśniejszy panie! — Arsen i Spychalski również wstali ze swoich miejsc.

— Więc czekam na przybycie obu panów do mnie w najbliższym czasie... I to przed rozpoczęciem obrad sejmowych, nie później! Proszę o tym pamiętać!

— Nie zapomnimy. Postaramy się, wasza królewska mość!

— I jeszcze jedno. Mojemu sekretarzowi panu Talenti możecie śmiało zaufać... Szczęść wam, Boże!

6

Przez następne trzy dni, jakie minęły od rozmowy z królem, Arsen prawie nie zmrużył oka. Na zmianę z panem Marcinem śledzili każdy krok wielkiego podskarbiego, niemal nie spuszczając z oczu drzwi jego gabinetu i usiłując wśród mnóstwa odwiedzających — służby, wartowników, petentów, gości i krewnych — wyłowić tego, kto stanowił ogniwo pośrednie między

nim a posłem francuskim. Podejrzani byli wszyscy, ktokolwiek wchodził do pana Morsztyna, ale nie mieli możliwości upilnować każdego interesanta.

— Niewiele dokonamy działając w ten sposób, cholera jasna! — wymyślał zniecierpliwiony Spychalski. — Jutro otwarcie sejmu, a my wciąż drepczemy w miejscu... Co sobie król o nas pomyśli?

A już prawdziwie oliwy do ognia dolał sekretarz królewski. Późnym wieczorem, w przebraniu prostego mieszczanina, spotkał się z Arsenem i panem Marcinem koło kościoła Reformatów, gdzie obaj kręcili się wśród czeladzi Morsztyna, pilnie obserwując każdą nieznajomą osobę, która mogłaby przejąć list wielkiego podskarbiego z rąk jego zaufanego człowieka. Sekretarz schwycił ich za ręce i zaczął szeptać:

— Panowie! Król jegomość wielce sobie obiecuje po waszym sprycie... Jak tylko dowiecie się czegoś ważnego, idźcie natychmiast do Zamku i trzykrotnie zapukajcie do bocznych drzwi lewego skrzydła. Będę na was czekał...

Królewski sekretarz zniknął tak samo nagle i niepostrzeżenie, jak się pojawił. Arsen myślał w skupieniu. Co robić? W jaki sposób spośród wielu setek osób, które na co dzień otaczają pana Morsztyna, wyłowić tego jednego człowieka, któremu senator powierza swoje najgłębsze tajemnice?

— Dlaczego milczysz, Arsenie? — niespokojnie wyszeptał Spychalski. — Niech to wszystko szlag trafi! Jeśli mamy stanąć przed królem z pustymi rękami, będzie miał prawo uznać nas za kłamców!

— Mnie się zdaje, panie Marcinie, że rozpoczęliśmy ten taniec z niewłaściwej nogi — w zadumie przemówił Arsen.

— Jak to mam rozumieć? Mów jaśniej!

— Widzisz, pomyślałem sobie, czy nie lepiej by nam

było obserwować dom de Butina? Jeśli zauważymy tam któregoś z domowników senatora, będzie to oznaczało, że wpadliśmy na właściwy trop.

Spychalski zamrugał oczami.

— Hm, może i masz rację! Jak mogliśmy nie pomyśleć o tym wcześniej?

— Nie jest jeszcze za późno. Chodźmy!

Dom posła francuskiego, który znajdował się niedaleko Wisły, był im dobrze znany, toteż za pół godziny zdyszani i spoceni przyjaciele stanęli przed bramą, która wiodła w głąb ogrodu.

Noc była bezksiężycowa, ale dość jasna. Prószył drobny śnieżek, który zasypywał ślad stóp na bezludnych ulicach. Gdzieś daleko naszczekiwały psy.

Przyjaciele obeszli wszystkie zabudowania poselstwa i przekonali się, że prócz głównego podjazdu prowadzi do pałacu niewielka furtka, z której musiano korzystać nie tylko w lecie, ale także i w zimie: tuż przy brzegu rzeki ciemniała świeżo wyrąbana przerębla, skąd widocznie czerpano wodę dla potrzeb gospodarskich. Obsadzona drzewami aleja, wiodąca wzdłuż wysokiego parkanu z desek, była oczyszczona ze śniegu.

— Musimy uważać na oba wejścia — powiedział Arsen. — Ty, Marcinie, pozostań tutaj, a ja pójdę na tamtą stronę... Tylko żebyś nie zasnął!

— Akurat, zaśniesz tu, do diabła! Przecież przyjdzie mi leżeć w śniegu, a nie na piernatach!

— Innej kryjówki nie ma — potwierdził Arsen rozglądając się dokoła. — Brzeg odsłonięty, nigdzie ani krzaczka... Zaryj się w śnieg jak najgłębiej i naprawdę nie zaśnij, bo zamarzniesz na śmierć!

Arsen przynaglał przyjaciela. Spychalski odszedł jakieś pięć kroków od ścieżki i rzucił się w puchatą zas-

pę. Arsen przyprószył go śniegiem — teraz nawet pies nic nie wywęszy!

— Bacz pilnie! Jakbyś co zauważył — gwiżdż. Idę... Arsen zniknął w ciemnościach.

Godzinę czy nawet dwie Spychalski czuł się wyśmienicie. W zaspie było mu miękko i ciepło jak wśród prawdziwych pierzyn. Chciało mu się spać, ale odpędzał sen zgarniając wargami puszysty śnieg czy pociągając się za wąsa.

W miarę upływu czasu zaczął odczuwać jednak chłód. Najpierw zesztywniały mu z zimna nogi, potem ręce, aż wreszcie zaczęło się zdawać panu Marcinowi, że ma na sobie nie kożuch i ciepłe buty, jakie sprawił sobie ubiegłej jesieni, ale że jest zupełnie nagi. Chwilami całym jego ciałem wstrząsało drżenie, szczękał zębami tak głośno, że chyba słychać go było na drugim brzegu Wisły. Ale najgorsze ze wszystkiego było to, że nie mógł się poruszyć — może jest tam ktoś, kto obserwuje furtkę zza rogu budynku lub też chce wyjść z gmachu poselstwa i wygląda spoza płotu? Gdyby był sam, uciekłby stąd, ale wstyd mu było przed Arsenem, który również leży gdzieś w śniegu i któremu też nie jest ciepło.

Było już daleko po północy. Nagle doszło jego uszu lekkie poskrzypywanie śniegu. Spychalski zacisnął zęby, żeby nie szczękały i spojrzał w lewo, skąd dolatywały te odgłosy. Może to Arsen wraca?

Ale nie. Ta postać nie przypomina Arsena, nie jest to jego chód. Nieznajomy był niewysokiego wzrostu i z lekka utykał na jedną nogę. Stąpał ostrożnie, rozglądając się dokoła i nasłuchując. Gdy się zbliżył do furtki, zatrzymał się i ostrożnie nacisnął klamkę. Furtka była zamknięta. Nieznajomy zaklął:

— Jołopy! Tyle razy uprzedzałem, żeby w środy nie zamykano!

Zadarł głowę, przypatrując się wysokiemu parkanowi, potem podskoczył, uchwycił się desek rękami i zaczął wspinać się do góry, usiłując oprzeć o klamkę prawą zdrową nogę, ale nie bardzo mógł utrafić. Wreszcie udało mu się podciągnąć i położyć brzuchem na parkanie. Jeszcze chwila — i przetoczy się na tamtą stronę.

Spychalski nie namyślał się długo. Jeśli to wysłannik Morsztyna, trzeba go schwytać natychmiast! Jeśli nim nie jest — można będzie wywinąć się łatwo tym, iż wziął nocnego gościa za złodzieja, który przyszedł okraść poselstwo obcego państwa.

Momentalnie wyskoczył ze swojej kryjówki, chwycił nieznajomego za nogę i z całej siły pociągnął w dół. Nocny gość, zaskoczony, wydał okrzyk i upadł w śnieg. Spychalski mocno zacisnął mu usta dłonią, a kolanem przyparł do ziemi.

— Cicho! Nie szarp się! Bo inaczej...

Nieznajomy coś wymruczał, pokręcił głową. Wyraźnie dusił się z braku powietrza. Spychalski poluźnił uścisk i tamten parę razy chwycił ustami powietrze.

— Coś za jeden? Do kogo szedłeś? — zasyczał Spychalski. — I niech ci nie przyjdzie do głowy krzyczeć, bo zaduszę jak kociaka, jak mi Bóg miły! — Mocniej przycisnął leżącego kolanem.

— Na Boga, panie, puście!

— Chciałeś okraść poselstwo!

— Nie jestem złodziejem, miłościwy panie!

— To kim jesteś?

— Zowię się Józek... Krzywy Józek... Proszę mnie zaprowadzić do pana de Butin!

— Znasz pana de Butin? Posła? — Spychalski ledwie powstrzymał rozpierającą go radość, bo zrozumiał, że oto w jego ręku znalazł się ptaszek, na którego polowali.

— Tak.

— A jak to udowodnisz? — Pan Marcin trochę pofolgował uścisk na gardle Józka, żeby ten mógł mówić.

— Proszę mnie zaprowadzić do pana posła, to sam pan się przekona, że nie kłamię.

— Myślisz, że tak ci od razu uwierzę? Czy jestem obrany z rozumu, by prowadzić cię do pana de Butin, ty szelmo! Czego to się takiemu zachciewa, patrzcie! Zaduszę cię własnymi rękoma, ty zbóju!

Mimo że Spychalski mówił cicho, prawie szeptem, w uszach Józka jego słowa musiały się rozlegać niczym grzmot, gdyż ze strachu zaczął się jąkać:

— M-miłościwy p-panie, w-wysłuchajcie mnie! Nie jestem zbójem ani złodziejem. Szedłem do pana de Butin, a przysłał mnie jaśnie wielmożny pan senator Morsztyn... Czy miłościwy pan słyszał może o nim? Mam list...

— Nie kłam! Żeby znany w całej Warszawie pan senator wysyłał listy przez takiego niegodziwca i złoczyńcę jak ty! Gdzie masz ten list? Nie uwierzę, aż przekonam się na własne oczy, że mówisz prawdę!

— Niech pan sięgnie do mojej kieszeni...

— Do której?

— Tej lewej...

Spychalski wyciągnął rękę do kieszeni Józka, gdy niespodziewanie otrzymał mocny cios w pierś, po którym odleciał na dobrych parę kroków i upadł w śnieg.

Zerwał się natychmiast. Krzywy Józek równie błyskawicznie skoczył na nogi i wciąż jeszcze ciężko oddychając, podniósł w górę prawą rękę. Przyćmionym blaskiem zamigotało ostrze tatarskiego jataganu.

— Takiś ty, posłańcze jaśnie wielmożnego pana Morsztyna! — syknął w złości Spychalski. — Rzuć nóż, łajdaku! Bo, na Boga żywego, zabiję cię!

— Teraz zobaczymy, kto kogo, ha, ha! — złośliwie

zarechotał Józek. — Zaraz odeślę cię, miłościwy panie, do twoich przodków!

Krążyli powoli jeden wokół drugiego jak dwa koguty. Józek nie mógł uciec, słusznie rozumując, że długonogi przeciwnik dopędzi go natychmiast. Ale nie należał do tchórzliwych! Spychalski natomiast myślał tylko o jednym: w jaki sposób wejść w posiadanie listu. Mógł posłużyć się pistoletem, ale nie chciał wywoływać hałasu, dlatego też całą nadzieję pokładał we własnej sile i zręczności.

Pierwszy nie wytrzymał Krzywy Józek. Widząc, że przeciwnik nie jest uzbrojony, postanowił skończyć walkę jednym ciosem jataganu. Atak jego był szybki i zdecydowany. Jatagan zalśnił nad głową Spychalskiego jak błyskawica, ale pan Marcin był szybszy. Lewą dłonią jak obcęgami pochwycił wzniesioną nad nim rękę, a prawą z całej siły zadał cios tak straszny, że Józek upadł na ziemię nie dając znaku życia.

— He, he, parszywcu, słabosilny jesteś, jak widzę! — zwrócił się pan Marcin do nieprzytomnego i wyjął mu z kieszeni mocno zwinięty rulon papieru. — Sameś sobie winien, ty psiajucho.

Z tymi słowami pochwycił Józka za nogi i przeciągnął przez skarpę. Z żalem spoglądał na jatagan, który tamten wciąż ściskał w garści, ale doszedł do wniosku, że nie należy przywłaszczać go sobie, gdyż byłaby to zwykła kradzież i nie przyniosłaby mu zaszczytu. Uniósł ciało nad przeręblą i cicho spuścił pod lód. Drobny śnieżek, który wciąż prószył z pochmurnego nieba, zasypywał ślady tragedii, jaka rozegrała się nad Wisłą.

Do rana ani znaku nie pozostanie — pomyślał pan Marcin i wsunąwszy głęboko w zanadrze cenny rulon, powoli ruszył na poszukiwanie Arsena.

7

W tym samym czasie po przeciwnej stronie siedziby posła rozgrywały się bezkrwawe, acz nie mniej dramatyczne wydarzenia.

Miejsce dla obserwacji wybrał Arsen niezwykłe — szeroki, pokryty śniegiem daszek wieży nadbramnej. Było tutaj przenikliwie zimno, gdyż wiatr przejmował człowieka na wskroś, ale bezpiecznie, a co najważniejsze — otwierał się widok na cały dziedziniec poselstwa.

Od razu też Arsen zauważył panujące na nim ożywienie. Latarnie migotały obok stajni i wozowni. W oknach budynku błyskały światła. Parę razy doszedł do niego odgłos rozmowy i rżenie koni.

Arsen natężył uwagę, chociaż czuł, że jeszcze trochę, a zesztywnieje na kość na tym swoim wysokim, wietrznym posterunku. Gdzieś o północy, gdy po drugiej stronie Wisły zapiały drugie koguty, sprzed ganku poselstwa wyruszyły sanie z budą.

Czyżby pan poseł osobiście gdzieś się udawał tak rano? — pomyślał Arsen.

Przed saniami biegł truchtem odźwierny, któremu u pasa pobrzękiwały klucze. Słychać było jego ciężki oddech.

Arsen przypadł całym ciałem do zaśnieżonego drewnianego daszka. Odźwierny odemknął bramę na oścież. Zdjął czapkę i odszedł na bok, by przepuścić sanie. Arsen dobrze widział jego szeroką łysinę.

Chyba odprowadza posła — zmiarkował Kozak, ale natychmiast odrzucił tę myśl, gdyż do jego uszu dobiegły słowa odźwiernego skierowane do woźnicy, które sprawiły, że serce Arsena zabiło żywiej.

— Janku, synku, czy prędko będziesz z powrotem? — zapytał odźwierny, gdy sanie zrównały się z nim.

Woźnica lekko wstrzymał konie.

— Nie kłopocz się, ojcze — odpowiedział. — Powiedz matce, że będę na obiad. Niech postawi czarkę gorzałki, żebym mógł się po powrocie ogrzać. Odwiozę tylko tego pana — wskazał batem na budę — do „Białego Łabędzia", stamtąd już pojedzie sobie do Paryża rozstawnymi końmi. A ja wrócę do domu. Bywaj, ojcze!

Janek strzelił z bata, konie zgodnie ruszyły z bramy i pognały przez skłębioną śniegiem ciemność nocy.

Odźwierny zamknął bramę i mrucząc coś pod nosem, powoli poczłapał przez podwórze.

Arsen poczekał, aż tamten zniknie w mroku, i zeskoczył na ziemię.

— Cholera jasna! Kto to? — dał się słyszeć przestraszony głos pana Marcina. — To ty, Arsenie? Spadasz jak śnieg na głowę! Jak nic mogłeś złamać mi kark! — Spychalski wydostał się z zaspy, w którą dał nura, gdy usłyszał zgrzyt otwierającej się bramy, i otoczył druha ramionami. — Ale nam się udało, panie bracie! Mam list! Co prawda zmuszony byłem spuścić na dno Wisły pewnego łotra, ale...

— I to jak się udało! — ucieszył się Arsen, drżący z zimna. — Posłuchaj teraz, co ci powiem. Dopiero co wyruszył stąd do Paryża goniec francuski. Domyślam się, że nie z pustymi rękami...

— Dlaczego go nie zatrzymałeś?

— Trzech ich było. Woźnica i odźwierny prócz gońca.

— Cóż, nie powiodło się! A gdzie pojechał?

— O to właśnie chodzi, że nie bardzo zrozumiałem... Woźnica mówił, że do „Białego Łabędzia".

— Do „Białego Łabędzia"? Człowieku, ależ to jest karczma przy trakcie poznańskim! I pierwszy postój, gdzie można zmienić konie! — wykrzyknął Spychalski. — Dopędzimy ich!

— Czy to daleko stąd?

— Wierzchem na koniu dwie do trzech godzin...

— Więc nie traćmy czasu! Trzeba zdobyć konie i dogonić ich za wszelką cenę! Biegiem!

Co tchu pobiegli przez puste, zaśnieżone ulice do dworu pana Morsztyna. Wyprowadzili wierzchowce ze stajni i popędzili na poznański trakt.

Do „Białego Łabędzia" przybyli nad ranem.

— Spóźniliśmy się! — z żalem zawołał pan Marcin, gdy zobaczyli unoszący się na drodze biały kurz. Het daleko pędziły traktem kryte sanie, by po chwili zniknąć za wzgórzem.

Na podwórzu karczmy Arsen zobaczył Janka, który kręcił się przy swoich saniach.

— Chłopcze, gdzie jest karczmarz? — spytał przechodząc obok.

— Gdzie ma być? W karczmie!

Właściciel karczmy i zajazdu, niewysoki okrąglutki grubas, stał za szynkwasem. Krajał chleb na szerokiej i nie bardzo czystej desce. W karczmie, pomimo wczesnej godziny, siedziało kilku podróżnych.

Arsen pozdrowił obecnych i przechylając się przez szynkwas, przemówił cicho, acz dobitnie:

— W imieniu króla, panie, proszę o konie! Najlepsze i natychmiast! A swoje zostawimy tutaj, nakarmisz je i napoisz. Zrozumiałeś?

Karczmarz wytrzeszczył na niego oczy.

— Matko Boska! Dopiero co jeden posłużył się tutaj imieniem króla, a już następny się zjawia... A wszyscy żądają najlepszych koni i to niezwłocznie! A skąd niby ma je wziąć ubogi karczmarz? Czym mam je karmić?

Arsen rzucił na szynkwas złotą monetę.

— Spieszy mi się! Szybciej!

Karczmarz ścisnął pieniądze w garści.

— W tej chwili, miłościwy panie! — Szybko wytoczył się spora szynkwasu i ukłonił się z szacunkiem. — Chodźmy!

Wychodząc z karczmy, Arsen wcisnął w rękę karczmarzowi jeszcze jedną monetę i ujął go pod ramię.

— Interesuje mnie pan, który przybył tu niedawno z tym oto woźnicą — kiwnięciem wskazał na Janka. — Czy to był Polak?

Karczmarz, zaskoczony, spoglądał na niezwykłego interesanta.

— Nie, panie, to nie był Polak. Bo po polsku mówił źle.

— Jakiej maści konie mu dałeś?

— Jabłkowite, panie.

— Sanie odkryte czy z budą?

— Z budą... Za to zapłacił mi dodatkowo.

— Jak się nazywa woźnica, który z nim pojechał?

— Antoś, panie.

— Uhm, doskonale... To wszystko, co chciałem wiedzieć — powiedział Arsen, gdy zbliżyli się do stajni, i dodał surowym tonem: — A co do ciebie, panie karczmarzu, jedz sobie barszcz z grzybami, ale trzymaj język za zębami! Zrozumiałeś?

— Co nie miałem zrozumieć! To nie pierwszyzna dla mnie — odparł karczmarz, wyprowadzając ze stajni dwa wierzchowce.

Osiodłano je w ciągu paru minut. Jeźdźcy wskoczyli w siodła, pochylili się nad końskimi grzbietami, zagwizdali — i jak wicher popędzili śladem, jaki pozostawiły sanie Francuza.

Dopadli go w południe i tylko dlatego, że woźnica, zboczywszy z drogi, wpadł na zasypany śniegiem pieniek i złamał płozę.

— Dzień dobry, panie Antosiu! — przywitał Arsen

woźnicę, który zadawszy koniom obrok, wprawnie machał siekierą. — Złamała ci się?

— Złamała — niepewnie odpowiedział woźnica. — A skąd pan wie, jak się nazywam?

Arsen miał pewność, że to rzeczywiście Antoś zanim jeszcze zbliżyli się do sań — przekonała go o tym jabłkowita maść koni.

— Ja wiem wszystko — uśmiechnął się Kozak i skinął w stronę budy: — A twój pan tam się znajduje?

— Tam. Wsiadł i ani nosa wyścibi... Od razu poznać, że to Niemiec!

— Niemiec? No to porozmawiamy sobie z nim w takim razie, a ty masz milczeć i ani mru-mru!

Pozostawił zadziwionego Antosia, który miał odtąd nad czym rozmyślać, i razem ze Spychalskim podskoczyli do sań. Odrzucili na bok filcową oponę. Goniec spał spokojnie, opatuliwszy się ciężkim baranim kożuchem.

Arsen odciągnął kurek pistoletu, a Spychalski bez ceregieli chwycił kożuch i odgarnął go, po czym szturchnął gońca pod żebro.

— Hej, panie, dosyć tego spania! Przyjechaliśmy!

Tamten zamrugał sennie oczami — i zamarł z przerażenia.

— Papiery, panie! — zażądał Arsen, wyciągając gońcowi zza pasa parę pistoletów.

Francuz coś zabełkotał i zmrużył oczy, zasłaniając twarz rękoma. Myślał pewnie, że zaraz zostanie zabity.

— Nie masz się czego bać! — powiedział uspokajająco Arsen, któremu zrobiło się nieprzyjemnie na widok śmiertelnego strachu w oczach gońca. — Potrzebne są nam jedynie twoje papiery. Rozumiesz, papiery! Listy posła pana de Butin. Gdzie je masz?

Francuz wreszcie zrozumiał, czego od niego chcą.

— Ach, wielce przepraszam — przeszedł na polski. — Papiery?... Mam je tutaj — i wskazał na niewielki skórzany sakwojaż, który stał w rogu budki.

Arsen sprawdził zawartość sakwojaża. Znajdowały się w nim rzeczywiście jakieś dokumenty. Jedne były pisane po łacinie, inne po francusku. Jednak nie wyglądało to na listy.

— A tutaj co masz? — Spychalski wsunął rękę za pazuchę Francuza i wyciągnął stamtąd sakiewkę.

— O Przenajświętsza Mario! — zawołał Francuz. — To są moje pieniądze! Niech pan zajrzy, na Boga, ja nie kłamię!

Spychalski otworzył sakiewkę, która była napełniona szczerym złotem. Przerzucił sakiewkę z prawej ręki do lewej, ścisnął ją w palcach i zaczął obszukiwać kieszenie Francuza i jego ubranie, wykazując niezwykłą zawziętość.

Francuz zaczął stawiać opór. Wtedy pan Marcin z lekka ścisnął go za gardło, groźnie strosząc przy tym wąsa.

— Czyżby szanowny pan bał się łaskotek? Nie bój się, wszak nie jesteś dziewczyną!

Gdzieś pod podszewką futra jego palce namacały ciasno zwinięty rulon papieru.

— Co to jest? — podsunął rulon Francuzowi pod nos. — Też pieniądze?

Tamtemu na jakiś czas odebrało mowę. Przecząco kręcił głową i nieprzytomnie mrugał oczami. Spychalski podał zwój Arsenowi.

— Spójrz no, panie bracie, czy to przypadkiem nie jest to, czego szukamy?

Teraz posłaniec padł na kolana.

— To, to właśnie, panowie... Są to listy pisane przez naszego posła i pana Morsztyna... Ale nie ma w tym

żadnej mojej przewiny! Nie zabijajcie mnie! Błagam... Widzicie przecież, że sam się przyznaję...

— A jakże, sam! — sarkastycznie odezwał się pan Marcin.

Arsen tymczasem rozwinął rulon. Wystarczyło jedno spojrzenie, by przekonać się, że są to listy pana de Butin adresowane do króla Ludwika oraz list senatora Morsztyna pisany do sekretarza ministerstwa Coulier-sa. Ten ostatni był po łacinie.

— Cóż, panie Marcinie, możemy ruszać z powrotem. Znaleźliśmy to, czegośmy szukali.

Spychalski popatrzył na przelęknionego Francuza.

— A z nim co zrobimy? Może stuknąć go po głupiej głowie, żeby oddał duszę panu Bogu?

— Nie trzeba, panowie! Nie zabijajcie mnie! — błagał Francuz.

Arsen namyślał się przez chwilę i powiedział:

— Puść go wolno, panie Marcinie. Niech sobie idzie... Nie będziemy obarczać duszy grzechem zabójstwa.

Spychalski puścił gońca. Francuz podniósł się na nogi, podziękował wylewnie. Potem przybrał dumną postawę i niespodziewanie zapytał:

— A pieniądze?

— Jakie pieniądze?

— Moje... Te, które pan trzyma w ręku! W jakiż sposób dostanę się do Paryża bez pieniędzy?

Spychalski z ogromnym żalem popatrzył na solidnie wypchaną sakiewkę. Widać było, że ciężko mu się z nią rozstawać. Twarz jego powoli nabiegła krwią.

— Ach, ty psi synu! Miast dziękować, ty się jeszcze domagasz pieniędzy?! Mało ci, że darowaliśmy ci życie, łajdaku?

— Oddaj mu! Nie jesteśmy złodziejami! — skrzywił się Arsen, a do Francuza rzekł surowym tonem: — Da-

rujemy panu życie i dajemy możliwość opuszczenia naszego kraju. Niech więc pan nie zwleka i w żadnym wypadku nie wraca do Warszawy, by powiadomić pana de Butin o tym, co pana spotkało w drodze... Jeśli pan to zrobi, podpisze tym samym wyrok na siebie. Szczęśliwej drogi, mój panie!

— Merci — wybełkotał ucieszony Francuz, chowając sakiewkę do kieszeni.

8

Styczniowy dzień, w którym król miał wystąpić na Sejmie Walnym, był mroźny. Od strony Wisły nadciągała chłodna mgła, która spowiła Warszawę szarym całunem. Na placu przed Zamkiem, w bocznych ulicach i głuchych zaułkach stały magnackie karoce i sanie. Osiodłane konie prychały, żując siano i owies. Wszędzie snuli się zmarznięci pachołkowie i hajducy.

Do głównego wejścia Zamku spieszyli osypani śniegiem i przyprószeni szronem spóźnieni posłowie. Zwenyhora i Spychalski szybko przedostali się do lewego skrzydła gmachu i tak jak ich pouczono, zastukali trzy razy do ukrytych w murze drzwiczek.

Czekano na nich. Drzwi otworzyły się natychmiast i w progu stanął królewski sekretarz. Na jego ustach błądził wciąż ten sam uśmiech.

— Proszę, panowie — powiedział na powitanie. — Pośpieszcie się. Jego królewska mość czeka z niecierpliwością.

Poprowadził ich przez ciemne przejście w głąb ogromnego pałacu. Arsen i pan Marcin ledwie mogli za nim nadążyć. Nareszcie, chyba na drugim piętrze, sekretarz zatrzymał się i cicho otworzył drzwi.

— Proszę, wejdźcie, panowie! — Przepuścił ich przodem, a sam pozostał na korytarzu.

Przyjaciele postąpili kilka kroków naprzód. Był to wielki i wspaniały pokój, zwany królewskim, cały zastawiony białymi szafami na książki. Na ścianach wisiały obrazy, a pod nimi — tarcze, szable, miecze i wszelka broń.

Jan Sobieski, ubrany w brokatowy kontusz malinowego koloru, przepasany cienkim barwnym pasem i ze wspaniałą szablą u boku, stał przy oknie i patrzył przez zamarznięte szyby na zaśnieżoną Warszawę. Posłyszawszy skrzypnięcie drzwi, odwrócił się gwałtownie i szybko, na ile pozwalała mu tusza, pośpieszył na spotkanie przybyłych, którzy stanęli przed nim wyprostowani jak struny.

— No, nareszcie! Witam waszmościów! Już zaczynałem tracić nadzieję, że waszmościowie przybędą na czas... No i jak — udało się?

— Owszem, najjaśniejszy panie! — Spychalski wypiął pierś. — We dwóch z panem Komarnickim przechwyciliśmy kuriera posła francuskiego de Butina, wysłanego do króla Ludwika. Przywozimy jego list, a także listy wielkiego podskarbiego pana Morsztyna adresowane do sekretarza ministerstwa w Paryżu, pana Couliersa...

Pełne oblicze Sobieskiego zajaśniało radością.

— Dawajcie je tu!

Spychalski wyjął z zanadrza zwitek papierów i z ukłonem wręczył je królowi.

— Oto one, wasza królewska mość!

Sobieski szybko rozwinął rulon, rozłożył na stole żółtawe, gęsto zapisane kartki i wpił się w nie czarnymi oczami, zapomniawszy o sejmie i o szlachcicach, którzy stali z tyłu za nim. Po tym, jak zacierał dłonie i poruszał czarnymi wąsami, można było jedynie wnioskować o rozpierającej go uciesze.

Nie odrywając oczu od listu, król rzucił:

— Czytaliście to?

— Tak jest — odpowiedział cicho Spychalski, nie mając śmiałości kłamać przed królem.

— Ale przecież te listy są pisane po francusku i po łacinie!

— Pan Komarnicki czyta po łacinie równie biegle, jak ja po polsku, proszę łaski najmiłościwszego pana...

Sobieski nic się na to nie odezwał. Skończywszy czytać, szybkim krokiem zaczął przemierzać miękki dywan, władczo rozcinając dłonią powietrze, a potem zatrzymał się przed Spychalskim i Arsenem.

— Dziękuję wam, panowie! Dopomogliście mi wygrać batalię z wewnętrznym wrogiem Rzeczypospolitej, a zatem, tuszę, również i z wrogiem zewnętrznym, Turcją... Mając te listy mogę śmiało zabrać głos na Sejmie. Karta pana Morsztyna i jego francuskich popleczników jest bita! Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. Jeszcze raz stokrotnie panom dziękuję!

— Skoro wasza jaśniewielmożność jest dla nas tak łaskawy, prosimy o pozwolenie przyjrzenia się obradom sejmowym. — Spychalski ukłonił się.

— Ależ proszę bardzo. Mój sekretarz zaprowadzi waszmościów. Powiem mu.

Król pospiesznie schował listy do zielonej safianowej teczki i skierował się do drzwi. Sądząc z wyrazu jego twarzy, Jan Sobieski zdążył już zapomnieć zarówno o szlachcicach, którzy postępowali za nim, jak też o wszystkim innym prócz jednego: w jaki sposób ma położyć na obie łopatki nienawistną mu partię francuską.

Mijając sekretarza, nie omieszkał jednak rzucić mu paru słów i tamten dał znak, by Arsen i Spychalski udali się w jego ślady.

W wielkiej sali, w której toczyły się obrady sejmo-

we, było niezwykle tłoczno. Przyjaciele stanęli między kolumnami przy oknie. Nagle rozległy się oklaski — do sali wszedł Jan Sobieski, któremu towarzyszył marszałek sejmu.

Dopiero co przebrzmiały zapalczywe, burzliwe przemówienia i gwałtowne sprzeczki pomiędzy zwolennikami obu partii — austriackiej i francuskiej, które omal nie skończyły się starciem zbrojnym. Teraz wszyscy posłowie czekali, co powie król.

Umilkły oklaski i nastała cisza, ale można było wyczuć, że jest to cisza przed burzą. Wszyscy widzieli, jak spiskowcy skupili się w gromadkę i zaczęli przebijać poprzez tłum do przodu — wielki podskarbi Morsztyn, bracia Sapiehowie, hetman koronny Jabłonowski oraz ich poplecznicy. Było jasne, że spiskowcy zdecydowali się wydać dzisiaj Janowi Sobieskiemu decydującą bitwę. Gdyby się im poszczęściło, gdyby większość posłów opowiedziała się za partią francuską, oznaczałoby to, że Rzeczpospolita nie tylko nie podtrzyma Austrii w jej wojnie z Portą, lecz także to, że powstał problem wyboru nowego króla. Nie darmo ostatnimi czasy chodziły słuchy, jakoby spiskowcy pragnęli osadzić na polskim tronie Stanisława Jabłonowskiego. Nie darmo też hetman koronny był dzisiaj jak zresztą przez wszystkie dni posiedzenia sejmu, szczególnie łaskawy wobec wszystkich obecnych i podawał rękę nie tylko magnatom, lecz nawet tym, których uprzednio zwykle nie zauważał.

Stał teraz pośrodku sali, w miejscu gdzie przechodziła niewidzialna granica pomiędzy spiskowcami a zwolennikami Sobieskiego, jakby pragnąc tym podkreślić, iż w jego zamiarach leży zjednoczenie wszystkich zebranych i poprowadzenie ich za sobą.

Arsen leciutko szturchnął Spychalskiego łokciem.

— Patrz, jak się puszy niby paw! — spojrzeniem

wskazał hetmana koronnego. — Chyba jeszcze nie wie o tym, że listy posła i wielkiego podskarbiego znajdują się w rękach króla!

— Cholera jasna, wyobrażam sobie, jak zacznie śpiewać, gdy król jegomość wyciągnie te listy na światło dzienne i rzuci mu je w twarz! Hę?

— Tss — syknął Arsen, spostrzegłszy, że zwracają na siebie uwagę innych. — Zdaje się, że król jegomość ma zamiar zabrać głos!

Rzeczywiście, marszałek sejmu ogłosił, że przed posłami wystąpi z mową król. W całkowitej ciszy Sobieski wszedł na mównicę. Bystrym spojrzeniem ogarnął pstrokaty tłum szlachciców i otworzył safianową teczkę.

— Panowie posłowie! Na sejmie daje się zauważyć rozbieżność poglądów odnośnie naszego udziału w wojnie przeciwko Turcji. Do was należy pilna decyzja, czy Rzeczpospolita ma przystąpić do Ligi Świętej * i wspólnie z Austrią, Wenecją i księstwami niemieckimi gromić naszego odwiecznego wroga — Portę Osmańską, czy też odwrotnie, mamy wymówić się od udziału we wspólnej walce i czekać, aż Turcy wykończą nas pojedynczo. Lecz zanim przystąpicie do głosowania, pragnę zaznajomić was z ciekawą korespondencją, która ma bezpośredni związek zarówno z omawianą tutaj sprawą, jak też z pewnymi osobami znajdującymi się na tej sali.

Król przerwał i popatrzył na przednie rzędy, gdzie siedzieli spiskowcy. Nie uszło jego uwagi, że w oczach Morsztyna błysnął niepokój, i w sercu Sobieskiego wezbrała złośliwa radość. Głos jego rozlegał się niczym grzmiot:

---

* Liga Święta powstała w 1684 roku. Przystąpiły do niej: Polska, Wenecja, Austria, a w 1686 roku Rosja (przyp. red.).

— Są to, panowie, listy wielkiego podskarbiego senatora Morsztyna skierowane do Paryża, na ręce sekretarza ministerstwa Couliersa. Mówi się w nich wprost o tym, iż pan podskarbi stale donosi posłowi francuskiemu akredytowanemu przy naszym dworze, panu de Butin, o pertraktacjach toczących się pomiędzy Rzeczpospolitą a Austrią, a także o wszystkim innym, co dzieje się w Polsce... Jest tu także załączony list pisany przez pana de Butin, w którym ów zawiadamia swój rząd o tym, że udało mu się przekupić niektórych posłów na sejm i że gdyby miał pieniądze, mógłby poczynić w tym kierunku jeszcze większe postępy...

Przez salę przebiegł groźny szmer oburzenia. Rozległy się okrzyki:

— Hańba! Hańba!

Morsztyn skoczył na równe nogi, zaczerwieniony jak burak:

— Nieprawda! Nie pisałem tych listów!

Jabłonowski pałającym spojrzeniem swoich siwych oczu w milczeniu wpatrywał się w króla. Powoli jego twarz powlokła się śmiertelną bladością. Sobieski usłyszał okrzyk Morsztyna i również poczerwieniał, ale powstrzymał wybuch gniewu.

— Poznaję charakter pisma pana Morsztyna, który pisze: „Liga zawiązuje się w gabinecie, ale my ją rozerwiemy na sejmie!" Zrozumiały więc się staje zapał pana Morsztyna, z jakim występował w obronie sojuszu z królem Ludwikiem, a przeciwko ugodzie z Austrią. Nie żywiąc afektów do mojej osoby, już od pewnego czasu werbował on na sejmikach popleczników, nie szczędząc przy tym pochlebstw, a także stosując przemoc i oszustwa. Przeciągnął w ten sposób na swoją stronę obu braci Sapiehów, hetmana koronnego Jabłonowskiego i jeszcze inne osoby. Mówią, jakoby wiel-

ki podskarbi obiecał, że przy pomocy dworu francuskiego osadzi zamiast mnie na tronie polskim imć Stanisława Jabłonowskiego...

W sali zaszumiało jak w podrażnionym ulu.

— Hańba! Hańba! — znowu rozległy się głosy.

Jabłonowski skulił się i milczał. Król poczekał, aż zapanuje cisza.

— Nie wiem, co myśleć o tych listach — powiedział spokojnym głosem, jakby naprawdę się wahał, co ma uczynić. — Rozumiem, że pan Morsztyn, a także inni pozwolili się przekupić, ale w głowę zachodzę, w jaki sposób Sapiehowie, ci płomienni patrioci, sprzedali swoją wierność w tak niespokojny dla ojczyzny naszej czas...

Bracia Sapiehowie poderwali się z miejsc. Starszy wykrzyknął:

— Waszmość królu, panowie posłowie! Sapiehowie są rycerzami bez skazy i zmazy! Mogli pobłądzić, ale zaprzedać się?! Nigdy! Słowo honoru!

— Wierzę wam, jako że od dawna znam was jako rycerzy, którzy kierują się honorem — żywo odparł Sobieski, wielce rad z tego, iż tym jednym mądrym posunięciem udało mu się odciągnąć od spiskowców takich wpływowych magnatów, jakimi bez wątpienia byli Sapiehowie. — A błędów nikomu nie stawię w przewinę...

Sapiehowie zajęli miejsca. Sala szemrała głucho.

Sobieski znowu odczekał, aż zapanuje cisza i ukoją się namiętności. A potem, nie spuszczając wzroku z hetmana koronnego, ciągnął dalej:

— Jeszcze mniej skłonny jestem wierzyć temu, jakoby pan Jabłonowski przemyśliwał o koronie, o zdradzie swojego króla i ojczyzny... Od dawna znam pana Stanisława jako podporę tronu naszego i Rzeczypospolitej i nie mogę uwierzyć w kłamliwe słowa pana de

Butin, który twierdzi, iż pan Stanisław wyraził na to swoją zgodę, a takoż, iż udało mu się przekupić niektórych naszych posłów na sejm. Obraża nas poseł, odmalowując nację naszą jako sprzedajną, odmawiając jej honoru i wierności... Nie, panowie, niezależnie od tego, kto i co o nas mówi — nie jesteśmy tacy!

Salą wstrząsnęły okrzyki uznania i oklaski. Pierwszy zerwał się na równe nogi i bił brawa, mocniej niż inni, hetman koronny Stanisław Jabłonowski. Na jego bladą twarz wystąpił słaby rumieniec. Zrozumiał, że jest uratowany od hańby i że ratunek ten zawdzięcza wielkoduszności króla.

— Niech żyje Jan Sobieski! Wiwat! — zakrzyknęli donośnym głosem bracia Sapiehowie.

— Wiwat! Wiwat! Niech żyje!

Sobieski podniósł rękę. Kontynuował:

— Powszechnie wiadomo, iż Turcy sposobią się do wojny. Ponadto donoszą mi zaufani, że sułtan wyruszył już na czele swej wielkiej armii i w tej chwili znajduje się w drodze do Belgradu. Pytam więc waszmość panów: jeśli padnie Wiedeń, czy znajdzie się siła, która by przyszła z pomocą Warszawie? Pomagając Austrii, tym samym pomagamy sobie samym! Walcząc o Wiedeń, nasi żołnierze będą walczyli w obronie ojczyzny!

Przez salę przebiegł szmer uznania. Wszyscy obecni rozumieli, że słowa króla są sprawiedliwe i że nikt nie mógłby im zaprzeczyć.

Arsen w milczeniu obserwował jaśnie panów, którzy w obliczu straszliwego niebezpieczeństwa zdawali się wreszcie zapominać o wzajemnej niezgodzie i waśniach, króla, usiłującego przywołać szanowne zebranie do zachowania ciszy, i skuloną postać senatora Morsztyna.

Wreszcie płomień patriotycznego uniesienia zaczął

przygasać. Szlachta znowu rozsiadła się w ławach. Król przygładził mocnymi grubymi palcami swoją czarną czuprynę i kierując wzrok w stronę opozycji, znowu zaczął mówić grzmiącym głosem, który przydawał jego wypowiedziom dramatycznie uroczystego zabarwienia:

— Tuszę, iż zarówno pan Jabłonowski, jak też panowie Sapiehowie i ci wszyscy, którzy padli ofiarą podstępnych, podłych knowań wielkiego podskarbiego senatora Morsztyna, gotowi są choćby dzisiaj dosiąść koni i wyruszyć w pole w obronie Rzeczypospolitej, a jeśli okaże się to konieczne, nie pożałują dla niej krwi swojej serdecznej! Wszyscy zawsze jesteśmy do tego gotowi!

Znów grzmot oklasków wstrząsnął salą. Spiskowcy również bili brawa — wszyscy prócz Morsztyna, od którego odwrócili się teraz jak jeden mąż niedawni poplecznicy. Najgłośniej klaskali bracia Sapiehowie i Jabłonowski.

— Cholera jasna! — zaklął półgłosem Spychalski i wskazał oczami na hetmana koronnego. — Czy widziałeś kiedy, bracie, większą obłudę? Niech dostanę pypcia na języku, jeśli jest w tym choćby krzta szczerości! Ha, chytra bestia. Widzi, że tu nie przelewki i z miejsca postanowił wystawić do wiatru Morsztyna, byle ratować własną skórę!

— Zdaje się, że było to po myśli króla jegomości — odparł Arsen. — Zrobił wszystko, żeby posiać niezgodę wśród spiskowców i przeciągnąć na swoją stronę kogo tylko się da. Morsztyn pozostał sam jak palec i wygląda na to, że on jeden zapłaci głową.

Tymczasem ze wszystkich stron rozległy się okrzyki:

— Rozpatrzyć sprawę przekupstwa! Ujawnić spisek! Ukarać spiskowców!

Sobieski uniósł w górę obie ręce prosząc o ciszę, a gdy okrzyki ucichły, powiedział:

— Nie, panowie! Uważam, że nie czas teraz na rozpoczynanie śledztwa. Sprawa jest jasna. Winowajca jest jeden: wielki podskarbi i senator Morsztyn, i dlatego pozbawiam go tych wysokich godności, gdyż nie jest ich godzien. Myślę, że sam siebie ukarał dostatecznie. Nie ma dlań miejsca wśród szlachty! Toteż niech jedzie do swojego ukochanego króla Ludwika, do Francji, i niech ułoży sobie życie, jak mu się widzi!

— Racja! Skazać go na banicję! Wygnać go! — podtrzymali króla posłowie. — Niech natychmiast opuści salę! Nie jest godzien, by zasiadać tutaj wśród nas!

Zgarbiony, ze spuszczoną głową, Morsztyn wstał i powolnym krokiem skierował się do wyjścia. Żaden z jego niedawnych sojuszników nie odprowadził go współczującym spojrzeniem ani nie pożegnał chociażby jednym słowem. Gdy za senatorem zamknęły się drzwi, Sobieski obrzucił spojrzeniem salę obrad i odezwał się cicho:

— Możemy przyjąć, iż odtąd nie masz wśród nas zwolenników partii francuskiej, jak nie masz też zwolenników partii austriackiej. Jest polska szlachta, która stoi na straży dobra i bezpieczeństwa ojczyzny.

Słowa te zostały przyjęte okrzykami zachwytu. Odczekawszy chwilę, Sobieski kontynuował już innym tonem:

— Panowie posłowie! Zgodnie z umową z cesarzem Leopoldem, jaka zostanie podpisana w najbliższym czasie, powinniśmy wystawić czterdzieści tysięcy wojska. Sejm ma postanowić, skąd wziąć pieniądze, by zwerbować i wyekwipować taką ilość żołnierza. Skarb państwa świeci pustkami. Kwarta z dochodów królewskich, jaka jest przeznaczona na utrzymanie wojska kwarcianego, wystarczy zaledwie na to, bym mógł

mieć swoją straż przyboczną. Pozostają dwa źródła, skąd możemy spodziewać się pieniędzy — podwyższenie podatków nałożonych na gmin oraz sypnięcie groszem przez samą szlachtę...

W sali znowu zawrzało. Wyczuwało się w tym hałasie podziw, oburzenie i irytację. Ostatnie słowa króla chyba nie przypadły do smaku delegatom, gdyż dały się słyszeć głosy sprzeciwu, które narastały i wciąż przybierały na sile.

— Szlachta ze szczętem zubożała!

— Należy zwiększyć poduszne od chłopów!

— Przeprowadzić zaciąg wojska na Ukrainie. Powołać pod broń Kozaków!

— Racja! Trzeba posłać na Ukrainę komisarzy, niech werbują Kozaków! Bieda ich teraz tak przycisnęła, że pójdą do walki za samą obietnicę łupów wojennych!

Arsen i Spychalski wymienili znaczące spojrzenia. Widzieli grymas, który wykrzywił nalaną twarz Sobieskiego, jakby go rozbolały zęby. Król musiał stwierdzić w tym momencie, że zawiódł się na szlachcie, o której myślał, że podtrzyma go i otworzy sakiewki, gdy tymczasem z miejsca zaczęto czynić poszukiwania, na kogo by tu zwalić cały ciężar przyszłej wojny.

— Chodźmy stąd, panie Marcinie — szepnął Arsen. — Sejm zobaczyliśmy, rozgrom partii francuskiej także. Czegóż możemy jeszcze chcieć? Niech teraz posłowie postanawiają, skąd wziąć wojsko i pieniądze na jego opłacenie... A na mnie pora — droga przede mną daleka!

Spychalski skinął głową na znak zgody, jeszcze raz popatrzył na Sobieskiego, który właśnie podniósł w górę ręce, pragnąc uciszyć podnieconą szlachtę, i obaj niezauważenie, przemykając się między kolumnami, cichcem opuścili salę.

1

Wiosną 1683 roku całe sułtańskie wojsko — pułki janczarów, zagony spahisów i akindżów, orda krymska, wojownicy Aflaku i Bogdanu *, a także wolontariusze Tökölyego — ściągnięte zostało do Belgradu. Była to siła, jakiej nie wystawił dotąd żaden sułtan. Samych koni było sto tysięcy, a poza tym z górą dwadzieścia tysięcy wołów i wielbłądów, które ciągnęły setki dział, jaszcze naładowane prochem i kulami armatnimi, i wozy z prowiantem; co się zaś tyczy liczby konnych i pieszych żołnierzy, to nikt jej nie znał, jako że ludzi było przecież bez liku! Bo i któż mógłby wiedzieć, ilu zbrojnych wiedzie ze sobą namiestnik Boga na ziemi — sto, dwieście czy może nawet trzysta tysięcy?

Rankiem pierwszego maja wojska zebrały się na obszernym placu przed pałacem belgradzkiego bajlerbeja. Czekano na ukazanie się sułtana. Wszyscy wiedzieli, że to właśnie dzisiaj rozpoczyna się prawdziwa wyprawa, prawdziwa wojna.

Tymczasem od strony mostu pontonowego, przerzuconego przez Dunaj, dał się słyszeć stukot kopyt. Na spienionym karym wierzchowcu przemknął wzdłuż szeregów zmachany, pokryty kurzem jeździec. Ledwo trzymał się w siodle, ale bystre spojrzenie ciemnych oczu, a także mocno ściągnięte spierzchłe usta świadczyły o niespożytej sile żywotnej tego człowieka i o jego wytrzymałości.

---

* Aflak, Bogdan — ówczesna turecka nazwa Wołoszczyzny i Mołdawii.

Przed pałacem jeździec zatrzymał się, chwiejnie stanął na ziemi.

Podbiegli ku niemu czorbadżowie, jeden z nich odprowadził jego konia, a drugi podtrzymał przybysza, który rzucił parę słów do stojących na przedzie. Zaraz też wśród grupki zgromadzonych przed wejściem czorbadżów rozległo się niegłośne:

— Drogę dla czausza! Drogę dla czausza wielkiego wezyra!

Czausz otrząsnął kurz z odzienia i postąpił parę kroków naprzód. W tej samej chwili, roztrącając starszyznę, rzucił się ku niemu pięknie ubrany, przystojny czausz-pasza.

— Arsen! Ty? — i objął przybyłego.

— Ja, Safar-beju...

Był to Arsen Zwenyhora. Wychudzony, o pociemniałej twarzy, z zapadniętymi policzkami, od dawna nie golony. Widać było, że daleka droga wycisnęła na nim swoje piętno!

— Skąd wracasz?

— Z Kamienicze... Przywiozłem list do wielkiego wezyra.

— Chodźmy! — Safar-bej pierwszy skierował się do drzwi.

Obecni rozstąpili się, by ci dwaj mogli przejść swobodnie.

Korzystając z tego, że wartownik poszedł zameldować o ich przybyciu i że znaleźli się tylko we dwóch w przestronnym, bogato urządzonym przedsionku, Safar-bej spytał szybko:

— Arsenie, czy naprawdę przywozisz list od paszy z Kamieńca?

— Tak jest.

— O co chodzi w tym liście?

— Są to doniesienia tureckich zwiadowców działa-

jących w Polsce. Myślę, że nie zaszkodzą one ani Polsce, ani Austrii, gdyż zrobiłem wszystko, by dostarczyć je jak najpóźniej... A co ze Złatką?

— Jest tutaj.

— Więc wyzwolimy ją! — wykrzyknął Arsen.

Safar-bej położył mu rękę na ramieniu.

— Tss! Nie krzycz tak! Wartownicy też mają uszy. Kara Mustafa zabrał ją, a także wiele innych odalisek, ze sobą na wyprawę. Jest to zgodne z ich zwyczajem, czyni tak sułtan, czynią tak wezyrowie i paszowie. Tym niemniej nie możemy teraz wyzwolić Złatki...

— Dlaczego?

— Gdyż wyruszamy dzisiaj, a może nawet już zaraz. A przecież nie możemy uciec nie zauważeni. Pochwycą nas od razu. Chodźmy! Przyszli po nas.

Kapudżi zaprowadził ich do niewielkiej sali, gdzie przed drzwiami pokrytymi pozłotą stało kilku paszów i starszych rangą czorbadżów. Wskazał Arsenowi ręką na drzwi.

— Wejdź!

Arsen postąpił naprzód i ujrzawszy przy przeciwległej ścianie wspaniale umeblowanej komnaty sułtana w otoczeniu wezyrów i paszów, padł na kolana.

— Przywożę wieści z Lechistanu, o wielki władco prawowiernych! — przemówił ochrypłym głosem, wyjmując z zanadrza zwój pergaminu.

Sułtan zwrócił spojrzenie ku Kara Mustafie, który skinął głową. Podano mu list. Kara Mustafa poznał charakter pisma kamienieckiego paszy Chalila.

— No i co? — niecierpliwie zapytał Mohamed.

Wielki wezyr doczytał posłanie do końca. Powiedział głośno:

— Król Lechistanu Jan Trzeci w obecności członków senatu oraz delegacji sejmowych w ostatnim dniu

pierwszego miesiąca wiosny podpisał porozumienie z Austrią... Lechistan obiecuje wystawić czterdzieści tysięcy wojska. Głównodowodzącym zostanie albo cesarz, albo król, zależnie od tego, który z nich w czasie kampanii będzie obecny przy wojsku...

— Hm... Więc Jan Sobieski osiągnął to, co zamierzył — w zadumie powiedział sułtan. — Nie ulega wątpliwości, że seraskierem * giaurów zostanie właśnie on... Leopold jest zbyt strachliwy, by stanąć na czele armii. Ale nie możemy dopuścić do połączenia się ich sił. Powinniśmy rozgromić Leopolda, zanim dołączy do niego Sobieski! Co o tym myśli wielki wezyr?

Kara Mustafa dał znak czauszowi, aby opuścił komnatę, a potem skłonił się przed sułtanem.

— Ustami padyszacha przemawia sam Prorok! Rozbijemy ich pojedynczo. Chociaż mamy dość sił na to, żeby pokonać zjednoczone wojska koalicji giaurów, nie należy jednak ryzykować. Mniemam, iż Sobieski podejdzie pod Wiedeń nie wcześniej jak na jesieni. Do tego czasu opanujemy stolicę Leopolda, a następnie wszystkimi siłami uderzymy na króla Lechistanu i przyprowadzimy go z powrozem u szyi do Stambułu!

Sułtan skinął głową potwierdzająco.

— Incz'Ałła **! Tak jest, siła, którą dysponuję, jest przeogromna! Wystarczy jej aż nadto, by zmieść z powierzchni ziemi zarówno Austrię, jak i Lechistan, a także Wenecję i księstwa niemieckie... Uważam, że nie ma potrzeby, bym dłużej zostawał przy wojsku. Gwiazdy nie są mi przychylne i byłoby głupotą zlekceważyć ich wskazówki. Wracam do Stambułu pełen nadziei na całkowite i ostateczne zwycięstwo, które zapewniłem,

* Seraskier (pers. saraskar) — główny dowódca wojsk.

** Incz'Ałła! (tur.) — Dzięki niech będą Allachowi!

zebrawszy wojsko, jakiego nie miał dotychczas żaden sułtan!

— Tak jest! — kiwali głowami wezyrowie i paszowie.

— Przekazuję całość dowództwa nad wojskiem wielkiemu wezyrowi i nakazuję mu, aby bez zwłoki, jeszcze dzisiaj, wyruszył na Wiedeń i zdobył go jak najrychlej!

— Złożymy to miasto u stóp padyszacha całego świata! — skłoniwszy się nisko, obiecał uroczyście Kara Mustafa, który ledwo powstrzymywał radość, jaka rozpierała jego pierś.

Na zewnątrz wydawał się spokojny, ale serce w nim biło jak szalone. Oto spełniło się jego najskrytsze marzenie: jest serdarem, głównodowodzącym! Ma pod sobą wojsko, jakiego rzeczywiście nie miał dotychczas żaden sułtan. Dzięki temu wojsku zdobędzie sławę i nieśmiertelność, i niezliczone bogactwa za życia! Z jego pomocą na fali zwycięstwa wpłynie na szczyty władzy i urzeczywistni to wszystko, co sobie zamierzył.

O Allachu, dopomóż mi, pokornemu słudze Twojemu, odnieść zwycięstwo nad niewiernymi, a obiecuję Ci, iż połowę ziemi giaurów szablą własną nawrócę na islam, a drugą połowę zniszczę do samych korzeni!

Tymczasem sułtan powstał z miejsca.

— Konia! Pragnę ukazać się wojsku. Niech wyniosą święty sztandar Proroka!

Wspaniała barwna procesja wyruszyła w kierunku pałacu bajler-beja. Na widok sułtana dosiadającego białego wierzchowca ogniomistrze dali salwę z murów twierdzy belgradzkiej ze wszystkich fortecznych dział jednocześnie. Zadrżała ziemia i straszny huk wstrząsnął posadami miasta.

Zagrały rożki, zahuczały tułumbasy. Od krańca do krańca placu przebiegł rozkaz powtórzony przez dzie-

siątki mocnych gardzieli: „Niech żyje padyszach całego świata! Niech żyje Bóg, który zstąpił na ziemię!" Rozległ się przeciągły jak wycie wilka okrzyk: „Uj ja uj!"

Na podwyższeniu, wzniesionym specjalnie w tym celu, sułtan wstrzymał konia. Za nim półksiężycem ustawili się paszowie z Kara Mustafą na czele.

— Wojownicy! — zwrócił się sułtan do żołnierzy, a czauszowie powtarzali głośno jego słowa, tak że słyszano je na całym placu. — Nastał czas, by postawić stopę na ziemiach Krainy Złotego Jabłka. Najbogatsze miasta padną do waszych stóp, ofiarując wam wszystko, czego tylko zapragniecie! Urodzajne niwy i ogrody dostarczą wam chleba i owoców. Nieprzeliczone stada bydła i trzody owiec zapewnią wam mięso, a najlepsi na świecie rzemieślnicy odzieją was i obują... Śmiało kierujcie tam swoje kroki, a powrócicie do domu syci chwały i uginający się od zdobyczy! Stamtąd przyprowadzicie niewolników, którzy będą pracowali na waszych polach, wypasali wasze trzody i doili wasze kobyły. Tam też znajdziecie niewolnice, które staną się ozdobą waszych haremów i uciechą waszych nocy... Naprzód, niezwyciężeni! I niech Allach napełni serca wasze męstwem i uchroni was od kuli nieprzyjaciela i jego szabli!

— Uj ja uj! Uj ja uj! — wzbiło się ponad miastem groźne zawołanie. — Ałła! Ałła!

Sułtan skinął palcem i natychmiast podano mu inkrustowaną złotem i drogimi kamieniami szkatułkę, spoczywającą na aksamitnej poduszce. Mohamed wyjął z niej jaskrawozielony proporzec z wyszytym na nim, złotą i srebrną metalizowaną nicią, półksiężycem oraz wersetami z Koranu i wzniósł go ponad głową. Drugą ręką ujął ciężką, również ozdobioną złotem księgę.

Nad placem zapanowała grobowa cisza. Sztandar Proroka! Święta księga Koranu! Świętości, które należy chronić nawet za cenę własnego życia!

— Wojownicy! — znowu rozległ się głos Mohameda. — Niech ten oto sztandar Proroka natchnie was do czynów bohaterskich i poprowadzi szlakiem wspaniałych zwycięstw! Wręczam go dzisiaj naszemu wielkiemu wezyrowi i paszy o pięciu buńczukach Hasanowi Mustafie i niech dowie się każdy z was, iż od tej chwili jest on seraskierem i jego wola, jego rozkazy są wolą i rozkazami waszego padyszacha!

Kara Mustafa podszedł do sułtana, skłonił się nisko i wziął z jego rąk sztandar i Koran, a następnie wzniósł je nad głową. Zawołał gromkim głosem:

— Wojownicy! Niech żyje nasz padyszach! Niech żyje namiestnik Boga na ziemi! Niech żyje władca całego świata! Naprzód — na giaurów!

— Uj ja uj! Uj ja uj! — odkrzyknęły szeregi.

Zadudniły bębny, zagrała muzyka. Rozległ się rozkaz do wymarszu. Zakołysały się na podobieństwo fali morskiej pułki janczarskie. Zatrzepotały proporczyki zatknięte na dzidach spahisów. Zagony jeden po drugim wyruszały na wojnę pod dowództwem swoich ałaj-bejów *.

— Na Zachód! Na niewiernych!

2

— Nenku, jak sobie chcesz, ale ja powinienem zobaczyć Złatkę! Niezależnie od ceny, jaką za to zapłacę! Pragnę przekonać się, że jest żywa i zdrowa, ptaszyna moja... Albo dowiedzieć się przynajmniej, gdzie ona mieszka, w której klatce leje gorzkie łzy... — mó-

* Ałaj-bej (tur.) — pułkownik.

wił Arsen, gdy wyszedł od sułtana i znowu znalazł się u boku Safar-beja.

— Mamy bardzo mało czasu. Wojsko zaraz wyrusza.

— Głupstwo! Zajmie to nam zaledwie godzinę... Proszę cię o to, bracie!

Safar-bej zamyślił się. Potem uczynił zdecydowany gest dłonią.

— No więc dobrze. Chodźmy!

Wyszli z pałacu, dosiedli koni i okrążywszy wznoszący się ponad miastem zamek belgradzki, zawrócili w dół, ku Sawie.

Safar-bej zwrócił uwagę Arsena na piękny meczet.

— Widzisz? Zbudowany przez Kara Mustafę... W środku jeszcze pracują malarze... A tam dalej, za meczetem, jest jego dom.

Arsen przesunął obojętnym spojrzeniem po rzeczywiście niezwykle pięknym meczecie i po białym budynku, który tonął w bujnej wiosennej zieleni. Czuł się śmiertelnie znużony przebytą drogą i teraz pragnął tylko jednego — zobaczyć Złatkę, a potem zasnąć...

— Więc tam przebywa? — Spojrzeniem wskazał dom Kara Mustafy.

— Tam, tam... Mózg mi niemal pęka z wysiłku, a nie mogę wymyślić dostatecznie rozumnego i przekonującego powodu, dla którego kapudżowie mieliby nas wpuścić do środka...

— Nie sil się na żadne wymyślanie — powiedział Arsen i wyjął z kieszeni złoty pierścień z czerwonym kamieniem. — Powiemy, że wielki wezyr polecił przekazać ten pierścień odalisce, gdyż sam nie może tego uczynić... No i już masz powód. Spodziewam się, że ciebie, jako czausz-paszę, znają tutaj wszyscy?

— Znają wszyscy — potwierdził Safar-bej. — Ale gdy Kara Mustafa się dowie...

— Teraz on nie ma czasu, a w najbliższej przyszłości czeka nas wojna. — W głosie Arsena zadźwięczał metal. — Zrobię wszystko, żeby z niej w ogóle nie wrócił!

Safar-bej chciał coś odpowiedzieć, ale zobaczywszy gorzki grymas na pociemniałej twarzy Arsena i błysk jego oczu, dał spokój. Było mu żal druha, który przecież od tylu już lat tuła się po bożym świecie jak ta dusza potępiona i nigdzie nie może zaznać spokoju!

Zatrzymali się przy słupku do wiązania koni i tam pozostawili swoje wierzchowce. Kapudżowie pilnujący bramy znali Safar-beja i przepuścili ich, nie bardzo nawet dopytując się, o co chodzi.

Usypana złocistym piaskiem ścieżka zaprowadziła ich do wielkiego piętrowego pałacu. Potężne drzewa otaczały budynek ze wszystkich stron, a przed frontowym wejściem rozciągała się spora zielona łączka, pośród której znajdował się klomb pyszniący się pierwszymi kwiatami wiosny.

Ale stróżujący przy drzwiach otyły bezbrody eunuch okazał się nieubłagany.

— Nie wolno! — odpowiedział sucho i pełen podejrzliwości, spoglądając na porosłą kłującą szczeciną twarz Arsena.

— No to zawołaj kislar-agę Dżalila! — zirytował się Safar-bej.

— Nie wolno mi stąd się oddalać, ago!

— Ale nam się bardzo spieszy!

— Nic na to nie poradzę, ago. Nikogo nie wolno mi wpuszczać do haremu. Jeśli trzeba coś przekazać, przekażę osobiście! — I zamknął drzwi.

Przyjaciele spojrzeli po sobie. Co robić? Arsena rozpierała złość. Gotów był zdzielić trzebieńca szablą po głowie, ale rozwaga w nim zwyciężyła: wystarczy najmniejszy hałas, żeby zewsząd natychmiast zlecieli się

cerberzy haremu — kapudżowie, którzy skręcą ich obu w barani róg! Czyż mają zginąć i skazać Złatkę na wieczną niewolę?!

Odszedł w stronę klombu i stamtąd spojrzał na budynek. Gdzieś tam, poza tymi murami, znajduje się Złatka. Ale gdzie? Za którym oknem? Za którą kratą?

Raptem przyszła mu do głowy zbawcza myśl. Trzeba dać Złatce znak! Zaczął pogwizdywać głośną na Ukrainie piosenkę, którą znała i lubiła Złatka. Niegdyś śpiewali ją razem...

Na wojenkę się szykuje
Kozak urodziwy,
a Marusia wypłakuje
swoje oczka siwe!

— Arsenie! Coś ty?... — zdziwił się Safar-bej.

— Niech mnie piekło pochłonie, jeśli ta śpiewka nie poruszy serca dziewczyny i nie zmusi jej, by wyjrzała na podwórze!

Znowu zaczął pogwizdywać i w tym samym momencie w jednym z okien gwałtownie odsłoniła się firanka. Spoza niej ukazała się Złatka. Śmiertelna bladość okrywała policzki dziewczyny. Ręce wyciągnęła przed siebie i zdawało się, że zaraz wyfrunie na zewnątrz i jaskółeczką przypadnie do piersi ukochanego! Uczyniłaby tak z całą pewnością, gdyby nie żelazne kraty.

— Arsenie! — jęknęła przygłuszonym głosem. — Nenku!

Arsen rzucił się do przodu, lecz mocne ręce Safar-beja osadziły go w miejscu.

— Czyś rozum postradał, Arsenie! Tylko patrzeć, jak eunuch podniesie alarm! — Ścisnął mu ramię tak mocno, że Zwenyhora syknął z bólu.

Trzebieniec wyjrzał spoza drzwi, ciężko zamrugał

zmętniałymi oczami podobnymi do ślepi wołu, ale nie dotarło do niego, iż na podwórzu coś się wydarzyło.

Arsen zachłannie wpatrywał się w zmizerowaną twarzyczkę Złatki. Myślał gorączkowo, czy nie spróbować wyzwolić dziewczynę jeszcze dzisiaj, póki Kara Mustafa jest nieobecny, a z nim razem jego nieprzeliczona straż? Lecz zdrowy rozum kazał mu poniechać tej myśli jako nie mającej żadnych szans na zrealizowanie. Wielki wezyr z całą pewnością pozostawił w pałacu dostateczną liczbę kapudżów i sług, by obronić pałac w razie jakiejś niespodzianki.

Safar-bej odgadł jego myśli i powiedział cicho:

— Nie zrób jakiego głupstwa, Arsenie! Wrócimy tu jeszcze.

Arsen skinął głową na znak zgody i odezwał się głośno, żeby mogła go usłyszeć Złatka, gdyż to dla niej jego słowa były przeznaczone:

— Wrócimy tu jeszcze! Czekaj! — i dodał cicho: — Kochana moja!

Złatka opuściła powieki, dając do zrozumienia, że usłyszała i pojmuje wszystko; z oczu trysnęły jej łzy i stoczyły się po bladych policzkach. Firanka opadła powoli, zasłaniając zasmuconą twarz.

Dopiero po upływie godziny przyjaciele dopędzili za miastem oddziały wojskowe, które zdążyły przeprawić się przez Sawę. Arsen, nie bez pomocy Safar-beja, przysiadł się na jeden z licznych wozów i natychmiast zapadł w sen.

3

Cesarz Leopold podszedł do polowego stolika, wychylił kielich chłodzonego wina z lodem, który usłużnie podał mu lokaj i otarł śnieżnobiałą serwetką pełne usta. Mrużąc w blasku słońca niebieskie oczy, skie-

rował się ku zieleniejącej w oddali łączce, gdzie w pełnym szacunku oczekiwaniu zebrała się generalicja.

Na równym szerokim polu, tak daleko jak sięgał wzrok, rozciągało się ustawione w szyku cesarskie wojsko — piechota, kawaleria i artyleria. W sumie czterdzieści tysięcy żołnierza.

Wesoło łopotały w podmuchach lekkiego wiosennego wiatru barwne pułkowe sztandary, lśniła na koniach wyczyszczona do połysku uprząż; ciemnymi otworami luf celowały w niebo armaty. Trębacze stali w pogotowiu, by natychmiast obwieścić sygnałem swych trąbek: „Ba-czność! Cesarz przed frontem!"

Na lewej flance stało cztery tysiące polskich najemników, którymi dowodził książę Lubomirski. Skarb austriacki płacił im za służbę brzęczącą monetą.

Leopoldowi podprowadzono konia. Król, niestary jeszcze, ale już ociężały, z widocznym wysiłkiem usadowił się w siodle. W tej samej chwili rozległ się hejnał trąbek. Odezwały się komendy. Zagrzmiały bębny. Poruszyły się i zamarły szeregi czworoboków, równe i nieruchome jak wyciosane w kamieniu. Świetna kawalkada dworaków i generałów z cesarzem na czele ruszyła wzdłuż frontu wojsk.

Z Pressburga*, pod którego murami odbywał się przegląd wojsk, wyległy tłumy mieszkańców pragnących podziwiać niezwykłe widowisko. Z wież kościelnych rozległy się dźwięki dzwonów. Forteca oddała salwę powitalną ze wszystkich swoich dział.

Leopold jechał powoli, w roztargnieniu spoglądając na żołnierzy, którzy w miarę jego przybliżania się, wykrzykiwali głośno: „Wiwat!", i snuł własne myśli. Szarpały nim sprzeczne uczucia. Był dumny z tego, że w tak krótkim czasie zdołał wyekwipować stosunkowo

* Pressburg — niemiecka nazwa Bratysławy.

liczebną armię, a jednocześnie czuł obrzydliwy chłód w sercu na samą myśl, że nawała turecka zaleje Austrię, zanim zdołają przyjść jej z pomocą król polski i niemieccy kurfirści.

Ospały i bezczynny z natury cesarz truchlał przed nieprzyjacielem, zanim jeszcze ujrzał go przed sobą. Ze smutkiem wyobraził siebie w roli głównodowodzącego. Codzienne alarmy i zmiana miejsc, pochody i bitwy, brak najbardziej elementarnych wygód, do których był przyzwyczajony, przebywając w swoim cesarskim pałacu w Wiedniu... Nie, nie! Tylko nie to! Nie pragnie żołnierskiej chwały — potrzebuje spokoju, potrzebuje pewności, że szabla turecka bądź tatarski jatagan nie dotkną jego szyi, potrzebuje łabędzich puchów pod bokiem i wykwintnej kuchni, potrzebuje wreszcie codziennych pieszczot swojej młodej, będącej obecnie w błogosławionym stanie, małżonki, cesarzowej Eleonory...

Jadąc wolno przez pole i spoglądając na żołnierzy, starał się uzmysłowić sobie, że za parę dni czy tygodni wielu z nich pozostanie w tym miejscu na zawsze, i przekonywał sam siebie, że najlepiej zrobi, jeśli natychmiast, nie czekając na atak Kara Mustafy, przekaże dowództwo nad armią komuś innemu, a sam przeczeka ten niespokojny czas w swoim cudownym, cieszącym się boską opieką Wiedniu.

Ale komu ma przekazać dowództwo? Księciu Ahrenbergowi? Ludwikowi Sabaudzkiemu? Hrabiemu Sternbergowi? Czy też generałowi Caprarie? Ach, nie! Żaden z nich nie nadaje się na to stanowisko! Wyznaczy kogoś bardziej dostojnego, a mianowicie księcia Karola Lotaryńskiego, mężnego i doświadczonego żołnierza, Francuza, który zadarł z królem Ludwikiem i przeszedł do służby austriackiej. Wojna jest jego rzemiosłem. Niech więc poprowadzi wojsko! To znaczy do czasu,

aż przybędzie Jan Sobieski, który w myśl zawartego porozumienia ma objąć naczelne dowództwo nad zjednoczonymi siłami koalicji. Jeśli Sobieski okaże się zwycięzcą — chwała tak czy inaczej przypadnie cesarzowi. Jeśli natomiast przegra tę kampanię — będzie tym, na kogo zrzuca się winę za porażkę...

Myśląc i rozważając w ten sposób, Leopold objechał pułki, a potem raptownie zawrócił do tyłu, ku zaskoczeniu swojej świty: ceremoniał nie przewidywał takiego zakończenia. A cesarz zatrzymał się przed frontem wojsk i przywołał do siebie Karola Lotaryńskiego. Głośno, żeby słyszeli go nie tylko generałowie ze świty, ale również żołnierze i oficerowie, powiedział:

— Mości książę! Powierzam panu, mein Lieber, całość dowodzenia nad moim wojskiem. Od tej chwili jest pan głównodowodzącym. W pana ręku spoczął los cesarstwa!

Karol był zaskoczony tym niespodziewanym oświadczeniem, jednak nie dał tego po sobie poznać. Skłonił tylko głowę z szacunkiem.

— Dziękuję za tak wielki zaszczyt, najjaśniejszy panie! Moje umiejętności i moje życie składam do nóg waszej cesarskiej mości!

— Wiwat! Wiwat! — rozległo się w szeregach.

Leopold łaskawie poklepał znakomitego dowódcę po ramieniu i odjechał z nim kawałek na stronę.

— Mein Lieber książę, nakazuję panu wyruszyć z wojskiem i zająć twierdzę Neugeisel, żeby przeciąć Turkom drogę do naszej stolicy.

— Słucham, wasza cesarska mość!

— Dzisiaj jeszcze odjeżdżam do Wiednia... Życzę panu powodzenia, mein Lieber!

— Dziękuję, wasza cesarska mość!

4

Okna od strony ogrodu były otwarte na oścież i do przestronnego pokoju w potoku jaskrawego słonecznego światła wdzierała się woń kwitnących jabłoni.

— Przed chwilą otrzymałem jeszcze jeden list od cesarza Leopolda — rzekł król Jan — w którym zapewnia mnie, iż wyda swoją córkę z pierwszego małżeństwa za Jakuba. Gdy spowinowacimy się z domem cesarskim, nasz syn po mojej śmierci uzyska wszelkie prawa do polskiej korony... Jestem królem z wyboru, ale zostanę założycielem dziedzicznej królewskiej dynastii Sobieskich! Polska zresztą powinna mieć silną władzę. Skasuję prawo weta, dzięki któremu byle szlachetka może uchylić najrozumniejsze postanowienia sejmu i narzucić mu swoją wolę. Jeśli nie uda mi się tego przeprowadzić, uczynisz to ty, Jakubie!

— Słucham, papo! — młody Sobieski pochylił w ukłonie swoją piękną głowę. Ostatnie słowo wymówił na francuską manierę.

— Jeśli uda mi się wspólnie z Austrią i niemieckimi kurfirstami pokonać sułtana, zwycięstwo to niebywale wzmocni moje stanowisko w Polsce i w innych krajach. Nikt nie ośmieli się wtedy rzec, iż na podobieństwo dwulicowego Janusa spoglądam jednocześnie w dwie przeciwne strony i składam podziękowania dwom panom — królowi Ludwikowi za koronę, którą ponoć włożono mi na głowę z jego łaski, i papieżowi, jako wierny syn kościoła katolickiego...

— Panie Janie, nie wspominaj, proszę, króla Ludwika — zaperzyła się Maria Kazimiera. — Nie masz wobec niego żadnych zobowiązań. Nie chcę o nim słyszeć! Ten sknera pożałował dla mojego ojca godności para Francji, a mnie odmówił okazania honorów kró-

lewskich, gdy chciałam odwiedzić moją dawną ojczyznę!

— Więcej nie będę, Marysieńko, uspokój się! — łagodnie przemówił król, ściskając delikatną rączkę małżonki.

— A co do papieża, to złego słowa o nim powiedzieć się nie godzi — wtrącił Jakub i zarumienił się, gdyż wyglądało, że ma zamiar pouczać ojca. Ale starszy Sobieski udał, że przyjmuje synowskie słowa za dobrą monetę i to ośmieliło Jakuba. — A poza tym to przecież papież przysłał pieniądze, za które możemy nająć Kozaków...

Sobieski ożywił się. Oczy mu rozbłysły.

— Dziękuję ci, Jakubie. Przypomniałeś mi, iż powinienem sprawdzić, czy nasi emisariusze odjechali już na Ukrainę — i potrząsnął małym srebrnym dzwoneczkiem.

Wszedł Talenti i ukłonił się z szacunkiem. Był jak zawsze porządnie przystrzyżony, uperfumowany, w dobrze skrojonym ubraniu. Sobieski wiedział o tym, że Talenti, będąc agentem papieża, donosi Watykanowi o wszystkim, ale tolerował go, a nawet lubił za jego pilność, staranność i... oddanie, gdyż taki zapewne był rozkaz jezuitów — pan Talenti ma pomagać królowi wszędzie i we wszystkim.

— Talenti, czy są wieści od Mężyńskiego? Czy już wyjechał na Sicz?

— Najjaśniejszy panie, Mężyński wyruszył na Ukrainę razem ze swoimi emisariuszami. Wiadomo mi, iż ma odwiedzić Fastów, Niemirów, Korsuń i inne miasta Prawobrzeżnej Ukrainy. A na Sicz pojadą jego emisariusze, panowie Poradowski i Mątkowski... Ostatnia wiadomość od nich nadeszła z Korca... Cała nasza nadzieja w Kozakach. Zbiednieli obecnie tak bardzo, że dla pieniędzy pójdą na kraniec świata!

— Nie tylko dla pieniędzy, panie Talenti — miękko zaprzeczył król. — Znam Kozaków. Z Turkami gotowi są bić się za darmo, gdyż zbyt tamci im dopiekli... Ale, jak to jest w zwyczaju, przyjęcia żołdu i zdobyczy wojennych nie odmówią. Ja również pokładam w nich wielką nadzieję. Inaczej nie miałbym z kim wyruszyć na wyprawę!

— Jeśli nie liczyć oddziału księcia Lubomirskiego... — zaczął sekretarz, ale król przerwał mu.

— Nie ma co na niego liczyć! To najemne wojsko, które utrzymuje skarb austriacki.

— Z tego wynika, że zdołaliśmy wyekwipować zaledwie cztery tysiące kawalerii narodowej, wasza królewska mość — nie podnosząc głosu skonkludował Talenti. — Pozostałe kilka tysięcy — to oberwańce, niemal nie uzbrojone chłopstwo, a nie wojsko.

Sobieski uśmiechnął się gorzko, wzniósł oczy do góry.

— O Matko Boska, na co nam przyszło! Polska może wystawić przeciwko swojemu najpotężniejszemu nieprzyjacielowi zaledwie parę tysięcy żołnierzy! A gdzież podziała się szlachta? Gdzie pospolite ruszenie?

— Wielu jaśnie wielmożnych panów oświadczyło, że ta wojna leży w interesie jednego pana Sobieskiego, niech więc on sam wojuje...

— Jedynie w interesie Sobieskiego! Niesłychane! — wykrzyknął król. — Jakbym dbał tylko o własne bezpieczeństwo, a nie o bezpieczeństwo całej Rzeczypospolitej! Nie traćmy jednak nadziei, iż Mężyński zwerbuje dostateczną liczbę Kozaków, a nawet więcej! Przyjdą posiłki z Białej Rusi i Litwy... Chociaż, zgodnie z zawartym porozumieniem, Polska powinna wystawić czterdzieści tysięcy wojska!

— Poseł austriacki Zerowski pytał już, kiedy wasza miłość będzie mógł wyruszyć. Cesarz spodziewa się, iż

przybędziesz, mości królu, pod Wiedeń nie później niż przy końcu sierpnia.

— A niby z czym mam wyruszyć? — Sobieski skoczył na równe nogi. — Nie mamy piechoty!

— Śmiem zauważyć, wasza królewska mość, że Kozacy to najlepsi piechurzy — wtrącił królewicz Jakub i znowu zarumienił się jak dziewczyna.

— Tak — zgodził się król — ale kiedyż oni nadciągną?! A ja potrzebuję wojska już dzisiaj. Nie mamy wcale artylerii. Ściągnęliśmy zaledwie dwadzieścia osiem armat, i to byle jakich. Wstyd i tyle!

— Janie, nie denerwuj się. — Królowa podeszła do Sobieskiego i ucałowała go w policzek. — Wszystko się jakoś ułoży... Pan Stanisław obiecał przyprowadzić z terenów województwa ruskiego kilka tysięcy wojaków...

— Pan Stanisław, pan Stanisław! — z wściekłością zakrzyknął król, dotknięty do żywego wzmianką małżonki o jej, jak poszeptywano, kochanku. — Wiedz, pani, iż Jabłonowski na sejmie w portki narobił, dlatego teraz tak się stara... Ale te jego dwa czy trzy tysiące — to zbyt mizerna pomoc dla króla polskiego!

Obrażona Marysieńka wydęła usteczka. Zarumieniła się.

— Fe, panie!... Jakichż to prostackich wyrażeń używasz w obecności damy!

Sobieski opamiętał się i pieszczotliwie poklepał małżonkę po policzku.

— Przepraszam stokrotnie i niech moja pani przestanie się dąsać. Nielekko mi teraz...

Z pomocą pośpieszył pan Talenti, chcąc rozładować niezręczną sytuację.

— Wasza królewska mość, nuncjusz papieski Pallavicini przekazuje słowa Jego Świątobliwości, który

jest przekonany o konieczności włączenia do koalicji Imperium Rosyjskiego...

Sobieski uniósł w zdziwieniu brwi. Wiadomość zaskoczyła go.

— Ach, tak! Odkąd pamiętam, Watykan zawsze był przeciwny sojuszowi naszych państw. Kiedy do Warszawy przybyli posłowie moskiewscy, nuncjusz papieski zrobił wszystko, by rokowania zostały zerwane.

— A teraz Jego Świątobliwość uważa inaczej, wasza królewska mość. Biorąc pod uwagę śmiertelne niebezpieczeństwo, jakie grozi światu katolickiemu ze strony Stambułu, papież Innocenty jest zmuszony zweryfikować swoją tradycyjnie nieprzychylną w stosunku do Moskwy politykę.

— Hm, hm... Zaczynam zdawać sobie sprawę, jak wysoką cenę musiały zapłacić oba nasze narody za tę „tradycyjnie nieprzychylną politykę" — półgłosem w zamyśleniu rzucił król, podchodząc do okna — nie na tyle jednak cicho, by jego słów nie mieli usłyszeć wszyscy znajdujący się w pokoju, nie wyłączając pana Talentiego. — Gdyby Polska i Rosja w swoim czasie wspólnie natarły na cesarstwo Osmanów, Turcy dawno by już przestali spozierać łakomym okien na nasze ziemie, a może i na ziemie innych narodów...

Jednak sprytny Talenti, udając, że nic nie słyszał, ciągnął dalej:

— Moskwa wystawi co najmniej sto tysięcy zbrojnych i stworzy zagrożenie dla Krymu i tyłów cesarstwa Osmanów i dlatego warto włączyć ją do zwoływanej Ligi Świętej.

— A czy Jego Świątobliwość nie obawia się, że takie posunięcie wzmocni pozycje prawosławia?

— Przeciwnie. Papież żywi tajemną nadzieję, iż Liga będzie również sprzyjała przeniknięciu wiary katolickiej na ziemie rosyjskie i ukraińskie.

— Hm... hm... — z ironią wymruczał Sobieski. — Tak myśli Ojciec Święty?

— Nie inaczej, mości królu. A to, co myśli Ojciec Święty — jest niezaprzeczalną prawdą!

Sobieski ledwo powstrzymał wybuch gniewu. Rozumiał doskonale, że wystąpienie Rosji po stronie Ligi wzmocniłoby tę ostatnią nadzwyczajnie. Ale nie spodobało mu się, że jemu, królowi, doświadczonemu politykowi i wojskowemu, wbija tę prawdę do głowy jego własny sekretarz! Cholera jasna! I trzeba milczeć! Talenti jest nie tylko agentem jezuitów, ale także tajnym obserwatorem Watykanu w Warszawie... Mądry, sprytny jak sam diabeł — łatwo się z nim współpracuje, bo taki wszystko wie i wszystko może, ale jednak trzeba się mieć na baczności: ręce Watykanu są długie i bezlitosne! Zrobisz coś nie tak jak potrzeba — i ten sam Talenti we własnej osobie, albo też ktoś inny, kogo nawet nie podejrzewasz, podsunie ci kielich z trucizną...

Sobieski opanował ogarniające go uczucie i rzekł spokojnie:

— Doskonale. Racz przekazać Watykanowi, panie sekretarzu, że rozpoczniemy rokowania z Moskwą, chociaż osobiście uważam, że Rosja nie jest przygotowana do wojny. Po śmierci cara Fiodora minionej wiosny na tronie rosyjskim zasiedli dwaj małoletni bracia, Iwan i Piotr, a państwem kieruje ich starsza siostra regentka Zofia. Dopiero co z ogromnym trudem udało się jej stłumić bunt strzelców i teraz bardziej rozmyśla nad sposobami utrzymania się przy władzy niż nad wszczynaniem nowej wojny. Jednak nie będziemy zwlekać z rozpoczęciem układów. Jeśli: nie podpiszemy od razu porozumienia co do pomocy wzajemnej, to może uda się nam przynajmniej uzyskać zgodę Rosji na zwerbowanie wolontariuszy na Za-

porożu. Kilka tysięcy zaporożców — byłaby to wielka pomoc dla naszej wyprawy!

— Ja również tak myślę — Talenti pochylił głowę w ukłonie i teraz jego poza była pełna uległości, a wzrok uprzedzająco grzeczny. — Czy wasza królewska mość pozwoli mi odejść?

— Możesz iść.

Kiedy Talenti wyszedł z pokoju, Sobieski dał upust swojemu gniewowi.

— Przekleństwo! Polacy myślą, że rządzi nimi wybrany przez nich król! A jakże! Na każdym kroku objawiają się siły potężniejsze od króla — magnaci, papiestwo, Ludwik francuski... Ale ja muszę zerwać te pęta! Ustanowię w Polsce rządy absolutne i przyszły król polski Jakub nie będzie wreszcie przed nikim chylił głowy!

Lewą ręką objął małżonkę, a prawą przygarnął do siebie syna i tak jak stał, razem z nimi upadł na kolana przed krucyfiksem, szepcząc żarliwie:

— O mój najsłodszy Panie Jezu! Ratuj Rzeczpospolitą! Daj mi siły na rozgromienie wszystkich wrogów moich — i tych, co idą na Wiedeń, i tych, co na podobieństwo węży jadowitych wiją swoje gniazda tuż obok mojego łoża, a także tych, co z daleka śledzą każdy mój krok, czyhając na chwilę, gdy niebacznie powinie mi się noga! Dopomóż mi, Panie Jezu, a do końca dni moich będę ci służył mieczem! Amen!

Jan Sobieski przeżegnał się trzykrotnie, wpatrując się czarnymi oczyma w chłodne złoto krucyfiksu.

5

Spotkanie odbyło się w chacie korsuńskiego pułkownika Zachariasza Iskry. Za stołem prócz gospodarza zasiadło trzech pułkowników: Semen Palij z Fastowa,

Andrzej Abazin z Bracławia i Samuel Iwanowicz z Bogusławia, którego — dzięki wesołemu usposobieniu i niewysokiej posturze — koledzy przezwali pieszczotliwie Samusiem. Każdy z nich przybył w asyście jednego lub dwóch doradców. Palijowi towarzyszyli setnik Czasnyk i Roman Wojnow.

Przy drugim końcu długiego stołu siedziało jedynie trzech mężczyzn: emisariusz Mężyński i towarzyszący mu dwaj szlachcice: Poradowski i Mątkowski.

Jak to jest w zwyczaju, na początku wypili po kielichu i zakąsili. Polacy widać byli mocno zgłodniali, gdyż zarówno rudy, ostronosy i suchy jak żerdź Poradowski, jak i korpulentny, o zadartym nosie Mątkowski opychali się smażoną rybą, aż ości chrzęściły im w zębach, nie bacząc na to, że takie zachowanie nie przystoi szlachcicom. Urodziwy czarnowłosy pułkownik Mężyński spoglądał na nich z dezaprobatą, jakby prosząc o powstrzymanie apetytu, ale jednocześnie sam również zajadał, aż w uszach trzeszczało, chociaż w sposób bardziej delikatny.

Wreszcie zaspokoiwszy pierwszy głód, Mężyński otarł wąsy ręcznikiem i odezwał się:

— Panowie pułkownicy, częstujecie nas tu wszelkimi smacznościami, ale wiedzieć trzeba, iż nie dla poczęstunku przybyliśmy tu do was aż z Warszawy... — Mężyński zawiesił głos.

— A dla czegoż? Racz to nam powiedzieć, panie komisarzu, chętnie posłuchamy — wpadł mu w słowo Semen Palij.

— Otóż wiecie wszyscy, panowie, iż sułtan wyruszył ze swoją armią na Austrię. Rzeczpospolita podpisała z cesarzem Leopoldem porozumienie co do pomocy wzajemnej i w najbliższym czasie król Jan udaje się z wojskiem do Wiednia.

— Czegóż więc żądą król Jan od Kozaków? — spy-

tał niebieskooki Samuś. — Przecież nie jesteśmy poddanymi króla...

Mężyński spokojnie popatrzył na pułkownika.

— Rzeczpospolita potrzebuje waszej pomocy. Potrzebna nam jest kozacka piechota, której — jak wiadomo — nie masz równej na całym świecie. Nie odmówimy się również od jazdy, jeśli będziecie mogli takową wystawić. Królewski skarb obiecuje wam zapłacić za to pieniędzmi, suknem oraz utrzymaniem na czas wyprawy. Prócz tego, jak chyba panowie rozumieją, niemałe też przypadną im łupy wojenne. Wszystko, co zdobędziecie, będzie wasze...

— Kozacy powrócą z wyprawy jako bogacze — dodał Poradowski ocierając dłonią wąsa.

— Obawiam się, że niewielu ich do domu powróci — powiedział pułkownik Abazin. — Niejeden głowę złoży w obcej ziemi...

— W takim wypadku całą należną zapłatę otrzyma rodzina — wyjaśnił Poradowski.

Zachariasz Iskra, który siedział w rogu stołu, jak przystało gospodarzowi, odezwał się w zamyśleniu:

— Lud nasz w ciągu tych długich i złych wojennych lat zbiedniał do szczętu i Kozacy nie odmówią przyjęcia żołdu... Wiemy z doświadczenia, że w razie zwycięstwa zdobycz także jest niemała... Ale na wojnie różnie bywa: raz nasi górą, a raz nieprzyjaciel, raz my dajemy mu łupnia, a raz on nam i trzeba uciekać nie oglądając się... I wtedy nie do zdobyczy człowiekowi, myśli jedynie o tym, żeby głowę unieść cało...

— Cóż więc pan pułkownik proponuje?

— Połowa żołdu musi być wypłacona z góry, żeby żony i dzieci pozostały zabezpieczone. Dla rodzin poległych — podwójna zapłata...

— Pomyślimy nad tym — odpowiedział Mężyński.

— Ilu Kozaków pragnie zwerbować król Jan? — spytał Palij.

— Choćby i trzydzieści tysięcy.

— Oho! A czy nie pęknie skarbiec króla Jana?

Mężyński uśmiechnął się.

— Nie pęknie... Pieniądze na ten cel daje papież z Rzymu.

Pułkownicy wymienili spojrzenia. Właściwie już przedtem wiedzieli, że przyjeżdża do nich emisariusz i doszli do wniosku, że nie ma podstaw odmawiać udziału w wyprawie, ale nie spodziewali się aż takich ustępstw ze strony wysłanników królewskich. Palij wstał ze swojego miejsca.

— Panowie komisarze, gotowi jesteśmy zwerbować tylu Kozaków, ilu zdołamy w ciągu tak krótkiego czasu. Ale muszą panowie wiedzieć jedno: ruszamy na wyprawę nie dla zapłaty — chociaż nie odmawiamy się od niej, spodziewając się jednocześnie, że będzie dostateczna i sprawiedliwa — ale przede wszystkim dlatego, że broniąc was i Austriaków, bronimy tym samym siebie... Jak panowie widzicie, zapatrujemy się na tę sprawę trochę inaczej, niż miarkował król Sobieski, który w czasie najścia Turków na Czyhyryn, pod naciskiem papieża, odmówił carowi Fiodorowi Oleksijewiczowi i hetmanowi Samojłowiczowi pomocy...

— Nie będziemy wspominać starych dziejów — pospiesznie wtrącił Mężyński. — To są sprawy najwyższej polityki, a ja nie znam tajemnych sprężyn nią kierujących...

Palij skinął głową na znak zgody.

— Dobrze, nie mówimy o tym. Chociaż nie zapomnimy... A teraz druga sprawa. Wiadomo powszechnie, że nasz kraj jest zniszczony przez długotrwałe wojny i że obecnie podnosimy go z ruin, nie szczędząc krwi

własnej ani pracy. Od Bugu do Dniepru i od Polesia aż po Dzikie Pola ziemia nasza znowu zaczyna się kłosić żytem i pszenicą. Ale znaleźli się spryciarze — szlachcice, i nie tylko — którzy, udając, że nic nie wiedzą o naszym istnieniu, wyłudzają od króla akty nadania na te ziemie i przybywają tutaj, by wejść w posiadanie najlepszych gruntów. Jedynie nasze ostre szable są w stanie zmusić ich, by zawrócili hołoble z powrotem... Dlatego też pragnąc zapobiec temu, by u kogokolwiek postała myśl, iż jest to ziemia niczyja, chcemy mieć od króla takie same akty nadawcze na tutejsze ziemie. Dla mnie — na Fastowszczyznę, dla Abazina — na Bracławszczyznę, dla Iskry — na Korsuńszczyznę i dla Samusia — na Bogusławszczyznę...

Mężyński zamyślił się.

— Nie w mojej mocy postanawiać cokolwiek w tej materii. Ale mogę was zapewnić, panowie pułkownicy, że osobiście przekażę wasze życzenie królowi jegomości. Mniemam, iż z jego strony również nie będzie żadnych przeszkód. Uważajmy więc, że porozumieliśmy się co do najważniejszego: Kozacy pójdą na wyprawę przeciwko Turkom. Ale żeby później nie wynikło jakieś nieporozumienie, musimy ułożyć pisemny dokument i wymienić w nim po kolei wszystkie warunki, na jakich zgodziliście się zwerbować ochotników...

— Racja! — wykrzyknął Poradowski. — Podpiszemy ten dokument. — Ale zaraz połapał się i dodał: — O ile oczywiście będzie zawierał umiarkowane warunki, czyli że panowie Kozacy nie zażądają zbyt wiele...

Ostatnie jego słowa omal nie zepsuły wszystkiego.

Zapalczywy Samuś gniewnie błysnął pięknymi niebieskimi oczyma i rąbnął nie owijając w bawełnę:

— My krwią kozacką nie handlujem! I któż byłby

w stanie wymierzyć jej wartość? Hę?... Jeśli szanowni panowie wysłannicy chcą się targować, nie mamy sobie nic do powiedzenia!

Pobladły pułkownik Mężyński przerwał mu, rozumiejąc, że tak pomyślnie rozpoczęta rozmowa może zakończyć się niczym, a król przecież nakazał nie powracać bez Kozaków... Uczynił zniecierpliwiony gest w stronę Poradowskiego, żeby ten nie wtrącał się do niczego i pośpiesznie jął zapewniać Samusia, że ani im w głowie jakiekolwiek targi.

Palij położył kres sprzeczce.

— Pragnę powtórzyć jeszcze raz, że krew przelewać będziemy nie dla zapłaty, ale za wolność, za ojczyznę, za to, by stopa pazernego janczara nie deptała naszej ziemi!

— Święte słowa! — poparli go wysłannicy królewscy.

— Ale zapłata jest nam niezbędna — ciągnął Palij — gdyż pozostawiamy w domu zubożałe rodziny, a i sami też musimy zaopatrzyć się na drogę w broń i prowiant, postarać się o wozy i konie. Bez tego wszystkiego ani myśleć o wyprawie... Stanowczo jednak domagamy się, by dwakroć większe sumy wypłacono rodzinom tych, którzy polegną... Bez uwzględnienia tego warunku nie złożę swojego podpisu na dokumencie!

— Sprawiedliwe żądanie — zgodził się Mężyński.

Trochę podchmielony Poradowski, pragnąc zatrzeć niemiłe wrażenie, jakie wywarł na zebranych swoim wystąpieniem, wykrzyknął:

— Klnę się honorem, tak się stanie! Ja sam osobiście, jeśli zły los nie przetnie nici mojego żywota, przywiozę należną zapłatę rodzinom poległych!

— Trzymam pana za słowo, mości panie — powiedział Palij.

— Jak Boga kocham, tak będzie — zapewniał Poradowski.

Mężyński westchnął z ulgą.

— Przystąpmy tedy do dzieła, panowie, bo czas ucieka... Proszę o papier, atrament i pióro!

6

Z początkiem lipca Kara Mustafa, przeszedłszy północne rejony Serbii i Zachodnich Węgier i zniszczywszy je, obległ twierdzę Raab. Ale nie starczyło mu cierpliwości czekać, aż twierdza padnie. Pragnął jak najszybciej ujrzeć pałace i ogrody cudownego Wiednia, tej swojej wymarzonej w snach i na jawie przyszłej stolicy. Dlatego też zostawił na miejscu zagon oblężniczy, a sam z głównymi siłami sforsował rzekę Rabę i skierował się na zachód, a wszędzie na swojej drodze wymiatał niewielkie załogi austriackich miasteczek niczym słomę.

Karol Lotaryński rozumiał, że w otwartym boju dozna nieuniknionej porażki. Siły były zbyt nierówne. Jedyną nadzieję stanowiły mury i bastiony stolicy, za którymi spodziewał się przeczekać do czasu przybycia Sobieskiego z odsieczą.

Powziąwszy takie postanowienie, skierował piechotę do Wiednia drogą przez wyspę Schütt, utworzoną przez rozlewiska Dunaju, a sam z konnicą zaczął wycofywać się na Altenburg i Kittsee.

Dni były upalne i suche. Na drogach kłębiły się chmary kurzu. W studniach wysychała woda. Armię poprzedzały, przeszkadzając jej w manewrowaniu, zdjęte przerażeniem tysięczne tłumy uchodźców. Karol niecierpliwił się, śpieszył, bał się, że Kara Mustafa przetnie mu wszystkie drogi odwrotu. Jechał ze swoim sztabem na czele długiej kolumny, rozkazawszy do-

wódcom, by nie odstępowali go ani na krok. Mimo to wojska rozciągnęły się na wiele mil. W marszu przeszkadzały mu ciężkie tabory książąt Saksen-Lauenburg i Croya, wozy generała Caprarie, wyładowane nie tyle prowiantem i amunicją, co w znacznej mierze garderobą i srebrnymi naczyniami tych wielmożów.

Niedaleko Petronelu na kolumnę niespodziewanie uderzyła piętnastotysięczna orda krymska. Zaatakowała znienacka, druzgocąc pułk niemieckich kirasjerów *, którzy rzucili się do ucieczki. Tatarzy cięli ich szablami, przeszywali strzałami, tratowali końmi, a tych, którzy poddawali się do niewoli, wiązali sznurami z nie wyprawionej skóry i odprowadzali na tyły.

Kilku kirasjerom udało się ratować ucieczką; pogubiwszy broń i porzuciwszy na drodze ciężkie kirysy, ostatkiem sił podążyli na przełaj do Wiednia.

Panika ogarnęła całe wojsko. Austriacy myśleli, że zostali zdradzeni przez kurfirstów niemieckich, a Niemcy pomstowali na Austriaków i głównodowodzącego, którzy, ich zdaniem, od początku nie wierzyli w zwycięstwo i rozpoczęli defensywę, nie wydając jednak nieprzyjacielowi decydującej bitwy.

O napadzie Tatarów i zamieszaniu w szeregach niemieckich Karol Lotaryński dowiedział się z ust książąt Sabaudzkich, braci Ludwika i Eugeniusza. Lubił obu tych rozumnych i odważnych młodzieńców, osobliwie młodszego, Eugeniusza, i wierzył każdemu ich słowu, widząc, jak bardzo są mu oddani.

— Monsieur, Tatarzy rozbili centrum naszego ugrupowania i łupią tabory! — wstrzymując konia meldował Ludwik. — Niemcy są w rozsypce!

— Książę Saksen-Lauenburg i generał Caprarie nie

* Kirasjerzy (franc.) — ciężka kawaleria, nosząca zbroję z płyt metalowych (kirysy).

zdołają odeprzeć przeciwnika, działając wyłącznie własnymi siłami. Nasze wojska znalazły się w obliczu niebezpieczeństwa, gdyż mogą zostać rozpołowione! Potrzebna jest natychmiastowa i zdecydowana pomoc, monsieur! — dodał książę Eugeniusz, jak zwykle jasno formułując swoje myśli.

Kiedy indziej Karol starałby się nacieszyć wzrok pięknem oblicza tego niewysokiego i, jak się zdawało, niezbyt silnego, zupełnie jeszcze młodziutkiego oficera, ale teraz był zbyt zaskoczony tym, co usłyszał. Trzeba działać! Natychmiast i zdecydowanie!

Rozejrzał się wokół. Pod ręką miał jedynie swój sztab, który liczył około dwustu czy trzystu ludzi oraz chorągiew husarską ze straży przybocznej.

— Za mną! Naprzód! — Karol wyszarpnął szpadę z pochwy i pognał przez pola i winnice w kierunku wzgórza, za którym, jak mniemał, rozpętał się bój. W ślad za nim pospieszyli książęta Sabaudzcy i oficerowie sztabowi.

W pośpiechu, wyprzedzając się wzajemnie i w locie ustawiając dzidy do ataku, ruszyli husarzy. Starszyzna oficerska, ujrzawszy głównodowodzącego, który galopował na czele sztabu, również popędziła ze swoimi oddziałami naprzód.

Karol Lotaryński stanął na wzgórzu. Oczom jego ukazał się przerażający widok. Środek ugrupowania był zgnieciony, tylko gdzieniegdzie wybuchały jeszcze krótkotrwałe potyczki, które gasły szybko: to Tatarzy dopadali uciekających i szatkowali ich jak kapustę. Całe pole było usłane trupami kirasjerów. Ale gdyby horda kontynuowała walkę z taką samą zajadłością i gwałtownością, z jaką ją rozpętała, a nie zajęła się łupieniem taborów, straty cesarskiej armii byłyby jeszcze większe.

Karol ze swoim sztabem i husarią niczym wicher przeleciał przez winnice i z biegu ruszył do natarcia, wpadając klinem w sam środek sił przeciwnika. Tatarzy nie wytrzymali tego niespodziewanego zmasowanego ataku i zaczęli się wycofywać, chociaż opór ich był wciąż bardzo silny. Cienka długa szpada Karola ze świstem i bez litości cięła nieprzyjaciół. Nie ustępowali mu w zaciętości również obaj książęta Sabaudczycy.

Walka zawrzała z nową siłą. Podniesieni na duchu pomocą i obecnością swojego wodza kirasjerzy zatrzymali się i poszli do kontrataku. Z flanków uderzyli na Tatarów generał Caprarie i książę Croy.

Karol Lotaryński bił się na równi z szeregowymi żołnierzami. Zgubił kapelusz i wiatr rozwiewał jego długie ciemne włosy. W zgiełku bitwy nie zauważył, że walczący po jego lewej ręce Ludwik Sabaudzki upadł na ziemię nie wydawszy głosu, z sercem przeszytym strzałą. Dopiero wtedy, gdy książę Eugeniusz zawrócił konia i popędził z powrotem, szukając brata, Karol ściągnął cugle i wycofał się z pola walki.

Ludwik Sabaudzki leżał na ziemi rozrzuciwszy ręce i szeroko otwartymi, stygnącymi oczami patrzył w niebo. Wyglądał jak żywy. Gdyby nie strzała, która tkwiła w jego piersi, i nie jaskrawo czerwony strumyczek krwi ściekający po białej szyi, można byłoby pomyśleć, że mężny młodzieniec zaraz poderwie się na równe nogi, przyłoży dwa palce do kapelusza ozdobionego pióropuszem i odezwie się cicho: „monsieur..."

Ale Ludwik nie poderwał się na nogi...

Stał nad nim jego młodszy brat i nie wstydząc się swoich łez, płakał jak dziecko. Karol otoczył go ramieniem, choć sam czuł, jak z głębi piersi podnosi mu się do gardła fala goryczy i żalu, która utrudnia oddychanie. Mężne serce surowego wojownika ścisnął ostry ból...

Tymczasem bitwa przesuwała się coraz dalej. Tatarzy, zagarnąwszy część wozów z odzieżą i srebrnymi naczyniami, a także przeszło setkę jeńców, szeroką doliną wycofywali się na południe.

7

Niebo nad Wiedniem było bezchmurne, niebieskie. Słońce zachodziło powoli za szczyt Góry Leopolda, złocąc wysmukłą dzwonnicę katedry Świętego Stefana. Spokojnie toczył swoje mętne wody Dunaj. Był cudowny wieczór lipcowy. Nikt z wiedeńczyków nie spodziewał się nieszczęścia. Wiedzieli co prawda, że gdzieś daleko trwały walki, ale do głowy im nie przyszło, że wojna dotarła oto pod mury miasta. Wierzono powszechnie zapewnieniom cesarza, że wojska imperium wraz z armią sojuszników rozgromią wroga jeszcze na Rabie lub na przedpolach stolicy.

Dlatego też przerażająca wiadomość, przyniesiona przez kilku uciekinierów z pułku kirasjerów, a brzmiąca: „Tatarzy pod Petronelem! Pułki austriackie rozbite! Ratuj się, kto może!" — była podobna do wybuchu bomby.

Wieść ta lotem błyskawicy obiegła ulice i place miasta. Wojskowy gubernator Wiednia, hrabia Starhemberg, rozkazał zamknąć wszystkie bramy i wzmocnić warty, a sam udał się do pałacu cesarskiego po dyspozycje.

Zastał cesarza w stanie całkowitej rozterki: twarz zżółkła, pulchne wargi drżały. Niespodziewana wiadomość przestraszyła go śmiertelnie.

— Wasza cesarska mość... — zaczął Starhemberg, oddawszy honory wojskowe, lecz Leopold rzucił się ku niemu i chwycił za ramię, wołając:

— O Matko Przenajświętsza! Jakież to okropne! Co

należy czynić, hrabio? Powiedz, mein Lieber, co czynić?

Starhemberg był zmieszany. Przyszedł tutaj, gdyż pragnął dowiedzieć się, co dalej robić, a oto okazuje się, że to jego proszą o radę!

— Wasza cesarska mość, nie ma podstaw do paniki — powiedział sucho stary wojak. — Wiedeń to nie tylko miasto, lecz także forteca. Za jej murami nasze wojska śmiało mogą poczekać na przyjście polskiego króla z odsieczą. Turcy nie zdobędą miasta, jak nie zdobyli go podczas oblężenia w 1529 roku, kiedy to sułtan Soleman Kanuni zmuszony był powrócić z niczym do Stambułu.

— Kara Mustafa ma więcej wojska, niż miał go Soleman! — zawołał w rozpaczy Leopold.

Zaczęli do nich podchodzić nie mniej od cesarza przerażeni ministrowie dworu.

— No i co z tego? — możliwie miękko zaoponował Starhemberg. — My również dysponujemy, dzięki staraniom waszej cesarskiej mości, dobrze wyposażoną technicznie i wcale niemałą armią! W Wiedniu mamy przygotowane ogromne zapasy, w tym proch, armaty i fuzje... Mamy także prowiant...

— Odnoszę wrażenie, że nie pragnie pan, hrabio, aby jego cesarska mość wraz z pozostającą w błogosławionym stanie cesarzową i pięcioletnim następcą tronu przebywał w stolicy, gdy zagraża jej wielomiesięczne oblężenie? — powiedział z oburzeniem łysy, z siwymi bokobrodami minister finansów. — Osobiście radziłbym jego cesarskiej mości opuścić miasto i udać się do Linzu, gdzie jego wysoko urodzona rodzina byłaby bezpieczna. Wymaga tego najwyższy interes cesarstwa.

— Naprawdę, mein Lieber? — ucieszył się cesarz. — Tak mi radzisz postąpić?

— To jest moja rada — skłonił się minister. — I im szybciej wasza cesarska mość stąd wyjedzie, tym lepiej.

— Doskonale. Tak właśnie zrobimy — cesarz otarł chustką spocone czoło. — Ty, hrabio, pozostań w naszej stolicy i zrób wszystko, by nie dopuścić do niej wroga, aż nadejdzie Karol Lotaryński... A my z cesarzową wyjedziemy do Linzu. W jej stanie byłoby wielką nierozwagą pozostawać w oblężonym mieście. Czyż nie tak?

Starhemberg pomyślał, że cesarzowa, jak też wiele tysięcy mieszkańców Wiednia, najlepiej zrobi wyjeżdżając, czym ułatwi sytuację obrońcom miasta, ale cesarz powinien pozostać, aby swoją obecnością dodawać armii bojowego ducha. Nie powiedział tego jednak głośno, gdyż dobrze znał wybujałe poczucie honoru i pamiętliwość cesarza. Podziękował więc za zaufanie i natychmiast zaczął się żegnać pod pretekstem, że musi odbyć przegląd załogi.

— Życzę waszej cesarskiej mości szczęśliwej drogi — dodał na końcu, salutując dwoma palcami.

— Idź, mein Lieber, i niech cię Bóg ma w swojej opiece! — Leopold nakreślił na piersi hrabiego znak krzyża, przyciągnął do siebie i pocałował w szorstki policzek.

Gdy tylko Starhemberg wyszedł, w pałacu wszczął się prawdziwy rejwach. Służba wynosiła skrzynie z kosztownościami, woźnice zaprzęgali konie, cesarzowa Eleonora, nie zważając na swój stan, biegała po pokojach jak nieprzytomna, pilnując, aby zapakowano całą jej garderobę.

W niespełna godzinę całe miasto wiedziało, że Turcy są pod Petronelem i że cesarz opuszcza stolicę. Wybuchła panika. Jak kto mógł — konno, wozem lub

w karocy, a nawet pieszo, dźwigając na plecach dobytek — pędził do Bramy Szkockiej lub Staubeńskiej.

Ale gwardia cesarska zdążyła przeciąć ludziom drogę, zresztą zgodnie z rozkazem cesarza, który pragnął opuścić miasto bez pośpiechu i tłoku.

Ucieczka rozpoczęła się o ósmej wieczorem. W otoczeniu dwustu konnych z pałacu wyjechała cesarska karoca. Przy bramie zatrzymała się i cesarz wysiadł na chwilę, pożegnał się z burmistrzem Wiednia, Liebenbergiem, i wydał ostatnie zarządzenia.

— Mein Lieber, postaw tutaj wartę, ażeby zapobiec grabieży... Zadbaj również o nasz skarbiec. Nie mamy możliwości zabrać go ze sobą. A w razie ostateczności wrzuć wszystko do Dunaju, żeby nic nie wpadło w ręce tego obmierzłego Kara Mustafy... Żegnaj, mein Lieber! — Leopold objął Liebenberga i pocałował go jak przedtem Starhemberga.

Za karocą cesarza ruszyły wyładowane wozy, a potem karoce członków Rady Najwyższej, ministrów i dworaków. Jedni jechali z pustymi rękoma, słusznie rozumując, że teraz najważniejsza sprawa to uratowanie życia, inni obciążyli swoje wozy do tego stopnia, że konie ledwie mogły je uciągnąć.

Spieszyli do mostu na Dunaju, na lewy brzeg rzeki. Niektórzy zawrócili na południe, spodziewając się znaleźć schronienie w swoich daleko położonych majątkach lub w Alpach. Ich los okazał się tragiczny: na drugi czy trzeci dzień podróży zostali napadnięci przez Tatarów, którzy wycięli w pień wszystkich mężczyzn, córki ich zabrali do niewoli, a tabory złupili.

Do późnej nocy nieprzerwanym strumieniem ciągnęły karoce wiedeńskich arystokratów, a także wozy bogatszych mieszczan, kupców i rzemieślników. Biedacy szli pieszo z tobołkiem na plecach albo i bez tego.

Miasto wyludniło się w ciągu jednej nocy. Uciekło sześćdziesiąt tysięcy mieszkańców. Pozostali jedynie ci, co służyli w wojsku, a także ci, którzy zgłosili się na ochotnika do odbywania zbrojnych wart na wałach — roboczy lud, rzemieślnicy, studenci, urzędnicy. Wszyscy oni spieszyli do ratusza, do arsenału, gdzie otrzymywali pistolety, arkebuzy, szable i dzidy, a stamtąd podążali na mury. Siedmiuset studentów uniwersytetu na czele z rektorem utworzyło samodzielny batalion studencki.

Na drugi dzień obrońcy Wiednia z niezwykłą radością i entuzjazmem witali kawalerię Karola Lotaryńskiego, która weszła do miasta z towarzyszeniem trąb i kotłów. Gubernator Starhemberg ze łzami w oczach otoczył ramionami głównodowodzącego.

— Książę, pan znowu posiał w naszych sercach wiarę i nadzieję! Myśleliśmy, że wojska poniosły porażkę, a oto okazuje się, że pan je uratował! Dzięki! Bośmy wszyscy tutaj sądzili, że nam śmierć pisana...

— Generale, wojna dopiero się rozpoczęła i Wiedeń, jak mniemam, odegra w niej rolę decydującą. Cesarz wyznaczył pana wojskowym gubernatorem stolicy, więc pana zadaniem będzie jej bronić. A ja przeprawię się na lewy brzeg Dunaju, dokąd wycofała się moja piechota i, w oczekiwaniu na króla polskiego i niemieckich kurfirstów, zaprowadzę w hufcach porządek. A wtedy z pomocą bożą uderzymy na przeciwnika!

— Tak jest, będziemy bronili miasta, póki nam sił wystarczy!

Stali we dwóch na placu przed katedrą Świętego Stefana. Starhemberg, zwrócony twarzą do wyjścia, przeżegnał się.

— Jutro odeślemy skarbiec cesarski statkami do Linzu i będziemy czekali na nieprzyjaciela.

8

W ciągu nocy cesarz Leopold z rodziną dojechał do Korneuburga. Tabory z prowiantem beznadziejnie utknęły gdzieś w drodze i głodny monarcha, nie mogąc patrzeć na męki głodowe ciężarnej cesarzowej i małoletniego następcy tronu, zdjął z palca pierścień i podał go majordomusowi:

— Franz, mam nadzieję, że tego wystarczy, by jakiś karczmarz czy wieśniak zechciał ugotować dla nas obiad... Pójdź, mein Lieber, ale nie zatrzymuj się zbytnio! Te męczarnie są nie do zniesienia!...

Dworak skłonił się nisko i szybko zniknął za rogiem najbliższego budynku.

Rodzina cesarska zatrzymała się na odpoczynek na szczycie wzgórza, w cieniu drzew, skąd roztaczała się szeroka panorama Dunaju i naddunajskich przestrzeni. Któryś ze sług przyniósł wiadro zimnej wody, jeden z żołnierzy znalazł w plecaku suchara; rozmoczono go w wodzie i podano cesarzowej, która podzieliła się tym bardzo skromnym posiłkiem z synem.

Leopold, nie chcąc patrzeć na ten widok, od którego krajało się serce, odszedł na skraj wzgórza. Na dole pod nim przesuwały się drogą niezliczone tłumy uchodźców. Ludzie byli przerażeni i źli.

Przypominał sobie, jak karoca zatrzymała się w środku nocy i cugowy z zaprzęgu zawołał w ciemność:

— Drogę dla cesarza! Hej tam, czy słyszeliście?

W odpowiedzi padły brudne wyzwiska, na samo wspomnienie których Leopoldowi wciąż jeszcze pałały policzki, a serce kołatało z gniewu.

— Stul pysk, wyskrobku! — rozległ się ordynarny męski głos. — Twój cesarz, ta tłusta śmierdząca świnia, zamiast bronić Wiednia, narobił w portki ze strachu i ucieka gdzie pieprz rośnie! I mamy mu ustępować z drogi?! A niedoczekanie!

Cesarz ledwo się powstrzymał, by nie zawołać wartowników, nawet rzucił się do okienka, ale w jego ramię wpiły się palce małżonki.

— Daj spokój, Leopoldzie! Taka ciemność wokół! Ci zbóje mogą nas pokaleczyć... A kto wie, gdzie się podziała nasza straż!

Dotąd nie mógł się uspokoić — dygotał z oburzenia. Potem uwagę jego zwróciły jakieś bure plamy wykwitające na tle błękitu nieba po tamtej stronie Dunaju, nad wzgórzem Kahlenberg, gdzie mieścił się klasztor kamedułów.

— Mein Lieber — przywołał cesarz młodziutkiego żołnierza — popatrz no, co tam takiego?

Żołnierz zmrużył oczy od słońca.

— Dym, wasza cesarska mość... Coś się pali!

— Coś się pali... Cóż tam może się palić prócz klasztoru? — w zamyśleniu przemówił cesarz i nagle wstrząsnął nim dreszcz. Niespodziewany domysł przeszył bólem serce. — Czekaj, czekaj... Przecież tam są... Turcy... albo Tatarzy... O mein Gott!

Wkrótce nad Kahlenbergiem zajaśniały szkarłatne języki płomieni. Dym unosił się w górę czarnymi słupami. Nie było wątpliwości — palił się klasztor. A znajdował się przecież tak blisko stąd!... Lotnym zagonom tatarskim wystarczyłoby pół dnia na to, by przejść wzdłuż prawego brzegu Dunaju do Klosterneuburga i Tulln, a stamtąd, przeprawiwszy się na drugą stronę, zrobić wypad na Stockerau i przeciąć im drogę na Linz!

Cesarz po raz ostatni spojrzał na pożogę i drobnym kroczkiem pobiegł do karocy. Sługa już powrócił, ale z próżnymi rękoma.

— Wszyscy pouciekali, wasza cesarska mość — przemówił zmartwiałym głosem. Przemilczał to, że w dwóch czy trzech domach zastał jednak gospodarzy,

ale ci, dowiedziawszy się, dla kogo ma być przeznaczona żywność, stanowczo odmówili sprzedania czegokolwiek, a nawet obrzucili go wyzwiskami.

Cesarz obojętnie machnął ręką i kazał zaprzęgać do karocy.

9

Pierwsze tureckie pułki spahisów podeszły pod Wiedeń dwunastego lipca *. Dokoła austriackiej stolicy wszędzie płonęły już wsie, majątki ziemskie i klasztory — ślad uprzedniego pobytu akindżów i Tatarów, którzy spadali na osiedla na podobieństwo huraganu, rabowali, zabijali mieszkańców, niszczyli wszystko ogniem i mieczem.

Rankiem następnego dnia spahisowie otoczyli miasto od południa i zachodu. Silny ich zagon zbliżył się do przedmieścia. Starhemberg dał rozkaz palić wszystko, co tylko mogło być strawione przez ogień, żeby nic nie dostało się w ręce wroga.

Podpalający biegali od budynku do budynku ze smolnymi pochodniami w ręku, a ich drogę znaczyły wzbijające się w górę czarne słupy dymów i syczące szkarłatne języki ognia.

Starhemberg nie wziął pod uwagę jednego — wiatru, który dął od zachodu w kierunku miasta. Gdy ogień zaczął się rozprzestrzeniać i powiał silniejszy wicher, długie jęzory płomieni przedostały się na drugą stronę wału i jęły lizać dachy budynków, a płonące żagwie i iskry leciały jeszcze dalej, w głąb miasta...

Uderzono w dzwony na trwogę. Do gaszenia pożarów rzucono setki żołnierzy i studentów. Ustawiono

* Turcy zjawili się pod Wiedniem 10 lipca, zaś oblężenie miasta rozpoczęło się 14 lipca (przyp. red.).

się w długie szeregi, ludzie z rąk do rąk podawali sobie wiadra wody zaczerpniętej z Dunaju. Dopiero wieczorem udało się stłumić ogień w mieście.

Zmęczeni, osmaleni i poparzeni obrońcy stolicy długo nie mogli zasnąć tej nocy. O czwartej rano, gdy dopiero zaczął przecierać się wschodni kraniec nieba, wszyscy znowu byli na nogach, obudzeni głuchym, groźnym dźwiękiem przypominającym pomruk morza przed burzą.

Co się stało? Czyżby Turcy przypuścili szturm do miasta? Obrońcy Wiednia wylegli na wały.

Słońce dopiero wschodziło i jego purpurowe promienie oświetlały okolice miasta. Zaskoczeni niezwykłym widokiem żołnierze i ochotnicy stanęli jak wryci, nie będąc w stanie wydać z siebie głosu.

Jak daleko wzrok sięgał — na wszystkich okolicznych wzgórzach, stratowanych polach i pastwiskach, w dolinach, ogrodach i winnicach — wyrosły w ciągu nocy tysiące kolorowych namiotów. Pomiędzy nimi snuły się przypominające owady figurki oblegających. Wszędzie dookoła stały wozy, płonęły ogniska, pasły się woły i wielbłądy, brodziły spętane postronkami konie... Nawet doświadczeni wojacy nigdy dotąd nie widzieli czegoś podobnego!

Generał Starhemberg w towarzystwie burmistrza Liebenberga i cywilnego gubernatora miasta Leopolda Kolonitza wszedł na dzwonnicę katedry Świętego Stefana. Z tej wysokości było widać cały Wiedeń wraz z najdalszymi okolicami.

— Mój Boże! — wyszeptał zmartwiałymi ustami Liebenberg i zdjąwszy kapelusz, otarł dłonią zimny pot z czoła. — Jaka potęga! Czyż zdołamy się jej przeciwstawić?

Starhemberg milczał. Kolonitz, wysoki, żylasty starzec z krzaczastymi siwymi brwiami, położył na ramie-

niu burmistrza swoją ciężką dłoń znaczoną niebieskimi żyłami.

— Wszystko jest w ręku Boga, mój synu!

Był to człowiek o zaiste niezwykłych i burzliwych kolejach losu. Rycerz i były kawaler maltański, przejawił niezwykłą odwagę w czasie oblężenia Kandii. A że przelał niemało krwi ludzkiej, pragnąc odpokutować grzechy, został mnichem i z czasem doszedł do godności biskupiej. Był biskupem w Neustadt, gdy na wieść o zbliżaniu się Turków do Wiednia, zrzucił suknię duchowną i z powrotem ujął w dłonie miecz. Został cywilnym gubernatorem Wiednia i zastępcą Starhemberga; nadzorował szpitalnictwo, miał w swojej pieczy magazyny żywnościowe i kierował pracami ziemnymi przy umacnianiu wałów obronnych, skarp i bastionów.

— Wszystko jest w ręku Boga, mój synu! — powtórzył. — Nikt nie zna naprzód Jego woli. Potęga Kara Mustafy istotnie jest przeogromna, lecz my wzmocnimy nasze mury i nasze serca i będziemy bić się do ostatniej kropli krwi!

Wszyscy znów zwrócili spojrzenia na pola. Słońce podniosło się wyżej, wychynęło zza dalekiego widnokręgu i oświetliło cały obóz turecki.

Obóz ten rozciągał się półkolem na dobre dwie mile wokoło, od miasteczka Schwechat po wschodniej stronie aż po Heiligenstadt i Nussdorf po zachodniej; obydwa rogi półkola opierały się o Dunaj. W centrum obozu, wśród parku, w pobliżu pałacu La Favorit, jaśniał krwawą czerwienią ogromny, wspaniały namiot serdara. Takiego wielkiego i przypominającego prawdziwy pałac namiotu nie miał żaden z europejskich dowódców, ani żaden z najpotężniejszych władców Europy! Obok na wysokiej tyczce kołysał się buńczuk wielkiego wezyra.

W odległości blisko dwustu kroków od kontrskarpy * widać było świeżo wyryte w ciągu nocy rowy oblężnicze oraz zalegających w nich janczarów. Od tej strony Wiedeń był całkowicie odcięty od świata.

Doświadczone oko Starhemberga natychmiast dostrzegło w okopach armaty, umieszczone w specjalnie wyrytych dla nich gniazdach, które ześrodkowano naprzeciwko bastionów twierdzy wiedeńskiej.

— Szczelnie otoczył nas Kara Mustafa — w zamyśleniu zauważył Starhemberg. — Nawet mysz się nie prześliźnie! Jeśli uda mu się wypchnąć nas z Prateru i Leopoldstadtu, przerwie tym samym naszą łączność z lewym brzegiem i zamknie pierścień wokół miasta.

— Może wyślemy tam posiłki? — zapytał Liebenberg.

— Nie możemy tego zrobić — wyjaśnił generał. — Kara Mustafa ma dwieście tysięcy żołnierza, ja natomiast dziesięciokrotnie mniej... Jeśli zdejmę parę tysięcy z murów, Turcy natychmiast przerwą naszą obronę na tym odcinku i wedrą się do miasta. Z dnia na dzień należy oczekiwać szturmu... Panie Kolonitz, będzie pan łaskaw wydać natychmiastowy rozkaz, by w najgłębszych lochach i piwnicach wyryto jamy prochowe i złożono w nie cały zapas prochu, bo może wybuchnąć w czasie obstrzału nieprzyjacielskiego...

— Będzie zrobione — Kolonitz skinął głową.

— Poza tym należy powołać wśród mieszkańców lotne brygady przeciwogniowe celem gaszenia pożarów i naprawiania uszkodzeń w pasie umocnień. W tym również zdaję się na pana!

— Niech się pan tym nie martwi, generale — zapewnił go stary wiarus.

* Kontrskarpa (franc. contrescarpe) — przednia pochyłość zewnętrznego rowu obronnego, zwrócona do przeciwnika.

— Zaś pan, panie Liebenberg, w celu uspokojenia żołnierzy i cywilnych mieszkańców stolicy przystąpi do wydrukowania odezwy. Napisze pan w niej, że Wiedeń wytrzymał groźną nawałę wojsk Solemana w 1529 roku — nie podda się więc i teraz! Mury nasze są mocne, mamy dostateczne ilości prochu i prowiantu, serca obrońców nie zadrżą w obliczu śmiertelnego niebezpieczeństwa. Przetrwamy godzinę próby! Niech pan napisze również, że na lewym brzegu Dunaju stoją wojska Karola Lotaryńskiego, a na odsiecz nam śpieszą książęta cesarscy * i król polski.

— Oczywiście, panie generale — odparł Liebenberg i nagle wykrzyknął: — Patrzcie! Patrzcie! Ponad namiotem Kara Mustafy rozwinięto sztandar!

Wszystkie spojrzenia zwróciły się w stronę parku La Favorit. Nad czerwonym namiotem powiewała zielona chorągiew. Nawet z tej odległości można było dostrzec wielką gromadę ludzi, którzy poklękali w trawie zwróceni twarzą w stronę Kaaby ** i odprawiali namaz. Łopoczący na wietrze proporzec wskazywał modlącym się kierunek na Mekkę.

— Sztandar Proroka! — wyszeptał Starhemberg. — Kara Mustafa ogłasza właśnie dżihad, świętą wojnę przeciw niewiernym, i modli się do Allacha, żeby zechciał dać mu zwycięstwo! Dzisiaj rozpocznie się szturm... Dwieście tysięcy nieprzyjaciół ruszy do natarcia, by nas zniszczyć!

Jeszcze raz spojrzał na zielony sztandar powiewający nad czerwonym namiotem, na zebranych przed nim ludzi — wysokich dowódców armii tureckiej i przerażający w swojej liczebności wrogi obóz, który otoczył

---

* Książęta cesarscy — kurfirści niemieccy.

** Kaaba (arab. sześcian) — świątynia w Mekce, w którą wmurowano tzw. Czarny Kamień, największą świętość muzułmanów.

Wiedeń na podobieństwo żelaznej podkowy — i zadumał się głęboko...

Rozmyślał o wszystkim: o mającym nastąpić szturmie, o tym, że na każdego z obrońców miasta przypada dziesięciu nieprzyjacielskich żołnierzy, o wielu swoich współplemieńcach, którzy być może jeszcze dzisiaj złożą życie na murach miejskich, i o tym, w jaki sposób najskuteczniej odeprzeć atak Kara Mustafy. Wiedział, że obrona miasta będzie długotrwała i krwawa.

Lecz o jednym nie wiedział stary generał: o tym, że wśród wielu tysięcy napastników, którzy przyszli pod jego rodzinne miasto, znajduje się niemało takich, co to skrycie życzą zagłady nie Wiedniowi, lecz hufcom Kara Mustafy i jego sojuszników i wyczekują nadejścia godziny sprawiedliwości, by zrzucić z siebie jarzmo Osmanów. Byli to niewolnicy, których siłą zmuszono do wzięcia udziału w tej wyprawie, a także uchodźcy z Bułgarii, Serbii, Grecji, Wołoszczyzny i krajów arabskich... Ludzie ci gotowi byli w każdej chwili rzucić broń i zawrócić do domu... Nie wiedział stary generał, że gdzieś tam, pośród tego ludzkiego mrowia, znajdują się dwaj wojacy, przyodziani w janczarskie mundury, którzy patrzą na tonące w słonecznym blasku cudownie piękne miasto i rozważają w myśli ten sam problem: co należy uczynić i jak dopomóc jemu, generałowi, w uratowaniu tego miasta...

CZĘŚĆ DRUGA

WIEDEŃ

1

W nocy z szesnastego na siedemnastego lipca, po zaciętym obstrzale artyleryjskim, janczarowie wdarli się na Prater i Leopoldstadt. Wiedeń znalazł się wewnątrz zamkniętego pierścienia. Łączność z lewym brzegiem, którą oblężeni dotąd podtrzymywali poprzez kursujące Dunajem statki rzecznej flotylii, została przerwana.

Z samego rana Kara Mustafa na czarnym wierzchowcu, okrytym kosztownym czaprakiem, wjechał na Prater. Oczom jego ukazały się zrujnowane pociskami domy, trupy obrońców i żarzący się popiół pogorzelisk. Zmęczeni, pijani od zapachu krwi janczarowie myszkowali po zadymionych ulicach, wyszukując rannych i na miejscu dobijając ich buzdyganami i szablami. Inni wynosili z ocalałych mieszkań zdobycz — cenne naczynia, odzież, obuwie, wino.

Kara Mustafa zatrzymał się na wysokim stromym brzegu Dunaju. Paszowie otoczyli go kołem, chłonąc każde słowo serdara.

— Na jutro ogłaszam szturm! — mówił Kara Mustafa. — O świcie zaatakujecie bastiony: Lwi i Zamkowy! Najpierw należy poddać obstrzałowi artyleryjskiemu raweliny *, które je przykrywają. Jak się wydaje, są to najsłabsze miejsca w całej obronie austriackiej... Spójrzcie tylko, jakie te mury są pokruszone! A rowy

* Rawelin (franc.) — inaczej półksiężyc, oskarpowane ziemne umocnienie bastionu.

zarosły zielskiem... Również bliższe miastu przyczółki są porosłe drzewami i zawalone gruzami budynków. Wasze zagony będą mogły zbliżyć się do obu bastionów na minimalną odległość. Stąd wedrzemy się do Wiednia, przepięknej stolicy tego nikczemnego tchórza Leopolda, który, jak mówią, najpierw uciekł do Linzu, a potem dał drapaka aż do Passau, posiadłości elektora bawarskiego. Cha, cha, cha!... Ale proszę was, czcigodni paszowie, nie rujnujcie miasta. Żaden pocisk nie powinien spaść na jego cudowne pałace i kościoły! Szkoda byłoby utracić takie bogactwo. Niezrównaną w swojej krasie katedrę Świętego Stefana zmienimy w meczet, który stanie się oparciem dla islamu w Krainie Złotego Jabłka. A Wiedeń uczynimy stolicą namiestnictwa, które pod względem swojego obszaru i zasobów będzie dorównywało całemu imperium! Miasto to będzie kluczem do pozostałej części Europy. Dlatego należy je oszczędzić. Poddajcie obstrzałowi mury, bastiony i raweliny! Zabijajcie ludzi — oni nie są nam potrzebni. Im więcej ich zgładzicie, tym lepiej. Natomiast samo miasto zachowajcie!

Paszowie, podniesieni na duchu powodzeniem, kiwali głowami na znak zgody, rzucali wesołe uwagi. Żaden z nich nie wątpił, że jutro jego zagony znajdą się w Wiedniu.

Arsen i Safar-bej wchodzili w skład pocztu serdara jako jego przyboczni czauszowie. Stali w pewnym oddaleniu, ale słyszeli każde słowo. I słowa te padały w ich serca na podobieństwo rozżarzonych kamieni.

— Zabiję Kara Mustafę! — wyszeptał Arsen.

— Coś ty? — Safar-bej spojrzał nań ze zdziwieniem.

— Jeśli on jutro zdobędzie Wiedeń, od razu każe przywieźć tutaj Złatkę. I wtedy nic już nie uratuje jej przed tym rozbestwionym staruchem. Nie mogę do tego dopuścić!

— I sam zginiesz!... Czy pomyślałeś chociaż, jak tego dokonasz? Kara Mustafa nigdy nie jest sam. Straże warują przy nim dzień i noc jak psy.

— Wybiorę stosowny moment... Albo i poświęcę życie!

— I cóż zyskasz? Złatkę wraz z całym haremem przejmą spadkobiercy. Wielki wezyr ma synów, którzy sprzedadzą wszystkie nałożnice w niewolę... Sułtan naznaczy innego serdara, który może nie potrzebować naszych usług i wyśle nas do okopów, gdzie bardzo szybko złożymy głowy... Czym i jak dopomożemy wtedy Złatce? Albo i swoim krajom rodzinnym? Naszym krewnym i bliskim?

Arsen długo milczał nachmurzony. Safar-bej bezsprzecznie ma rację. Kara Mustafę można zabić, ale jedynie za cenę własnego życia. To nie ulega wątpliwości. Ale co to da? Nie, trzeba by poszukać jakiegoś innego rozwiązania.

Westchnął i powiedział:

— Rozumiem to dobrze, Nenku, że zniszczyć trzeba nie tyle samego Kara Mustafę, co jego szarańczę... A jednak, ilekroć pomyślę o Złatce, serce mi się kraje z bólu i zaraz przestaję panować nad sobą. Nienawiść mąci mi rozum.

— Młodości właściwy jest brak rozwagi. Wiem to dobrze po sobie. Jednak, jako twój czausz-pasza rozkazuję ci, byś myślał nie tyle o zabójstwie Kara Mustafy, co raczej o tym, w jaki sposób przeszkodzić mu w jego krwawych zamierzeniach.

— Łatwo ci mówić — myśl!... Cóż tu można wymyślić?

Zamilkli i ze smutkiem w oczach patrzyli na siwawe dymy pogorzelisk i na wiekowe, w wielu miejscach nadgryzione zębem czasu mury obronne austriackiej stolicy. Doprawdy, cóż tu można wymyślić?

Wielki wezyr spiął konia ostrogami. Wspaniała kawalkada ruszyła w drogę powrotną. Arsen i Safar-bej zajęli swoje miejsca w orszaku i resztę podróży odbyli w całkowitym milczeniu.

2

Noc jest cicha, gwiaździsta, chociaż bezksiężycowa.

Młody czeladnik cechu piwowarów Jan Kulczek stoi na czatach na murach miejskich i uważnie spogląda w kierunku obozu tureckiego, gdzie przygasają migotliwe ognie. W jego sercu narasta niepokój. Jest to pierwsza w jego życiu wojna, w której bierze udział. I to jaka wojna! Na śmierć i życie. Raczej na śmierć...

Co prawda nieprzyjaciela stąd nie widać, jednak opasujący miasto pierścień ognisk świadczy o tym, że jest tuż-tuż, w pobliżu, i może nawet w tej chwili przygotowuje podkop, zakłada proch, by przez wyłomy w murach wraz ze wschodem słońca wedrzeć się do miasta straszną, niepowstrzymaną lawiną!

Jan Kulczek usiłuje policzyć te ogniska, ale szybko daje za wygraną, gdyż nie sposób tego uczynić; wokół migocą nie dziesiątki, nie setki, a tysiące ogni! Jest mu coraz bardziej smutno. Jaka straszna musi być ta potęga, co otoczyła miasto! Czy zdoła utrzymać się Wiedeń, czy też padnie razem ze swoimi obrońcami? A on, Jan? Co się z nim stanie? Czy polegnie w boju, czy też może spętany sznurem z surowej skóry, pociągnie jako jeniec do dalekiej Turcji?

Och, Janie, Janie! Zginiesz tutaj jak mucha na jesieni! I nigdy więcej nie zobaczysz rodzimego miasta Brna, najpiękniejszego zakątka na ziemi! Nie spotkasz więcej rodziców ani siostrzyczek, ani jasnowłosej ślicznej sąsiadeczki, która przyrzekła, że będzie czekać na

ciebie, aż powrócisz do domu jako wyzwolony mistrz sztuki piwowarskiej!

Nic z tego nie będzie, bo już chyba naładowana została nieprzyjacielska armata, której pocisk urwie ci głowę, albo też zaśpiewa ci pieśń śmierci bezlitosna strzała tatarska spadająca znienacka z błękitnego nieba!

Kulczek wzdrygnął się. Koło jego ucha przeleciała ze świstem strzała, tępo dziobnęła drewniany daszek wieży i utkwiła w nim.

Mój Boże! — przeżegnał się w przestrachu. — Gdybym stał o krok w lewo, krztusiłbym się teraz własną krwią!

Wyszarpnął strzałę, myśląc przy tym: Jeśli pozostanę żywy — zachowam ją na pamiątkę. Przywiozę do domu i niech się wszyscy dowiedzą, że ja tutaj nie tylko piwo warzyłem!

Miał już zatknąć strzałę za pas, gdy pod palcami zaszeleścił mu papier. Zdziwiło go to. Strzała okręcona papierem?... Ciekawe... Zszedł do pomieszczenia wartowników, gdzie w świetle łojowej świecy spali jego współtowarzysze, i podszedł do stołu.

Strzała była całkiem zwyczajna, z ostrym żelaznym grotem i białymi łabędzimi piórami na końcu. Niezwykły był dodatek do niej — sztywny arkusik papieru, przymocowany nitką do drzewca.

Kulczek rozerwał nitkę, rozprostował arkusik. Był to list. U góry było napisane po łacinie: „Do generała Starhemberga", a niżej biegł tekst po polsku:

Panie Generale!

Jestem waszym przyjacielem, któremu można zaufać — usilnie proszę, by Pan Generał zechciał w to uwierzyć. Nazywam się Kulczycki i pragnę przyjść z pomocą oblężonemu garnizonowi Wiednia oraz jego mieszkań-

com, by wygrali ten straszny pojedynek z wrogiem...

Spieszę donieść, że dzisiaj o świcie Turcy rozpoczną atak na dwa bastiony — Lwi i Zamkowy, a przedtem poddadzą obstrzałowi artyleryjskiemu zamykające je raweliny. Proszę więc być w pogotowiu!

Doniesienie moje najdalej dzisiaj rano zostanie potwierdzone przez działania nieprzyjacielskie. Będzie więc Pan Generał miał możność przekonać się, że mówię prawdę.

Postaram się pomagać wam także i w przyszłości, ale w tym celu musiałbym się spotkać z Panem Generałem osobiście i omówić wszystko dokładnie. Ale jak to zrobić? Otóż proponuję, żeby wasi zaufani ludzie przez parę nocy z rzędu czekali na mnie przy Schwechatskiej bramie i aby byli zaopatrzeni w sznurową drabinę, którą spuszczą w dół, jak tylko zagwiżdżę. Stawię się na pewno!

Nie muszę chyba dodawać, że Pan Generał niczym nie ryzykuje, natomiast ma dużo do wygrania.

Kulczycki

Jan Kulczek uderzył się dłonią w czoło. Chociaż był jeszcze bardzo młody i nie mógł pochwalić się wielką wiedzą, jak chociażby ci studenci uniwersytetu, co śpią tutaj pospołu z uczniami i terminatorami cechowymi, ale czytać umiał i po polsku rozumiał na tyle, by pojąć sens przeczytanego.

Matko Boska! Ależ ten kawałek papieru przedstawia nieocenioną wartość! Trzeba natychmiast przekazać go gubernatorowi!

Jan zbudził swojego towarzysza, również czeladnika-piwowara Jakuba Schmidta.

— Jakubie, przyjacielu! Wstawaj!

Tamten przetarł oczy, palcami przyczesał długie lniane włosy i spytał niezadowolony:

— Czego chcesz?

— Postój za mnie na czatach!

— Co się stało?

— Brzuch mię boli — skłamał Jan, chcąc uniknąć dalszego wypytywania. — Boję się, czy aby to nie dur... Wiesz dobrze, jakie spustoszenie czyni ostatnio ta choroba wśród mieszkańców miasta.

Jakub wstał niechętnie, naciągnął buty, sięgnął po muszkiet.

— Dobrze, leć... I módl się do wszystkich świętych, żeby to nie był dur brzuszny!

Jan Kulczek rzucił się do drzwi tak szybko, że jego współtowarzysz tylko pokiwał współczująco głową, i ciemnymi ulicami pobiegł do centrum miasta...

Generał Starhemberg wyszedł do niego w szlafroku i rannych pantoflach. Popatrzył pytającym wzrokiem na adiutanta, a potem na nieznajomego.

— Co się stało, młodzieńcze? Czyżby Turcy przeszli do natarcia?

— Proszę pana generała, nazywam się Jan Kulczek... Jestem czeladnikiem... — chłopiec nie wiedział, od czego zacząć.

— I po to mnie zbudziłeś, by powiadomić o tym?

— Ależ nie, przyniosłem list... Wystrzelony z łuku po tamtej stronie...

— Więc o to chodzi! — W oczach generała pojawiło się zainteresowanie. Obracał arkusz papieru w palcach. — Czy to po polsku?

— Tak.

— O czymże ten list? Przetłumacz mi go.

Jan Kulczek słowo w słowo przetłumaczył treść listu na język niemiecki.

— Mein Gott! — wykrzyknął zdumiony generał. — Ów życzliwy nieznajomy, jeśli tylko nie kłamie, uprzedza nas o grożącym miastu straszliwym niebezpieczeństwie!

— Nie inaczej, panie generale — skromnie potwier-

dził Kulczek. — Ja też to tak zrozumiałem i dlatego tylko ośmieliłem się zakłócić panu spokój...

Starhemberg uważnie przyjrzał się młodemu czeladnikowi, ubranemu w odzież prostego robotnika, na którego w innych okolicznościach z pewnością nie zwróciłby żadnej uwagi. Spodobał mu się — rosły, zdrowy, o rozumnym, a jednocześnie figlarnym spojrzeniu. Nie jest onieśmielony ani nie zapomniał języka w gębie, chociaż stoi przed generałem.

— Jesteś Czechem?

— Tak.

— Aha... Słuchaj mnie uważnie, Kulczek... — Generał nagle spojrzał na młodzieńca podejrzliwie. — Czekaj, czekaj... Czy to tylko przypadkowa zbieżność nazwisk: Kulczek i Kulczycki? Czy też łączy was jakieś pokrewieństwo?

Kulczek zamrugał w zdziwieniu.

— Nigdy owego Kulczyckiego nie widziałem na oczy! Jakież mogłoby nas łączyć pokrewieństwo? Do głowy by mi nie przyszło... Niby nazwiska podobne, ale też nie całkiem...

— Czyli po prostu zbieg okoliczności. No więc tak. Dobierz sobie jakiegoś chłopaka, któremu ufasz, i w nocy czekajcie na owego Kulczyckiego. Gdy się zjawi, natychmiast przyprowadźcie go do mnie. Zrozumiałeś?

— Tak jest, panie generale!

— Dziękuję ci za ten list i za wierną służbę. A teraz idź. — Nie czekając aż Kulczek wyjdzie z pokoju, generał zawołał adiutanta, który cały czas stał przy drzwiach w pozycji na baczność. — Franz, mundur i szpadę! Zwołać posiedzenie sztabu! Dowódcy mają stawić się u mnie! Mamy bardzo mało czasu, a musimy wzmocnić załogi obu bastionów — Lwiego i Zamkowego...

3

Przez cały tydzień Jan Kulczek wraz z Jakubem Schmidtem czekali na przybycie gości z tamtej strony. Od zmroku aż do świtu wpatrywali się w ciemność, natężali słuch — czy nie rozlegnie się gwizdnięcie... Nie mając nic do roboty, Jan po raz dziesiąty przypominał sobie tamten dzień, kiedy to Turcy przypuścili atak na bastiony.

O wschodzie słońca rozigrała się turecka artyleria. Bomby i kamienne pociski padały jak grad, ryły ziemne wały, kruszyły ceglane ganki, podpalały dachy najbliższych budynków. Ale straty w ludziach były minimalne, gdyż uprzedzeni przez nieznajomego przyjaciela, pochowali się wszyscy do piwnic i kamiennych schronów.

Potem obstrzał ustał — do szturmu ruszyli janczarowie. Nacierali z niezwykłą zaciętością. Zdawało się, że żadna siła nie zdoła powstrzymać tego pierwszego zmasowanego ataku. Paszowie wysyłali do boju biluk * za bilukiem i ortę za ortą — i wszystko na próżno. Na wpół zrujnowane bastiony wytrzymały aż do wieczora. Janczarowie wypełnili fosę ciałami zabitych, lecz wedrzeć się do miasta nie zdołali.

Przez kilka następnych dni panował dziwny i niezwykły spokój. Wiedeńczycy nie posiadali się z radości. Bo i jakżeby inaczej? Przecież odnieśli prawdziwe zwycięstwo!

I nikt prócz Starhemberga, Jana Kulczka oraz jeszcze paru osób nie wiedział, komu miasto zawdzięcza to zwycięstwo!

Nie było dnia, żeby generał nie znalazł rano sposobnej chwili i nie spytał Jana:

— No i jak?

---

* Biluk (tur.) — pododdział wojska.

Kulczek w poczuciu winy rozkładał ręce.

— Nie ma go, panie generale!

— Czekajcie! Pilnujcie! Jeśli żyw pozostał — przyjdzie na pewno!

Wreszcie którejś nocy usłyszeli tak długo wyczekiwane gwizdnięcie. Jan Kulczek poderwał się z miejsca, przechylił przez mur i wyjrzał na dół, ale nic nie mógł zobaczyć z powodu panujących ciemności.

Gwizdnięcie rozległo się powtórnie.

— Spuszczaj drabinę! — wyszeptał Kulczek.

Jakub Schmidt stał obok w pogotowiu. Drabina ześliznęła się po murze, a potem nagle naprężyła się. Ktoś szybko wstąpił nogą na najniższy szczebel i zaczął wspinać się do góry. Niebawem z mroku wyłoniła się janczarska czapka. Nieznajomy zgrabnie przeskoczył na ganek i odezwał się krótko:

— Prowadźcie do generała!

Starhemberg przyjął ich natychmiast.

— Więc tak wyglądasz, przyjacielu! — Generał wyciągnął obie ręce do młodego mężczyzny w mundurze janczara. — Nie masz w sobie nic z Turka prócz tej odzieży, panie Kulczycki! Dzięki za pomoc!

Kulczycki uśmiechnął się i zdjął czapkę. Skłonił się lekko. Miał ciemne włosy, gęste i niesforne. Twarz męska, opalona, szlachetna. Wyraziste oczy patrzyły uważnie, badawczo.

Starhemberg poprosił gości, by usiedli.

— Czy mówisz po niemiecku? Jeśli nie, pomoże nam porozumieć się Jan Kulczek...

— Mówię, ale nie najlepiej... Dobrze wyuczyłem się jedynie przekleństw, a nauczycielami moimi byli niemieccy rajtarzy, którzy służyli w wojsku kwarcianym króla polskiego.

— Aha, więc jesteś Polakiem. Czekamy tutaj z dnia

na dzień przybycia Jana Sobieskiego z twoimi ziomkami... W jaki sposób trafiłeś do Turków?

— Byłem u nich w niewoli. Teraz mam okazję odpłacić im pięknym za nadobne!

— Bardzo wiele nam pomogłeś, panie Kulczycki. Jak tylko odeprzemy wrażą nawałnicę, nasz cesarz wynagrodzi cię.

— Dziękuję. Ale obiecana nagroda — to sprawa przyszłości, panie generale. Najpierw trzeba zwyciężyć wroga!

Starhemberg z zainteresowaniem popatrzył na młodzieńca i zanotował w myśli, że nie ma do czynienia z prostaczkiem.

— Bezsprzecznie. Po to przecież walczymy... A twoja pomoc, jak się spodziewam, uchroni niejedno żołnierskie życie i stanie się ważkim wkładem w nasze przyszłe zwycięstwo!

— Ja również mam taką nadzieję — odparł Kulczycki. — A przybywam do was właśnie teraz nie po próżnicy. Kara Mustafa wyznaczył na jutro generalny szturm Wiednia!

— Oo! — Generał zerwał się z miejsca. Zaczął chodzić tam i z powrotem po gabinecie, nie kryjąc wielkiego zaniepokojenia. — Wiesz to na pewno?

— Tak jest. Z wiarygodnego źródła.

— To jest bardzo ważna wiadomość. Dziękuję ci za nią, przyjacielu! Przygotujemy się i będziemy w pogotowiu... Ach, ileż to krwi się przeleje! Ileż domów zostanie zburzonych!

Kulczycki również się podniósł.

— Jeśli chodzi o zniszczenia, będą one niewielkie. Turecka artyleria, tak samo jak i poprzednim razem, ostrzela jedynie wały i umocnienia. Kara Mustafa pragnie ocalić miasto dla siebie.

— Dla siebie?

— Tak. Chodzą słuchy, że marzy mu się założenie w Europie nowego cesarstwa islamskiego ze stolicą w Wiedniu. Akindżowie i Tatarzy palą wsie i zabijają ich mieszkańców, żeby z czasem zasiedlić te ziemie swoimi hordami.

W niebieskich oczach Starhemberga błysnął gniew.

— Co za nikczemne cele! Ale niełatwo przyjdzie Kara Mustafie wcielić je w życie! Będziemy się bili do ostatka!

— Wierzę w to, gdyż w przeciwnym wypadku nie starałbym się dopomóc panu, panie generale — z godnością przemówił Kulczycki. — Ale w czym jeszcze mógłbym być przydatny?

Starhemberg w zamyśleniu tarł dłonią czoło.

— Nie mamy połączenia z lewym brzegiem, z Karolem Lotaryńskim. Nie wiemy, co tam sobie o nas myślą... Nie wiemy, czego mamy się po nich spodziewać...

— Ustanowię takie połączenie! — pewnym głosem odparł Kulczycki.

— Jakże to zrobisz?

— Z miasta wydostanę się w ten sam sposób, w jaki tu wszedłem. Przez obóz turecki przeniknę bez przeszkód: dla Turków jestem swoim człowiekiem...

— A przez Dunaj?

— Pływam jak ryba!

— Naprawdę? Sam Bóg cię nam zesłał! — ucieszył się Starhemberg. — Słuchaj więc... Karolowi Lotaryńskiemu powiesz, że mamy dostateczną ilość prochu, pocisków, granatów i prowiantu... Ale za mało ludzi. Wielu poległo, jeszcze więcej jest rannych. Rozpanoszył się u nas dur brzuszny i zbiera bogatsze żniwo niż kule...

— W obozie tureckim jest to samo — wtrącił Kul-

czycki. — Jak tak dalej pójdzie, w ciągu miesiąca pochoruje się połowa wojska.

— Jednak i po tym zostanie Kara Mustafie co najmniej sto tysięcy ludzi! A jak jest u nas? Jeśli oblężenie przedłuży się do dwóch miesięcy, wymrzemy tutaj niczym muchy! Tak właśnie powiedz Karolowi. Niech spieszy z odsieczą...

— Powiem.

— A poza tym dowiedz się, czy nie nadciągnął król polski i czy przybyli książęta niemieccy ze swoim wojskiem. To też jest dla nas wiadomość wielkiej wagi.

— Dobrze, dowiem się. — Kulczycki nałożył czapkę. — Powrócę, jak tylko zdołam najszybciej... Ale najważniejsze — to odparcie jutrzejszego szturmu! Życzę panu powodzenia, generale!

Kulczycki stanął na baczność. Starhemberg objął go i ucałował w policzek.

— Dziękuję ci, synu mój...

4

Generalny szturm Wiednia, zgodnie z doniesieniem Kulczyckiego, rozpoczął się wczesnym rankiem. Do natarcia ruszyły szeregi janczarów, poprzedzone salwami z trzystu armat, które uderzyły po murach i bastionach.

Jan Kulczek i Jakub Schmidt wyskoczyli z piwnicy, gdzie się schronili przed obstrzałem, i zajęli swoje miejsca przy Schwechatskiej bramie. Byli uzbrojeni w muszkiety. Każdy z nich miał na jednym ramieniu skórzany woreczek pełen ołowianych kul, a na drugim — prochownicę na pasku. U lewego boku zwisały im szpady, które przeleżały w magazynie chyba jeszcze

od czasów wypraw krzyżowych, gdyż zdążyły porządnie zardzewieć.

Słońce dopiero co wzeszło i świeciło prosto w oczy. Kulczek przysłonił twarz dłonią i spojrzał w dół, na zalany słonecznym blaskiem obóz nieprzyjaciela.

Oczom jego przedstawił się straszny, a zarazem wspaniały widok. Tysiące wojowników w szerokich barwnych szarawarach, z różnokolorowymi proporczykami w ręku wyłaniały się z okopów pod dźwięki tułumbasów i trąb, chwytały drabiny szturmowe i pędziły w stronę miasta.

Za niosącymi drabiny biegli uzbaszowie — setnicy — na czele swoich sotni, które miały zdobywać mury w bezpośrednim natarciu.

Gdy tylko przednie szeregi atakujących zbliżyły się na odległość lotu kartacza, z murów uderzyły działa. Odpowiedział im krzyk bólu i nienawiści bez granic. Wielu janczarów upadło na ziemię, nie zdoławszy dobiec do fosy, i wiło się teraz w śmiertelnych drgawkach.

Ogniomistrze przystąpili do ponownego załadowania dział, a tymczasem wypalili z muszkietów żołnierze i pospolite ruszenie. Padło dalszych kilkudziesięciu napastników. Ale inni już zdążyli dosięgnąć fosy, przesadzić ją, wedrzeć się po skarpie na górę i przystawić do murów drabiny, po których zaczęli pełznąć jak mrówki. Cały obóz turecki rozbrzmiał groźnym okrzykim: „Ałła! Ałła!"

Od tej chwili dla obu czeladników cechu piwowarów — Jana Kulczka i Jakuba Schmidta — czas jakby stanął. Zdawało się im, że trwają w jakimś śnie. Z początku strzelali do napastników. Jan ładował muszkiet i przekazywał go szczuplutkiemu, jasnowłosemu i delikatnemu jak panienka Jakubowi, który wbrew temu, co sugerowała jego powierzchowność, miał twar-

dę serce i wprawną rękę. Żaden jego wystrzał nie poszedł na marne, a przy tym prawie nie celował; wdzierający się na drabiny janczarowie sami nadstawiali piersi i głowy pod jego kule. Nie mając gdzie się kryć, spadali z wrzaskiem na ziemię jak dojrzałe gruszki.

Jakub był cały czerwony, oczy mu błyszczały, na czoło wystąpił obfity pot. Po każdym udanym strzale wołał:

— No, pięknie, pięknie! No jak, smakuje wam mój poczęstunek, psie syny? Zabierajcie się stąd do wszystkich diabłów, a żywo, wy brudne świnie!

Jednak muszkiety obrońców nie mogły powstrzymać impetu atakujących i janczarowie wdarli się na mury. Wtedy obaj przyjaciele chwycili za szpady. Żaden z nich nie miał dotąd okazji posługiwać się tą bronią, dlatego też odczuli prawdziwy wstrząs, patrząc, z jaką łatwością, niby nóż w masło, wchodzi giętkie żelazo w ludzkie ciało. Ale nie był to czas na jakiekolwiek rozmyślania. Obaj działali i poruszali się jak w gorączce... Razem z resztą obrońców wydawali okrzyki bojowe, rzucali się do starć wręcz i cieszyli się, gdy któryś tam z kolei janczar, nie zdoławszy wtargnąć na wały, zlatywał w dół ugodzony skutecznym cięciem...

Walka wrzała na całej linii od Schwechatskiej bramy na wschodzie do Szkockiej na zachodzie. Generał Starhemberg przemierzał miasto konno wzdłuż i wszerz, wdrapywał się na mury, dodawał otuchy walczącym.

— Trzymajcie się mocno, przyjaciele! Nie mamy gdzie się cofać! Przed nami dwie drogi wyjścia: albo śmierć, albo niewola turecka... Bijcie antychrysta! Nie żałujcie prochu, mamy go w piwnicach pod dostatkiem! Wycinajcie w pień przeklętników! Rąbcie ich swoimi to-

porami! Sypcie im piasek w oczy! Lejcie na ich głowy wrzącą smołę!

Generał był niewysokiego wzrostu, korpulentny, a przy tym zwinny i odważny jak stu diabłów razem wziętych! Pakował się w największą ciżbę, tam gdzie było najgoręcej, a jego potężny, dudniący głos zagłuszał zgiełk walki i napełniał serca nadzieją:

— Trzymajcie się, przyjaciele! Trzymajcie się mocno!

Przekonawszy się, że „przyjaciele" trzymają się, pędził dalej...

W południe, gdy walki osiągnęły punkt kulminacyjny, Starhemberg wszedł na wieżę katedry Świętego Stefana. Wysoka, skierowana w niebo na podobieństwo cienkiej szpady wieża, dawała szerokie pole obserwacyjne: widać było stąd nie tylko całe miasto i obóz turecki, ale także okolicę w promieniu kilkudziesięciu mil.

Stał już tutaj z lunetą stary Kolonitz. Starhemberg wziął od niego lunetę i przybliżył do oczu.

Z dzwonnicy było widać wszystko jak na dłoni; zarówno ciemne kolumny janczarów, które podchodziły na zmianę przerzedzonym i utrudzonym bilukom, jak i czerwony namiot Kara Mustafy z kręcącą się przed nim gromadą jeźdźców, a także ogień wylatujący z dział fortecznych i krzątaninę na murach... Turecka artyleria nie odzywała się, chociaż mogła zarzucić pociskami całe miasto! Nie dziwiło to generała, który wiedział o przyczynach tego niezrozumiałego zachowania się przeciwnika — był przecież powiadomiony przez Kulczyckiego.

Kulczycki! Stary generał czuł do tego człowieka serdeczną wdzięczność i wręcz braterską miłość.

Przyjacielu najdroższy! Sam los cię zesłał mi i wszystkim wiedeńczykom! — myślał kierując lu-

netę w drugi kraniec miasta. — Już po raz drugi w ciągu ostatnich dziesięciu dni uprzedziłeś nas o mającym nastąpić wrogim natarciu! A jeśli uda ci się zanieść wiadomość o naszej sytuacji Karolowi Lotaryńskiemu, będzie to czyn wręcz bohaterski i wdzięczność moja nie będzie miała granic!

Nagle luneta w jego ręku drgnęła. Co się tam dzieje, hen, przy Schwechatskiej bramie? Czyżby janczarom udało się zdobyć tamten odcinek?

— Panie Kolonitz, spójrz no pan, jeśli łaska... Tam chyba coś nie bardzo...

Kolonitz ujął lunetę.

— Wszystko idzie dobrze, panie generale! Nie ma podstaw do niepokoju. Przetrzymamy godzinę, może dwie, aż Turcy odtrąbią atak. Niech mnie Bóg skarze, jeśli się mylę, ale widzi mi się, że Kara Mustafę spotka dzisiaj siurpryza co się zowie!

Nagle luneta drgnęła mu w ręku. Kolonitz zamilkł i tylko przyglądał się czemuś pilnie. Wreszcie zaklął:

— A niech to pioruny i błyskawice! Rzeczywiście, obok Schwechatskiej bramy dzieje się coś nadzwyczajnego... Wygląda na to, że odbywa się tam rzeź... Chodźmy!

Szybko zeszli na dół. Zanim Kolonitzowi podprowadzono konia, Starhemberg zdążył skoczyć w siodło i w towarzystwie eskortujących go adiutantów popędził w kierunku wschodniej dzielnicy miasta.

Z drugiej strony zbliżały się zbrukane krwią wozy, na których wieziono rannych. Generał ujrzał blade, wykrzywione grymasem bólu twarze, przesiąknięte krwią bandaże, szeroko otwarte oczy, spieczone usta... Niektórzy jęczeli, inni błagali o łyk wody, jeszcze inni leżeli w milczeniu, mocno zacisnąwszy szczęki.

Generał obrzucił wozy bystrym spojrzeniem, ale nie zatrzymał się — gnał co tchu dalej. Najpilniejszą spra-

wą było teraz odparcie nieprzyjaciela, zamknięcie mu drogi do miasta i odrzucenie od murów.

Na wale obronnym i na placu przy Schwechatskiej bramie trwał zacięty bój. Rąbano się na szable i jatagany, cięto wzajemnie szpadami i bagnetami. Roztrzaskiwano czaszki buzdyganami i siekierami bojowymi...

Starhemberg zeskoczył z konia, wyciągnął szpadę i rzucił się w sam środek walki.

— Naprzód, bracia! Naprzód!

Adiutanci zabiegli mu drogę, zasłonili sobą przed kulami i ciosami szabel.

Obecność generała i dwudziestu jego adiutantów, a także straży przybocznej napełniła serca wyczerpanych walką obrońców nowymi siłami. Ze wszystkich stron rozległy się głosy:

— Generał bije się razem z nami! Generał jest przy nas! Śmiało, braciszkowie! Pobijemy na głowę tych psów nieczystych!

Janczarowie, którzy zdołali wedrzeć się na plac, również walczyli w pocie czoła. Spodziewana pomoc nie nadchodziła, gdyż świeże oddziały, jakie przyprowadził ze sobą Starhemberg, odcięły jej dojście na samym szczycie wału. Dlatego też walczyli z determinacją skazańców — nie mieli drogi odwrotu.

Jan Kulczek i Jakub Schmidt cały czas trzymali się razem. Ich długie szpady nanosiły celne cięcia. Młodzieńcy zapomnieli o wszystkim na świecie prócz jednego: bić wroga! Zgubili gdzieś czapki, odzież mieli zalaną krwią — własną i cudzą — obfity pot ściekał im po twarzach...

Wir śmierci porwał ich w swoje objęcia i od wielu już godzin kręcił w niesamowitym tańcu, któremu, jak się zdawało, nie będzie końca!

Zobaczywszy generała, rzucającego się do walki ze

szpadą w ręku, chłopcy jeszcze bardziej nasiedli na przeciwnika i przyparli go do muru. Janczarowie bronili się z niezwykłą zaciętością. Pozostało ich ze dwudziestu, ale musieli to być doświadczeni wojownicy, gdyż szable ich nie chybiały, ścinając głowy obrońców Wiednia.

Nie uszedł swemu przeznaczeniu i Jakub Szmidt. Zaabsorbowany walką wręcz, nie zauważył, że z boku zbliża się doń jeszcze jeden przeciwnik. Nieprzyjacielska szabla z rozmachu cięła go w jasne ciemię.

— Och! — zakrzyknął głucho i padł na ziemię.

Jan Kulczek w niczym nie mógł pomóc przyjacielowi — tamten już przestał oddychać. Leżał na ziemi twarzą do góry, szczupły, delikatny i martwymi niebieskimi oczyma spoglądał w jasne letnie niebo.

Gdy padł ostatni janczar z atakującego zagonu, Czech pochylił się nad ciałem przyjaciela i palcami zamknął mu powieki. Długo patrzył nieprzytomnym wzrokiem na nieruchomą twarz, a z oczu spływały mu łzy.

Wtem poczuł na ramieniu czyjąś rękę. Podniósł wzrok — nad nim stał generał.

— Zuch z ciebie, chłopcze! Widziałem, jak się biłeś... Ale na przyszłość zabraniam ci narażać życie. Potrzebny mi jesteś do innych celów. Zrozumiałeś?

— Tak jest, panie generale!

Kulczek podniósł się, włożył szpadę w pochwę. Wytarł podartym rękawem okopconą i zbryzganą krwią twarz i dopiero teraz poczuł, że po całodziennym wysiłku drżą mu ręce, a usta wyschły, jakby posypano mu je gorącym popiołem.

5

Nastała przerażająca noc. Ucichła strzelanina armatnia, zamilkły muszkiety, ustały okrzyki rozgorącz-

kowanych walką wojowników. Ciszę nocną wypełniły przedśmiertne jęki konających, wrzaski i błagania, odgłosy kłótni i przekleństwa rannych, którzy pospołu z zabitymi leżeli wokół miasta. Nikt nie mógł zasnąć tej nocy — ani ukrywający się po domach wiedeńczycy, ani Turcy w swoich namiotach.

Na drugi dzień z rana Starhemberg wysłał do Kara Mustafy oficera z zawiadomieniem, iż Austriacy nie będą otwierali ognia, dopóki z pola walki nie będą wyniesieni ranni i pochowani polegli.

Przez kilka dni wokół Wiednia panowała niczym nie zmącona cisza, przepełniona trupim zaduchem. Tak z jednej, jak i z drugiej strony nie padł ani jeden strzał. Tureccy sanitariusze i oddziały pogrzebowe bez przeszkód wynosiły rannych i tych, którzy „udali się do rajskich ogrodów Allacha". Dopiero wtedy, gdy w okopach nie pozostał ani jeden trup, z obozu tureckiego rozległ się wystrzał z haubicy oznajmiający, że czas rozejmu się skończył. Nieprzyjaciel rozpoczął wielodniowy obstrzał murów i bastionów.

Starhemberg oczekiwał kolejnego szturmu, z niepokojem obserwując przerzedzone szeregi obrońców stolicy. Jednak Turcy zachowywali się spokojnie, co wreszcie zastanowiło starego generała. Dlaczego Kara Mustafa nie atakuje? Co nowego zamyśla? Czyżby szykował podkop i zakładał miny pod wały obronne? Czy też czeka na posiłki? A może wyczekuje jakiejś sposobniejszej chwili, by uderzyć?

Generał nie kładł się spać, chodził w nocy wzdłuż murów i nadsłuchiwał. Czy nie rozlegnie się w ciszy stukot łomów i odgłos łopat? Na jego rozkaz nasłuchiwali również oficerowie i żołnierze, przykładając ucho do ziemi. Wszystko na próżno — Turcy nie prowadzili podkopów. Czy może robią je tylko w ciągu dnia, kiedy ziemią wstrząsają wybuchy?

Podczas jednej z takich bezsennych nocy Jan Kulczek przyprowadził do generała Kulczyckiego.

— No i jak? Opowiadaj! Widziałeś się z Karolem Lotaryńskim? — Generał zaprosił obu młodych ludzi do stołu, kazał podać wina, niecierpliwie czekał na odpowiedź. — Opowiadajże! Jakie wieści przekazuje mi książę?

— Książę wysłuchał uważnie, co mu miałem do powiedzenia odnośnie sytuacji w Wiedniu, i prosił zapewnić pana generała, że ani na chwilę nie zapomniał o oblężonej stolicy — odpowiedział Kulczycki. — Już idą na odsiecz ze swoim wojskiem kurfirści bawarski i saski... Z dnia na dzień oczekuje się przybycia króla Jana Sobieskiego na czele armii polskiej. Lada chwila mają też przybyć Frankończycy... Zjednoczywszy te wszystkie siły, książę z miejsca uderzy na Kara Mustafę i przerwie oblężenie. Tak przynajmniej zapewnia Karol Lotaryński.

Starhemberg chłonął każde słowo Kulczyckiego, ale troska i zakłopotanie nie zniknęły z jego oczu.

— Najbardziej niepokoi mnie to, że w mieście panoszy się dur brzuszny. Codziennie grzebiemy zmarłych, wygląda, że ta choroba czyni większe spustoszenia niż wojna...

— Mówiłem o tym również. Książę prosił, by przypomnieć waszej wielmożności, iż pomór i zaraza — to nieodłączni towarzysze wojny, a przede wszystkim stanów oblężenia... Jednak mimo wszystko należy się trzymać. Wiedeń nie może złożyć broni!

— Nawet nie myślimy o tym! — wykrzyknął gubernator. — Jednego wszakże zrozumieć nie mogę. Jak to się dzieje, że Kara Mustafa, wiedząc o tym wszystkim, nie przystępuje do szturmu? Co zamyśla? I podkopów nie robi...

Kulczycki odpił trochę wina, przygładził swój nie-

wielki, przystrzyżony wąsik. Spojrzenie jego było pełne powagi.

— Generale! Kara Mustafa nie spodziewał się aż tak zdecydowanej odprawy, jaką dał mu pan podczas pierwszego, a także następnego szturmu. Straty Turków są ogromne! W ich obozie również jest wielu chorych. Narasta niezadowolenie. Wyższe dowództwo wszczyzna pomiędzy sobą swary, szerzy niezgodę. Dlatego też wielki wezyr, biorąc to wszystko pod uwagę, podjął nowe decyzje.

— Jakież to?

— Postanowił zamorzyć oblężonych głodem.

— Mamy dostateczną ilość zapasów żywności i Kara Mustafa nie może o tym nie wiedzieć.

— Czego nie zdziała głód, dokonają choroby... Prócz tego Kara Mustafa pokłada wielkie nadzieje w podkopach minowych. Turcy są mistrzami w robotach ziemnych.

— Wiem o tym. Jednak jak na razie nie słychać, by ryto ziemię.

— Ryje się, panie generale. Wiem, że od strony Leopoldstadtu są prowadzone dwa podkopy jednocześnie, a poza tym jeden od strony Prateru. Jest to bardzo dogodne miejsce, ogrody tam niemal przytykają do wałów, jest więc gdzie niepostrzeżenie wynosić ziemię. Proszę pilnie uważać na obu tych odcinkach! Nie jest wykluczone, że i gdzie indziej Turcy również działają...

— Wielcem ci wdzięczny, przyjacielu! — Generał przechylił się poprzez stół i uścisnął Kulczyckiemu rękę. — To jest niezwykle ważna dla nas wiadomość! Zrobimy, co tylko w naszej mocy, żeby przetrzymać. Ale jeśli oblężenie potrwa dłuższy czas, jesteśmy zgubieni... Całą nadzieję pokładamy w szybkiej odsieczy króla i książąt niemieckich!

Jan Sobieski, z którym tak wielkie nadzieje wiązał gubernator Wiednia Starhemberg, przybył do obozu Karola Lotaryńskiego dopiero pod koniec sierpnia. Przyprowadził ze sobą śmiesznie mało wojska — wszystkiego cztery tysiące jazdy.

Król był zły jak wszyscy diabli! I nie bez przyczyny. Trawił go wstyd. Przez całą drogę, ilekroć przypomniał sobie wydarzenia ostatnich miesięcy, krew uderzała mu do głowy i zalewała rumieńcem twarz. Przeklęta magnateria! Postawiła w końcu na swoim — nie dała na wyprawę ani złotówki! Do lipca sumptem króla zebrano i wyekwipowano cztery tysiące kawalerii kwarcianej, czyli huzarów. Do tego można było dodać dwa tysiące regularnych żołnierzy *. Reszta, czyli parę tysięcy piechurów, o których prosił Leopold, to jedno wielkie nieporozumienie! Nie wojacy, a jeno zwyczajni chłopkowie — polscy, litewscy i białoruscy wieśniacy! Ubrani w świtki, w białe płócienne koszule, chodaki albo nawet w łapcie z łyka! Nie wiadomo, czy w ogóle umieją strzelać z muszkietów! Artyleria — to też takie byle co. Wszystkiego dwadzieścia osiem armat! I to w czasie, gdy — jak powiadają — Kara Mustafa dysponuje blisko tysiącem dział, a na murach Leopoldowej stolicy stoi ich dwieście! Hańba i tyle! Oto do czego doprowadziły intrygi między magnatami i wzajemna zawiść! Każdy z nich pragnie zostać królem, ale dla chwały i wielkości ojczyzny złamanego grosza skąpi! Przekleństwo!

Gdy do Tarnowskich Gór przybył wysłannik cesarza Leopolda, generał Karaffa, i zapragnął zobaczyć wojsko, które miało wyruszyć pod Wiedeń — niewiele

* W rzeczywistości wojska koronne liczyły 27 tys. żołnierzy; w tym 13 tys. piechoty i 14 tys. jazdy (przyp. red).

można mu było pokazać. Ukryto w sąsiednich wioskach zarówno tę, pożal się Boże, piechotę, jak i nieszczęsną artylerię... Przez plac przedefilowała jedna tylko kawaleria, z której zresztą generał był zadowolony, i prosił, by wyruszyła natychmiast na przełaj przez Węgry, tłumiąc po drodze powstałe przeciwko austriackiemu jarzmu oddziały węgierskich rebeliantów.

Ale Sobieski nie poszedł przez Węgry. Za daleko. A przede wszystkim to nie życzył sobie być chłopcem na posyłki u cesarza Leopolda, znanego chytrusa i intryganta. Dlatego też poprowadził swoje wojsko forsownym marszem prostą drogą przez Śląsk i Morawy.

W Hollabrunnie bardzo serdecznie powitał go Karol Lotaryński, nie kryjąc jednak rozczarowania na widok tak mizernych oddziałów, które przyprowadził Sobieski. Król odpowiedział, że jego śladem posuwa się hetman Stanisław Jabłonowski z głównymi siłami. Przy tych słowach serce jego zabiło trwożnie. A co będzie, jeśli Kozacy odmówili wzięcia udziału w wyprawie i Mężyński powrócił z Ukrainy z niczym? Z czym wtedy przybędzie Jabłonowski? Z tą żałosną piechotą i artylerią, które pozostały w Tarnowskich Górach?

Męczyła go niepewność. Jednak nie było czasu na smutki i rozmyślania. Tego samego dnia do Hollabrunnu przybył hrabia von Waldeck ze swoimi Frankończykami, a w Stettelsdorfie przyłączył się do nich elektor saski.

Sojusznicy wyruszyli do Tulln, który znajdował się w odległości pięciu mil od stolicy Austrii. Przystąpiono do budowania mostu pontonowego na Dunaju. Nadszedł również elektor bawarski ze swoimi rajtarami.

Przez kilka dni wrzała praca. Gdy most był na ukończeniu, zjawił się wreszcie Jabłonowski. Ach, lepiej by było, gdyby się w ogóle nie zjawił! Albo gdyby zatrzymał się gdzieś w polu... Ale nie — hetman musiał

wmaszerować do obozu sojuszniczego i przejść wzdłuż oddziałów austriackich, saskich i bawarskich, obok namiotów sztabowych... Zatrzymał się dopiero nad brzegiem Dunaju.

Sobieski spojrzał i ręce mu opadły. Przesuwali się przed nim zmęczeni, zakurzeni, człapiący zdeptanym obuwiem najzwyczajniejsi chłopi z Opolszczyzny, Mazowsza, Litwy, Białorusi i Galicji. Przeturkotało parę armat wiezionych na niezgrabnych wiejskich wozach... Wśród tej zbieraniny zaledwie dwa tysiące regularnego wojska miało przyzwoity wygląd. Wśród nich król rozpoznał wspaniałe rude wąsiska pana Spychalskiego.

Czerwonolicy bawarscy rajtarzy, syci i dobrze ubrani, zaczęli szydzić:

— Ch, cha, cha, ale wojacy! Nawojujesz się z takimi!

— Fritz, głowę daję, że ci polscy bauerzy ani razu w życiu nie wąchali prochu!

— Zgadzam się z tobą, Michel, tacy natychmiast puszczają w ruch pięty, gdy tylko usłyszą pierwszy wystrzał!

Te prześmieszki doszły do uszu Sobieskiego, który gotów był zapaść się pod ziemię. I gdy podjechał doń na koniu Jabłonowski, zapytał go surowo miast przywitania:

— Gdzież są Kozacy, panie Stanisławie? Przyprowadziłeś ich czy nie?

Wysoki, chuderlawy hetman pokiwał głową ze znużeniem.

— Nie, wasza królewska mość, nie przyprowadziłem...

— Matko Boska! A tak na to liczyłem!

— Ale oni są w drodze, najjaśniejszy panie. Pułkownik Mężyński powiadomił mnie, iż prowadzi szesnaście tysięcy Kozaków. Nie mogłem czekać, gdyż

generał Karaffa usilnie nalegał, bym wyruszył możliwie najszybciej. Dlatego też wyznaczyłem Mężyńskiemu przewodników, a sam pośpieszyłem w ślady waszej królewskiej mości...

Sobieski nie uwierzył:

— Szesnaście tysięcy? Nie może być!

Urażony Jabłonowski wzruszył ramionami.

— Tak przynajmniej zameldował mi goniec Mężyńskiego.

— Ależ to cudownie, panie Stanisławie! — wykrzyknął król zachwycony. — Szesnaście tysięcy!

Nastrój jego od razu się polepszył. Nawet na zwykle blade policzki wystąpił lekki rumieniec. Momentalnie obliczył w myślach, że uwzględniając Kozaków, będzie miał trzydzieści tysięcy zbrojnych i ucieszył się jeszcze bardziej... Nie czterdzieści, co prawda, jak zobowiązał się wystawić, ale zawsze! Cała armia!

— No to w takim razie, panie Stanisławie, pchnij na spotkanie Mężyńskiemu feldjegra *. Niech się pośpieszy! Musi przybyć przed rozpoczęciem generalnej bitwy!

Na radzie wojennej **, zgodnie z umową polsko-austriacką, Jan Sobieski został wybrany głównodowodzącym zjednoczonych armii sojuszniczych. Z miejsca też wydał swój pierwszy rozkaz: rozpocząć przeprawę na drugi brzeg Dunaju. Zauważył przy tym:

— Panowie! Wszystkie nasze siły z wyjątkiem pułków kozackich, które przybędą lada chwila, zebrane są w jedną zwartą pięść. Czekać dłużej nie możemy ani nie mamy do tego prawa. Wiktorię odnosi się jedynie w wyniku decydującej walki! Dlatego też już w najbliższych dniach wydam Kara Mustafie bitwę

* Feldjeger (niem. Feldjäger) — goniec oddziału wojskowego, kurier.

** 3 września w Stettelsdorfie (przyp. red.).

generalną! Proszę przeprawiać hufce w dzień i w nocy, ale bez zbytniego szumu i hałasu, by nie ściągnąć uwagi przeciwnika...

Gdy się zebrani rozeszli, Karol Lotaryński, w namiocie którego odbywała się narada, zbliżył się do Sobieskiego, koleżeńskim ruchem ujął jego rękę — obaj panowie w ciągu tych kilku dni zdążyli się zaprzyjaźnić — i powiedział:

— A teraz chciałbym przedstawić waszej królewskiej mości człowieka, który we wszystkich trzech obozach: naszym, tureckim i wśród załogi Starhemberga czuje się tak dobrze jak ryba w wodzie...

— O! To nadzwyczaj interesujące! — Oczy Sobieskiego rozbłysły, zrobił oko do swojego sekretarza Talentiego, który nie pozostawiał króla ani na chwilę samego. — Któż to taki? Cóż uczynił ów człowiek?

— Jest to nasz zwiadowca działający w obozie nieprzyjacielskim. Dzięki niemu zarówno ja, jak i Starhemberg znamy wszystkie zamysły Kara Mustafy. Podtrzymuję przez niego łączność z oblężonym Wiedniem.

— Coś podobnego! A czy on czasem nie oszukuje księcia?

— Ja też z początku żywiłem niejakie podejrzenia, lecz wkrótce przekonałem się, że jest on naszym oddanym przyjacielem... Nie wiem, z jakiej przyczyny, ale ten człowiek z całego serca nienawidzi Kara Mustafy. To uczucie przepełnia całą jego istotę...

— Jak się nazywa?

— Kulczycki.

— Sądząc z nazwiska — Polak?

— Możliwe, wasza królewska mość. Ale proszę go o to samego zapytać. — Karol Lotaryński ujął w rękę dzwonek. Na jego melodyjny dźwięk do namiotu wszedł adiutant. — Prosić tu Kulczyckiego!

Nie czekali długo. Nie minęła minuta, jak do namiotu wkroczył młody smukły oficer w mundurze armii austriackiej.

Ujrzawszy Sobieskiego, zatrzymał się na krótki moment w progu, jakby namyślając się, jak ma się zachować w obecności króla, a potem zdecydowanym krokiem, jak przystało na człowieka nawykłego do służby wojskowej, podszedł bliżej i złożył ukłon, przy czym przywitał się po polsku:

— Witam waszą królewską mość!

Sobieski wytrzeszczył oczy. Ależ to jest ten sam szlachcic, który tak wielką przysługę oddał mu wtedy w zimie w Warszawie! Chociaż ma na sobie inny mundur — pomyłka jest wykluczona. Toż to te same szare, uważnie patrzące oczy, równy, z lekkim garbkiem nos, krótki ciemny wąsik i gęste ciemne włosy, wysuwające się spod czapki w niesfornych kędziorach! Tylko że tamten nazywał się inaczej...

Zaskoczony król spojrzał na Karola Lotaryńskiego i zapytał go po francusku:

— Czy to ów Kulczycki, monsieur?

— Tak jest, najjaśniejszy panie!

Sobieski znowu popatrzył na młodego oficera. Nawet przetarł oczy pięścią, jakby nie dowierzając własnemu wzrokowi.

— Jak się nazywasz, waszmość? Jak mam się do ciebie zwracać?

— Kulczycki jestem, wasza królewska mość! — oficer stanął na baczność.

— Niech mnie piorun strzeli, jeśli nie widziałem ciebie pewnego razu w Warszawie, ale wtedy nosiłeś całkiem inne nazwisko!

— Tak jest, najjaśniejszy panie. To nie jest pomyłka. Wówczas nazywałem się Komarnicki.

Król zaczął śmiać się wesoło, aż kołysał mu się

brzuch, ciasno opięty zielonym pasem, zdobionym jedwabnymi chwastami, czym wprawił w niemałe zdumienie Karola Lotaryńskiego, który nie rozumiał po polsku.

— Cha, cha, cha, widzisz więc, waszmość, jak dobrą mam pamięć! Od razu cię poznałem... Nie rozumiem tylko, na co ci się zdała ta cała maskarada? Kim jesteś naprawdę — Komarnickim czy Kulczyckim?

— Proszę, niech wasza królewska mość zechce nazywać mnie Kulczyckim. Wszyscy mnie tutaj znają pod tym właśnie nazwiskiem.

— A może nie jesteś ani jednym, ani drugim? Hę? — Sobieski chytrze zmrużył oczy, przez co upodobnił się do zwyczajnego szlachciury, który jest za pan brat z własnym chłopem.

— Różnie się zdarza na tym świecie, wasza królewska mość! Bywa, że lepiej wystąpić pod cudzym imieniem. Przecież nie każdy ma tak dobrą pamięć, jak, nie przymierzając, najjaśniejszy pan — z odrobiną chytrości w głosie i spojrzeniu odparł młody człowiek. — I czy to ma jakiekolwiek znaczenie, jak się naprawdę nazywam? Najważniejsze — to dać solidnego łupnia Kara Mustafie, żeby uciekał i nie oglądał się poza siebie i żeby nigdy więcej nie śmiał wetknąć swego nosa do cudzego prosa — ani w Austrii, ani w Polsce, ani na Ukrainie!

Sobieski od razu spoważniał.

— Dobrze mówisz, panie Kulczycki czy też panie Komarnicki, czy jak tam ciebie jeszcze zowią... Ee, to zresztą bez różnicy, jak się nazywasz! Grunt, że ci wierzę. Powiedz mi jednak, przyjacielu, czym to wytłumaczyć, iż Turcy nie zajęli Tulln i pozwolili nam zbudować most, a teraz nie czynią przeszkód podczas przeprawy naszych wojsk na drugi brzeg?

— Tłumaczę to jedynie zadufaniem Kara Mustafy

we własne siły. W gruncie rzeczy on nie wierzy, by sojusznicy mieli odwagę wkroczyć na prawy brzeg, wasza królewska mość. Myśli, że się przestraszą jego przeważającej siły bojowej.

— Jakaż to jest ta jego siła?

— Jeśli nie liczyć zabitych, rannych i chorych, zdatnych do walki wojowników pozostało mu nie więcej jak sto tysięcy...

— Sto tysięcy? Czy się nie mylisz? Ależ chodzą słuchy, jakoby Kara Mustafa przyprowadził trzechsettysięczne wojsko!

— To przesada, wasza królewska mość. Prócz tego razem z wojskiem na wyprawę wyruszyło mnóstwo cywilnej ludności — woźnice, poganiacze bydła, kucharze, markietanci, cyrulicy... Tych można nie brać pod uwagę.

Sobieski odsapnął z ulgą, znacząco popatrzył na Karola Lotaryńskiego i pana Talenti.

— A jaką artylerię wystawiają przeciwko nam Turcy? Mówi się, że Kara Mustafa ma tysiąc dział?

Arsen — gdyż to był on — uśmiechnął się.

— Proszę nie wierzyć tym pogłoskom, najjaśniejszy panie. Jest ich trzykrotnie mniej. Tutaj nie mogę się mylić, jako że na własne oczy widziałem cały ten tabor artyleryjski. Turcy zawsze przesadzają, jeśli chodzi o ich siłę bojową, chcąc zastraszyć przeciwnika.

— Wiem o tym — w zamyśleniu przemówił król. — Nie po raz pierwszy wszak się z nimi spotykam. Pod Chocimiem było podobnie. — Zamilkł pogrążony w rozmyślaniach czy też wspomnieniach.

Arsen odczekał pewną, pełną szacunku chwilę, a potem przerwał to milczenie.

— Najjaśniejszy panie, gubernator Wiednia, generał Starhemberg, w czasie ostatniego naszego spotkania

usilnie prosił mnie o przekazanie jego prośby, aby waszmość zechciał pośpieszyć z odsieczą. Siły oblężonych są na wyczerpaniu, z powodu chorób umiera codziennie od pięćdziesięciu do sześćdziesięciu osób. Poza tym ludzie giną od pocisków i kul. W mieście zaczyna szerzyć się głód...

— Wiem i o tym — powiedział król. — Oblężeni nie będą czekać długo. Jeśli zdołasz znowu przedostać się do Starhemberga, powiedz mu, by trzymał się do ostatka! I coś jeszcze. Trzeba spenetrować zachodnie okolice Wiednia na odcinku Dunaj—wzgórze Kahlenberg—Las Dornbachski, czy nie jest zajęta przez Turków cała ta dogodna pozycja.

— Zrobię to, ale nie wiem, w jaki sposób uda mi się powrócić tu do was, a jednocześnie przedostać się do Wiednia. Prócz tego chciałbym też odwiedzić obóz nieprzyjacielski, dowiedzieć się, czy nie zaszło coś ważnego...

— Nie musisz tutaj powracać. Pójdzie z tobą twój dobry znajomy, żołnierz obyty i doświadczony, który powróci tu do mnie i opowie o wszystkim, czego się dowiecie. Ty zaś udasz się w swoją drogę.

— Któż to może być, ten mój znajomek, a do tegoż wielce doświadczony wojownik? Zaraz, zaraz... Czyżby wasza królewska mość miał na myśli Marcina Spychalskiego? Jest więc tutaj? — Radosny uśmiech rozjaśnił twarz Arsena.

Sobieski również się uśmiechnął.

— Widzę, że jesteście szczerymi przyjaciółmi. Ha, cóż, cieszę się, że mogę przyczynić się do waszego dzisiejszego spotkania! Przyjm to na poczet mojej wdzięczności dla ciebie za to, że tak wiernie służysz swojemu królowi i ojczyźnie! Panie Talenti, proszę przyprowadzić tu do nas pana Spychalskiego!

Sekretarz wyszedł z namiotu.

Sobieski zaczął rozmawiać z Karolem Lotaryńskim po francusku. Obaj pochylili się nad stołem, na którym była rozłożona wielka kolorowa mapa Wiednia i okolic.

Arsen stał z boku i wsłuchiwał się w dźwięki obcej mowy. W sercu jego narastała pewność, że nie na darmo w ciągu ostatnich dwóch miesięcy stracił tyle sił i trudu, chcąc przyczynić się do skruszenia potęgi Kara Mustafy. Nie na próżno nadstawiał głowę, gdy przedzierał się do Wiednia i przeprawiał się na drugi brzeg Dunaju! Siły sojusznicze wzrosły w dwójnasób, a na ich czele stanął Jan Sobieski, wódz, który poświęcił swe życie walce ze straszną nawałą turecko-tatarską, a równo przed dziesięcioma laty, zanim jeszcze został królem, sprawując urząd hetmana, na głowę pobił Turków pod Chocimiem!

Arsen bardzo chciał wierzyć, że Sobieski, chociaż dawno przekroczył pięćdziesiątkę, nic nie utracił ze swojego męstwa i umiejętności wojskowych i że czas okazał się dla niego łaskawy.

Arsen doskonale rozumiał, że jeśli nie zatrzymają Kara Mustafy pod Wiedniem, ofiarą jego padnie co najmniej pół Europy! A życie Złatki będzie złamane na zawsze... Dlatego też poprzysiągł sobie w duchu, że zrobi wszystko, aby pomóc Sobieskiemu w rozgromieniu nienawistnego wroga.

Usłyszał poza sobą szelest kotary i obejrzał się. Do namiotu w towarzystwie pana Talentiego wszedł Spychalski. Stanął na baczność, wypiął pierś, wystawiwszy do przodu nastroszone wąsiska, trzasnął obcasami zakurzonych butów... i nagle zobaczył Arsena!

Jego sztuczna zuchowatość zniknęła jak ręką odjął. Wąsy poruszyły się, zęby zajaśniały w dziarskim uśmiechu, w oczach pojawiły się podziw i radość. Mo-

mentalnie zapomniawszy o obecności wysoko postawionych osób, rozłożył szeroko ramiona, rzucił się ku Arsenowi, zamknął go w mocnym uścisku i zakrzyknął na cały głos:

— Przyjacielu! Cholera jasna!... Anim się spodziewał, że spotkam cię właśnie tutaj! — I dopiero pochwyciwszy zdumione spojrzenie Karola Lotaryńskiego oraz zobaczywszy dobroduszny uśmiech rozlany na szerokim, gładkim obliczu króla, Spychalski zrozumiał, jaką gafę popełnił. Policzki jego oblał rumieniec, skulił się cały, a następnie stanął na baczność i huknął donośnie: — Proszę waszą królewską mość o wybaczenie. Toż to niespodzianka... przyjaciela spotkać... — i zamilkł skonfundowany.

Sobieski roześmiał się szczerze.

— Przyjaciela ujrzał i o królu zapomniał! Taką przyjaźń to ja rozumiem! Cha, cha, cha!

Spychalski zawstydził się jeszcze bardziej. Teraz nie tylko twarz pałała mu żywym ogniem, ale także uszy zarumieniły się, przybierając kolor buraka. Nawet wąsy zdawały się czerwienić!

Sobieski zaśmiał się jeszcze głośniej, jako że był człowiekiem z natury skłonnym do śmiechu. Potem nagle spoważniał.

— No, panowie, nie traćmy czasu. Najdalej jutro z samego rana powinienem wiedzieć, czy zachodnie okolice Wiednia są wolne od nieprzyjaciela. Chciałbym je zająć, gdyż jest to nadzwyczaj dogodna pozycja... Umocnimy się tam i uderzymy na bisurmanów! Och, żeby tylko Mężyński ze swoimi Kozakami zdążył na czas!...

Ostatnie słowa króla wstrząsnęły Arsenem.

— Czyżby tutaj właśnie mieli przybyć Kozacy, najjaśniejszy panie?

— Tak jest, czekam na nich z godziny na godzinę!
A Spychalski dodał:
— Prowadzi ich sam Semen Palij!

7

Przeprawa trwała całe dwa dni. W południe ósmego września ostatni żołnierz armii sojuszniczej przeszedł na prawy brzeg Dunaju.

Od strony Wiednia dolatywała głucha kanonada. Zagrzmiał, ustokrotniony porywami wichury, ludzki okrzyk: „Aaaa!", który wyrwał się z tysięcy gardzieli. Nie ulegało wątpliwości, że Turcy przypuścili kolejny szturm do oblężonego miasta.

Wszyscy czekali, aż król wyda rozkaz do wymarszu. Ale Sobieski nie spieszył się. Stał na szczycie wysokiego wzniesienia i obserwował przez lunetę daleki, zakurzony gościniec za rzeką.

Wyczekiwał nadejścia Kozaków.

— Ach, Mężyński, Mężyński! Dlaczego się spóźniasz? — powtarzał z irytacją. — Gdybyś wiedział, jak jesteś tutaj potrzebny! Jak brakuje mi właśnie teraz kozackiej piechoty!

Najwyżsi dowódcy armii sojuszniczych i ich oficerowie sztabowi stanęli opodal i też patrzyli na lewy brzeg. Wszyscy już wiedzieli, na kogo głównodowodzący czeka i w duchu słali modły do Boga, żeby przyspieszył nadejście tak potrzebnych przed decydującą bitwą posiłków.

Ale gościniec pozostawał pusty — ani żywej duszy, ani obłoczka kurzu na horyzoncie!

— Ach, Mężyński, Mężyński! — kiwał głową zgnębiony Sobieski.

Zbliżył się adiutant i coś cicho powiedział królowi.

Król opuścił lunetę, obejrzał się.

— Gdzie on jest? Dawać go tu!

Podprowadzono doń zmęczonego i obszarpanego Marcina Spychalskiego.

— No jak? — nie odpowiadając na powitanie, zawołał król w zniecierpliwieniu. — Opowiadaj!

Spychalski stanął na baczność.

— Wasza królewska mość, obszukaliśmy cały teren od Dunaju aż po Las Dornbachski, hen za wzgórzem Kahlenberg. I nawet dalej... Nigdzie nie spotkaliśmy żadnego Turka ani Tatarzyna... Wszystkie swoje siły Kara Mustafa musiał ściągnąć pod Wiedeń. Dzisiaj od samego rana przypuszcza szturm do miasta...

— Spieszno mu! Chce zdobyć gród przed naszym przyjściem — przemówił Sobieski zamyślony. — W ten sposób miałby rozwiązane ręce, jeśli chodzi o tyły i podczas generalnej bitwy zyskałby niemałe szanse na zwycięstwo... Ale nasze szanse są równie wielkie. A to dzięki temu przede wszystkim, iż Kara Mustafa ani spodziewa się, że nań uderzymy!

Zaraz po tym król wydał wojskom rozkaz do wymarszu.

Austriackie, saskie i bawarskie chorągwie, pozostające pod rozkazami Karola Lotaryńskiego, ruszyły wzdłuż Dunaju, by zająć pozycje na lewym skrzydle. W centrum wojsk powinien był stanąć generał von Waldeck ze swoimi Frankończykami. Na prawym skrzydle, wzdłuż Lasu Dornbachskiego i w okolicznych dolinach miał zająć stanowiska hetman Jabłonowski z Polakami.

Posuwano się naprzód powoli, w marszu zmieniono szyk i ustawiono się w trzy linie, umieszczając na tyłach odwody i tabory. Dopiero późnym wieczorem trzeciego dnia, nie napotkawszy nigdzie na opór, wojska wyszły przez Lasek Wiedeński na wyznaczone pozycje.

Sobieski ze swoim sztabem stanął na szczycie wzgórza Kahlenberg, gdzie kazał zatknąć wielki czerwony sztandar z białym krzyżem pośrodku i zapalić chrust — umowny znak dla Starhemberga i reszty oblężonych, że wojska sojusznicze przybyły na odsiecz.

Wiedeńczycy tłumnie wylegli na mury. Z dzwonnicy katedry Świętego Stefana wystrzelono rację, jakby błagając o niezwłoczne przyjście z pomocą.

Nie czekając, aż żołnierze ustawią namiot, Sobieski kazał przygotować łóżko polowe i ułożył się na spoczynek. Jednak długo nie mógł zasnąć. Rozmyślał o dniu jutrzejszym, o mającej nastąpić bitwie. Wiedział, że Kara Mustafa również sposobi się do niej i pragnął przeniknąć jego zamiary.

Myślał o królowej, o swojej ukochanej Marysieńce, wspominał wspólnie spędzone z nią lata i dochodził do wniosku, że nie były one takie znowu najgorsze. Cóż z tego, że złe języki powtarzały o niej to i owo! Faktem jest, że nie poślubił dziewczyny, tylko rozwiedzioną kobietę, i że jeszcze mieszkając we Francji, przed swoim pierwszym zamęściem, nie odznaczała się zbytnią cnotliwością, a nawet będąc już jego żoną, pozwalała sobie na romanse, jak chociażby z tym Jabłonowskim... Pomyślawszy o panu Stanisławie, Sobieski skrzywił się. I cóż w nim takiego znalazła?! Lecz tak czy inaczej, dawno jej wszystko przebaczył. Przebaczył, gdyż podarowała mu syna Jakuba. Trzeba będzie jutro pilnie nań uważać, bo chłopak-gorączka gotów jest jeszcze uwikłać się w walkę! — pomyślał. Przebaczył, gdyż miała wielce przenikliwy rozum, gdyż darzyła go gorącymi pieszczotami i była piękna tą pięknością, która zdawała się nie przemijać z latami... Módl się jutro za mnie, Marysieńko! — wyszeptał wpatrując się w bezksiężycowe, usiane gwiazdami, jesienne niebo.

Jednak niezależnie od tego, o czym myślał, nie mógł pozbyć się jakiegoś trwożnego przeczucia, które przenikało chłodem jego serce... Co będzie jutro? Do kogo uśmiechnie się fortuna? Komu przypadnie zwycięstwo? Odpowiedź na to pytanie miał przynieść dopiero jutrzejszy dzień.

Nie zauważył nawet, że zasypia. A gdy zasnął, nic nie było w stanie mu przeszkodzić — ani prychanie koni, ani pokrzykiwania wartowników, ani rozmowy żołnierzy, którzy rozbijali królewski namiot, ani postukiwania siekier.

Obudził go syn Jakub.

— Ojcze, wstawaj! — Tarmosił go z całej siły. — Są radosne nowiny!

— Co? Co? — Król zerwał się z posłania.

— Kozacy nadciągnęli! Przedni zagon pułkownika Semena Palija z Fastowa... Mężyński ich przyprowadził! Cztery tysiące... A do tego z pół tysiąca dońskich Kozaków...

— Nadciągnęli? Być nie może! — Sobieski skoczył na równe nogi.

— Jak Boga kocham, prawda... Czekają na rozkaz, nie wiedzą, gdzie mają stanąć obozem.

— Chwała Bogu! A reszta?

— Zamarudziła gdzieś z taborami... Wiedzie ich Kunicki, przybędą trochę później.

8

Po kolejnym nieudanym szturmie, który setki wojowników padyszacha przypłaciło życiem a tysiące ranami, w obozie tureckim zapanowała niepewność i przygnębienie. Żołnierze otwarcie pomstowali na seraskiera, który ich zdaniem niepotrzebnie przeciąga stan oblężenia, żeby tylko pozbawić ich możliwości

grabieży. Paszowie i chan krymski, a także obaj hospodarowie, mołdawski i wołoski, byli oburzeni z powodu niezdecydowania Kara Mustafy i jego, jak mniemali, nieznajomości sztuki oblężniczej.

Otrzymawszy od wszędobylskich Tatarów wiadomość, że Sobieski przeprawił się na prawy brzeg Dunaju i właśnie zajmuje pozycje na wzgórzu Kahlenberg, Kara Mustafa zwołał naradę wojenną.

W czerwonym namiocie wezyra szumiało jak w podrażnionym ulu. Nikt z obecnych nie dotknął łakoci ani nie poczęstował się aromatyczną kawą, którą roznosili wśród wysoko postawionych gości kawedżowie * wezyra. Nikt również nie zwracał uwagi na niezliczone bogactwa i wprost bajeczne wygody, jakimi odznaczał się ogromny, wielopokojowy namiot Kara Mustafy, na niewielką fontannę, która szemrała w marmurowej niszy, ani na rozwieszoną po ścianach broń, zdobioną złotem i srebrem i wysadzaną drogimi kamieniami. Sprawy przybrały zbyt poważny obrót, żeby zawracać sobie głowę takimi rzeczami. Chodziło o ich życie i chwałę całego imperium!

Gdy wszedł Kara Mustafa, paszowie przerwali rozmowę i pochylili głowy w ukłonie.

Seraskier pozwolił im usiąść i sam też zajął miejsce. W ciągu ostatnich paru dni schudł wyraźnie i twarz mu pociemniała. Nastrój jego graniczył z przygnębieniem.

Odpiwszy łyk kawy z porcelanowej filiżaneczki, obrzucił ciężkim spojrzeniem zebranych dowódców, którzy ze spuszczonym wzrokiem siedzieli nieporuszeni na jedwabnych poduszkach, i zapytał cicho:

— Cóż więc mamy czynić, dostojni paszowie?

Żaden z nich się nie odezwał. W namiocie zapano-

* Kawedżi (tur.) — tutaj: sługa zaparzający kawę.

wała długa grobowa cisza, jakby paszom mowę odebrało.

W Kara Mustafie zaczęła wzbierać wściekłość.

Wstrętne spasione osły! Psy krwiożercze! Nikczemnicy i zazdrośnicy! Jakże cieszą się skrycie z jego niepowodzenia! Gotowi są złożyć w ofierze życie swoich żołnierzy, byle tylko wydrzeć mu władzę wielkiego wezyra i seraskiera! Niegodziwcy!

Kara Mustafa ledwo się powstrzymał, żeby nie zacząć na nich krzyczeć. Przemogła w nim rozwaga. Zacisnął pięści i powtórzył swoje pytanie:

— Cóż mi radzicie uczynić, czcigodni paszowie?

Teraz uniósł głowę Murad Girej. Rzucił krótko:

— Zaniechać oblężenia i zarządzić odwrót!

Jakby woda przerwała groblę — wszyscy zaczęli mówić jednocześnie. Oczy rozbłysły groźnie.

— Oczywiście, że zarządzić odwrót!

— Dwa miesiące tkwimy pod tym przeklętym miastem, a jaki skutek?

— Wyginiemy tu jak muchy! Zaraza morowa zabrała już jedną trzecią wojska!

— Allach odwrócił się od nas!

— Trzeba wywabić Starhemberga podstępem poza mury, uderzyć i zniszczyć obu — jego i Sobieskiego. Mamy przewagę w otwartym polu!

— W naszym obozie co druga osoba to ranny lub chory! Jakże się mamy bić w tych warunkach?

Kara Mustafa poczuł, że znowu dusi go gniew.

— Nie wszyscy naraz! Proszę wypowiadać się po kolei. To jest narada wojskowa, a nie bazar stambulski!

Wtedy podniósł się pasza z Budy — Ibrahim, zięć sułtana. Zachowywał się pewnie, gdyż czuł za sobą poparcie Wysokiego Progu.

— Wielce szanowny seraskierze, dostojni paszowie!

Jestem wojownikiem, więc nie oczekujcie ode mnie pięknych słów. Powiem krótko: chcąc uratować wojsko naszego wszechpotężnego pana i władcy, sułtana Mohameda, musimy odejść stąd! Znaleźliśmy się bowiem pomiędzy trzema ogniami, pomiędzy Sobieskim, Starhembergiem i... durem brzusznym, który bez pardonu kosi nasze szeregi... Kto myśli inaczej, niech się wypowie!

Pasza Ibrahim usiadł, natomiast poderwał się ze swojego miejsca suchy, ale energiczny i rozumny pasza adrianopolski.

— O wielki wezyrze, my, paszowie, zgodni jesteśmy co do tego, iż dwumiesięczne oblężenie Wiednia nie przyniosło nam zwycięstwa i dlatego należy go zaniechać. Dlaczego, zapytacie. Odpowiadam: dlatego, że utraciliśmy już połowę naszego wojska, a to z powodu śmiercionośnych kul, ran i chorób zakaźnych. Dlatego, że na naszych tyłach zaległ Sobieski, wódz doświadczony i zdecydowany. Dlatego, że Starhemberg bronił się mężnie, a teraz, gdy przyszły mu na odsiecz sojusznicze wojska, nawet nie pomyśli o oddaniu miasta! Dlatego, że z dnia na dzień należy oczekiwać nadejścia pory deszczowej i chłodów jesiennych, a my nie mamy ciepłej odzieży. Dlatego wreszcie, że nie będziemy pierwsi z tych, którzy odstąpili od bram tego miasta. Wielki sułtan Soleman takoż zrezygnował z jego zdobycia i nie włożył na swoją głowę laurów zwycięzcy!... Natomiast wycofując się, zachowany zarówno wojsko, jak też nadzieję na odniesienie zwycięstwa w przyszłości. I niech dopomoże nam Allach!

Kara Mustafa zazgrzytał zębami:

— Hańba! Dostojni paszowie zapomnieli o wojskowym honorze i czci! Zapomnieli o sławie cesarstwa Osmanów i dobrym imieniu padyszacha! Wyprawiliśmy się na nieprzyjaciela, a nie na wesołą wycieczkę!

I Allach wcale nas nie odstąpił, gdyż nie odstępuje On ludzi odważnych i zdecydowanych. Pamiętajcie o tym! Wierzę — jeszcze trzy dni oblężenia i Wiedeń padnie! Jego obrońcy trzymają się ostatkiem sił. Poczekajmy jeszcze trzy dni, wielce szanowni paszowie, i jeśli w ciągu tego czasu nie weźmiemy przeklętego miasta, zarządzę odwrót. A Sobieskiego nie ma się czego bać. Polacy są zmęczeni daleko podróżą i nie są wytrzymali w boju. Król polski nie ośmieli się nas zaatakować. Jutro ja pierwszy natrę na niego i zmuszę do ucieczki gdzie pieprz rośnie! Nie odstąpię od Wiednia, aż zdobędę go, biorę na to Allacha za świadka! Jutro z szablą w ręku będę się bił jak prosty szeregowiec i lepiej, żebym zginął, niż żebym miał włożyć szyję w pętlę! Niech Allach ma nas w swojej pieczy! To jest moje ostatnie słowo. A teraz, mości paszowie, idźcie do swoich oddziałów i sposobcie je do jutrzejszej walki. Przyślę wam dyspozycje... Pójdziemy na Sobieskiego frontalnym atakiem i z pomocą Allacha zniszczymy go! Jesteście wolni!

Paszowie w milczeniu wysłuchali słów seraskiera i zaczęli opuszczać namiot. Ale z wyrazu ich chmurnych twarzy, gdy tak jeden po drugim podnosili się z jedwabnych poduszek, można było wyczytać, że słowa Kara Mustafy nie podziałały na nich uspokajająco ani nie przekonały co do słuszności podjętej przezeń decyzji.

9

Safar-bej wstrzymał konie na szczycie wzniesienia, skąd widać było zachodnie okolice Wiednia i wzgórze Kahlenberg. Powoli powiódł ręką na wysokości oczu, jakby rysując niewidzialną kreskę, i objaśnił Arsenowi:

— Jutro tutaj będzie się gotowało jak w kotle! Widzisz, Ibrahim-pasza zajmuje już flanki z prawej strony, na odcinku pomiędzy Dunajem a Heiligenstadtem. Ustawia się działa, janczarowie wznoszą szańce. Na lewym flanku ześrodkowano trzydzieści tysięcy jazdy... Kara Mustafa liczy na zwycięstwo.

— Nenku, gdzie według ciebie jest najsłabsze miejsce w tureckim pierścieniu oblężniczym? — spytał Arsen.

Tamten się zamyślił.

— Trudno powiedzieć... Wielki wezyr ma zamiar wystawić jutro blisko sto tysięcy wojowników oraz ponad trzysta dział. Poza tym dwadzieścia do trzydziestu tysięcy żołnierza pozostanie w odwodzie wokół oblężonego miasta. Siły, jak widzisz, znaczne! Prócz tego ma jeszcze oddziały posiłkowe i tabory...

— A jednak... Czyżby nie było żadnego słabego miejsca?

— Słabe miejsce jest. Ale ten, kto zdecyduje się wykorzystać tę drogę, musi być przygotowany na najgorsze, gdyż ryzykuje, że wpadnie w pułapkę...

— Cóż to za droga?

Nenko uniósł się w strzemionach, wyciągnął przed siebie rękę.

— Widzisz tamto miasteczko, Heiligenstadt?

— Widzę.

— Od tego miejsca aż do Döblinga ciągnie się głęboki wąwóz, którym można przejść potajemnie na tyły wojsk tureckich. Jest to oczywiście szalenie niebezpieczne, bo jeśli śmiałkowie, którzy poważą się na to, zostaną pochwyceni przez Turków, pozostanie im jedno — z honorem wyjść na spotkanie śmierci!

— A czegóż ci śmiałkowie mogliby dokonać, według ciebie?

— Mogliby napaść niespodziewanie na janczarów od

tyłu. Prawie w samym środku wrogiego obozu... Rozumiesz chyba, co to znaczy?

Arsen gwałtownym ruchem pochylił się do Safar-beja, mocno ucałował go w policzek.

— Dziękuję ci, Nenku! Dziękuję, druhu mój serdeczny! Czas już na mnie. Żywy będę — odnajdę cię, zginę — powiadomisz Złatkę. Powiesz jej, że kochałem ją jak nikogo na świecie!

— Cóż ty, Arsenie? Czy ci rozum odjęło? — Nenko potrząsnął Arsena za ramiona. — Czyżbyś umyślił sobie poprowadzić tamtędy wojska sojusznicze?

— Dlaczego sojusznicze? Kozackie! Żeby tylko przybyły na czas!

— A jeśli wpadniecie w zasadzkę? Wtedy wszyscy zginiecie!

— Mój kochany Nenku, u nas mówią: nie taki diabeł straszny, jak go malują! Wojna wymaga ryzyka. A ja pragnę zemścić się na Kara Mustafie. Za wszystko — za Złatkę, za własną poniewierkę, za splądrowaną ziemię ojczystą! I to niezależnie od ceny, jaką będę musiał za to zapłacić! Ty natomiast musisz uważać na siebie. W razie mojej śmierci jesteś jedyny, który zdoła pomóc Złatce wydostać się z pazurów Kara Mustafy... Żegnaj więc! — Arsen jeszcze raz objął Nenka i trącił konia.

— Żegnaj, Arsenie! Żegnaj, drogi przyjacielu!

10

Nastała niedziela 12 września 1683 roku.

W obozie sojuszniczym wszyscy byli na nogach już od świtu. Promienie wschodzącego słońca, skąpe i blade, prześwitywały przez gęstą jesienną mgłę, zabarwiając wszystko dokoła na jakieś nienaturalne kolory mleka i krwi. Mgła podniosła się do połowy wzgórza Kahlenberg, rzednąc na stokach i otulając szczelną,

nieprzeniknioną oponą niziny i dolinę Dunaju. Ponad tym siwawym, mglistym całunem wystrzelał w górę niezbyt dobrze widoczny zarys iglicy na katedrze Świętego Stefana, z której rozbrzmiewały trwożne, naglące dźwięki dzwonów: bom! bom! bom!

Dmuchnął lekki wiaterek i mgła zaczęła powoli opadać. Wieża katedry Świętego Stefana odsłaniała się coraz bardziej, rosnąc w oczach. Niebawem wokół kościoła zarysowały się zamglone kontury miejskich zabudowań. Można już było rozróżnić pokiereszowane bombami i pociskami ziemne wały. Stały na nich tłumy wiedeńczyków.

Gdy słońce podniosło się wyżej i na ziemię legły snopy jasnych promieni, które rozproszyły resztki mgły, zdziwionym oczom Sobieskiego i zebranych dowódców armii sojuszniczych ukazał się budzący grozę widok.

Poprzez opasujące miasto i rozciągające się na południe od niego wzgórza i doliny biegły sznury nieprzyjacielskich okopów, które mrowiły się od zalegających w nich wojowników. Turcy umacniali nadwerężone przez forteczną artylerię szańce, kopali nowe rowy, ustawiali działa. W pobliżu Kahlenbergu, na odcinku od Dunaju aż poza Las Dornbachski, stało w szyku bojowym gotowe do ataku wojsko Kara Mustafy.

Sobieski nie odczuł strachu. Przez blisko czterdzieści prawie lat nie wypuszczał z ręki szabli i nieraz osobiście brał udział w krwawych potyczkach, zdążył się więc przyzwyczaić. Poza tym miał przecież pod swoimi rozkazami siedemdziesiąt tysięcy żołnierza.

Poranną czerwonaworóżową ciszę przerwało pięć dalekich wystrzałów armatnich: Turcy dali sygnał do ataku. Niemal w tej samej chwili prawoskrzydłowe zagony tureckie, znajdujące się na wprost ugrupowania Karola Lotaryńskiego, ruszyły naprzód. Zagrzmiały

armaty, odpowiedziały im działa austriackie. Zawiązał się pojedynek artyleryjski. Niebawem doszło do potyczek wręcz, które przerodziły się w zażarty bój.

Sobieski dobrze widział ze swojego miejsca, jak pułki paszy mezopotamskiego Osman-ogły, przedsięwziąwszy kilka rozpaczliwych wypadów, drgnęły i łamiąc szyk, zaczęły wycofywać się z placu boju — najpierw do Nussdorfu, a potem aż do Heiligenstadtu.

Zaczęło się — pomyślał i kazał rzucić do boju Frankończyków von Waldecka i dragonię Lubomirskiego. Wysłał również gońca na prawe skrzydło, do Jabłonowskiego, stojącego dotąd bezczynnie, z poleceniem wejścia do akcji.

W centrum walki Turcy stawiali tak zacięty opór, że Frankończycy zaczęli dreptać w miejscu, a dragoni, wystawieni na ogień armatni nieprzyjaciela, poniósłszy poważne straty, wycofali się na swoje pozycje wyjściowe.

Widząc to Sobieski wychwycił szpadę z pochwy i rzucił się naprzód.

— Polacy, za mną!

Za królem pomknęły dwie chorągwie husarskie. Wyprzedziły go, z rozbiegu wklinowały się w szeregi spahisów i odepchnęły ich, jednak nie zdołały wyprzeć z zajmowanych pozycji. Opamiętawszy się, Turcy przeszli do błyskawicznego kontruderzenia i niebawem zmusili husarów do odstąpienia.

Sobieski miałby niełatwy orzech do zgryzienia, gdyby z flanków nie uderzyły w spahisów rusznice niemieckich lancknechtów, którzy stali w odwodzie w sile czterech batalionów. Pod szkwałem ognia spahisi zawrócili konie i wycofali się. Podniesieni na duchu husarzy rzucili się w ślad za nimi — i tym razem z pełnym sukcesem, gdyż z miejsca zdobyli wzgórze, które panowało nad okolicą.

Sobieski przybył na to wzgórze po godzinie, gdy w dole trwał zacięty bój. Przywiódł ze sobą cztery bataliony Niemców i dwie baterie armatnie. Wjechał na szczyt i ku swojemu zdumieniu zobaczył czerwieniejący w oddali namiot Kara Mustafy.

— Panowie, tam jest wielki wezyr we własnej osobie! — zawołał do obsługi dział. — Poślijcie mu parę gościńców!

Ogniomistrze nacelowali działa i dali ognia. Ale niestety! Pociski wpadły do ogrodu, chybiając celu o dobre dwa tysiące stóp.

Na pomoc spahisom chan Murad Girej wysłał zagon Budżaków. Walka wciąż trwała, przekształcając się w krwawe pobojowisko. Żadna ze stron nie mogła wyprzeć przeciwnika z jego pozycji. Sobieski rzucił do natarcia polską piechotę. Chłopi, na których jeszcze wczoraj spoglądał z nie ukrywanym lekceważeniem, ruszyli do boju, wykazując niebywałą pogardę dla śmierci, przepłoszyli Budżaków, z rozpędu przebiegli dolinę i umocnili się na wzniesieniu, które zgodnie z wydanymi wcześniej dyspozycjami miało być zajęte przez króla dopiero przy końcu pierwszego dnia walk. Posuwać się dalej piechota nie była w stanie, ostrzeliwana z bardzo bliska kartaczami tureckiej artylerii.

Sobieski miał zamiar pchnąć gońca do Kozaków, gdy niespodziewanie zauważył jakiś dziwny ruch w taborze nieprzyjacielskim. Najpierw na lewym skrzydle wojsk tureckich na styku z oddziałami Karola Lotaryńskiego dała się zaobserwować ucieczka janczarów. Wychylali się z okopów jak ciemne fale i bezładnie, jakby gnani przerażeniem, uchodzili w tył, tratując po drodze własne oddziały odwodowe, które stały za nimi i pociągając je ze sobą. Potem poderwał się z miejsca chan ze swoją ordą i też zarządził odwrót.

Król nie mógł zrozumieć przyczyny tej pośpiesznej rejterady, ale nie zastanawiał się nad tym specjalnie. Trzeba było umocnić niespodziewany sukces. Wysłał więc gońca do Karola Lotaryńskiego z prośbą o pomoc, a sam na czele dwóch chorągwi husarskich ruszył naprzód.

11

Arsen minął konno reduty, na których bombardierzy usypywali wały ochronne, i skierował się w stronę wąwozu za miasteczkiem Heiligenstadt. Stanął na pagórku i uważnie rozejrzał się po stanowiskach bojowych janczarów i rozlokowanych na ich tyłach taborach Tatarów krymskich. Następnie, zostawiwszy konia w krzakach na pastwę losu, zeskoczył na dno jaru.

Posuwał się naprzód tak szybko, jak tylko pozwalały mu na to gęsto rosnące drzewa i chaszcze. Wokół było bezludnie i cicho, pachniało wilgocią i grzybami. Gdzieś z prawej strony w zaroślach cichutko szemrał niewielki strumyk. Wprost nie chciało się wierzyć, że na górze, w odległości zaledwie kilkudziesięciu kroków, tysiące żołnierzy po obu stronach wąwozu wznoszą szańce i przygotowują stanowiska artyleryjskie, szykując się do jutrzejszej bitwy.

Wieczorny mrok gęstniał i wkrótce zapadła noc.

Arsen nie bał się, że zmyli drogę, gdyż wiedział, iż wąwóz wyprowadzi go do obozu wojsk sojuszniczych. Szedł długo, po omacku, w ciemności wpadał na drzewa i krzaki, potykał się i nawet upadł parę razy.

Było chyba około północy, gdy zatrzymał go okrzyk Niemca, wartownika:

— Wer ist da? *

* Wer ist da? (niem.) — Kto tam?

— Nie strzelaj! Swój!

Arsen przedarł się przez chaszcze i znalazł się na polance, na której płonęło ognisko. Dookoła spali żołnierze.

Wartownik zaprowadził go przed oblicze oficera, a ów, dowiedziawszy się, że stoi przed nim ni mniej, ni więcej — tylko Kulczycki, ten sam, który stał się wśród żołnierzy wojsk koalicji postacią niemal legendarną, zapytał go:

— Czym mogę służyć?

— Pragnę rozmawiać z głównodowodzącym — odparł Arsen.

Oficer zakłopotał się:

— Och, Mensch*, to niemożliwe! Przecież jest noc!

— Cóż więc mam robić? Rano może być już za późno — Arsen zafrasowany pochylił głowę. To, co obmyślił, wymagało natychmiastowego działania.

Oficer również się zastanawiał. Czerwonawy błysk ognia oświetlał jego kościstą twarz z białawymi brwiami i smutne niebieskie oczy.

— Chyba że zaprowadzę cię do naszego dowódcy — odezwał się cicho, jakby rozważając coś w myśli.

Arsen wzruszył ramionami.

— Co to da? Będzie to taka sama rozmowa jak z tobą. Ty po naszemu ani be, ani me, ja po waszemu — piąte przez dziesiąte... Ot, gdybym spotkał Polaków! Albo Kozaków...

— Kozaków? Ależ oni są tutaj obok! Sąsiadujemy ze sobą.

— Naprawdę? — Arsen nie mógł powstrzymać radości. — Prowadź mnie do nich!

Kozacy dopiero co przybyli i wyznaczono im miejsca postojowe w drugiej linii, w odwodach. W obozie

* Mensch (niem.) — Człowieku!

kozackim również płonęło ognisko. Kucharze gotowali kulisz i kaszę. Nikt jeszcze nie myślał o śnie, przygotowywano się do mającej nastąpić bitwy. Wznoszono szańce, wyciosywano kołki do wilczych jam, zadawano koniom obrok.

Serce Arsena zabiło żywo — swoi! Zwolnił niemieckiego oficera i skierował się ku ognisku, nad którym wisiał na trójnogu okopcony kocioł. Wokół z wielką warząchwią w ręku biegał drobny Kozaczek.

— Gotowe, takie to i owakie. — Kozak cmoknął językiem, skosztowawszy gorącej strawy. — Kulisz — palce lizać! Nawet Zińka w domowej kuchni nie ugotuje takich smaczności!

Arsen uśmiechnął się. Przecież to Iwanyk! Zgarnął kucharzyka w mocne ramiona, uniósł wysoko, zakręcił się z nim wokół ogniska.

— Iwanyk! Anim się spodziewał, że spotkamy się z tobą tutaj pod Wiedniem! Witaj mi, bracie!

Iwanyk przebierał nogami w powietrzu.

— Arsen! Czy to naprawdę ty, taki owaki? — I zawołał, jak tylko mógł najgłośniej: — Braciszkowie, do mnie! Arsen Zwenyhora się zjawił! Ojcze Semenie! Romanie!

Na ten krzyk zawsząd zaczęli zbiegać się Kozacy. Pierwszy był Roman — objął pobratymca, przycisnął do piersi, ucałował w policzek.

Podszedł Semen Palij.

— Ojcze! — rzucił się do niego Arsen. — Jak to dobrze, że jesteście tutaj!

— Ja również cieszę się, widząc cię żywym i zdrowym. A do tego jeszcze w przebraniu janczara! No, mów, co ty właściwie zamierzasz?

— Otóż przebiega tu zaraz obok głęboki wąwóz. Przeszedłem nim niedawno z obozu Kara Mustafy. Gdyby tak wziąć ze dwa tysiące chłopaków i przedo-

stać się na tyły bisurmanów, toby dopiero była zabawa!

Palij nie odwracał uważnego spojrzenia od twarzy młodego towarzysza.

— Jesteś pewny, że to się może udać?

— Nie jest wykluczone, że przypłacimy tę wyprawę życiem... Ale jeśli fortuna okaże się dla nas łaskawa, to będziemy górą!

— Hm, kusząca propozycja... Należałoby jednak zawiadomić głównodowodzącego. Dobrze się składa, bo jego posłaniec znajduje się akurat tutaj. Chodźmy, poszukamy go! — Palij chytrze przymrużył oczy i skierował się do swojego namiotu.

Arsen z Romanem poszli za nim.

Obok namiotu na rozesłanej derce spał jakiś mężczyzna. Rozrzucił ręce i chrapał potężnie, tak że słychać go było na całą polanę. Beztroski sen świadczył niewątpliwie o spokojnym sumieniu tego człowieka.

— Wstawaj, panie — głośno odezwał się Palij. — W ten sposób można przespać własne wniebowstąpienie!

Ale tamten nawet wąsem nie poruszył.

Wtedy Palij dotknął królewskiego posłańca czubkiem buta. Posłaniec zamruczał, zamachał rękoma, jakby się odpędzał od dokuczliwej muchy, a potem przewrócił się na drugi bok i znowu zachrapał.

Arsen wyczuł w tym mruknięciu coś znajomego, ale nie zdążył uświadomić sobie tego w pełni, gdy Palij, rozgniewany, dosyć bezceremonialnie potrząsnął śpiącym i dał mu potężnego kuksańca w bok.

Pochrapywanie ustało, człowiek poruszył wąsami.

— Co to za cholera tak mnie poszturchuje? Czy chciałbyś, panie mądrzalski, poznać siłę moich pięści?

Arsen uderzył się dłońmi po udach. Przecież to Spychalski! Że też nie poznał go od razu! Ścisnął Polaka za ramię.

— Dosyć tego spania, panie Marcinie! Wstawaj!

Spychalski poderwał się jak oparzony.

— Arsen? Cholera jasna! Dlaczegoś nie obudził mnie wcześniej? A właśnie śniłem, panie dobrodzieju, jak to my z tobą we dwóch...

— Wolnego, wolnego, panie Marcinie — powstrzymał jego paplaninę Palij. — Sen opowiesz nam potem. Teraz musisz udać się do króla.

— Z jakiejż to racji?

Palij wytłumaczył mu, o co chodzi.

— Ani mi się śni! — oświadczył niespodziewanie Spychalski. — Miałbym nie pójść z wami? Mowy nie ma! Nawet nie proś o to, ojczulku, nie wracam do króla. Wyślij kogoś innego... Drogę do króla jegomości wskażą każdemu...

Palij splunął, machnął ręką.

— Niech cię diabli! Zostaniesz tutaj. Poślę któregoś z Kozaków. — I zwrócił się do swoich setników: — Chłopcy! Obudźcie no ludzi. Połowa pozostanie w obozie, a reszta pójdzie ze mną. Ale szybko, bo szkoda czasu. Zjemy kuliszu — i w drogę!

— Ojcze Semenie, weźcie także moich chłopaków — poprosił Roman Wojnow. — Bo się obawiają, że przybyli znad rodzimego Donu aż nad Dunaj i nawet nie zakosztują prawdziwej walki...

Palij spojrzał pytająco na Arsena, a ten skinął głową na znak zgody.

— A czy twoi chłopcy przebędą wąwóz konno? Przydałby się nam lotny oddział jazdy.

— Myślę, że przebędą.

— No więc szykuj swoich dońskich Kozaków! — krótko rzucił pułkownik ucieszonemu Romanowi.

Po godzinie dwa tysiące pieszych Kozaków i zagon Wojnowa, prowadząc konie na postronku, spuścili się do wąwozu i ruszyli w ślad za Arsenem Zwenyhorą.

Stąpali ostrożnie jeden za drugim, rozciągnąwszy się sznurem na pół mili. Nocne ciemności, a potem poranna mgła oraz nieprzejrzane chaszcze leśne dobrze chroniły ich przed niepożądanym okiem. A gdy o wschodzie słońca odezwały się działa zatrajkotały rusznice i powietrze wypełnił ryk z tysięcy ludzkich gardzieli, brzęk zbroi i tupot kopyt końskich — zaczęli iść śmielej. Teraz, nawet gdyby zostali usłyszani, nie zwrócono by na nich uwagi, gdyż wszystko dokoła trzaskało i klekotało, a ziemia drżała od wybuchu pocisków.

Koło południa Palij zarządził postój, a sam z Arsenem udał się na zwiady.

Na skraju lasu wdrapali się na wysoki dąb o uschniętym wierzchołku i zaczęli obserwować pole walki. Obydwaj rozumieli, że siły mają niewielkie i nie ma sensu wprowadzać ich do boju, zanim bitwa nie osiągnęła punktu kulminacyjnego, kiedy to o zwycięstwie może rozstrzygnąć jedno silne a niespodziewane uderzenie.

Czas mijał w oczekiwaniu. Nastało południe.

Wokół trwały zacięte walki. Chociaż na prawym skrzydle Turcy byli w odwrocie i zostali przyciśnięci do murów Wiednia, tak że oblężeni mogli nawet porozumiewać się okrzykami z żołnierzami Karola Lotaryńskiego, za wcześnie było jeszcze mówić o porażce przeciwnika. Palij widział, że na tyłach Kara Mustafy stoją świeże posiłki — pułki janczarów i orda krymska, i że z chwilą wprowadzenia ich do boju szala zwycięstwa może przechylić się na drugą stronę. Właśnie te oddziały przykuwały najbardziej jego uwagę.

Szczególnie niebezpieczne mogły się okazać biluki janczarskie, które zaległy w okopach w drugiej linii obrony. Zaryte głęboko w ziemię, zajmowały bardzo dogodne stanowiska, wzmocnione ponadto kilku bate-

riami artylerii, tak że nie było żadnej możliwości wyparcia ich stamtąd w ataku czołowym. Z tyłu, w szerokiej dolinie, przyczaiła się orda. Murad Girej, wykonując rozkazy Kara Mustafy, wysyłał na zagrożone odcinki silne liczebnie zagony konnicy.

Te właśnie siły mogły zadecydować o wyniku bitwy.

Gdy minęło południe i słońce poczęło chylić się za Lasek Wiedeński, oślepiając wojska przeciwnika, Palij uznał, że nastał właściwy moment.

— Pora, Arsenie!

Szybko zsunęli się na ziemię. Palij zwołał setników.

— Słuchajcie mnie uważnie, chłopcy! Do janczarskich stanowisk macie podchodzić od tyłu i z zachowaniem wszelkiej ostrożności, niepostrzeżenie, żeby nawet pies was nie wyczuł! Do okopów wpadniemy jak burza — z krzykiem, gwizdaniem i strzelaniną z muszkietów. Róbcie jak najwięcej hałasu, jak najwięcej zamieszania! Chodzi o to, żeby im napędzić porządnego stracha! Zrozumieliście?

— Zrozumieliśmy, ojcze!

— Musicie wiedzieć, że nie mamy drogi odwrotu. Znaleźliśmy się na krańcu świata, do domu mamy daleko... I droga do niego wiedzie jedna — poprzez zwycięstwo. Inaczej wszystkim nam śmierć pisana... Toteż śmiało, bez lęku — naprzód! Jedna sotnia za drugą. Bijcie bezbożników! Nie okazujcie im litości! Nie przyszli tutaj z wizytą, lecz po to, by zagarnąć cudze ziemie i cudzy dobytek. A my tutaj, w tej obcej stronie, bronimy naszej ziemi ojczystej! Toteż, bracia, zapomnijmy, co to lęk! Pamiętajmy mądre powiedzonko, jakiego używali dawniejsi śmiałkowie: albo pan, albo przepadł!

— Będziemy pamiętali, ojcze!

— No to wyprowadzajcie sotnie na skraj lasu! A ty, Romanie — zwrócił się Palij do Wojnowa — czekaj

ze swoimi „dońcami" na mój sygnał. Jak tylko usłyszysz dźwięki surmy kozackiej, wichrem wylatuj z ukrycia, zrób nalot na okopy i pędź za tymi, którym uda się umknąć przed naszymi szablami, a potem uderzaj na skrzydło zajmowane przez chana Murad Gireja!... Tatarzy diabelnie nie lubią uderzeń z flanków...

— Doskonale, ojcze. Zrobię, jak mówicie...

— No to z Bogiem!

Dwadzieścia sotni kozackich szybko utorowało sobie drogę przez zarośla i wyszło na skraj lasu, skąd, kryjąc się w parowach, poprzez winnice i ogrody przeniknęło na tyły janczarskich okopów i stanowisk artyleryjskich. Arsen szedł na przedzie w swoim mundurze janczara i wskazywał drogę.

Wszystko układało się jak najlepiej. Paru janczarów, którzy przypadkowo natknęli się na Kozaków, zdjęto celnymi strzałami z muszkietów. Wśród ogólnego hałasu Turcy nie zwrócili uwagi na te pojedyncze wystrzały.

Palij zerwał z głowy czapkę i pomachał nią.

— Można zaczynać, chłopcy!

Kozacy wynurzyli się z zasadzki i popełzli w stronę okopów i redut armatnich. Arsen, Iwanyk i Spychalski nie odstępowali pułkownika — jeszcze wcześniej umówili się, że będą go osłaniać w czasie walki.

A oto i okopy. Zostało zaledwie parę kroków... Janczarowie byli zajęci swoimi sprawami: niektórzy obserwowali bitwę, która zbliżała się powoli w ich kierunku, inni jedli obiad, jeszcze inni podrzemywali na słoneczku... Chyba żaden z nich nie myślał, że jeszcze dzisiaj będzie musiał wejść do walki. Tylko patrzeć, jak zapadnie wieczór i otuli ziemię mglistym jesiennym zmierzchem, a bój zacichnie sam przez się...

Nagle z tyłu, skąd najmniej można było spodziewać się napaści, rozległ się bojowy okrzyk. Kozackie sotnie,

strzelając z pistoletów i muszkietów i wymachując szablami, rzuciły się na okopy. Wielu janczarów nawet nie zdążyło zorientować się, kim są ci napastnicy, gdy padło pod ciosami. Inni poznali, że mają przed sobą Kozaków, i zdjęło ich przerażenie. Krzyk rozpaczy przeleciał wzdłuż okopów i stanowisk artyleryjskich. Obsługa dział pierwsza ratowała się ucieczką.

Janczarowie również zaczęli rejterować. Ogarnięci paniką gnali przed siebie, gdzie kto mógł — na pierwszą linię i w stronę murów miejskich. Największa ich liczba popędziła tam, gdzie zaległa orda krymska.

Arsen zdjął z głowy janczarską czapkę i zrzucił beszmet * w obawie, żeby swoi nie wzięli go za janczara. W samej koszuli przeskakiwał z okopu do okopu, usiłując być blisko Palija, i rąbał, strzelał, odpierał ataki.

Jego szabla nie próżnowała, cięła na pewniaka. Głowy janczarów toczyły mu się pod nogi w zielska, przeciwnicy padali przed nim na kolana i błagali: „Aman! Aman!" **

Spychalski i Iwanyk też nie pozostali w tyle Spychalski ryczał jak podrażniony tur, jego podobny do grzmotu głos zagłuszał zgiełk walki. Iwanyk powrzaskiwał cieniutko jak zarzynane prosię i bez cienia strachu rzucał się na każdego, kto stawał mu na drodze.

Okopy były zawalone trupami. Ziemia nasiąkła krwią. Janczarowie wreszcie zaprzestali jakiegokolwiek oporu. Ci, którzy pozostali przy życiu, uciekali co sił w nogach, wołając:

— Oj-jej, prawowierni! Kozacy na tyłach! Ratuj się, kto może!

---

* Beszmet (tur.) — wojskowa pikowana kurtka do kolan.
** Aman (tur.) — Litości!

Palij nakazał trębaczowi dać sygnał Romanowi Wojnowowi.

Miedziana surma zajaśniała w słońcu złotem, jej metaliczny dźwięk przetoczył się wzdłuż pola walki i sięgnął skraju lasu, gdzie w ukryciu czekali dońscy Kozacy.

Z dobytymi szablami, z gwizdem i pohukiwaniami wyskoczyli teraz na równinę, niepowstrzymanym wichrem przemknęli ponad linią okopów, dopędzili uciekających i pościnawszy wszystkim głowy, zawrócili ku flankom tatarskim.

Murad Girej nie przyjął boju. Niespodziewane przedarcie się Kozaków w samo centrum ugrupowania oszołomiło go. Orda, wzbijając tysiącami końskich kopyt gęsty kurz, rzuciła się do odwrotu, tratując tych, którzy znaleźli się na jej drodze.

Od strony czerwonego namiotu rzuciło się naprzeciw ordzie kilku jeźdźców z zamiarem przecięcia jej drogi. Wśród nich był Kara Mustafa, ubrany w białą abę *, wysadzaną drogocennymi kamieniami i wyszywaną metalizowaną nicią, w białym turbanie na głowie.

— Zatrzymajcie się! — wołał, bez litości smagając wierzchowca. — Gdzie, dokąd?... Jeszcze tylko jedno natarcie — i Sobieski nie zdzierży, będzie musiał się cofnąć! O Allachu!

Ale orda przeleciała obok niego nie wstrzymując biegu.

W ślad za ordą podążyli spahisowie, ustępując pozycje husarom Sobieskiego. Po janczarach, usytuowanych w drugiej linii obronnej, i Tatarach, z początku nieznacznie, a potem coraz szybciej zaczęło się załamywać całe prawe skrzydło wojsk tureckich.

* Aba (tur.) — płaszcz.

Darmo miotał się Kara Mustafa pomiędzy chanem Murad Girejem a swoimi paszami, darmo nawoływał do zatrzymania się, darmo groził i prosił... Nic nie pomogło! Zdjęte przerażeniem wojsko wycofywało się ze swoich stanowisk z szybkością lawiny śnieżnej i z takimi samymi katastrofalnymi następstwami.

Jazda tratowała piechotę, pragnąc wydostać się z taboru na otwartą przestrzeń, gdzie nic jej nie mogło zagrażać. Piechota porzuciła działa artyleryjskie, rusznice, namioty, odzież, rannych i chorych, a także całe zagrabione podczas wyprawy dobro. Każdy ratował się na własną rękę.

Woźnice, furażerzy, pastuchowie, markietanci, cyrulicy i inne ciury obozowe rzucały na pastwę losu swój dobytek — namioty, wozy, woły i wielbłądy, i pędziły z próżnymi rękoma na wschód, jak najdalej od Wiednia!

Kara Mustafa zrozumiał, że bitwa została przegrana i że on sam w każdej chwili może być pochwycony przez żołnierzy przeciwnika, dlatego też, nie namyślając się dłużej, również rzucił się do ucieczki z placu boju, a w ślad za nim popędził jego poczet i straż przyboczna. W pełnym galopie minął swój czerwony namiot z dumnie wznoszącym się ponad nim buńczukiem, przeklinając w myśli zarówno chana, jak i swoich paszów z ich tchórzliwym wojskiem, tych niegodnych obrońców wielce sławnego Allacha... Porzucił wszystko, wszystko utracił i ogarnięty wściekłością i strachem, jak ostatni tchórz, salwował się ucieczką...

Do obozu tureckiego wchodziły wojska sojusznicze. Król Jan Sobieski ze swoimi husarami zdobył czerwony namiot z przechowywanym wewnątrz sztandarem Proroka, który zaraz na drugi dzień pan Talenti powiózł do Rzymu w darze dla Jego Świątobliwości. W skarbcu wielkiego wezyra znaleziono pięć milionów

guldenów. Dwa miliony król zatrzymał dla siebie, a trzy przekazał Austriakom.

W taborze Turcy pozostawili piętnaście tysięcy namiotów, sto sześćdziesiąt dział armatnich, niezliczoną ilość pocisków i innego wojskowego sprzętu, setki worków z kawą, a także góry martwych ciał. Byli to jeńcy zarżnięci podczas defensywy. Wraz z ciałami zabitych wojowników tureckich trupy te zaległy pola wokół Wiednia, napełniając powietrze trudnym do wytrzymania odorem.

Sobieski rozkazał wojskom odejść na odległość półtorej mili od Wiednia i rozłożył się obozem.

12

Po trzech dniach, spłynąwszy Dunajem z Linzu, z towarzyszeniem salw armatnich, wjechał do Wiednia cesarz Leopold. Razem z nim przybyli członkowie Rady Najwyższej.

Cesarz zachowywał wyniosłą postawę, jakby sam osobiście odniósł zwycięstwo nad nieprzyjacielem. Kroczył po ulicach Wiednia dumny jak paw i oglądał miasto, wypinając okrągły brzuszek.

Wieczorem na posiedzeniu Rady Najwyższej cesarz udekorował najwyższą odznaką wojskową gubernatora stolicy, generała Starhemberga, darowując mu ponadto majątek ziemski wraz ze znaczną sumą pieniędzy.

Starhemberg był zadowolony, chociaż czuł się trochę nieswojo, jako że poza nim nie uhonorowano żadnego z dowódców, nawet Karol Lotaryński został pominięty. Nie uwzględniono jego osoby także przy podziale trofeów. Starhemberg miał jednak na tyle odwagi, że wstawił się przynajmniej za panem Kulczyckim, opowiedziawszy cesarzowi o jego śmiałych wyczynach i nadzwyczajnej pomysłowości.

Leopold pomyślał i rzekł:

— Mniemam, iż ów Polaczek będzie wielce zadowolony z łaski, jaką mam zamiar mu wyświadczyć. Otóż darowuję mu dom w starej części miasta w pobliżu katedry Świętego Stefana, a takoż cały zapas kawy zdobyty w obozie tureckim. Okazuje się, że nikt się nią nie zainteresował... Jest tego, jak mówią, setki worków. Prawie wszyscy piwowarzy w Austrii są zrujnowani wojną, brakuje piwa — toteż niech ten pański Kulczycki otworzy w podarowanym mu przeze mnie domu kawiarnię i przyzwyczaja moich poddanych do picia tego smacznego i wielce pożytecznego dla zdrowia napoju.

Starhemberg skrzywił się. Chciał powiedzieć, że żaden Austriak przez całe swoje życie nie wypił ani jednej filiżanki kawy, może z wyjątkiem samego cesarza i jego rodziny, i dlatego należy wnosić, że Kulczycki raczej nie będzie miał z tej darowizny większego pożytku, lecz bał się rozgniewać cesarza i zmilczał...

Karol Lotaryński, będąc honorowym gościem Rady Najwyższej, zachowywał się z godnością, żartował, uśmiechał się, ale Starhemberg wiedział, że w głębi duszy jest urażony tym, że ominęły go odznaczenia i honory. Jedynie wyniesione z Francji obycie w wielkim świecie oraz wrodzone poczucie humoru pomogły temu księciu, który stracił w ojczyźnie cały swój majątek i nie miał grosza przy duszy, schować urazę głęboko w sercu i robić dobrą minę do złej gry.

Wszyscy widzieli i rozumieli, że księciu dzieje się krzywda, ale nikt nie ośmielił się zwrócić uwagi cesarzowi na tę niesprawiedliwość. Nikt nie pragnął popaść w niełaskę podczas święcenia tryumfów z powodu tego niespotykanego dotąd i mówiąc po prawdzie — raczej niespodziewanego zwycięstwa nad ogromnym wojskiem Kara Mustafy.

Wreszcie padło pytanie, w jaki sposób należy wynagrodzić Jana Sobieskiego.

— Wysłałem doń adiutanta z powiadomieniem, iż pragnę go widzieć osobiście, by móc podziękować za trudy poniesione na polu walki — oświadczył Leopold.

— Ale w jaki sposób należałoby przyjąć zwycięzcę?

— Z otwartymi ramionami! — wykrzyknął prostoduszny Karol Lotaryński. — Jakżeby inaczej? Uratował przecież Wiedeń i całą Austrię!

Leopold nachmurzył się.

— Nie mogę przecież okazywać mu honorów monarszych! Jestem cesarzem dziedzicznym, spadkobiercą tronu, a Jan Sobieski to zaledwie król elektor. Różnica, jak panowie widzą, ogromna!

— Ależ ten człowiek nie żałował krwi własnej ani życia swojego syna dla uratowania monarchii waszej cesarskiej mości! — Nie dawał za wygraną Karol Lotaryński. — Ze szpadą w ręku szedł na czele wojska, dając przykład odwagi i ofiarności!

Leopold aż się skręcił. Wygląda na to, że ten Francuzik pragnie mu przypomnieć, iż on, cesarz austriacki, czas oblężenia i rozstrzygającej bitwy przesiedział w Passau i Linz!

— Podziękujemy mu, naszemu bratu i królowi Polski, w sposób najbardziej mu należny — oświadczył Leopold, pragnąc przerwać rozmowę, gdyż mogła przyjąć nieprzyjemny dlań obrót.

13

Wojska ustawiły się na Ebersdorfskiej równinie, półtorej mili od Wiednia. Na prawym skrzydle stanęli w szyku Austriacy i Niemcy, na lewym — Polacy i Kozacy. Sobieski ze swoimi hetmanami znajdował się przed frontem swoich wojsk.

Leopold w otoczeniu świty, na cienkonogim pięknym rumaku białej maści wyjechał ze Schwechatskiej bramy i skierował się do centrum ugrupowania wojsk, gdzie stanęła grupa jeźdźców na czele z królem Rzeczypospolitej. Gdy znajdował się w połowie drogi, wyruszył mu na spotkanie Jan Sobieski w towarzystwie syna Jakuba, senatorów, hetmanów, niemieckich kurfirstów i księcia Lotaryńskiego.

Król i cesarz spotkali się pośrodku szerokiej równiny. Z tyłu stanęli: za plecami cesarza — świta dworska, za królem — jego korpus dowódczy.

Nie schodząc z konia Leopold wygłosił po łacinie króciutkie powitanie z okazji odniesionego zwycięstwa i uścisnął królowi dłoń. Przemówienie było suche, bezbarwne, pozbawione odrobiny ciepła, nie takie, jakie chcieliby usłyszeć i król, i dowódcy sił koalicyjnych — zabrzmiało tak, jakby nie chodziło tutaj o sławetną wiktorię, a zaledwie o jakieś zwykłe, codzienne wydarzenie. Trwało zresztą wszystkiego trzy czy cztery minuty.

Polscy senatorowie wymienili pomiędzy sobą pełne zaskoczenia i gniewu spojrzenia; twarze ich powoli zalewał krwisty rumieniec. Te słowa bardziej przypominały ukrytą zniewagę niż powitanie.

Niemieccy kurfirści byli urażeni nie mniej niż Polacy. Cesarz nie powiedział pod ich adresem żadnego miłego słowa, wyraził jedynie ogólne podziękowanie „wszystkim niemieckim przyjaciołom", którzy „dopomogli" Austrii w pokonaniu nienawistnego wroga.

Wyglądało na to, że dwór austriacki pragnie umyślnie pomniejszyć zasługi sojuszników w dziele odniesienia wspólnego zwycięstwa. Żadne słowo nie padło z ust Leopolda o zasługach Karola Lotaryńskiego, jakby to nie on stał na czele armii austriackiej. Książę zagryzał usta. Była to obraza i zniewaga dla jego osoby.

Jan Sobieski — również po łacinie — złożył cesarzowi powinszowanie z okazji zwycięstwa, podkreślając bohaterstwo i ofiarność żołnierzy i sztukę wojskową korpusu oficerskiego, w szczególności księcia Karola Lotaryńskiego, i dodał na końcu:

— Korzystając z okazji, pragnę przedstawić waszej cesarskiej mości mojego syna Jakuba, który przejawił niemałą odwagę i nieraz w krwawych potyczkach nurzał swoją szpadę w krwi nieprzyjacielskiej. Dumny jestem z takiego syna!

Król oczekiwał, że cesarz na oczach całej armii austriackiej i niemieckich kurfirstów, a także polskich senatorów uściska królewicza, okaże mu swoją przychylność i przywita jako przyszłego zięcia. Ale cesarz nie uronił ani jednego słowa i tylko nieznacznie skinął głową. Jego spojrzenie, chłodne i obojętne, prześliznęło się po zarumienionej twarzy młodego Sobieskiego.

Król usłyszał za plecami groźne pokasływanie braci Sapiehów i niezadowolone posapywanie Stanisława Jabłonowskiego. Natomiast kozacki pułkownik Semen Palij nie wytrzymał i półgłosem zaklął po ukraińsku, myśląc, że nikt go nie zrozumie:

— Też mi wielka persona, do diabła! I gdzie się toto podziewało, gdy tutaj grzmiały armaty?

Serce Sobieskiego ścisnęła obraza. Jego spojrzenie skierowane na wypieszczone, pełne pychy oblicze Leopolda dyszało nienawiścią.

Miernota! — pomyślał ze złością, która lada chwila mogła wyrwać mu się z ust okrzykiem i zepsuć całą podniosłą uroczystość. — Tchórz nieszczęsny!

Ale rozsądek zwyciężył. Król powstrzymał wybuch gniewu i tylko chłodno przemówił:

— O ile się nie mylę, najjaśniejszy pan pragnie dokonać przeglądu moich hufców? Oto moi hetmanowie — pokażą waszej dostojności wszystko, co potrzeba!

— I z tymi słowy zawrócił konia i w towarzystwie syna odjechał precz.

Cesarz również dał koniowi ostrogę i ruszył wzdłuż frontu wojsk.

Przez następne dwa dni wśród chorągwi sojuszniczych panował nastrój przygnębienia. Polscy senatorowie, magnaci, a nawet prości żołnierze w głos i otwarcie wyrażali swoje oburzenie niegodnym zachowaniem się cesarza Austrii i domagali się od króla, by natychmiast poprowadził ich z powrotem do kraju.

Elektor saski ogłosił w swoim wojsku stan pogotowia i wyruszył do domu. Bawarczycy i Frankończycy jeszcze się wahali.

Jedynie Jan Sobieski, poskromiwszy gniew, który wrzał mu w piersi, stał stanowczo na swoim: należy dopędzić Kara Mustafę i zadać mu cios ostateczny!

— Panowie — dowodził szlachetnemu zgromadzeniu — walczyliśmy nie za cesarza, a za Rzeczpospolitą! Walczyliśmy pod Wiedniem po to, by Kara Mustafa nie doszedł do Krakowa czy Warszawy. Rozumiecie to chyba wszyscy? Dlaczegóż to panowie uważają w takim razie, że teraz, gdy wezyr wciąż jeszcze posiada swoje ogromne wojsko (chociaż porządnie przetrzepane i wystraszone przez nas!) i właśnie zbiera je do kupy pod Budą, może z zamiarem napaści na Polskę — powinniśmy w spokoju rozejść się po domach? Nie! Nieprzyjaciel wpadł w panikę i trzeba go dobić! Domagam się tego z całą stanowczością! Wezyr wciąż jeszcze jest dla nas niebezpieczny ze swoją potęgą i jeśli damy mu czas na zebranie wszystkich niedobitków i utworzenie pięści uderzeniowej, popełnimy tym samym błąd nie do naprawienia! Będzie to z naszej strony działanie na szkodę ojczyzny naszej, a także na szkodę jej przyszłych pokoleń, które skazujemy na to, iż przyjdą na świat jako ludzie niewolni, przeklinając

nas, że mając po temu wszelkie możliwości, nie rozgromiliśmy nieprzyjaciela ostatecznie!

Królowi udało się przekonać wojewodów i senatorów i zaczęto czynić przygotowania do wyprawy, by dopędzić Kara Mustafę.

Tego samego dnia, gdy wojska miały wyruszyć, przybył goniec od cesarza. Przywiózł list, w którym Leopold prosił o przebaczenie za swoje nietaktowne zachowanie i przekazywał kosztowną szpadę w darze dla królewicza Jakuba Sobieskiego.

Polskie wojsko pociągnęło na Pressburg, gdzie połączyło się z wielkim zagonem Kozaków przyprowadzonych przez Kunickiego, a stamtąd, doczekawszy się przybycia Karola Lotaryńskiego, podążyło do Gran. Jak donieśli wywiadowcy, tam właśnie Turcy przeszli na lewy brzeg Dunaju i zajęli umocnienia broniące mostu na Parkanach.

14

— Arsenie, cholera jasna, stałeś się bogaczem co się zowie! — grzmiał Spychalski, przechodząc z całym kozackim towarzystwem z jednego pokoju do drugiego w domu podarowanym Arsenowi przez cesarza. — Przydałaby ci się taka chatynka w Fastowie!

Dom rzeczywiście był obszerny. Starhemberg w imieniu cesarza wręczył bohaterowi Wiednia klucze od drzwi wejściowych, a żołnierze austriaccy przywlekli z obozu tureckiego cały zapas kawy, pozostawiony tam przez Turków. Było tego kilkaset worków, które złożono w piwnicy i tylnych pokojach parteru.

Arsen uśmiechał się tylko pod wąsem, bo i na cóż potrzebne mu były ten dom i ta kawa?

Iwanyk rozwiązał jeden z worków, nabrał w garść brązowych ziaren, wrzucił parę z nich do ust i splunął.

— Tfu, ale ohyda, taka twoja owaka! Niech się cesarz wypcha tym swoim prezentem! Też miał pomysł! Nie mógłby to obdarzyć cię miarką złota? Sam, gdyśmy tu krew przelewali, dał drapaka za lasy i góry, a potem otrzymał za obronę Wiednia trzy miliony guldenów! A bohaterowi spod Wiednia — na tobi, neboże, szczo meni nehoże! *

— Nie mów tak, Iwanyku! — zaprzeczył Arsen. — Zaraz z Janem Kulczkiem zaparzymy kawę — spróbujesz! Turcy nie są tacy głupi. Tam u nich kawiarnia na każdym rogu, kawę uważają za napój godny bogów! — Arsen zwrócił się do Jana: — Janie, przyprowadź no jeńca. Odnoszę wrażenie, że to taki majster złota rączka. Może i kawę zaparzyć potrafi?

Kulczek przyprowadził jeńca. Był to wysoki, chudy Turek o ostrym profilu. Wszedł wystraszony do frontowego pokoju, gdzie za stołem na miękkich krzesełkach rozsiadła się brać kozacka. Zobaczywszy srogiego z wyglądu Zawieruchę i nie mniej groźnie wyglądającego Spychalskiego, Turek zaczął drżeć jak listek osiny.

— Aman! Aman! — zabełkotał, myśląc, że co najmniej zostanie poćwiartowany.

Arsen podszedł do niego i przyjaznym gestem położył mu dłoń na ramieniu. Odezwał się po turecku:

— Nie bój się, człowieku. Nikt tutaj nie pragnie twojej krwi, uwierz mi.

— O! Efendi tak dobrze mówi po naszemu... Naprawdę nie zarżniecie mnie tutaj?

— Nie zarżniemy, biorę Allacha na świadka. Jak się nazywasz?

— Selim, efendi.

— A kim byłeś w Turcji, zanim wcielono cię do wojska?

* Na tobi... (ukr.) — w znaczeniu: Byle co, aby zbyć.

— Byłem kawedżi *, efendi.

— Kawedżi, mówisz? — uradowany Arsen zwrócił się do kompanów: — Słyszycie? Okazuje się, że ten oto człowiek przez całe swoje życie parzył kawę! Ale mieliśmy szczęście! — I znowu zwrócił się do Turka: — Zaparzysz nam kawę?

— Ależ tak, efendi! Zajmowałem się tym przez ostatnie dwadzieścia lat mego życia! Mnie i do niewoli wzięto tylko dlatego, że zajęty mieleniem kawy anim się spostrzegł, że nasi są w odwrocie...

— No to doskonale. Więc zaparz kawę, Selimie. Ale taką, żeby pachniała na cały Wiedeń i żeby moi przyjaciele upodobali sobie ten napój na całe życie!

Turek radośnie błysnął oczyma. Uwierzył, że nikt tutaj nie zrobi mu żadnej krzywdy.

— W tej chwili! Gdzie jest kuchnia?

Jan Kulczek zaprowadził go w głąb budynku.

Po niedługim czasie doszedł zebranych bardzo przyjemny aromat. Rozległ się brzęk naczyń. Zabulgotał rozlewany do filiżaneczek napitek.

Nie zdążyli Kozacy opowiedzieć sobie swoich przygód w ciągu tych dwu ostatnich dni ani nawet pochwalić się zdobytymi w tureckim obozie łupami, jak rzutki Czech wniósł do pokoju drewnianą tacę, na której stały filiżanki z pachnącym napojem i porcelanowy półmisek, pełny smażonych i przyrumienionych grzanek.

— Ho, ho! Ależ to jest, proszę łaskawych państwa, naprawdę smaczne! — zawołał Spychalski, pakując do ust chrupiącą grzankę i popijając ją kawą. — Niech mnie piorun bije, jeśli kłamię! Oczywiście nie jest to warzony miód, jakim częstowano mnie na Ukrainie, ale zawsze...

---

* Kawedżi — tutaj: właściciel kawiarni.

— I nie gorzałka! — zakrzyknął basem Zawierucha. — Jednakże pić można...

Przez otwarte okna gęsty aromat kawy przeniknął na ulicę, gdzie zaczął zbierać się tłum składający się z żołnierzy i oficerów, majstrów i ich czeladników, urzędników, studentów, roboczego ludu i terminujących rzemieślników — słowem, tych wszystkich, którzy dopiero przed kilku dniami bronili swojego miasta. Arsen który siedział blisko okna, widział, że ludzie wciągają nozdrzami aromatyczną woń a na ich twarzach maluje się zachwyt.

Ktoś go o coś zapytał, ale Arsen nie zrozumiał. Do okna podbiegł w swojej białej czapce kucharskiej Jan Kulczek.

— Co się tutaj mieści? Gospoda? Wejść można? — pytano z tłumu.

— Nie gospoda, lecz kawiarnia — odpowiedział Kulczek. — Kawiarnia Kulczyckiego!

— A co to znaczy? — spytał człowiek o siwych wąsach i zachlapanej farbami odzieży. — Czym się tutaj handluje?

— Proszę spróbować, a przekona się pan, czym! — Kulczek podał mu przez okno filiżankę kawy i grzankę.

Tamten powąchał, ostrożnie odpił jeden łyk, a potem z ukontentowaniem opróżnił całą filiżankę.

— Hm, smaczne! Nie piwo co prawda, ale, klnę się na świętą Magdalenę, równie dobre! — zwrócił Janowi filiżankę i dodał: — Jeśli nalejesz mi, chłopcze, jeszcze jedną, wymaluję ci szyld nad wejściem, tutaj, obok lichtarza. Jak powiedziałeś: kawiarnia?...

— Kawiarnia Kulczyckiego!

— No to tak właśnie wymaluję: „Kawiarnia Kulczyckiego"!

— Zgoda, proszę pana! — Kulczek podał mu jeszcze jedną kawę z grzanką.

Malarz wypił, otworzył swoją skrzyneczkę, wyjął pędzel i farby.

— Bądź tak łaskaw i wynieś mi drabinę!

Kulczek migiem spełnił polecenie.

Siwowłosy malarz machał pędzlem z wielką wprawą i już wkrótce nad drzwiami pojawiły się wielkie, mierzące prawie łokieć wysokości litery. Nie minęło dziesięć minut, gdy ludzie, którzy stłoczyli się na ulicy, czytali ze zdziwieniem niezrozumiały napis: „Kawiarnia Kulczyckiego".

Najbardziej niecierpliwi usiłowali wejść do środka, ale Kulczek stanął w drzwiach i nie wpuszczał nikogo.

— Jutro, panowie! Na jutro zapraszam wszystkich! Dzisiaj dopiero kończymy przygotowania. A jutro zaparzymy dwa garnce kawy — starczy dla wszystkich chętnych. Szykujcie pieniądze, panowie!

Arsen z początku śmiał się razem z Kozakami z tego pomysłu Jana i siwowłosego nie znanego malarza. Ale gdy zauważył, że ludzie, dowiedziawszy się, że dzisiaj nic z tego nie będzie, zaczęli się rozchodzić, oświadczył niespodziewanie:

— Słuchaj, Kulczek! A dlaczegoż to nie miałbyś naprawdę zostać właścicielem tej kawiarni? Hę?

— Jak to? Toż ona nie do mnie należy, tylko do ciebie, przyjacielu!

— Tak, ale ja nie mam zamiaru pozostać w Wiedniu. Wojska nasze wyruszają na wyprawę i ja udaję się razem z nimi... Toteż zostań, bracie, imć panem Kulczyckim! Zmiana nie będzie wielka: Kulczka przerobi się na Kulczyckiego i tyle! Przecież nie sam zarobiłem na ten dom i na tę kawę, tylko we dwóch! Powiem o tym generałowi Starhembergowi... No co, zgadzasz się?

Jan Kulczek rozkwitł w uśmiechu.

— Dziękuję ci, wierny przyjacielu! Nawet nie śmiałem marzyć o takim szczęściu! Ale co będzie z tobą?

— O mnie się nie martw! Ja mam przed sobą inne cele... A jeśli kapryśny los poszczęści i rzuci mnie kiedy w te strony, myślę, że nie odmówisz mi tej przyjemności i poczęstujesz filiżanką smacznej, aromatycznej kawy?

Jan Kulczek uronił łzę. Był tak wzruszony, że rzucił się Arsenowi na pierś i ucałował go.

— Więc od dzisiaj jestem Kulczyckim! Nazywam się Jan Kulczycki! Czy nie brzmi dobrze? A ciebie zawsze rad będę zobaczyć. Abyś tylko przybył tu kiedykolwiek jeszcze, bracie! — Jeszcze raz mocno objął Arsena i dodał: — Co do Selima, zostanie ze mną. Nikt tutaj nie potrafi tak zaparzać kawy, jak ten człowiek. A potem, z czasem, może i sam wyuczę się tej sztuki...

BĘDĄ PTASZKI PRZYLATYWAĆ...

1

Nie czekając na przybycie Karola Lotaryńskiego z Austriakami i Bawarczykami, Jan Sobieski postanowił jednym uderzeniem zdobyć Gran razem z twierdzą, którą obsadziła silna turecka załoga, albo przynajmniej rozgromić młodego i odważnego paszę Kara Mohameda, który z siedmioma tysiącami spahisów obwarował się na przedmieściu Gran — w Parkanach.

— Najjaśniejszy panie, Gran i Parkany nie będą łatwą zdobyczą — usiłował wyperswadować królowi nie przemyślane natarcie Arsen, który właśnie powró-

cił ze zwiadu. — Forteca jest mocna, na przedmieściu wyryto okopy. Przez Dunaj przerzucono most — z prawego brzegu nadchodzą nowe zagony. Należałoby poczekać na sojuszników...

— Twoja rzecz, Kozacze, to zameldować królowi i hetmanom, coś widział i słyszał — z ukosa, dumnym okiem spojrzał na zwiadowcę hetman Jabłonowski. — Wszelkie decyzje natomiast należą do jego królewskiej mości i hetmanów!

Arsen wzruszył ramionami, zamilkł i odszedł na bok.

— Zdaje się, że utarto panu nosa, proszę pana? — skarcił go z cicha Spychalski. — Otóż nie pchaj się na siłę tam, gdzie cię nie proszą, bo dostaniesz po łapach!

Polacy i Kozacy ponieśli wielkie straty osobowe. ich ranni i chorzy pozostali w szpitalach polowych, przez co szeregi żołnierzy znacznie się przerzedziły. Jednak Sobieski nie chciał dłużej dzielić laurów zwycięzcy z Karolem Lotaryńskim.

— Dragoni, naprzód! Kozacy, za nimi! — Król wskazał szpadą punkt majaczący w dolinie. — Zmieść spahisów! Otoczyć fortecę!

Dragoni i Kozacy szybko pomknęli przez równinę zasadzoną winoroślą i zbliżyli się do Parkanów. Kozacy jednak nie zdążyli rozwinąć się w szyk bojowy, gdyż ogień z rusznic i dział zmusił ich, by zalegli w otwartym polu. Dragoni również się zatrzymali. W tym samym momencie Kara Mohamed na czele spahisów ruszył do ataku.

Natarcie było tak niespodziewane i silne, że dragoni nie wytrzymali i nie przyjąwszy boju, rzucili się do ucieczki. Zaczęła się haniebna rejterada. Spahisowie doganiali uchodzących, cięli ich szablami, przebijali dzidami, tratowali końmi.

Palij ze swoim oddziałem fastowskim wycofywał się przez winnice. Tuż obok niego posapywał Zawierucha,

ciężko dyszał Szewczyk, a Iwanyk kicał na przedzie niby zając, malutki i wątły, lekko prześlizgując się pomiędzy rzędami winnej łozy.

Od całkowitej zagłady uratował ich król, który na czele czterotysięcznego oddziału husarii osobiście pośpieszył przeciąć spahisom drogę. Zatrzymał Kara Mohameda w miejscu akurat na taki przeciąg czasu, że dragoni i Kozacy zdążyli oderwać się od prześladowców. Ale że spahisów było dwukrotnie więcej, wkrótce także i husaria została zmuszona do przejścia w defensywę.

— Polacy, za mną! — rozbrzmiewał głos Sobieskiego. — Dokądże to? Jeszcze jedno uderzenie i Turcy zostaną przyparci do Dunaju!

Wiedziony gorączką boju, wymachiwał swoją długą szpadą ze złoconą rękojeścią. Arsen ze Spychalskim nie odstępowali go ani na krok, broniąc przed szablami spahisów, którzy nacierali na nich ze wszystkich stron.

Lecz husarzy już zawrócili konie. Gnali na oślep z powrotem. Śmiertelny strach nagle ogarnął wszystkich, rozwiał zapał bojowy. Jeźdźcy porzucali lance, które zaczepiały o winną latorośl i przeszkadzały w ucieczce; pod kopyta końskie potoczyły się kotły bojowe; chorążowie ciskali w krzaki pułkowe i oddziałowe sztandary.

— Najjaśniejszy panie, uciekajmy! — zakrzyknął Spychalski, zorientowawszy się, że król wraz z grupką walczących lada chwila może zostać otoczony przez Turków. Chwycił pod uzdę królewskiego wierzchowca i pognał pędem przed siebie. — Osłaniaj nas, Arsenie!

Zwenyhora celnymi uderzeniami powalił na ziemię dwóch spahisów, trzeciemu wpakował w pierś cały ładunek pistoletu i dopiero wtedy rzucił się w ślad za królem, starając się nie spuszczać go z oczu w tym niewiarygodnym rozgardiaszu.

Ogarnięci szaleństwem husarzy płazowali szablami konie, popędzając je z całych sił, napierali jeden na drugiego, wysforowywali się przed króla i nawet popychali go wśród ogólnego tłoku. Ponad głowami uciekających furczały strzały spahisów, a dzidy migotały jak błyskawice, zwiastując husarom śmierć.

Arsen dopędził króla, chwycił go pod ramię. Zauważył to Spychalski i podtrzymał króla z drugiej strony. Pędzili tak we trzech — król, zupełnie wyzbyty sił, pośrodku i dwaj jego młodzi wybawcy po bokach. Na szczęście, wytrzymały wierzchowiec królewski ani razu się nie potknął, przesadzając rowy i przeskakując przez krzaki winorośli.

Odwrót trwał prawie godzinę. Turcy zaprzestali pogoni i zawrócili konie dopiero wtedy, gdy dostrzegli z dala nadciągajce kolumny piechoty, a za nią — artylerię. To nadchodził z wojskiem Karol Lotaryński.

— Na Boga, zatrzymajcie się! — wysapał Sobieski ostatkiem sił.

Arsen i Spychalski podchwycili go pod ręce, ułożyli na stratowanej końmi stercie siana. Król łapał ustami powietrze, jego szeroka pierś i potężny brzuch wzdymały się jak miechy kowalskie. Pot strugami spływał po bladej twarzy.

— Kche, kche — sapał ciężko Sobieski. — Dziękuję wam, panowie! Uratowaliście mnie od niechybnej śmierci...

Nadjechał książę Lotaryński, szybko zeskoczył z konia, zapytał z niepokojem:

— Czy wasza królewska mość nie jest ranny?

Sobieski otarł spocone czoło.

— Tym oto dwóm rycerzom zawdzięczam, że nie jestem ranny ani zabity — tu wskazał na Arsena i Spychalskiego. Ale w sercu mym otworzyła się rana — doskwierają mi wyrzuty sumienia...

— Dlaczegóż to?

— Wyznaję swoją przewinę. Duma ogarnęła me serce i zechciałem zmierzyć się zwycięsko z Kara Mohamedem, nie czekając na przybycie waszmości. Zapragnąłem sławy dla mego wojska... I oto mam za swoje — zostałem ukarany. Sumienie dręczy z powodu niepotrzebnych strat, a wstyd dojmuje z powodu haniebnej ucieczki!

W oczach Sobieskiego zabłysły łzy.

— Ale czy warto aż tak się denerwować i przejmować, wasza królewska mość! — zawołał przejęty tą wrażliwością uczuć książę. — Na wojnie zawsze tak bywa: jedna strona zwycięża, a druga ponosi porażkę...

— Otóż to!... Ale ja pomszczę moje krzywdy, a to z pomocą waszmości! Musimy się zaraz zastanowić nad właściwymi sposobami... Wspólnymi siłami zrzucimy Turków do Dunaju! Odpłacimy im za krew naszą i hańbę!... Gdzie są moi oficerowie? Trzeba zebrać rozproszone wojsko! — Król ciężko podniósł się na nogi i dopiero teraz spostrzegłszy, że wciąż jeszcze trzyma w ręku dobytą szpadę, wsunął ją do pochwy. — Proszę o konia!

2

Szturm Parkanów był poprzedzony silnym obstrzałem artyleryjskim. Tym razem Sobieski nie zlekceważył sztuki wojennej i ustawił swoje siły trzyliniowo, zgodnie z obowiązującymi regułami. Ażeby nie było narzekań, że jednemu z sojuszników przypadł w udziale cięższy, innemu zaś lżejszy odcinek — przemieszał wszystkie chorągwie.

Skorzystał z tego Marcin Spychalski i przyłączył się do oddziału fastowskiego pułkownika Semena Palija. Chciał walczyć ramię w ramię ze swoimi wypróbowanymi przyjaciółmi, przede wszystkim z Arsenem Zwe-

nyhorą i Iwanykiem. Wszyscy trzej stali w pierwszej linii, mając po lewej ręce zalegającą w okopach polską piechotę, a po prawej — bawarskich lancknechtów.

Czekając na rozkaz wyruszenia do ataku, Spychalski nie odczuwał strachu. Przypomniał mu się przedwczorajszy szturm i sprzeczka, jaka wynikła w polsko-kozackim wojsku.

Wspólnie przebyta daleka i ciężka droga, bitwa pod Wiedniem, pogoń za uchodzącymi Turkami i nieustające potyczki spowodowały, że zarówno Polacy, jak i Kozacy czuli się zmęczeni. Wszystkich oburzyła otwarta zniewaga, jakiej dopuścił się cesarz Leopold. Podczas podziału zdobyczy nie otrzymali prawie nic Natomiast zabitych, rannych i chorych mieli więcej niż Austriacy i Niemcy. Ludzi zaczęła ogarniać złość... Dlatego też z początku cicho, a potem coraz głośniej zaczęto mówić o powrocie do kraju.

— Połowa naszego bractwa leży w ziemi albo poniewiera się po szpitalach, a jak nam cesarz za to podziękował? Figę podsunął pod nos!

— A jakże? Pożywisz się przy takim! Przed Turkami uciekł aż do Bawarii, a jak przyszło dzielić zdobycz — zagarnął dla siebie trzy miliony guldenów, zabrał całą ich artylerię, obozy i najlepszą broń, a nam zostawił łachy po janczarach!

Oliwy do ognia dolał Stanisław Jabłonowski.

— Panowie! — oświadczył podczas narady wyższych oficerów. — Spełniliśmy więc nasz obowiązek, wynikający z umowy zawartej z cesarzem Leopoldem. Rozgromiliśmy Kara Mustafę i przyszliśmy na odsiecz oblężonemu Wiedniowi. Turcy wycofali się z terytorium Austrii... Poza tym cesarz obraził naszego króla i nas wszystkich, w istocie odmówiwszy wydania swojej córki za mąż za królewicza Jakuba. Jejmość królowa pani pisze z Krakowa, że mamy powracać do domu!

— Do domu! Do domu! — rozległy się głosy jaśnie wielmożnych.

Jeden król był przeciw. Na wszelkie sposoby dowodził, że Kara Mustafa, chociaż zwyciężony, nie jest pokonany ostatecznie, że nie będą mieli lepszej sposobności do całkowitego rozgromienia Turków i że sułtan może zebrać nowe wojsko i tym razem ruszyć na Rzeczpospolitą... Nikt nie chciał go słuchać.

Wreszcie Sobieski się poddał.

— Zgoda, panowie! Wracajmy do domu... Ale nie możemy przecież porzucić na pastwę losu księcia Karola Lotaryńskiego! Nie licowałoby to z godnością rycerzy! Wczoraj on nas wyręczył, a my z kolei dopomożemy jutro jemu. Zdobędziemy Parkany i Gran — i poprowadzę was do domu. Ale nie wcześniej! Choćbym nawet sam jeden miał pozostać — pozostanę i przyjaźni bojowej nie złamię!

Te słowa wywarły wrażenie zarówno na oficerach, jak i na żołnierzach. Wojsko przez cały dzień sposobiło się do mającego nastąpić szturmu...

I oto zagrały surmy. Sojusznicy poszli do ataku.

Spychalskiemu momentalnie wywietrzały z głowy wszelkie wspomnienia. Mocno zacisnąwszy w jednym ręku szablę, a w drugim — pistolet, poderwał się z miejsca i razem z Arsenem, Iwanykiem, Zawieruchą, Sikaczem, Szewczykiem oraz innymi Kozakami zaczął biec w kierunku okopów nieprzyjacielskich, które opasywały przyczółki mostowe.

Na ich spotkanie uderzyła turecka artyleria. Zagrzmiała salwa oddana z „janczarek". Gdy podbiegli bliżej, strzały sypnęły się jak grad. Padali na ziemię zabici i ranni, lecz nie powstrzymało to impetu nacierających. Jak wicher wpadli do wrażych okopów i zmietli przednie szeregi janczarów i spahisów.

Palij krzesał szablą iskry na lewo i prawo.

— Chłopcy! Przyłóżcie się, a mocniej! — grzmiał jego głos.

Arsen bił się w milczeniu, zacisnąwszy usta. Cienkim głosem powrzaskiwał obok niego Iwanyk, nieustraszenie rzucając się na przeciwnika. Ryczał jak niedźwiedź Zawierucha...

Nacierając na wroga przyjaciele baczyli pilnie, czy żadnemu z nich nie zagraża niebezpieczeństwo. I gdy tylko któryś spostrzegł, że towarzysz walczący obok znajduje się w tarapatach, natychmiast śpieszył mu z pomocą.

Lecz wojna nie obywa się bez ofiar.

Gdy wyparli Turków z przedniej linii okopów i poszli na szturm następnej, niespodziewanie upadł na ziemię Sikacz. Biegł szybko, wysoko wznosząc przed siebie szablę i brakowało mu zaledwie paru kroków do ziemnego okopu, za którym miotali się zdjęci przerażeniem janczarowie, gdy nagle potknął się, lewą ręką chwycił za serce i z jękiem padł jak długi.

— Bracie, co z tobą? — Arsen pochylił się nad towarzyszem.

Tamten nie odezwał się. Usta miał zaciśnięte, a piękne niebieskie oczy, w których bez pamięci kochały się dziewczęta i zamężne kobiety, martwo patrzyły w błękit nieba. Kula trafiła go prosto w serce.

Arsen zamknął mu oczy i pobiegł w ślad za towarzyszami.

Janczarowie i spahisowie z krzykiem uciekali w kierunku mostu na Dunaju. Zaczynało się tam prawdziwe piekło. Kara Mohamed, ranny w rękę, usiłował zorganizować obronę przyczółków mostowych, aby podstawowej masie wojska dać możność przeprawienia się przez Dunaj. Zebrało się wokół niego ze dwa tysiące spahisów, którzy ostrzeliwali się z „janczarek", pistoletów i łuków. Z fortecy biły w nacierających armaty,

ale pociski nie mogły dosięgnąć celu i nie przyczyniały nikomu najmniejszej szkody.

Sobieski przez cały czas obserwował przebieg bitwy, stojąc na wzgórzu. Rzucił teraz do ataku pułk husarii, który posuwając się wzdłuż brzegu, miał wklinować się w kłębowisko nieprzyjaciół i odciąć ich częściowo od mostu. Doszło tam do krwawej potyczki.

Karol Lotaryński kazał podciągnąć baterię i gdy na chwiejącym się pontonowym moście stłoczył się tysięczny tłum oszalałych ze strachu żołnierzy tureckich, ogniomistrze dali ognia, celując w tę żywą niteczkę, która łączyła obydwa brzegi rzeki.

Jeden z pocisków roztrzaskał łódź mostową i liny mocujące. Most pękł na dwoje, połówki zaczęły się rozchodzić w przeciwne strony i pod ciężarem wielkiego zbiorowiska ludzkiego pogrążyły się w wodzie.

Krzyk rozpaczy wzbił się w górę ponad szerokim spokojnym Dunajem...

Jak daleko sięgał wzrok — fale rzeczne unosiły tych, którzy dopiero co wstąpili na most w nadziei przedostania się na drugi brzeg i uratowania życia... Teraz całe tłumy ludzi powoli szły na dno wśród modłów, wymysłów i złorzeczeń...

— Gińcie, do diabła! — krzyczał z brzegu Spychalski. Zawtórował mu swoim przenikliwym tenorkiem Iwanyk:

— Płyńcie prościutko na tamten świat, gady oślizłe, takie owakie!

Chciał dodać coś jeszcze, gdyż był to człowiek wielce wygadany, lecz w tej samej chwili poczuł, że zagłębia mu się w ciało cienka długa strzała.

— Oj! — wrzasnął Iwanyk. — Braciszkowie! Oj! Oj!

Wypuścił szablę z dłoni i obu rękoma chwycił się drzewca strzały, po którym ściekały na ziemię czerwone kropelki krwi.

— Nie ruszaj! — zakrzyknął Spychalski.

— Iwanyku, poniechaj! — zawołał również Arsen, widząc, że Iwanyk całą siłą próbuje wyszarpnąć strzałę z brzucha.

Ale tamten czuł tak dojmujący ból, że nic nie słyszał. A jeśli nawet słyszał, to słowa przyjaciół nie dochodziły do jego świadomości. Nie czekając, aż mu przyjdą z pomocą, wyszarpnął strzałę z rany i złamał ją. Drzewce pozostało mu w ręku, gdy tymczasem żelazne ostrze nadal tkwiło głęboko w ciele.

Świat zbladł mu w oczach i Iwanyk osunął się powoli na ręce Arsena i Spychalskiego.

Bitwa trwała w dalszym ciągu. Sojusznicy otoczyli janczarów w ich szańcach nadbrzeżnych i nie zważając na wydawane przez wielu z nich okrzyki „aman", wycięli wszystkich w pień.

Zawierucha posuwał się naprzód całym swoim olbrzymim cielskiem, torując drogę szablą. Z tyłu za nim dreptał na cienkich nóżkach dziadunio Szewczyk. Wyszczerzał swój jedyny ząb i dodawał ducha potężnemu towarzyszowi:

— Bij, a mocno, Korniju! Wyprawiaj gadów na tamten świat, żeby nawet smród po nich nie pozostał! I nie oglądaj się poza siebie, śmiało możesz zdać się na mnie. Osłonię cię w razie czego. Niech no tylko spróbuje który podejść nas od tyłu! Zaraz będzie po nim! Moja szabelka jeszcze przysłuży się sprawie, ho, ho!

— No, jeśli naprawdę „ho, ho", to wtedy nie mam czego się bać! — roześmiał się głośno Zawierucha, zadając uderzenie przeciwnikowi.

Szewczyk nie odpowiedział.

Zawierucha spojrzał poza siebie i zaniemówił. Turecki pocisk urwał Szewczykowi głowę, ścinając ją równiutko jak nożem. Maleńki, pozbawiony głowy kadłub

starego zaporożca spadł jak snop na zakrwawione zwłoki młodego janczara.

— Szewczyku! Bracie! Jakżeż to?... Ech! — Zawierucha w rozpaczy machnął ręką. Jego pełna, pomarszczona twarz zaczęła drżeć, z oczu trysnęły łzy i potoczyły się po długich siwych wąsach...

3

Gdy ucichł zgiełk bitwy, Arsen pożegnał się z przyjaciółmi — Romanem, Palijem, Spychalskim, Zawieruchą i rannym Iwanykiem, a potem postał chwilę nad ciałami poległych: Sikacza i Szewczyka. Następnie przebrał się w odzież janczarskiego agi i dosiadł konia.

— Żegnajcie, bracia! Wasza droga wiedzie do domu, a moja — w przeciwnym kierunku... Pozdrówcie ode mnie moich bliskich i nie wspominajcie złym słowem!

— Powracaj jak najszybciej, Arsenie! — Roman objął go na pożegnanie.

— Jeśli powrócę, to ze Złatką! — odparł Arsen i spiąwszy konia ostrogami, popędził brzegiem Dunaju na południe...

Tego samego dnia w królewskim namiocie zebrali się kozaccy pułkownicy — Palij, Samuś, Iskra, Abazin. Był też hetman Jabłonowski.

— Jaśnie panie — rozpoczął Palij. — Uczciwie wypełniliśmy nasze zobowiązanie. Turcy rozgromieni i jutro wojsko królewskie wyrusza w drogę powrotną. Kozacy chcieliby dzisiaj jeszcze otrzymać swoje trudem bojowym i krwią zapracowane wynagrodzenie, a my — akta nadawcze na miasta Fastów, Niemirów, Korsuń i Bogusław, zgodnie z tym, co obiecał nam w imieniu waszej królewskiej mości komisarz królewski pułkownik Mężyński...

— Dziękuję wam, panowie! Wielcem zobowiązany, panie Semenie! — Król podszedł do Palija i położył mu na ramionach swoje ciężkie dłonie. Popatrzył pułkownikowi w oczy. — Hufce kozackie walczyły aż do zwycięskiego końca nie szczędząc sił ani krwi... Napisałem do małżonki mojej, jejmość królowej Marysieńki jak to kozactwo twoje, panie Semenie, przyszło nam w sukurs w najcięższej chwili... Ale przecież nie wożę ze sobą tak wielkich sum pieniężnych! Powrócę do Warszawy i przyślę do was stamtąd skarbnika, który wypłaci całą należność. A co do aktów nadawczych...

— Akta nadawcze też można wysłać z Warszawy — wtrącił hetman Stanisław Jabłonowski, chłodno spoglądając od stołu na pułkowników. — Po cóż ten pośpiech? Sejm rozpatrzy, postanowi, co i jak...

— Nie, panie hetmanie — zaoponował Palij. — Odłożyć na potem można twaróg, żeby się ukwasił porządnie, ale...

— No, no, panie pułkowniku, nie zapominaj, do kogo mówisz! — uniósł się honorem Jabłonowski. — Nie potrzebuję, by mnie pouczano.

— A my, panie hetmanie, nie potrzebujemy pośrednika w naszej rozmowie z królem jegomością! — wypalił Semen. — Akta nadawcze przyobiecał nam nie sejm, lecz król!

— Ależ... — Jabłonowski poderwał się na równe nogi, jego dłoń sięgnęła po szablę.

— Panowie, panowie! — król podniósł głos. — Ta sprzeczka do niczego nie doprowadzi! Panie Stanisławie, stawiasz mnie waćpan w niezręcznej sytuacji... Ja rzeczywiście obiecałem panom pułkownikom kozackim, iż wydam im akta nadawcze na te miasta i ziemie, w których zamieszkują ze swoim kozactwem... Jestem człowiekiem honoru. I odnośne akta, panowie, są już przeze mnie podpisane. Oto one — z tymi słowami So-

bieski otworzył szkatułkę, która stała u wezgłowia jego polowego łóżka, wyjął arkusze pergaminu oprawione w cielęcą skórę i wręczył je pułkownikom. — A co do pieniędzy, otrzymacie je natychmiast, jak tylko powrócicie do domu... O to proszę się nie martwić!

Pułkownicy wcale nie usiłowali ukryć swojego rozczarowania.

— Ale cóż mamy powiedzieć wojsku, najjaśniejszy panie? Kozacy spodziewają się, że wrócimy do nich z pieniędzmi! — zawołał Iskra. — I przy podziale trofeów nas ominięto... Co lepsze zabrali Austriacy, nieco gorsza zdobycz przypadła Polakom, a my musieliśmy się obejść — przepraszam za wyrażenie — figą z makiem!

— Słowo honoru, nie ścierpię dłużej tego tonu, jakiego panowie pułkownicy używają w rozmowie z królem Rzeczypospolitej! — znowu rozgorączkował się Jabłonowski.

Ale Sobieski był w dobrodusznym nastroju.

— Cha, cha, cha! — zaśmiał się hałaśliwie. — Pan pułkownik utrafił w pestkę, mości panie Stanisławie! Gdyż cesarz Leopold i cały dwór austriacki naprawdę ugościli nas figą z makiem! I gdybym nie był osobiście zainteresowany tym, aby doprowadzić rozgromienie Turka do końca, plunąłbym na tę ich całą kompanię i jeszcze spod Wiednia zawróciłbym do domu!

Pułkownicy ukłonili się i opuścili namiot.

— Wykiwają nas panowie jak nic — burknął gniewnie Abazin.— A i Kozacy namydlą nam czuba!

— Rzecze pan: kożuch dam, ale to tylko słowa jego ciepłe! — podtrzymał towarzysza Iskra. — Nie widzieć nam tych pieniędzy jak zeszłorocznego śniegu!

— Ja też tak myślę — powiedział Palij. — Oto dał nam król papierki, czyli za krew naszą jakby własną naszą ziemią nam zapłacił! I bywaj zdrów!

— Obawiam się ja, druhowie serdeczni, że znów będziemy mieli dawnych panów na karku! — wykrzyknął Samuś. — Obiecują nam pieniądze, akta nadawcze wręczają, ale gdy tylko poczują swoją przewagę, zarzucą nam chomąta na szyje!

— Rozerwał Juraś przeklęty Ukrainę na dwie części i stąd te wszystkie nasze biedy! Król, rzecz zwyczajna — miękko ściele, ale spać nam przyjdzie twardo — zgodził się z nim Palij. — Jaśnie panowie szykują już jarzma na nasze karki! Widzieliście, jak to się rozindyczył Jabłonowski? Mało z szablą się nie rzucił!

— Trzeba by nam coś poradzić, coś wymyślić, chłopcy! — niecierpliwił się Samuś.

— A cóż tu wymyślać? Przede wszystkim musimy zebrać nasze siły, zasiedlić leżące odłogiem ziemie, wyszykować wojsko! — odpowiedział Palij pewnym głosem. — A tymczasem wyślemy potajemnie poselstwo do Moskwy... Żeby wzięła pod swoją opiekę Prawobrzeże... Gdyż z ręki chana czeka nas zagłada, z ręki sułtana — niewola, a z ręki króla — wieczne jarzmo... To jest moja rada, druhowie...

— My wszyscy myślimy tak samo, Semenie! — gorąco zakrzyknął Abazin.

— Wszyscy! — powiedzieli Samuś i Iskra.

Palij spojrzał uważnie na każdego po kolei, chwilę pomyślał, a potem powiedział dobitnie:

— No więc postanowione, druhowie!

4

Umierał Iwanyk. Umierał ciężko, w strasznych cierpieniach. Gdzieś głęboko w trzewiach utkwił mu koniuszek złamanej strzały tatarskiej i powodował piekielne męczarnie. Twarz Kozaka zrobiła się czarna jak głownia i tylko oczy w niej pałały. Bez przerwy prosił pić.

Spychalski, który wiózł Iwanyka swoim wozem, wymoszczonym stertą pierzyn i poduszek, przykładał do jego spieczonych warg glinianą flaszkę i tamten odpijał z niej łyczek lub dwa i uspokajał się na jakiś czas. A gdy ból znowu stawał się nie do wytrzymania, wołał słabym jak u dziecka głosem:

— Zińko! Zińko luba-a! Oj, ratuj mnie, bo sczeznę z tego świata, taki on owaki!...

Spychalski, pełen żalu, kiwał głową i popędzał konie, by nie pozostawać w tyle za taborem. Wóz podskakiwał na nierównościach rozmytej jesiennymi deszczami drogi i kołatał się przez wyboje, wytrząsając duszę z nieszczęsnego Iwanyka.

— Oj! — krzyczał wtedy umierający. — Jedź ostrożniej, panie Marcinie, bo wszystkie flaki pogubię, niech to diabli! Nie mam sił cierpieć dłużej... Albo lepiej zabij mnie! Błagam cię, zabij! Żebym się tak nie męczył...

Spychalski ściągał lejce, powstrzymując konie, chociaż ryzykował, że oderwie się od swoich, i ukradkiem strząsał z wąsów nieproszoną łzę, gdyż sam cierpiał patrząc na męki tego człeczyny, który bardziej przypominał chłopaczka niż dorosłego mężczyznę.

Przed zapadnięciem zmroku Kozacy zatrzymali się na nocleg na stromym brzegu bystrej rzeki Cisy. Spychalski ustawił wóz tuż nad urwiskiem, pod rozłożystym krzewem kaliny, gęsto usianej jaskrawoczerwonymi gronami jagód.

Słońce zachodziło za dalekie góry, dolinę powoli ogarniał wieczorny zmrok.

Iwanyk zapatrzył się na Cisę, na góry i lasy porastające gęsto wzgórza i nagle poczuł, że ból, który przez wszystkie te dni ściskał go jak kleszczami, ustąpił, a całe ciało stało się lekkie, jakby nagle straciło wagę.

Stygnącymi dłońmi chwycił się za brzuch, za pierś i poczuł, że nie ma ani brzucha, ani piersi. Jedynie głowa jeszcze spoczywała na wysoko ułożonych poduszkach.

— Panie Marcinie! — zawołał niespodziewanie głośno.

— Co ci jest? — przestraszył się Spychalski. — Co się stało?

— Umieram...

— Ty co? Żartujesz czyś zgłupiał? Cholera cię nie weźmie! — Polak wypuścił z rąk worek z obrokiem.

— Nie, panie Marcinie, ja nie żartuję — poważnie odparł Iwanyk. — Ja naprawdę umieram... Zawołaj, jeśli łaska, moich towarzyszy bojowych... I sam też się pośpiesz... Mam coś ważnego do powiedzenia przed śmiercią... Nie zatrzymam was długo...

Było w tych jego słowach i głosie coś, co sprawiło, że Spychalski rzucił wszystko i pobiegł między wozy.

Za kilka minut przy Iwanyku stanęli: Semen Palij, Zawierucha, Spychalski i Roman.

— Dziękuję wam, żeście przyszli — wyszeptał Iwanyk i spojrzał uważnie na Spychalskiego. — Panie Marcinie, podnieś mi głowę trochę wyżej... Niech no popatrzę po raz ostatni na przyjaciół moich i ten miły jasny świat dookoła...

Spychalski uniósł go jak piórko, a tymczasem Zawierucha ułożył na stos pierzyny i poduszki. Z tej wysokości Iwanyk zobaczył czerwieniejącą tarczę słońca, które zachodziło za szczyty górskie, lśniącą srebrem taflę Cisy i ciemnozielony świerkowy las na horyzoncie...

— Oj, jakże tutaj pięknie i miło — wyszeptał Iwanyk. — Aż się nie chce umierać, braciszkowie... Ot, siedziałby sobie człowiek i patrzył na błękit nieba, na kalinę czerwoną, słuchałby, jak woda szumi, podmy-

wając stromy brzeżek, jak ptaszki świergocą i wiatr szeleści w gęstwinie... Lecz cóż, przyszedł na mnie czas... Potknął się mój wierzchowiec i ja, jego pechowy jeździec, wypadłem z siodła. I żadna siła już mnie nie podniesie...

Iwanyk umilkł, suchym językiem oblizał spieczone wargi. Spychalski podał mu wody. Ranny pociągnął łapczywie łyk i smętnym spojrzeniem powiódł po twarzach przyjaciół, którzy stali wokół w milczeniu.

Wszyscy byli pod wrażeniem słów Iwanyka, które brzmiały jasno i przejmowały do głębi, jakby wymawiał je nie jąkający się malutki człowieczek, którego — nie ma co ukrywać — uważano powszechnie za troszkę stukniętego, lecz ktoś zupełnie inny.

A Iwanyk, uczyniwszy słaby gest dłonią, mówił cicho:

— Żegnajcie, bracia! Jestem szczęśliwy, że los zetknął mnie z wami i z Arsenem, rycerzem naszym... Że wracacie do domu jako zwycięzcy i że jest w tym także i moja zasługa... Cząstka mojej krwi. Dlatego też opuszczam was bez żalu... — Zrobił pauzę i po chwili ciągnął dalej: — A gdy odejdę, pochowajcie mnie pod tą oto kaliną... Żeby było tak, jak się śpiewa w naszej pieśni:

Będą ptaszki przylatywać
w zarośla kaliny.
Będą wieści przekazywać
z miłej Ukrainy!

— Obiecujemy ci to, Kozacze — w imieniu pozostałych przemówił Palij. — I niech dusza twoja spoczywa w spokoju!

— Dziękuję... — Iwanyk przysłonił powiekami oczy na znak, że zadowoliła go ta odpowiedź. Potem nagle jakiś dreszcz go przeszedł, spojrzał uważnie na Spy-

chalskiego. — A mimo wszystko unoszę ze sobą w sercu jeden malutki żal...

— Jakiż to? — spytał Polak.

— A taki, że pozostawiam oto żonę z dwojgiem dziatek, skazując je na sierocą dolę... Ciężko im będzie beze mnie...

Z jego oczu potoczyły się łzy, pozostawiając dwie ledwo widoczne bruzdy na spalonych słońcem i przyprószonych kurzem policzkach. Starł je ręką i powiedział nieoczekiwanie mocnym głosem:

— Panie Marcinie, a moja Zińka... tak to i owak... wiesz, ona kocha się w tobie!

Było to tak niespodziewane, że Spychalski aż oczy wytrzeszczył.

— Panie Iwanyk, co też pan! — wykrzyknął spontanicznie. — Po cóż obmawiasz kobietę? W takiej chwili...

Udręczoną twarz Iwanyka rozjaśnił łagodny uśmiech.

— Wiem o tym od dawna. Zauważyłem to zaraz przy pierwszym czy drugim naszym spotkaniu z tobą. Tylko że nic nie mówiłem... Bo czyż można zabić miłość przy pomocy złych sił? Można jedynie starać się ją uleczyć za pomocą czasu, albo i jeszcze silniejszą miłością... — Spostrzegł zmieszanie Spychalskiego i dodał: — Ale ty, proszę, nie tego... Przecież wiem, że ty ją także miłujesz...

Jeszcze bardziej zażenowany Spychalski zrobił się czerwony jak burak i nie wiedział, co odpowiedzieć. Nie można przecież spierać się z umierającym... No a poza tym Iwanyk mówi prawdę...

Wszyscy milczeli pełni napięcia.

Iwanyk westchnął i tak cicho, że słyszeli go tylko ci, którzy pochylili się nad wozem, powiedział:

— Wspaniały z ciebie człowiek, panie Marcinie. Dobry. Ja wiem, ty nie skrzywdzisz moich dzieci. Ani

Ziński. Nie ukrzywdź ich, proszę... — Potem po chwili dodał cichutko: — Żegnaj, świecie jasny! Żegnaj na zawsze...

Z tymi słowami wyzionął ducha.

Kozacy zdjęli czapki. Zawierucha wyjął z troków czerwoną kitajkę i przykrył nią twarz zmarłego. Spychalskiemu drżały wąsy, a w zasmuconych oczach stanęły łzy.

Tuż obok w pobliżu wozu, na stromym brzegu rzeki pod kaliną wykopano głęboki dół i przy huku salw z muszkietów złożono w nim owinięte w biały całun leciutkie ciało Iwanyka...

PODARUNEK SUŁTANA

1

Wiadomość o straszliwej klęsce pod Parkanami i utracie Grana, jaką przywiózł Arsen, podziałała na Kara Mustafę jak grom z jasnego nieba. Długo nie mógł wypowiedzieć słowa i tylko zagryzał usta. Twarz mu zbladła i przybrała matowoszary odcień. Jedynie w oczach gorzał gniew. Wreszcie wpadł w szał. Zaczął tupać nogami i krzyczeć:

— Czauszowie! Do mnie!

Do komnaty wbiegli czauszowie. Wbiegł także czausz-aga Safar-bej. Stanęli nieruchomo oczekując rozkazów.

— Przyprowadzić mi natychmiast paszę Budy Ibrahima, Mustafa-paszę, chana Murad Gireja i hrabiego Tökölyego! I wszystkich paszów, jakich tylko znajdziecie! Tutaj! Do mnie!

Czekając, aż czauszowie wykonają ten rozkaz, co nie było rzeczą łatwą, biorąc pod uwagę panujące w wojsku rozprzężenie, seraskier umył się, oddał sługom odzież do czyszczenia, zjadł kawałeczek zimnej cielęciny i zamknął się w chłodnawym pokoju, który miał dwa wyjścia: do sali audiencyjnej i, poprzez inny pokój, do ogrodu.

Gdy wreszcie pozostał sam, wielki wezyr ciężko usiadł na miękkim, obitym różowym aksamitem stołeczku i chwycił się rękoma za głowę. Śmiertelne przerażenie, rozpacz i ból rozdzierały jego serce na strzępy.

O Allachu! — szeptał bezdźwięcznie suchymi wargami. — Za Twoją sprawą stanąłem oto nad brzegiem straszliwej przepaści! Wszystko, o czym marzyłem, do czego dążyłem, rozpadło się w proch i pył. Wielkość i nieograniczona władza nad wojskiem, bogactwa i nadzieje na to, że na ziemi podbitych narodów stworzę nowe islamskie mocarstwo i zostanę jego cesarzem — wszystko przepadło!

Nie mogąc usiedzieć na jednym miejscu, podszedł do otwartego okna i wyjrzał na przepyszny, zielony, gdzieniegdzie tylko dotknięty jesienną pozłotą ogród. Ale nagle drzewa zaczęły mu się ruszać przed oczami, ich kontury rozpłynęły się jak krople deszczu na szybie. Zauważył ze zdziwieniem, że płacze. Gorzkie łzy zamgliły mu wzrok.

Tfu! Tylko tego jeszcze brakowało! Zrobiło mu się żal siebie. Co robić? W jaki sposób uratować honor, władzę i wreszcie — życie? Zamyślił się głęboko....

Właściwie ma tylko jedną drogę ratunku. Całą winę za tę klęskę i sromotną podwójną porażkę trzeba zwalić na innych! Jest to sposób znany od dawna i należycie wypróbowany. Przydał się niejednemu spryciarzowi, któremu powinęła się noga.

I nie będzie to grzech, jeśli ja również z niego skorzystam — pomyślał.

No i trzeba by jakoś pozyskać sobie sułtana. Wytrząsnąć ze skrzyń złoto i drogie kamienie! Posłać mu w darze setkę albo i dwie austriackich pięknotek, których, dzięki Allachowi, pojmano w miastach i po wsiach Austrii bardzo dużo!... Albo też podarować mu Złatkę...

Kara Mustafa uchwycił się tej myśli w sposób, w jaki tonący chwyta się słomki. Oddać sułtanowi Złatkę!

Zazgrzytał zębami.

O Allach akbar! Jakże niesprawiedliwie poczynasz sobie z jednym z najbardziej oddanych Tobie sług! Nie dość, że odebrałeś mi honor i sławę wojownika, to jeszcze łamiesz mi serce, pozbawiając mnie jedynej dziewczyny, w której się szczerze rozkochałem i to bodaj po raz pierwszy w swoim życiu! Pragnąłem zachować ją dla siebie, ale Ty postanowiłeś inaczej! Darując zwycięstwo niewiernym, pozbawiłeś mnie mojego szczęścia, mojej wielkości i chwały!

Jednak rozum mówił mu co innego. Cóż jest droższe od życia? A może Złatka okaże się właśnie tą drobiną, która przechyli szalę wagi w sercu sułtana od chciwości ku miłosierdziu?

Ścisnął skronie gorącymi dłońmi i zaczął chodzić wzdłuż i wszerz po pokoju.

A może nie trzeba oddawać Złatki? Może jeszcze nie wszystko stracone? Może uda się jednak zebrać rozproszone wzdłuż Dunaju oszalałe ze strachu orty janczarskie, biluki, zagony spahisów i ordę krymską, zlokalizować to wszystko w jednym miejscu i w decydującej bitwie rozgromić wojska nienawistnego Jana Sobieskiego?

Zastygł bez ruchu na środku pokoju, rozważając tę myśl. Ale natychmiast ją odrzucił.

Nie, niemożliwe! Zanim zbiorę wojska, zanim fortuna znowu obróci ku mnie swoje oblicze, moi nieprzyjaciele i zazdrośnicy zdążą powiadomić sułtana o klęsce pod Wiedniem i Parkanami i ta miernota w pysznym ciele podpisze firman usuwający mnie od władzy w cesarstwie i armii... Nie, tak czy inaczej trzeba starać się wkupić w jego łaski. Trzeba go przekonać, że to nie Kara Mustafa winien jest klęski, że jeszcze może nastąpić pomyślny zwrot w tej ciężkiej i przeciągającej się wojnie...

Więc postanowione. Pośle w podarunku sułtanowi Złatkę i na dodatek setkę austriackich piękności, pośle także ze skarbca w Ejubie skrzynię złota i szlachetnych kamieni! A z tymi, którzy są winni klęski pod Wiedniem, którzy ściągnęli nań niesławę i hańbę, rozprawi się natychmiast i bez litości! Rozprawa ta pomoże mu utrzymać w swym ręku zachwianą władzę, przekona sułtana o jego zdatności do odnowienia siły wojskowej i do obrony zachodnich granic cesarstwa Osmanów, a stąd — uratuje mu życie i pozwoli mieć nadzieję na lepszą przyszłość! Dla tego celu warto złożyć w ofierze wszystkie piękności świata!

Kara Mustafa był z natury człowiekiem niezdecydowanym i dlatego długo się wahał, walcząc z tysięcznymi wątpliwościami, które go ogarniały przy wyborze jakiegoś ostatecznego rozwiązania, ale raz powzięta decyzja wyzwalała w nim natychmiastową energię czynu.

Przywołał do siebie kapudżi-agę.

— Czy przybyli paszowie, Murad-ago?

— Są w sali, efendi — ukłonił się przybyły, odznaczający się zwalistą sylwetką i siłą buhaja. Jego peł-

ne oddania spojrzenie z psią wiernością śledziło najmniejszy ruch swego władcy.

— Słuchaj, Muradzie — wielki wezyr zniżył głos aż do szeptu. — Allach ukarał nas swoją niełaską i darował zwycięstwo niewiernym... Ale to nie znaczy, że wśród nas nie ma winnych naszej porażki... Są tacy — i trzeba ich ukarać nie zwlekając!

— Któż to taki? — ochrypłym głosem zapytał Murad, z gotowością opierając ciężką pięść na rękojeści jatagana.

— Są tam, w sali... Ale nie możemy dopuścić do przelewu krwi.

— Więc pętla?

— Tak. Weź paru najwierniejszych kapudżów i stań tutaj, za tymi drzwiami — Kara Mustafa uchylił drzwi do sąsiedniego pokoju. — Zadusisz wszystkich, których zaproszę do swojego pokoju, a trupy wciągniesz na galerię, która otwiera się na ogród.

— Stanie się według twojej woli, o panie — ukłonił się Murad. — Zaraz postawię tam ludzi, którym można zaufać.

Rozporządziwszy się w ten sposób, Kara Mustafa udał się do sali.

Paszowie zerwali się z miejsc, zastygli w niemym ukłonie.

Byli tutaj wszyscy ci, którzy przez swoje tchórzostwo i brak umiejętności wojskowych spowodowali tę niesłychaną klęskę! Brakuje jedynie chytrego chana Murad Gireja oraz hrabiego Tökölyego. Ci dwaj śmierdzący szakale wyczuli widać pismo nosem i nie stawili się na wezwanie, by ponieść odpowiedzialność za swoje bynajmniej nie rycerskie zachowanie się na polu bitwy!

Ale on dobierze się im do skóry, gdyby nawet musiał w tym celu wydobywać łajdaków spod ziemi!

— Z czym przychodzicie do mnie, czcigodni paszowie? Czym uradujecie serce waszego serdara? — zapytał Kara Mustafa głucho, z trudem powstrzymując wybuch nienawiści. — Gdzie są wasi żołnierze? Gdzie są wasze sztandary? Gdzie wasza broń i tabory? Pytam was o to...

Za każdym jego słowem coraz niżej pochylały się głowy zebranych. W sali panowała grobowa cisza.

— Dlaczego nic nie mówicie? I dlaczego widzę was wszystkich przy życiu? Dlaczego żaden z was nie złożył głowy na polu chwały? Hę?... Czy dlatego, że nie wojownikami jesteście, tylko bandą nikczemników, tchórzów i świniopasów! Nie jesteście godni wysokiego tytułu paszów, jakim obdarzył was przez Boga ustanowiony nad nami sułtan!

Głos jego drżał od gniewu. Nikt nie śmiał mu zaprzeczyć żadnym słowem. Jedynie zięć sułtana, prostolinijny, w gorącej wodzie kąpany Ibrahim-pasza, patrzył prosto w oczy wielkiemu wezyrowi, nie ukrywając swojej nienawiści i pogardy.

Kara Mustafa zauważył to i skierował swój gniew na niego.

— No i co powiemy sułtanowi, paszo? Kto ponosi winę za klęskę?

Ibrahim-pasza postąpił krok naprzód, z oczu strzeliły mu iskry.

— Wszyscy jesteśmy winni! Ale najbardziej ty, Mustafa-paszo!

— Jak to?

— Jesteś serdarem. Odpowiadasz więc za całe wojsko. A my jedynie za poszczególne zagony.

— Odpowiadam przed padyszachem, a wy — przede mną!

— Otóż i odpowiadamy.

— To nie odpowiedź! Zaraz będę rozmawiał z każ-

dym z was na osobności, by dowiedzieć się, co robiliście pod Wiedniem i Parkanami... I właśnie ty, Ibrahim-paszo, wejdziesz do mnie jako pierwszy!

Kara Mustafa przepuścił przed sobą Ibrahim-paszę. Tamten skierował się do stołu, ale wielki wezyr wskazał mu drzwi znajdujące się w głębi pokoju.

— Tędy, paszo. Tędy, jeśli łaska!

Niczego nie podejrzewający Ibrahim-pasza przestąpił próg i znalazł się w przestronnej i mrocznej komnacie, gdyż gęste drzewa za oknem zasłaniały widok. W tym samym momencie dwaj kapudżowie pochwycili go za ręce, a trzeci błyskawicznie zarzucił mu na szyję sznur. Pasza nie zdążył nawet wydać głosu — pętla zacisnęła mu się na gardle, w oczach pociemniało...

Wysoki jak szubienica kapudżi przerzucił sobie sznur przez ramię, wyprostował się — i pasza zawisnął mu na plecach. Przez chwilę jeszcze ciało wykonywało bezładne ruchy, a potem znieruchomiało.

Kapudżi-szubienica potrzymał dla pewności swoją ofiarę na sobie, a następnie, przekonawszy się, że odeszła już do rajskich ogrodów Allacha, odciągnął trupa na galerię i rzucił w kąt.

— Pierwszy gotów! — zameldował wchodząc do komnaty.

Kara Mustafa ponurym okiem łypnął na Murada.

— Zawołaj Kaplan-paszę!

Rozprawa trwała do samego wieczora. Wielki wezyr poczuł się wreszcie zmęczony. Zmęczyli się również oprawcy. Kapudżi-szubienica ledwo powłóczył nogami. Toż to nie żarty — powiesić na własnych plecach pięćdziesięciu i jednego paszę!

Wieść o okropnym samosądzie lotem błyskawicy obiegła miasto. Lodowaty chłód wypełnił serca tych wyższych dowódców, którzy jeszcze pozostali przy życiu. Każdy czekał na swoją kolej...

Krymski chan Murad Girej i hrabia Tököly uniknęli kary — nie zjawili się na rozkaz wielkiego wezyra, pozostawszy przy swoich oddziałach wojskowych...

2

Jeszcze tej samej nocy Kara Mustafa wyjechał z Budy do Belgradu. Gdy przybył do swojego wspaniałego pałacu, nie udał się na spoczynek, tylko zasiadł do pisania listu do sułtana. Całkowitą winą za poniesioną porażkę obarczył Murad Gireja, Tökölyego i paszów. Z wielką siłą przekonania opisał ich zdradę lub okazane tchórzostwo czy małoduszność. Na końcu zawiadamiał, iż pokarał winowajców na gardle, a Murad Girej, który wziął od Sobieskiego wielki bakszysz * i pierwszy rzucił się do ucieczki z placu boju, został przezeń usunięty z tronu na mocy władzy danej mu przez padyszacha. Wreszcie zapewnił sułtana o swoim niezmiennym oddaniu i obiecał zebrać rozproszone siły i zatrzymać pochód armii sojuszniczych, by następnie je unicestwić...

Skończył list i własnoręcznie przepisał go na czysto, a następnie zwinął w rulon, obwiązał zieloną wstążką i przyłożył pieczęć. Dopiero po tym wszystkim potrząsnął dzwonkiem.

Wszedł Murad-aga.

— Przyślij do mnie Safar-beja i Arsen-agę, a takoż przyprowadź brankę, Złatkę. I sam bądź gotów w drogę do Stambułu!

Gdy Nenko i Arsen, doprowadzeni przez Murad-agę, weszli do pokoju wielkiego wezyra, uderzył ich niesamowity widok.

Chociaż dniało, w świecznikach płonęły świece. Przy

* Bakszysz (pers.) — darowizna, łapówka.

szerokim rzeźbionym stole siedział zmizerniały, pociemniały na obliczu Kara Mustafa i smutnymi oczyma, w których zdawały się błyszczeć łzy, wpatrywał się w stojącą przed nim, wspaniale przystrojoną dziewczynę.

Była to Złatka.

Zobaczywszy Arsena i Nenka, krzyknęła i zbladła, ale opanowała się natychmiast i opuściła na twarz cienką jedwabną zasłonę.

Młodzi czauszowie tak byli zaskoczeni niespodziewanym spotkaniem, że stanęli jak wryci i zapomnieli złożyć przepisany etykietą niski ukłon.

Jednak Kara Mustafa w dalszym ciągu siedział w fotelu jak zaczarowany i nie spuszczał spojrzenia z pięknej branki. Nikogo nie widział oprócz niej.

Wreszcie z jego ust padło jedno jedyne słowo:

— Idź!

Złatka skierowała się do wyjścia. Z ciemnego kąta wyszli jej na spotkanie Fatyma i Dżalil, których ani Arsen, ani Nenko przedtem nie zauważyli.

Mijając Arsena Złatka uniosła głowę, odchyliła nieco zasłonę i obrzuciła go takim błagającym spojrzeniem, że Arsen poczuł, jak krew ognistym strumieniem uderzyła mu do głowy. W tym jednym krótkim spojrzeniu było wszystko — miłość, ból i błaganie... Jej oczy pytały: luby mój, kiedyż wreszcie ty mnie wyzwolisz?

Jak to się stało, że powstrzymał się i nie uczynił czegoś nie do naprawienia — Arsen nie wiedział. Nawiedziła go myśl jak błyskawica: wypuścić cały ładunek pistoletu w pierś Kara Mustafy, zadać cios jataganem Muradowi, pochwycić Złatkę i uciekać, uciekać...

Ale czy uciekłby daleko?

Złatka zniknęła za drzwiami. Zniknęła jak sen.

Czauszowie wymienili spojrzenia i w milczeniu skłonili się przed człowiekiem, który siedział przy stole nieporuszenie, jak rzeźba z czarnego kamienia.

Minęło kilka ciężkich chwil, zanim Kara Mustafa dostrzegł ich obecność. Westchnął przeciągle i wstał od stołu. W ręku trzymał pergamin.

— Pojedziecie do Stambułu — powiedział zmęczonym głosem. — Odwieziecie mój list do padyszacha... Koni nie żałujcie — dam wam na to pieniądze... Chcę, aby ten list doszedł do rąk adresata, zanim dotrą do niego słuchy o porażce pod Wiedniem. Sułtan musi znać prawdę! Ale lepiej, żeby o tej bardziej gorzkiej jej stronie dowiedział się z moich ust, aniżeli z ust ludzi, którzy nie są mi życzliwi... Zrozumieliście mnie?

— Tak jest, panie nasz i władco!

— I jeszcze coś... Nie godzi zjawiać się przed jasne oblicze padyszacha z samym jeno listem. Sułtanowie również lubią otrzymywać prezenty. Dlatego też pojedzie z wami Murad-aga na czele zagonu mojej straży osobistej. Prócz tego, że będzie ochraniał was w czasie podróży, powiezie ode mnie sułtanowi w podarunku dziewczynę. Widzieliście ją dopiero co. Sułtan posłyszał o jej piękności i zapragnął mieć tę niewolnicę — niechże się więc cieszy! Strzeżcie tej branki, jak źrenicy oka! W ślad za wami poślę sułtanowi tabor piękności wziętych w jasyr w Austrii. Przybędą do Stambułu nieco później, ale wy powiecie o nich sułtanowi, żeby wiedział zawczasu...

Usłyszawszy, że Kara Mustafa ma zamiar podarować Złatkę sułtanowi, Arsen poczuł, jak zamiera w nim serce. Z jednej biedy dziewczyna może popaść w drugą, kto wie czy nie gorszą! Jeśli nie uda się wyzwolić jej w czasie podróży do Stambułu, pozostanie jedyna szansa: wyswobodzić ją, zanim będzie zamknięta w haremie sułtana!

Nenko zrozumiał niepokój przyjaciela i nieznacznie trącił go łokciem, jakby chciał powiedzieć: trzymaj się, chłopcze!

Sam zaś skłonił się i rzekł:

— Zrobimy wszystko, co nakazuje nam nasz prześwietny rozkazodawca!

Ale Kara Mustafa nie kazał im odejść. Pogrążony w rozmyślaniach przeszedł się po barwnym kilimie, chwilę postał przy oknie, bębniąc suchymi ciemnymi palcami po malowanym parapecie i dopiero wtedy, jakby już zebrał całą odwagę potrzebną do powiedzenia czegoś szczególnie ważnego, odwrócił się do czauszów i kontynuował:

— I wreszcie ostatnia rzecz... Należy ozłocić gorzką nowinę, by nie wydała się szczególnie gorzka. Zajedziecie do Ejubu i z mojego skarbca zabierzecie zieloną szkatułkę z kosztownościami. Murad ma już na to moje upoważnienie... Wręczycie ją sułtanowi wraz z dziewczyną... Wyruszajcie natychmiast i nigdzie nie zatrzymujcie się po drodze. To wszystko. Idźcie — i niech Allach ma was w swojej opiece!

3

Arsen był w rozpaczy: nie udało im się wyzwolić Złatki w czasie podróży do Stambułu. Z Belgradu do stolicy zagon Murad-agi pędził jak szalony. Zatrzymywali się jedynie po to, by trochę odpocząć i nakarmić konie. Przy karocy, w której jechała Złatka, prócz Fatymy i Dżalila dzień i noc czuwało około dwudziestu kapudżów przerażających samym swoim wyglądem. W tych warunkach nie było co myśleć o wyratowaniu dziewczyny.

Do Ejubu przybyli późnym jesiennym wieczorem. Ku ich zaskoczeniu wiedziano już o porażce Kara

Mustafy i w pałacu panował rozgardiasz, który graniczył z paniką. Wszyscy ci, którzy uwili sobie gniazdko pod skrzydełkiem wielkiego wezyra, czekali w lęku, kiedy nastanie kres ich dobrobytu. Niektórzy po cichu przygotowywali się na spotkanie niewesołej przyszłości — pakowali dobytek, dodając do niego co nieco z majątku gospodarza.

Murad-aga twardą ręką z miejsca zaprowadził porządek. Kucharze przystąpili do gotowania kolacji dla podróżnych. Łazienny napalił piece w łaźni. Cyrulicy ostrzyli brzytwy, by doprowadzić czauszów i kapudżów do wyglądu, jaki jest miły sercu Allacha, a niewolnice powyciągały ze skrzyń nową odzież dla nich, by łachmanami nie sprofanowali stopni Wysokiego Progu.

Pomimo późnej godziny pałac jaśniał światłami. Rozbrzmiewał władczy głos Murad-agi. Wszędzie kręcili się słudzy, niewolnicy i niewolnice.

Złatkę umieszczono w jej dawnych apartamentach i wystawiono przed nimi wartę. Nikomu nie było wolno do niej wchodzić, poza kobietami, które powinny były przygotować dziewczynę do jutrzejszego dnia, kiedy to miała stanąć przed jasnym obliczem padyszacha.

Arsen i Nenko zjedli kolację, zażyli kąpieli w łaźni i oddali się w ręce cyrulika. Było grubo po północy, kiedy znaleźli się w przydzielonym im pomieszczeniu, ale żaden z nich nie mógł zasnąć.

— Trzeba coś robić, i to natychmiast, bo jutro może już być za późno! — zdecydowanie mówił Arsen, przemierzając pokój szybkimi krokami.

Nenko podniósł na niego swoje ciemne jak czerń nocy oczy.

— Cóż więc zamyślasz?

— Nic mi nie przychodzi do głowy... Gdybyśmy byli

nie we dwóch, a w dwudziestu, moglibyśmy napaść na wartowników, wybić ich co do nogi, porwać Złatkę z wieży — i szukaj wiatru w polu!

— Nie byłoby to zbyt mądre.

— Wiem, że nie... Ale nie stać mnie na lepszy pomysł. Skóra mi cierpnie na samą myśl, że jutro odprowadzimy Złatkę do sułtańskiego seraju i własnoręcznie przekażemy ją temu tłustemu rozpustnikowi! Nie przeżyję tego! Jak pomyślę, że ona zostanie niewolnicą w haremie sułtana, gotowem zaraz napaść zbrojnie na kapudżów, by zginąć pod ciosami ich szabel!

— Dlaczego tak myślisz — niewolnicą? Sułtan może uczynić Złatkę swoją irabelką lub kadyną, czyli małżonką... Złatka jest bardzo piękną dziewczyną! — niewesoło zażartował Nenko.

Arsen aż podskoczył.

— Nie dobijaj mnie ostatecznie, Nenku! Nie w głowie mi żarty...

— Wcale nie żartuję — poważnie przemówił Nenko. — Kara Mustafa, gdy postanowił odesłać Złatkę w podarunku sułtanowi, wiedział przecież, że ona, z jej pięknością i czarem, bardzo szybko zwróci na siebie uwagę padyszacha i kto wie, czy nie zostanie jego małżonką. Sułtanowie żenią się nie tak jak zwykli śmiertelnicy. Nigdy nie biorą sobie Turczynek, gdyż uważają za rzecz niegodną żenić się z własnymi poddankami. W haremie sułtana stale przebywa parę setek pięknych niewolnic pochodzących z różnych krajów świata. Nie wszystkie one jednak zostają kochankami, a tym bardziej małżonkami sułtana. Ale niektóre z nich wpadają sułtanowi w oko — i taka dziewczyna od razu wstępuje na wyższy szczebel drabiny haremowej. Kiedy gezda staje się irabelką, czyli kochanką — otrzymuje

do swojej dyspozycji parę pokoi, a także kilka niewolnic i eunuchów, którzy jej służą, a ona sama, przynajmniej tak długo, jak długo trwa przychylność sułtana, czuje się pełnoprawną właścicielką swojego daire — dworu... Lecz mimo wszystko nie posiada praw małżonki... I w ogóle żon w sensie prawnym sułtanowie nie miewają. Dosyć im wypowiedzieć trzy słowa: „Oto moja małżonka!" — i gezda czy irabelka w tej samej chwili zostaje kadyną padyszacha... Ale wystarczy też jego krótkie oświadczenie: „Nie chcę więcej oglądać tej kobiety!" — aby taką gezdę czy też irabelkę w ciągu jednego dnia wysiedlono z haremu, oddając za żonę byle urzędniczynie... (Co prawda, cały swój dobytek może ona zabrać ze sobą...) Ale jeśli ze względu na swoje lata jest już za stara do zamęścia, to ją po prostu wyprowadza się za bramę: możesz iść na wszystkie cztery wiatry! Bardzo szybko takie wygnanki przejadają wszystkie swoje oszczędności, odzież i klejnoty i zostają żebraczkami na bazarach Stambułu albo prostytutkami czy nawet złodziejkami. A gdy przychodzi na nie kres — rzucają się do Morza Marmara...

— A kadyny?

— Kadyny-efendi razem ze swoimi dziećmi — królewiczami i królewnymi — zamieszkują w haremie na stałe, prowadząc pomiędzy sobą wojny podjazdowe i wychowując swoich synów, zade-szachów, w żywej nienawiści do synów innych kadyn. Kiedy szachowie-zade dorastają, stają się śmiertelnymi wrogami i ten z nich, któremu uda się zawładnąć tronem, bez litości skazuje na zagładę swoich braci-konkurentów, albo też osadza ich w lochach Zamku Siedmiu Wież...

— Straszny obraz odmalowałeś tu, Nenku. Wygląda na to, że seraj sułtana jest prawdziwym więzieniem

dla wielu tysięcy ludzi... Ale po co opowiadasz mi o tym?

Nenko smutnym wzrokiem popatrzył na zgnębionego nieszczęściem przyjaciela.

— Gdyż musimy spojrzeć prawdzie w oczy, Arsenie. Za parę godzin Złatka znajdzie się w seraju i zostanie zaliczona do sułtańskiego haremu... Chcę, żebyś wiedział, jak te sprawy wyglądają i nie upadał na duchu. Jak to się u was mówi: nie taki diabeł straszny, jak go malują!... Nieraz słyszałem to powiedzonko z twoich ust...

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— A to, że jeśli nawet Złatka trafi do sułtańskiego haremu, to i wtedy jest nadzieja na jej wyzwolenie. Nawet większa niż dotychczas... W haremie stale zamieszkuje nie mniej niż dwa tysiące osób — są to niewolnice, służące, alabirki, czyli młodziutkie branki-uczennice, gezdy, irabelki, kadyny, księżniczki czystej krwi, małoletni następcy tronu, eunuchowie... Kogo tam nie ma! I w przebraniu woźniców, którzy przewożą wszystko, co jest niezbędne w kuchni, i wywożą nieczystości, drwali, kominiarzy, złotników, lekarzy, wróżek czy wróżbitów wcale nie jest aż tak trudno przeniknąć do haremu! Panie i ich niewolnice też nie siedzą w swoich pomieszczeniach cały czas, ale są wypuszczane, po trzy naraz, do miasta, pod strażą sług-batadżów, a tych, jak się chyba domyślasz, nie jest trudno przekupić... Kobiety owe w poszukiwaniu rozrywki odwiedzają bazary, przyglądają się orszakom weselnym i konduktom pogrzebowym, kupują sobie nową garderobę i słodycze, a nierzadko też nawiązują flirty z młodymi ludźmi, przede wszystkim z czorbadżami z zagonów janczarskich...

— Nie może być! — zawołał zaskoczony Arsen.

— A jednak tak jest. Gdy się uczyłem w szkole

wojskowej, często spotykałem się z dziewczętami z sułtańskiego haremu. I jeszcze ci powiem, że często dla „poratowania zdrowia" haremowe piękności proszą o pozwolenie odbycia „timaru" * — czyli wynajmują pokoje w prywatnych domach i przez piętnaście do dwudziestu dni żyją tak, jak się im żywnie podoba, ciesząc się towarzystwem swoich wybrańców.

— Słowa twoje to ostry nóż w moim sercu! — z udręką w głosie wykrzyknął Arsen. — Lepiej, byśmy zginęli oboje ze Złatką, niż ma ona prowadzić takie życie!

Nenko opasał towarzysza ramieniem.

— Trzymaj się, Arsenie! Nie wszystko jeszcze stracone! Zdaj się na mnie — dobrze znam Stambuł i życie w sułtańskim seraju! Jeśli przyjdzie zginąć — zginiemy wszyscy troje, gdyż nie myśl, że opuszczę siostrę i ciebie w nieszczęściu! Ale jutro będziemy musieli wykonać polecenie Kara Mustafy, bo nie mamy innego wyjścia. Widzisz sam, jak pilnie śledzi każdy nasz krok Murad-aga!

— Trzeba go usunąć!

— Zgadzam się z tobą. Zrobimy to — ale cudzymi rękoma.

— W jaki sposób?

— Moja w tym głowa! Ale w tej chwili pragnę tylko jednego — odpocząć przynajmniej z godzinkę, gdyż jutro, a właściwie to już dzisiaj, czeka nas bardzo ciężka próba...

4

Galera miękko przybiła do kamiennej balustrady nabrzeża. Jako pierwsi na ląd zeszli czauszowie; postę-

* Timar (tur.) — dosłownie: czyszczenie konia zgrzebłem; w przenośni: kuracja dla poratowania zdrowia.

pujący za nimi czterej kapudżowie sprowadzili na brzeg Złatkę. Potem zszedł Murad-aga na czele swoich podkomendnych, którzy nieśli zieloną kasetkę z kosztownościami wielkiego wezyra.

Na ich spotkanie wyszli czterej czauszowie sułtana, uprzedzeni przez posłańca Murad-agi. Przybyłych poprowadzono kamiennymi schodami do ogromnego pałacu z białego marmuru — sułtańskiego seraju, który tonął w zieleni wspaniałego nadmorskiego parku.

Nenko cicho objaśniał Arsena:

— Po lewej ręce masz mobejn albo inaczej selamik, gdzie mieszka sułtan. Po prawej — harem. Pomiędzy tymi dwoma budynkami pośrodku, skąd prowadzą schody do frontowych drzwi, jest sala audiencyjna, a za nią korytarz, który łączy obydwa skrzydła seraju. Po tamtej stronie pałacu znajdują się liczne pomieszczenia służbowe: stajnie, kuchnie, pralnie, mieszkania janczarów-wartowników, czauszów, służby, niewolników i branek, eunuchów oraz karzełków... Tam również znajdują się trzy dziedzińce, przez które sułtan wyjeżdża do miasta, a także kilka bram o znaczeniu gospodarczym...

Zaprowadzono ich do niewielkiej sali. Było tu pusto.

— Jest to przedsionek sali audiencyjnej — szepnął Nenko. — Zaraz ujrzymy sułtana we własnej osobie i przekażemy mu piękną nowinę... Chwała Allachowi, minęły te czasy, kiedy zwiastującym je czauszom ścinano głowy!

W tej samej chwili batadżowie Nubijczycy otworzyli wysokie drzwi i osobisty czausz-pasza sułtana ruszył przez nie pierwszy.

Nenko i Arsen przestąpili próg i padli na kolana; bijąc nieustanne pokłony podczołgali się do pozłacanego tronu, na którym zasiadał Mohamed IV.

Wzdłuż ścian stali najwyżsi urzędnicy Porty — szejk ulemów, wezyrowie, główny strażnik Progu Szczęśliwości — pierwszy eunuch, skarbnik cesarski, główny intendent, pierwszy cyrulik oraz osoby z najbliższego otoczenia sułtana.

W ślad za czauszami wprowadzono do sali Złatkę, ubraną w cudownie piękną suknię, zgodnie ze zwyczajem mocno wydekoltowaną. Miała odkrytą głowę, a twarzy jej nie zasłaniał muślin — wszak była giaurką-niewolnicą i nie podlegała wymaganiom Koranu.

Potem Murad-aga ze swoimi kapudżami wniósł szkatułę i postawił ją pośrodku sali.

Sułtan patrzył na te przygotowania, nie czyniąc najmniejszego ruchu. Jego pełna, z lekka żółtawa twarz, okolona czarną brodą, była nieprzenikniona.

Gdy kapudżowie ustawili szkatułę i kłaniając się nisko, opuścili komnatę, sułtan spojrzał na Murad-agę, który leżał plackiem na lśniącej posadzce, i spytał go:

— Coś za jeden?

Zalękniony Murad-aga uniósł głowę znad podłogi.

— Jestem kapudżi-aga wielkiego wezyra, o padyszachu wszechświata — wybełkotał.

— Nie jesteś tu potrzebny!

Murad-aga, nie podnosząc się, popełznął do drzwi żwawo jak jaszczurka.

Wreszcie Mohamed zwrócił oczy na czauszów.

— Mówcie, z czym przybywacie. — Głos jego był zimny jak lód: wiedział już o porażce swoich armii.

Nenko zrobił kilka kroków, padł na kolana i wyciągnął przed siebie zwój pergaminu. Czausz-pasza przejął go od niego i podał sułtanowi, a tamten — jednemu z wezyrów, którzy otaczali tron.

— Czytaj — rozkazał krótko.

Wśród grobowej ciszy padały na podobieństwo brył

kamiennych słowa, jakimi wezyr usiłował złagodzić w oczach sułtana wrażenie niesłychanej klęski.

W miarę czytania coraz bardziej chmurzyły się czoła członków Dywanu, a Mohamed zagryzał usta w bezsilnym gniewie. Z listu należało wnosić, że nie chodziło tutaj o zwykłe niepowodzenie, o defensywę, jak o tym doniosły słuchy — nie, to była prawdziwa klęska, haniebna ucieczka, utrata połowy wojska i prawie całego taboru! Czegoś podobnego nie spodziewali się ani członkowie Dywanu, ani sułtan!

Wzmianka o bezgranicznym oddaniu i miłości do padyszacha wszechświata i namiestnika Boga na ziemi, czego wyrazem miał być podarunek składający się z pięknej niewolnicy, stu przepięknych branek austriackich, pochodzących z najznakomitszych rodzin, oraz złota i innych kosztowności na sumę kilku milionów dynarów — wywołała na ustach sułtana i wezyrów jedynie uśmiech pogardy.

A kiedy została odczytana lista zamordowanych paszów, najznakomitszych dowódców wojskowych cesarstwa, przez salę przebiegł groźny poszum. Niepomni obecności sułtana członkowie Dywanu jawnie okazywali swoje niezadowolenie.

Mohamed zrobił się czerwony na twarzy. Jego wielkie czarne oczy zapłonęły gniewem. Zerwał się z miejsca, zatupał nogami, uniósł ręce do góry.

— O Allachu! Ukarałeś tego człowieka, odebrawszy mu rozum! Ale ukarałeś go w stopniu niedostatecznym! Czeka go jeszcze jeden sąd, tu, na ziemi! — Sułtan zwrócił się do członków Dywanu: — Cóż odpowiemy na ten list Mustafa-paszy, dostojni wezyrowie?

— Co powiedzą czauszowie na temat oblężenia Wiednia? Czy byli świadkami sromotnej ucieczki seraskiera z pola bitwy? — zapytał szejk ulemów. — Wysłuchajmy najpierw naocznych świadków...

— Dobrze — zgodził się sułtan i nieuważnie spojrzawszy na Złatkę, skinął krótko: — Wyprowadźcie dziewkę!

Kiedy batadżowie zamknęli drzwi za przelęknioną, oniemiałą Złatką, Nenko i Arsen wystąpili naprzód i skłonili się nisko.

— O wielki władco prawowiernych — zaczął Nenko. — Obaj z Arsen-agą byliśmy nie tylko świadkami, ale także uczestnikami i obserwatorami oblężenia Wiednia i bitwy pod Parkanami.

— Dlaczego Kara Mustafa nie zdobył Wiednia? W ciągu tych dwóch miesięcy można go było zrównać z ziemią! — spytał sułtan.

— W ciągu tych dwóch miesięcy miały miejsce jedynie dwa decydujące szturmy, ale i one zostały odparte z wielkimi stratami dla nas.

— Seraskier nie pozwalał ostrzeliwać miasta — wtrącił Arsen. — Jeśli nie liczyć spalonych przez samych wiedeńczyków przedmieść i paru budynków tuż za murami, które uległy zniszczeniu, to Wiedeń pozostał cały i nienaruszony...

— Dlaczegóż to? Nie wystarczyło wam prochu i pocisków?

— Zarówno prochu, jak i pocisków wystarczyłoby aż nadto do zrównania z ziemią dwóch takich miast, jak Wiedeń — odpowiedział Arsen.

— W czym więc tkwi przyczyna?

— Seraskier Mustafa-pasza nie pozwolił ostrzeliwać pięknych domów i pałaców, gdyż chciał zdobyć Wiedeń w stanie nie uszkodzonym. W wojsku mówiło się, że seraskier marzył, by zostać cesarzem zdobytych w tej wojnie terenów, a Wiedeń uczynić swoją stolicą...

Sułtan znowu poderwał się na nogi. Wykrzyknął:

— Przekleństwo! Kazałem mu zniszczyć stolicę cesarza Leopolda, podbić jego naród, a ziemie przyłą-

czyć do terenów świętego cesarstwa Osmanów! A oto się okazuje, iż ten człowiek hodował w sercu zupełnie inne, zbrodnicze zamiary! Taki człowiek nie ma prawa pozostać przy życiu!

— Nie, nie! Nie ma! — w głos zakrzyknęli wezyrowie. — Posłać mu wyrok śmierci! Jedwabny sznur!

— Jedwabny sznur! Jedwabny sznur! — zaszemrały głosy w sali.

Sułtan skinął głową na znak zgody.

Batadżowie natychmiast wnieśli na salę wielką srebrną tacę, na której leżał cienki, ale mocny, długi jedwabny sznur z zielonymi kitkami na końcach. Podano ją sułtanowi.

Mohamed wstał z tronu, trzymając w wyciągniętych rękach płaski okrągły półmisek. Popatrzył przenikliwie na czauszów.

— Podejdźcie bliżej! — rozkazał, a gdy Arsen i Nenko zbliżyli się doń zgięci w ukłonie, powiedział: — Swoją prawdomównością i oddaniem zasłużyliście obaj na moje zaufanie, dlatego też polecam wam, byście odwieźli ten oto mój podarunek wielkiemu wezyrowi i seraskierowi Mustafa-paszy!

Nenko wziął z jego rąk półmisek. Skłonił się w milczeniu.

Sułtan zwrócił się do swoich wezyrów i doradców:

— Wszystkie rozkazy wydane przez Mustafa-paszę podlegają skasowaniu! Bogactwa nagromadzone w Ejubie przechodzą na skarb państwa! Zesłanego na wyspę Rodos chana Selim Gireja należy zwolnić i przywieźć do Stambułu! Zwolnić również z więzienia w Zamku Siedmiu Wież Jerzego Chmielnickiego i natychmiast wyprawić go na Ukrainę, przydawszy silną straż z Azem-agą na czele... Za hetmanem pociągną Kozacy... W tej tak ciężkiej dla nas chwili powinniśmy starać się zachować owe ziemie, by w przyszłości, po

odpowiednim przygotowaniu się, uczynić z nich przyczółki wypadowe do zadania druzgocącego ciosu Moskwie i Warszawie!

Arsen nieznacznie, kątem oka spojrzał na Nenka, jakby chciał powiedzieć: słyszałeś, bracie? Ale tamten, wciąż trzymając oburącz przed sobą połyskującą matowo tacę dekorowaną na obwodzie czernią, stał nieporuszenie jak wykuty z kamienia i patrzył na sułtana — zgodnie z rytuałem.

— To wszystko! Jesteście wolni! Idźcie i wykonujcie moje rozkazy! — I Mohamed, nawet nie spojrzawszy na dworaków, którzy pochylili się w głębokim ukłonie, zniknął w drzwiach wiodących do wewnętrznych pomieszczeń mobejnu.

5

Z wyjazdem do Belgradu ani Nenko, ani tym bardziej Arsen nie kwapili się, dlatego też wyprosili u henisz-paszy *, który miał przydzielić im eskortę, jeden dzień odpoczynku po męczącej podróży do Stambułu. Nie było tego oczywiście za wiele, by odnaleźć Złatkę i wyzwolić ją, toteż przyjaciele nie marnowali czasu.

Od początku umówili się, że z przeznaczonym dla Kara Mustafy darem sułtana pojedzie jedynie Nenko, Arsen natomiast, jeśli uda mu się wyswobodzić dziewczynę, pośpieszy z nią do Bułgarii, gdzie spotka się z wojewodą Mladenem, a stamtąd dopiero wyruszy na Ukrainę. Jeśli natomiast plan ich nie powiedzie się, pozostanie w Stambule i będzie szukał innego sposobu, by przyjść dziewczynie z pomocą.

Nenko dobrze znał panujące w seraju zwyczaje. Przybliżywszy się do starego batadżi-agi, który gapił się przez okno na dach stajni, gdzie biły się dwa na-

* Henisz-pasza (tur.) — dowódca korpusu janczarskiego.

stroszone gołębie, Nenko wcisnął mu w dłoń złotą monetę. Tamten sennie łypnął na nią okiem i natychmiast ożywił się. Ukłonił się.

— Jestem do twoich usług, czausz-ago.

— Muszę wiedzieć, dokąd zaprowadzono dziewczynę, którą Murad-aga przywiózł w darze od wielkiego wezyra Mustafa-paszy.

— Widziałem tę dziewczynę... To bardzo piękna dziewczyna, efendi.

— Więc kto i dokąd ją zaprowadził?

— Zaprowadzono ją do haremu... Ale kto — nie mogłem rozpoznać...

Nenko wyciągnął z kieszeni jeszcze jedną złotą monetę. Oczy batadżi rozbłysły pożądliwie.

— Czekaj, czekaj, chyba jednak sobie przypominam... O Allachu, odśwież mi pamięć!

Nenko włożył monetę w podstawioną dłoń, a batadżi-aga mocno zacisnął ją w pięści.

— O! — wykrzyknął radośnie — przypomniałem sobie! Przyszedł po nią eunuch Said... I przekazał dziewczynę kalfie * Mariam, która zaprowadziła ją do swojego daire... A dlaczego efendi tak się interesuje tą dziewczyną? — batadżi-aga uśmiechnął się, ale jego oczy pozostały czujne i zimne.

Nenko wyciągnął następną złotą monetę i włożył ją do kieszeni batadżi-agi. Powiedział surowo:

— Batadżi-ago, lepiej jest otrzymywać w darze złoto niż żelazo! Rozumiesz, co chcę przez to powiedzieć? My ciebie nie znamy i ty też nigdy nas tu nie widziałeś...

Tamten się skłonił, modlitewnie złożył dłonie.

— Rozumiem, efendi. Niech mi wypalą rozżarzonym prętem oczy, jeśli was widziałem, i niech obetną mi

* Kalfa (tur.) — gospodyni, starsza niewolnica opiekująca się kilkoma haremowymi dziewczętami-niewolnicami.

język jataganem, jeśli powiedziałem do was choćby jedno słowo! Allach świadkiem, że mówię prawdę!

W ten sposób dowiedzieli się, gdzie przebywa Złatka. Ta wiadomość tak ucieszyła Arsena, że gdy pozostał z Nenkiem sam na sam, objął go i ucałował.

— Jesteś po prostu czarodziejem! Trzy złote monety — i wiemy już, gdzie szukać Złatki!

Nenko ostudził jego zapał.

— To było najłatwiejsze... Trudno będzie wyrwać ją stamtąd, a jeszcze trudniej — umknąć pogoni.

— Od czegóż więc zaczniemy?

Nenko zamyślił się.

— Póki widno, trzeba jakoś powiadomić Złatkę, by była w pogotowiu. Po drugie, należy zaopatrzyć się w konie i odzież. Po trzecie, postarać się o nocleg w Stambule. Bo wieczorem i w nocy wszystkie bramy miasta są zamknięte — nie można wyjść...

— No to nie traćmy czasu! — Arsen zaczął się spieszyć. — Zdaję się na ciebie we wszystkim. Ze swojej strony będę cię wspierał szablą i pistoletem!

Wyszli z pałacu i znaleźli się po przeciwległej do morza stronie miasta. Dopiero stąd, z wysokości frontowego wejścia, Arsen uzmysłowił sobie prawdziwe rozmiary tej budowli.

Jak daleko sięgał wzrok, prawie na milę długości, ciągnął się ogromny kompleks pałacowy z niezliczoną ilością różnorakich przybudówek, wejść i ganków... Główny budynek otaczały dziedzińce — trzy tuż obok mobejnu i kilka innych bliżej haremu, zabudowane pomieszczeniami o najrozmaitszym przeznaczeniu. Były tu stajnie, kuchnie, magazyny, koszary janczarskie, mieszkania służby i niewolników, łaźnie, wozownie i powozownie... Wszędzie biegali słudzy, zajeżdżali i odjeżdżali konni posłańcy i woźnice, słychać było odgłosy rozmów, rżenie koni, ryk osłów...

Było to całe miasto! Mieszkało tutaj stale dwa do trzech tysięcy ludzi, a w ciągu dnia przebywało — wliczając w to dworaków oraz służbę z wolnego najmu, która mieszkała poza serajem i tylko przychodzili tutaj do pracy — blisko cztery tysiące...

Zaczęli iść wzdłuż budynku haremowego, mijając podwórza i tylne przejścia. Nikt ich nie zatrzymywał. Batadżi-eunuchowie, którzy pilnowali niezliczonych drzwi, obojętnie spoglądali na przechodzących swoim sennym wzrokiem... Z paru okien z zaciekawieniem wyjrzały ładniutkie dziewczęce buzie. Za którym z nich przebywa Złatka?

— Musimy zaryzykować — powiedział Nenko. — Nie chciałem wypytywać, gdzie się znajduje dwór kalfy Mariam, ale zdaje się, że będziemy w końcu musieli to zrobić... Jednak w tym celu musimy zmienić swój wygląd i zaopatrzyć się w coś niecoś...

Arsen kiwnął głową.

6

Na drugi dzień z samego rana, gdy do seraju pociągnęły sznury wozów załadowanych warzywami, owocami, mięsem, świeżo pieczonym chlebem, mąką, rybami i wszelkim prowiantem, przed bramę haremu zajechała kryta furmanka zaprzężona w dorodne konie. Na koźle siedział stary brodaty Turczyn, trzymając w ręku rzemienne lejce. Zza jego pleców wyglądała równie stara, wysoka i chuda Turczynka, ubrana na ciemno i z opuszczoną na twarz czadrą, poprzez którą było widać jedynie jej oczy.

— Hej, kochanieńki, powiedz no z łaski swojej, gdzie tu mieszka kalfa Mariam? — wymamrotał woźnica, zwracając się do wysokiego, pozbawionego zarostu eunucha, który powoli brnął podwórzem ze zwieszoną głową.

Eunuch obojętnie machnął cienką kobiecą ręką.

— Jedź dalej, stary... Tam jest łaźnia, widzisz? A zaraz naprzeciw znajduje się wejście do daire kalfy Mariam...

— Dziękuję ci, kochanieńki. — Woźnica lejcami podgonił konie. — Wio, wio!

Podjechał do łaźni — wielkiego ponurego budynku prawie od góry do dołu obłożonego drwami — i zatrzymał konie. Z wozu zeszła Turczynka i stąpając chwiejnie na cienkich starczych nogach, powoli poczłapała do haremu. Niosła ciężki węzeł, który obciążał jej rękę. W ciemnawym korytarzu zatrzymał ją eunuch.

— Ty do kogo, babciu?

— Do kalfy Mariam, synku — zaskrzeczała ochryple stara. — Przywiozłam dla niej i dla jej dziewcząt coś niecoś... Zaprowadź mnie do niej!

— Tędy, babciu — eunuch powiódł ją do końca korytarza. — To jej pokój...

— Dziękuję ci, synku... I niech chroni cię Allach!

Stara pchnęła drzwi i znalazła się w wielkim pomieszczeniu z szerokim zakratowanym oknem. Wzdłuż ścian stały wąskie kanapy pokryte kilimami oraz okute wzorzystą żelazną blachą skrzynie. Pośrodku stał niski, sięgający kolan okrągły stół, na którym umieszczono wielką misę z parującym pilawem* i smukły dzban sorbetu.

Na kanapkach siedziało z podkurczonymi nogami kilka dziewcząt i głodnymi oczami patrzyło, jak pulchna młódka o białym ciele, nie zwracając na nie najmniejszej uwagi, ręką wyławiała z misy najlepsze kawałki mięsa i wkładała je sobie do ust.

---

* Pilaw (pers.) — potrawa z gotowanego ryżu z kawałkami mięsa i przyprawami.

— Kalfa Mariam? — zapytała stara. — Niech Allach ma cię w swojej opiece!

— Otóż to! A czego ci potrzeba? Z czym przychodzisz? — z niezadowoleniem w głosie odparła kalfa, połykając kolejny kąsek. — Przecież widzisz, że nie mam czasu... Akurat jemy śniadanie.

— Proszę o wybaczenie, kalfa-efendi — ukłoniła się stara. — Poczekam, jeśli pozwolisz... Posiedzę sobie tutaj.

I przysiadła na rożku kanapy.

Mariam znowu spojrzała na nią niezadowolona, ale się nie odezwała. Bez pośpiechu wpychała do ust najsmaczniejsze kąski, po czym napiła się sorbetu prosto z dzbanka i dopiero potem, wytarłszy ręką grube wargi, odezwała się krótko do dziewcząt:

— Jedzcie!

Dziewczęta poderwały się z miejsc, migiem obsiadły stół i na wyścigi zaczęły chwytać rękoma jedzenie z misy. Zajadały łapczywie jak głodne szczenięta. Tylko jedna z nich pozostała na swoim miejscu, wtuliwszy się w kącik i zasłoniwszy twarz chustką.

— A ty co? Jedz! — naskoczyła na nią Mariam. — Wczoraj nie tknęłaś kolacji! Dzisiaj nie chcesz śniadania! Czy umyśliłaś sobie zdechnąć? Ale nie uda ci się to! Zmuszę cię do jedzenia, żeby nie było potem na mnie, że głodzę swoje uczennice...

— Nie będę jadła! Nie chcę! — odparła dziewczyna nie odsłaniając twarzy.

Na dźwięk jej głosu stara Turczynka drgnęła. Poprzez opuszczoną czadrę przylgnęło do twarzy dziewczyny uważne spojrzenie przenikliwych starczych oczu.

— A właśnie, że będziesz! — Mariam zerwała się z miejsca i krzyknęła do dziewcząt, które już prawie opróżniły misę: — Hej, wystarczy wam! Zostawcie trochę dla tej głuptaski! Patrzcie, jaka to niezadowolona,

że trafiła do sułtańskiego haremu! Wolałaby pewnie zostać nałożnicą czy służącą byle brudnego kupca czy spahisa! A może chciałabyś tutaj u nas palić w piecach w łaźni, prać bieliznę czy myć naczynia?... Powiedz, czy naprawdę wolałabyś to?

— Wolałabym.

— Jaka ty jesteś głupia! Ale ta głupota ci minie... Nie takim jak ty przycierano tutaj rogi... No, chodź jeść!

— Nie będę! Lepsza śmierć...

— Cha, cha, cha! Słyszałyście, dziewczęta? Ona nie będzie jadła! Sama poprosisz, gdy głód da ci się we znaki... Dojadajcie, dziewczęta! Nie może się dobro marnować...

Dziewczyny znowu rzuciły się do miski i opróżniły ją w mgnieniu oka. Widać było, że głód jest nieodstępnym towarzyszem ich tutejszego życia.

Kalfa podeszła do staruszki, kopnęła nogą jej zawiniątko.

— No, co tam masz? Czym uradujesz moje dziewczęta?

Stara ukłoniła się. Sztywnymi palcami rozsupłała węzeł, zaczęła wyjmować niewielkie kawałki barwnych materiałów. Rozpostarła je w pełnym świetle.

Dziewczęta w zachwyceniu klasnęły w dłonie.

— Ach, jakie wspaniałości!

Kalfa też nie mogła powściągnąć swojego zachwytu. Jak urzeczona wpatrywała się w tkaniny, wśród których trudno by było wybrać najpiękniejszą, gdyż wszystkie były jednakowo cudne! Jedno ją zdziwiło: były to zupełnie maleńkie kawałeczki, mogące wystarczyć zaledwie na niewielką chustkę.

— Ale przecież z tego sukienka nie wyjdzie! — zawołała z żalem, przykładając do siebie kawałek wzorzystego chińskiego jedwabiu.

— Jak to nie wyjdzie, kalfa-efendi? — zaskrzeczała

starucha. — Na podwórzu stoi mój wóz — mam w nim wszystko, czego dusza zapragnie! Tylko że nie jest tego dużo... Nie wystarczy dla całego haremu... Ale dla was powinno wystarczyć... Mój stary odmierzy wam, byleście tylko pieniądze miały!

Dziewczęta rzuciły się do swoich skrzyń, i zaciskając w pięści akcze, kurusze i dinary, wybiegły z pokoju.

Jedynie nowicjuszka nie okazała zainteresowania i w milczeniu, podobna do złamanej wiatrem trzciny, siedziała pochylona w kąciku na kanapie.

Stara zaczęła powoli zbierać swoje rzeczy i wkładać je do torby. Każdy kawałek materiału zwijała kilka razy chowała, a potem znowu wyjmowała. Kalfa przytupywała niecierpliwie:

— Ty, pośpiesz się!

— Nie czekaj na mnie, gołąbeczko! Możesz iść! Nie bój się, nie jestem złodziejką. No i nie zostanę przecież sama w pokoju, jest tu ktoś, kto będzie na mnie uważał... — Stara haczykowatym palcem wskazała na nowicjuszkę. — Idźże, pośpiesz się! Złożę to wszystko i pójdę sobie... Bo tymczasem wszystko rozchwytają...

Ostatnie słowa popchnęły kalfę do wyjścia. Trzasnęła drzwiami i wybiegła na podwórze. Stara natychmiast uniosła czadrę, podbiegła do dziewczyny i zawołała całkiem innym głosem.

— Złatko! Najdroższa! Czyżbyś nie poznała mnie?

— Arsen?! — Dziewczyna nie mogła uwierzyć własnym oczom. Następnie z łkaniem padła Arsenowi na pierś. — Miły mój! Jesteś tutaj?...

— Tsss! — Arsen położył jej dłoń na ustach. — Słuchaj uważnie! Przybyliśmy z Nenkiem po ciebie. Nasz wóz stoi na podwórzu. Przyniosłem ci inną odzież — szybko wyciągnął z torby przebranie. — Narzuć na siebie te łachmany niewolnicy i póki twoje przyjaciółki wybierają u Nenka materiały na nowe suknie, wyjdź

na dziedziniec i czekaj na nas przy bramie... Uwiniemy się szybko... Prędzej!

Arsen pomógł Złatce przebrać się, byle jak wepchnął do torby swoje szmaty i znów zgiąwszy się jak stara babina, pokuśtykał z pokoju.

Przy wozie odbywał się ożywiony handel. Nenko nie był skąpy, za bezcen odstępował materiały, które kupili wczoraj z Arsenem u zamorskich kupców, płacąc trzy razy drożej. Kalfa i jej podopieczne trzymały w ręku po parę zwojów drogich tkanin; nie mając pieniędzy na więcej, z zazdrością i żalem patrzyły na leżącą w wozie resztę.

Arsen wyszedł z haremu, poczekał, aż minęła go biegnąca Złatka, a potem pokuśtykał do wozu.

— Obkupiłyście się, sroki? — skrzekliwie odezwał się do dziewcząt. — Widzę, że nabrałyście dosyć... To i wystarczy! A teraz — a kysz, kysz! Nie mamy czasu, musimy jechać dalej, bo u was — cha, cha, cha! — sakieweczki puste! — Arsen wlazł na wóz. — Poganiaj, stary!

Nenko wzniósł kamczę *, przejechał nią po końskich grzbietach.

— Gdzie ona jest? — spytał cicho, gdy odjechali kawałeczek dalej.

— Hen pobiegła... Będzie czekała przy bramie... Teraz nam potrzeba jedynie trochę szczęścia!

Nenko nic nie odpowiedział i zaciął konie.

— Hej wy, uważajcie! — krzyknął na gapiów, którzy włóczyli się po podwórzu.

Złatka zadyszana, przestraszona, stała obok bramy i lękliwie rozglądała się na wszystkie strony przez wąziutkie wycięcia czadry. Wciąż nie mogła uwierzyć w to, co ją spotkało. Cała jej szczuplutka postać poddała się naprzód, ku zbliżającemu się szybko wozowi.

* Kamcza (tur.) — bat, nahajka.

Nenko ściągnął lejce. Arsen pochwycił dziewczynę pod ramiona, uniósł w powietrze, umieścił pod budą wozu.

— Pędzimy! — krzyknął do Nenka.

Tamten z całej siły śmignął konie batem. Koła skrzesały iskry na kamieniu, zaturkotały w wąskim przejeździe, wiodącym przez kamienną wieżę.

Strażnicy, stojący po drugiej stronie bramy, wyjrzeli zdziwieni, ale gdy zobaczyli, że prosto na nich pędzą oszalałe konie, cofnęli się w obawie, by nie znaleźć się pod ich kopytami.

— Oj, bieda na moją głowę! Oszalały, przeklęte! — krzyczał Nenko, smagając jednocześnie konie kamczą

Kapudżowie skrzyżowali długie dzidy, zaczęli wołać:

— Stój! Zawracaj konie!

Lecz już było za późno. Kryty wóz wichrem przemknął pod wieżą, minął szeroki plac, rozpędzając przestraszonych przechodniów, i zniknął za rogiem w bocznej ulicy.

— Stary obłąkaniec! — burknął starszy z wartowników — Tylko czekać, jak skręci kark! Sobie albo i komuś innemu...

A młodszy dodał:

— Niechbym dostał go w swoje ręce! Zdrowo przeciągnąłbym mu dzidą po grzbiecie!

Tymczasem Arsen, ukryty w budzie wozu zrzucił z siebie czadrę i niewieście przebranie, szybko włożył mundur janczarskiego czorbadżi i zastąpił na koźle Nenka. Tamten wkrótce też wychynął na zewnątrz we wspaniałym stroju czausz-paszy.

Złatka również zmieniła łachmany niewolnicy na mundur i przemieniła się w młodziutkiego, pięknego janczara.

Uciekinierzy przejechali przez cały Stambuł, mi-

nęli bramę Ajwasari-kapu i zatrzymali się w lesie w pobliżu Ejubu.

Nenko objął Arsena.

— Żegnaj więc, druhu i bracie. Dokumenty i pieniądze na drogę masz, a gdzie się skierować, wiesz to lepiej ode mnie. Gdy spotkasz się z wojewodą Mladenem, powiedz mu, że przybędę do niego wkrótce. Wykonam tylko pewne wielce miłe memu sercu polecenie sułtana — i wyruszę...

— Uważaj, żebyś nie zgubił gdzie po drodze tego daru od sułtana! — powiedział Arsen, mając na myśli „prezent" dla Kara Mustafy.

— Nie ma obawy! Nie zapominaj, że jestem nie tylko Nenkiem, ale także Safar-bejem! Znam iście janczarski chwyt! — Nenko uśmiechnął się i ścisnął swoją potężną pięść. Potem otoczył ramionami Arsena i Złatkę. — Żegnajcie, moi kochani! Odnalazłem ciebie, siostrzyczko, może po to, żeby nie spotkać nigdy więcej! Ale to wiem, że z Arsenem będziesz szczęśliwa, dlatego też raduję się waszemu szczęściu...

— Wybierzesz się do nas kiedy, Nenku? — szepnęła przez łzy Złatka.

— Możliwe... A na razie żegnajcie! I niech podróż upłynie wam w spokoju i szczęściu!

Jeszcze raz objęli się mocno. Nenko zawołał na konie „wio", po czym długo jeszcze stał na drodze, patrząc, aż wóz zniknął za zakrętem w gąszczu leśnym.

7

Z dnia na dzień z trwogą w sercu oczekiwał Kara Mustafa wieści ze Stambułu. To czekanie wyczerpywało go. W nocy, zaledwie sen go zmorzył, za lada szmerem zrywał się z łóżka, cały pokryty zimnym potem.

W ciągu dnia, kiedy wydawał przeróżne rozporządzenia czy robił przegląd swoich ort, które powoli zaczynały przybierać wygląd dawnych, zdatnych do boju jednostek, czuł się trochę lepiej. Łudził się, że obecne niepokoje są chwilowe, że wkrótce życie wróci do normy.

Natomiast noce były straszne. Długie, jesienne, przepełnione wyciem zimnych północnych wiatrów, które hulały za oknami jego przytulnego pałacu i ściskały serce lodowatym strachem, przeplatane koszmarnymi snami i nie kończącymi się ciężkimi rozmyślaniami...

Nadzieja walczyła w nim z rozpaczą. Liczył na wielkoduszność i miłość sułtana, spodziewając się, że darami ukoił jego gniew i że w swoim szczegółowym i dokładnym liście wyjaśnił prawdziwe przyczyny porażki i wskazał rzeczywistych winowajców.

Potem przypomniał sobie, że ma w Stambule wielu wrogów, którzy bez wątpienia obmówią go przed sułtanem, i znowu ogarniał go lęk. Czyż nie ma już żadnej nadziei?

Na wszelki wypadek trzymał w zasięgu ręki swoje najcenniejsze kosztowności, zdecydowany na ucieczkę przy najmniejszym niebezpieczeństwie. Wokół pałacu postawił straże i nakazał, by nikogo nie wpuszczano bez jego zezwolenia. Za wysokim kamiennym ogrodzeniem w sąsiedniej posesji, dokąd przekopano podziemne przejście, pod opieką zaufanych sług czekały w pogotowiu rącze konie.

Dobiegał końca ten fatalny dlań rok 1683.

Dzień 25 grudnia niczym nie różnił się od innych — chyba tylko tym, że nastąpiła korzystna zmiana pogody. Jasne promienie słoneczne zesłały ciepło na Belgrad i całą okolicę wraz z poweselałym, rozlanym szeroko Dunajem, który w czasie niepogody bywał

zwykle ponury, a nawet groźny, i jego młodszą siostrzycę Sawę.

Patrząc na ten widok, wielki wezyr również odczuł ciepło w sercu i po raz pierwszy od bardzo długich miesięcy po odprawieniu południowego namazu udał się do biblioteki. Wyjął z bogato inkrustowanej srebrem i masą perłową szkatułki księgę Koranu w kosztownej oprawie i zagłębił się w czytaniu.

W ciągu pół godziny zmorzył go sen, położył się więc na miękkiej szerokiej otomance. Ale odpoczynek jego został przerwany nadejściem sekretarza.

— Proszę o wybaczenie, jeśli zakłócam ci odpoczynek, efendi. Przybył czausz ze Stambułu...

— Co? — Kara Mustafa zerwał się z otomany. — Wpuszczono go na dwór?!

— Jeszcze nie. Zgodnie z twoim, panie, rozkazem...

— Jest sam?

— Przecież czauszowie sułtańscy, tak zresztą jak i czauszowie wezyrów, nie podróżują pojedynczo... Tylko zawsze ze strażą — spokojnie wyjaśnił sekretarz.

— Dobrze. Podejdź do bramy i przypatrz mu się. Spytaj, jak się nazywa i z czym przybył, a potem wracaj tutaj! I nikogo mi nie wpuszczać...

Sekretarz ukłonił się w milczeniu i wyszedł.

Kara Mustafa zaczął szybko chodzić po obszernym pokoju tonącym w słonecznym blasku. Myślał gorączkowo, co przywozi czausz. Życie czy śmierć?

Nikt nie mógłby odpowiedzieć na to pytanie.

Pozostać tutaj i wyjaśnić, kim jest ten czausz i z czym przybywa? Czy też uciekać od razu, póki nie jest za późno? Wahał się. I na to pytanie mógłby udzielić odpowiedzi chyba sam Allach!

Lęk ścisnął mu serce. Jednak gdzieś na samym jego dnie cieplił się promyk nadziei. Może jeszcze nie wszy-

stko stracone? Może przywieziono mu rozkaz udania się na następną wyprawę? Albo po prostu dymisję?

Wrócił sekretarz.

— No więc? — rzucił się ku niemu wielki wezyr.

— Przybył czausz-aga, Safar-bej, efendi.

— Safar-bej! — radośnie wykrzyknął Kara Mustafa, czując, jak spada mu z serca wielki ciężar. Zapomniał nawet zapytać, z czym przybywa posłaniec, tylko polecił:

— Wprowadź go tutaj! Do mnie! Szybciej!

Sekretarz znowu wyszedł.

Kara Mustafa westchnął z ulgą. Wygląda na to, że Allach zmiłował się nad nim. Aga Safar-bej jest jego własnym czauszem i z całą pewnością nie może być wysłannikiem złych wieści... Czyli, że muszą to być wieści dobre, albo też Safar-bej wraca po prostu z podróży... Z całą pewnością ma jednak dużo do opowiedzenia. Widział przecież sułtana!...

Drzwi otworzyły się gwałtownie. Do bliblioteki uroczyście, defiladowym krokiem wszedł czausz-aga Safar-bej. Ale cóż to takiego niesie on w wyciągniętych przed siebie rękach? O Allach akbar! Kara Mustafę przeszedł dreszcz, chociaż wciąż jeszcze nie mógł uwierzyć własnym oczom. Przyniesiono mu na srebrnej tacy jedwabny sznur!

Do biblioteki nieprzerwanym szeregiem wchodzili janczarowie. Zajrzał blady przestraszony sekretarz, za którym zebrała się czeladź, również blada i wylękniona.

Kara Mustafa w dalszym ciągu nie mógł uwierzyć w to, co go spotkało.

— Ty? Safar-bej?... — spytał głucho.

Uderzyło go, że wyrok śmierci przynosi mu jego własny czausz!

— Zgodnie z wolą padyszacha! — wymówił głośno Safar-bej.

Serce Kara Mustafy ścisnęło się boleśniej. Ścierpły mu nogi.

— Mam przecież prawo wyboru. Mogę wypić truciznę albo też puścić sobie kulę w łeb — odezwał się cicho.

Miał nadzieję, że zostanie mu udzielona maleńka zwłoka, która pozwoli dopaść przeciwległych drzwi, prowadzących do krętych schodów, a stamtąd do podziemi, gdzie zaczynało się ukryte przejście. Szansa mizerna, ale jednak...

Safar-bej odpowiedział:

— Nie masz takiego prawa, Kara Mustafo! — i rozkazał: — Bierzcie go!

Janczarowie natychmiast otoczyli wielkiego wezyra kołem, chwycili go za ręce.

Cienki i śliski jak wąż jedwabny sznur zacisnął się na jego szyi...

I ZNOWU W DROGĘ

1

Pasza Chalil, czerwony z gniewu, tupnął nogą i zaczął krzyczeć na Jerzego Chmielnickiego, jakby ten był niegrzecznym chłopcem:

— Napisałem do Wysokiego Progu, że nie mam dla ciebie wojska ani pieniędzy. Teraz nie te czasy, żebyśmy mieli naruszać porozumienie pokojowe z Moskwą! Nie dość, że klęska pod Wiedniem była dla nas strasznym ciosem, to jeszcze chciałbyś wciągnąć im-

perium w nową wojnę, tym razem z carową moskiewską Zofią! Nie dam ci ani jednego żołnierza! Taki jest rozkaz Dywanu... Jeśli sułtan — niech będą błogosławione jego lata! — wypuścił cię z Yedikule i przysłał tutaj, widocznie spodziewał się, że sam uzbierasz sobie wojsko z Kozaków i będziesz bronił Prawobrzeża przed Lechistanem i przed Moskwą! A oto okazuje się, że wszyscy uciekają od ciebie jak od zarazy! Aż śmiech bierze — jedynie ten pijaczyna Mnohohrisznyj, którego już dawno powinienem posłać na szubienicę i sam nie wiem, dlaczego tego nie robię, trzyma się ciebie kurczowo! — Pasza z pogardą spojrzał na zgięty kark Mnohohrisznego, który lękliwie spozierał zza pleców Azem-agi. — A i ty również, jak zauważyłem, nie wylewasz za kołnierz. Ciągniesz jak gąbka, a potem po całych dniach, pijaniusieńki, wylegujesz się na kanapie...

— Ależ pozwól, łaskawco, wielce dostojny efendi...

— Milcz! Gdyby to ode mnie zależało, dawno bym powiesił was obu, wy psy śmierdzące!

— Na to, żeby zwerbować wojsko, potrzebne są pieniądze — nie dawał za wygraną Juraś — a ten obmierzły zdrajca i złodziej, Kara Mustafa, okradł mnie doszczętnie... Puścił z torbami... Po raz ostatni zaklinam cię, efendi, wydaj mi na potrzeby wojskowe pięćdziesiąt tysięcy kuruszów z kasy państwowej...

— Coo?! — okrąglutki Chalil-pasza aż podskoczył z oburzenia. — Słyszysz, Azem-ago? Pięćdziesiąt tysięcy! Nie tysiąc, nie pięć, a całych pięćdziesiąt tysięcy! Żebyś zaraz jutro z samego rana przepuścił je w szynku z kretesem! Nie ma głupich! Po raz ostatni dam ci dwa tysiące kuruszów, ale pod jednym warunkiem: zwerbujesz przynajmniej ze dwie setki Kozaków. Dokonasz tego — otrzymasz więcej. Nie uda ci się — urządzę tobie i temu twojemu spryciarzowi Mnoho-

hrisznemu taką bastonadę, takie tabandru *, że — klnę się imieniem Najświętszego! — popamiętasz mnie do końca życia! A teraz precz z moich oczu!

— Dziękuję, efendi — Juraś skłonił się uniżenie. — Jeszcze dzisiaj chorąży Mnohohrisznyj uda się do Niemirowa, by omówić sprawę z tamtejszymi Kozakami...

2

Na centralnym placu miasta zebrała się cała niemirowska sotnia. Kozacy chcieli wiedzieć, w jakim celu przyjechali ze Lwowa panowie Poradowski i Mątkowski i o czym ci dwaj rozmawiają z pułkownikiem Andrzejem Abazinem i pułkownikiem Semenem Palijem, który przybył z Fastowa.

— Może przywieźli resztę należnych nam pieniędzy, których nie wypłacono za wyprawę wiedeńską? — zgadywał jeden z Kozaków.

— A jakże, trzymaj mocniej sakiewkę! — wątpił inny. — Co z wozu spadło, to przepadło!

Wśród zebranych rósł niepokój.

— Nie ma co kryć się za murami! Niech wyjdą tutaj! Niech wyjdą do nas!

— Niech emisariusze hetmana Jabłonowskiego powiedzą nam wszystkim otwarcie, dlaczego nie wypłacono odszkodowania rodzinom tych, co polegli w wyprawie czy zmarli na skutek chorób!

Wśród tłumu krążył Swiryd Mnohohrisznyj. Słuchał uważnie tego, co mówią Kozacy, i zapamiętywał ich słowa, a i sam odzywał się od czasu do czasu:

— Prawdę mówią ludzie! Niech pułkownicy wyjdą z panami komisarzami na zewnątrz i rozmawiają z nimi tutaj... Nic poza naszymi plecami! Jak trzeba ginąć

* Bastonada (hiszp.) albo tabandru (tur.) — okrutna kara polegająca na biciu kijami po gołych piętach i plecach.

na wojnie — to my, a jak pieniądze brać — to oni pierwsi!

Zawierucha, który towarzyszył Palijowi, pochwycił Mnohohrisznego za kołnierz.

— Jakoś nie widziałem ciebie na wojnie, braciszku! I zasię ci do naszych pułkowników! Znaj miarę nawet w kłamstwie. Inaczej dostaniesz po pysku! — Stary wiarus podsunął pod nos Mnohohrisznego swoją potężną pięść.

Okrzyki w tłumie wzmogły się.

Na ganek wyszedł Abazin.

— Co to za hałas, bracia?

Ze wszystkich stron rozległy się głosy:

— Wyjdźcie obradować na plac!

— Chcemy słyszeć! Chcemy słyszeć!

Abazin uśmiechnął się. Był wysoki, czarnobrewy, o orlim nosie. Z natury miał gorącą krew, często świerzbiała go ręka. Wiedzieli o tym wszyscy, ale wiedzieli również, że jego uśmiech zawsze oznaczał dobry nastrój. Nie można mu było zarzucić podstępnych knowań ani złośliwości.

Dlatego też tłum zakrzyknął zgodnie:

— Dawaj no ich tutaj, Andrzeju, tych komisarzy!

— Wyprowadź ich, pułkowniku, na świat boży! — zawołała młodzież.

— Zgoda, bracia! Obaj z ojcem Semenem też tak myślimy — odpowiedział Abazin i zniknął w drzwiach.

Po chwili na ganek wyszli wszyscy czterej — najpierw dwaj emisariusze, a za nimi obaj pułkownicy.

Tłum wydał głuchy pomruk.

— Po coście przyjechali do nas, panowie komisarze?

— Powiedzcie, wszyscy chcemy usłyszeć!

Poradowski i Mątkowski wymienili spojrzenia. Widać zaniepokoiło ich głuche niezadowolenie tłumu.

Naprzód wystąpił Poradowski.

— Panowie! Chcecie wiedzieć, w jakim celu przyjechaliśmy do was i nad czym radziliśmy z waszymi pułkownikami? Powiem wam... Hetman i wojewoda ruski Stanisław Jabłonowski przysłał nas tutaj, byśmy z nakazu królewskiego przeprowadzili werbunek ochotników na nową wyprawę przeciwko Turkom... Wywiadowcy donoszą, iż sułtan nie pogodził się z porażką i sposobi się do nowej napaści na sojuszników. Nie jest wykluczone, że jeszcze tego lata uderzy on na Rzeczpospolitą...

— No to brońcie się sami!

— My nie pójdziemy! Nie pójdziemy!

— Już raz nas oszukaliście — drugi raz wam nie uwierzymy!

— Panowie, panowie... — usiłował przekrzyczeć tłum Poradowski.

Nie chciano go słuchać.

— Oddajcie pieniądze należne wdowom i dzieciom tych, co zginęli pod Wiedniem i Parkanami!

— Wszystkim oddajcie! Bo przecież podzieliliśmy się swoim żołdem z rodzinami poległych! Wychodzi na to, że wy i żywych oszukaliście!

Poradowski zaczerwienił się. Mątkowski zbladł i cofnął się parę kroków, jakby miał zamiar dać nogę przy najmniejszym niebezpieczeństwie.

Naprzód wystąpił Semen Palij. Stanął obok Poradowskiego. Podniósł rękę. Gwar na placu uciszył się.

— Bracia! Zgadzam się z wami! — krzyknął. — Pułkownik Abazin takoż... Przez całą godzinę dowodziliśmy panom komisarzom, że powinni najpierw wywiązać się ze swoich wcześniejszych obietnic, a dopiero potem czynić zaciąg na nową wyprawę!

— Słusznie! Słusznie!

— Ziemię naszą bronimy nie dla zapłaty, lecz dlatego, że kochamy ją, że chcemy, by była i pozostała wol-

na, by mogła nakarmić nas i nasze dzieci! Ale gdy wojownik idzie jako ochotnik na wyprawę, powinien mieć nie tylko broń i wierzchowca, ale także pewność, że jego żona i dzieci będą miały co jeść... I dlatego Kozakowi trzeba zapłacić żołd! A jak zachowali się wobec nas panowie komisarze? Obiecali jedno, a zrobili inaczej... Przysłali zaledwie połowę tego, co obiecali nam wypłacić!

— Skarb państwa stoi pustką. Nie mamy skąd wziąć pieniędzy — wydusił z siebie Poradowski. — To, co nadeszło z Rzymu od Jego Świątobliwości, oddaliśmy wam do ostatniego szeląga. Więcej nie mamy czym płacić...

— Tanio wyceniliście naszą krew, panowie! Oszukaliście nas, co zresztą było waszym zamiarem, a teraz macie czelność znowu zwracać się do nas o pomoc! Nic z tego! — Palij rozgniewał się nie na żarty. Głos mu się urwał.

Poradowski poczerwieniał jeszcze bardziej.

— To nie ja oszukałem was, panowie! Musicie zwrócić się do tych osób, co stoją ponad nami... Poprosić ich...

— Prosić? — Palij aż się zakołysał. — Za tyle krwi przelanej — i jeszcze prosić? Nie pójdziemy na żebry! A ciebie, panie Poradowski, prosimy o przekazanie naszego podziękowania jaśnie wielmożnym państwu za ich obłudę i kłamstwa! — Z tymi słowami Palij niespodziewanie wymierzył komisarzowi policzek.

— Nie ciebie biję, ale ich! Wiedz o tym! Ciebie osobiście proszę natomiast o wybaczenie...

Poradowski w pierwszej chwili stracił cały kontenans. Potem jego dłoń powędrowała do szabli, lecz Mątkowski rzucił się doń i powstrzymał mu rękę.

— Na Boga, panie!... Poszatkują tu nas jak kapustę! No i mają rację w swoich zarzutach przeciwko nam...

Trzeba spojrzeć prawdzie w oczy. Można w ziemię zapaść się ze wstydu!

Poradowski nienawistnie łypnął oczami na Palija.

— Nie zapomnę ci tego, pułkowniku! Póki życia nie zapomnę!

Zbiegł z ganku, Kozacy rozstąpili się, robiąc mu przejście. Mątkowski poszedł za nim. Gdy komisarze opuścili plac, Abazin odezwał się cicho do Palija:

— Nie warto było z nim zaczynać, Semenie!

Jednak Kozacy, którzy stali w pobliżu i usłyszeli te słowa, zakrzyknęli:

— Dobrze zrobił! Dobrze!

— Nie jego uderzył, tylko w jego osobie tych, co stoją nad nim!

Palij już zdążył ochłonąć. W rozdrażnieniu machnął ręką.

— Może i nie było warto... Poniosło mnie. A poza tym — niech mają nauczkę! Do licha z nimi! Jednak nie przyślą nam więcej złamanego grosza!

Naprzód przepchnął się Swiryd Mnohohrisznyj.

— Panowie pułkownicy, dozwólcie rzec słówko... Do was i do całego zgromadzenia!

— Cóż, mów! Czego chcesz? — zezwolił Abazin.

Mnohohrisznyj wbiegł na ganek, zdjął czapkę.

— Braciszkowie! Polecił mi nasz hetman Jerzy Gedeon Wężyk Chmielnicki mowę do was trzymać... Zwołuje on was wszystkich, braciszkowie, pod swoje sztandary!

— Czyli pod tureckie, tak? — groźnie spytał Palij, który wciąż jeszcze nie mógł ochłonąć po incydencie z Poradowskim. — Żeby znowu orda i janczarowie mogli deptać naszą ziemię, a nas samych wysiec w pień? Precz stąd, zdrajco! Precz, ty psie, i szybko! A to zakosztujesz mojej szabelki!

— Precz z nim! Precz! — zakrzyknęli Kozacy.

— Gnać go do wszystkich diabłów!

Mnohohrisznyj skulił się, wcisnął czapkę na łeb i dał susa z ganku.

3

Oddział jeźdźców, który towarzyszył Poradowskiemu i Mątkowskiemu w ich wyprawie na Ukrainę, szykował się do odjazdu. Żołnierze siodłali konie, przytraczali do siodeł podróżne sakwy. Obydwaj szlachcice siedzieli w karczmie przy oknie i zajadali smaczną, gorącą kaszankę, popijając ją chłodnym, przyniesionym prosto z piwnicy piwem.

Żaden z nich się nie odzywał. Malutki, okrągły jak baryłka, czarnowłosy Mątkowski, który był niższy stopniem, nie śmiał pierwszy zagaić rozmowy, widząc, że Poradowski jest w dość kiepskim nastroju — a tamten, rudy, bardzo wysoki i chudy jak tyka, czerwienił się i bladł na przemian, gdyż wciąż jeszcze dusiła go wściekłość z powodu nie tyle bolesnego, co obraźliwego uderzenia Palija, a także dlatego, że musi oto wracać do domu nie wykonawszy polecenia wojewody Jabłonowskiego.

Kończyli posiłek, gdy przez uchylone drzwi zajrzał do izby Swiryd Mnohohrisznyj.

— Wielce przepraszam jaśnie wielmożnych panów, ale pragnąłbym wstąpić tu do gospody i omówić z panami pewną interesującą ich sprawę... — przemówił uniżenie.

— A skąd możesz wiedzieć, co nas interesuje? — z niechęcią zapytał Poradowski.

— Byłem obecny, gdy ten zbój Palij... No, sam pan wie, co było dalej...

— Co pan...

— Chorąży Swiryd Mnohohrisznyj, do usług.

— Co pan Mnohohrisznyj ma na myśli? — groźnie spytał Poradowski.

— Proszę, niech wielmożny pan nie gniewa się na mnie. Co było, to było... Natomiast ja chciałbym pomówić o tym, co będzie. Pan komisarz rozumie, że dotyczyć to będzie owego zbója...

— Palija?

— Tak.

Poradowski pomyślał, wytarł dłonią grube wargi.

— Wejdź! Posłuchamy, co masz do powiedzenia.

Mnohohrisznyj pośpiesznie wsunął się do izby, przycupnął przy stole. Obaj emisariusze w milczeniu utkwili w nim wzrok.

— Panowie, pragnę powiadomić was w tajemnicy, a poprzez wasze szlachetne osoby wojewodę Jabłonowskiego, o tym, że Palij to figura wielce podejrzana... Król jegomość dał mu akt nadawczy na Fastów oraz okoliczne ziemie, uszczęśliwił go okazaniem swojej łaski monarszej, a ten niegodziwiec knuje przeciwko niemu czarną zdradę...

— Co mianowicie? Mów krótko! — wykrzyknął Poradowski.

Mnohohrisznyj przysunął się bliżej. Poczuł się bardziej pewny i nalawszy sobie piwa z dzbana, wychylił kufel. Obejrzawszy się na wszystkie strony i upewniwszy się, że nikt go nie podsłuchuje, zaczął mówić szeptem:

— Palij namawia innych pułkowników, żeby całe Prawobrzeże znowu połączyć z Lewobrzeżem, czyli zespolić się z Moskwą...

— Co? — Poradowski zerwał się na równe nogi. — Czy masz po temu jakieś niezbite dowody?

— Sam jestem tego dowodem, panowie! — buńczucznie oświadczył Mnohohrisznyj. — Gdyż słyszałem na własne uszy, jak Palij mówił o tym w obecności Kozaków, a ci, rozdziawiwszy gęby, jak głupi chłonęli każde jego słowo...

Poradowski w zadowoleniu zatarł ręce.

— Hm, to ważna nowina! Otóż z tego wynika, że Palij jest zdrajcą i trzeba go natychmiast aresztować!

— Bez nakazu pana Jabłonowskiego? — wyraził swoje wątpliwości Mątkowski.

— Mam taki nakaz! Nie jest oczywiście wystawiony na Palija, ale na tych wszystkich, którzy tak czy inaczej działają na szkodę Korony. W tym wypadku, ponieważ dowody przemawiają na niekorzyść Palija...

— Właśnie o tym mówię — ucieszył się Mnohohrisznyj. — Palij to wyjątkowo niebezpieczny osobnik. Nie wątpię ani przez chwilę, że hetman Jabłonowski odda go pod sąd. A ja jestem gotów świadczyć przeciwko niemu... Tym bardziej, proszę panów, że już od dawna pragnę wstąpić na służbę do pana Jabłonowskiego... Jak się nadarzy okazja, niech panowie przemówią za mną słówko, jako za wiernym sługą.

— Przemówimy — obiecał Poradowski. — Pan Jabłonowski dobrze płaci ludziom sobie oddanym... Ale słowo to tylko słowo, panie Mnohohrisznyj, a na to, bym zaręczył za ciebie przed hetmanem i wojewodą, potrzebne są czyny!

— Jakie czyny?

— Postanowiłem aresztować Palija i ty pomożesz mi w tym.

— Na Boga, panowie! — zawołał zaskoczony Mątkowski. — Król jegomość jest wielce przychylny pułkownikowi Palijowi!

— Bo nic nie wie o jego prawdziwych zamiarach — uciął Poradowski. — Postanowione więc — Palija należy aresztować! Tylko jak?

— Cicho i bez gwałtu — odpowiedział Mnohohrisznyj. — Dopomogę wielmożnym panom... Możecie całkowicie zdać się na mój pomyślunek!

4

Spędziwszy pewien czas wśród hajduków* wojewody Mladena w niedostępnych wąwozach Starej Planiny, Arsen i Złatka wyruszyli w podróż na Ukrainę.

Będąc w Białej Cerkwi, dowiedzieli się niespodziewanie o aresztowaniu Palija. I chociaż zapadł już wieczór i konie ledwo trzymały się na nogach, a także sami podróżni — przede wszystkim Złatka — byli bardzo zmęczeni i potrzebowali odpoczynku, Arsen oświadczył stanowczo:

— Jedziemy, moja miła! To niedaleko — trzydzieści wiorst... Na rano zajedziemy do domu!

Złatka przyzwyczaiła się już, że nie należy sprzeciwiać się Arsenowi, gdy szło o sprawy wielkiej wagi, i po krótkim postoju kontynuowali podróż na północ.

Do Fastowa przybyli w porze śniadaniowej.

Delikatna wczesnowiosenna zieleń przystroiła i umaiła zniszczone wojną i klęskami miasto, które wyglądało jak panna młoda w stroju weselnym. Na zamkowym wzgórzu obok twierdzy szumiały młode jawory, siwymi chmurami nawisły nad srebrzystą Unawą rozłożyste wierzby.

Jeszcze z drogi dostrzegł Arsen na matczynym podwórzu osiodłane konie. Serce zabiło mu niespokojnie. Któż by to mógł być?

Otworzył bramę i pomógł Złatce zsiąść z wierzchowca. Usłyszał odgłos kroków i radosne okrzyki:

— Arsenie! Złatko!

— Kochani! Przyjechaliście!

Dał się słyszeć głos matki: — Chwała Bogu! Nareszcie!

— Chwała Bogu! — zawtórował jej Jakub.

---

* Hajduk (węg.) — u Słowian Południowych i na Węgrzech: bojownik o wolność narodową walczący z jarzmem tureckim (przyp. tłum.).

W chacie było pełno narodu. Wszyscy śpieszyli uściskać Arsena i Złatkę.

— Jacku! Czyżbyś to był ty, chłopcze! — Arsen nie wierzył swoim oczom, patrząc na jasnowłosego dwudziestoletniego młodzieńca w odzieży bursaka *. — No, jak tam nauka? Czy trzeba poganiać kijem? Czy już może ukończyłeś szkoły?

— Ukończyłem i... wróciłem do domu — Jacek wyraźnie posmutniał. — Przyjechałem do ciebie, Arsenie, bo jak wiesz, nie mam poza tym gdzie się udać... Mieliśmy obaj z Semaszkiem przyjechać dopiero w przyszłym tygodniu, gdyż chcieliśmy pohasać sobie po Kijowie jako ludzie wolni, ale usłyszeliśmy o aresztowaniu ojca Semena i pośpieszyliśmy tutaj...

— A gdzież byś miał się jeszcze udać jak nie tutaj, braciszku kochany? Oczywiście że do mojego domu! — Arsen objął Jacka. Teraz matka ma nas troje: Stechę, mnie i ciebie!

— Cholera jasna! A o mnie zapomniałeś? Jestem tym czwartym, jako że nie mam mamusi rodzonej! — I Spychalski ucałował najpierw Złatkę, a potem Arsena.

Prócz domowników — matki, dziadziusia Onoprija, Stechy, Romana i Jakuba, Jacka i Spychalskiego — w izbie znajdowali się także Zawierucha i Zińka. Oboje nie mniej serdecznie i szczerze powitali przybyłych.

Zwenyhorowa zaprosiła wszystkich do stołu.

Po śniadaniu Spychalski, który był dziwnie milczący przez cały czas, ujął Arsena i Romana pod ręce.

— Przyjaciele! Przybyłem ze Lwowa nie tylko po to, by zobaczyć się z wami. Jest sprawa stokroć pilniejsza... Czy zechcą panowie przejść się ze mną na błonia i tam w zaciszu nad Unawą pogadać sobie o tym

* Bursak (ukr. od: bursa — seminarium duchowne z internatem) — słuchacz seminarium duchownego; potocznie: uczeń, żak (przyp. tłum.).

i owym? Niech niewiasty posprzątają tymczasem, a my, mężczyźni, przewietrzymy się trochę...

Z tymi słowy pociągnął mężczyzn z chaty. Poszli na błonia i ustawili się kręgiem w cieniu wierzb. Słońce już wypiło rosę i w powietrzu unosiły się miodowe wonie pierwszych polnych kwiatów, nad którymi bzykały trzmiele i pszczoły. Znad Unawy dolatywało gęganie gęsi i kwakanie kaczek. Z lasu, który ciemną ścianą wyrastał po drugiej stronie rzeki, słychać było smętne, dalekie kukanie kukułki: ku-ku, ku-ku, ku-ku...

Poczekawszy, aż kukułka umilknie, Arsen odezwał się:

— Przyjaciele, wszyscy teraz myślimy o jednym — o ojcu Semenie... O Paliju... Jeśli ktoś wie o jego losie coś bliższego, niech opowie pozostałym. Zdaje się, że ty, Marcinie, miałeś coś ważnego do powiedzenia. Mów więc.

— Tak jest, proszę państwa, miałem wam właśnie powiedzieć, że wiem, gdzie znajduje się Palij. Jak Boga kocham, wiem!

— Wiesz, gdzie jest Palij? — wykrzyknął Arsen. — Skądżeż to?

— Wiem, i to z pierwszej ręki, jak to się mówi...

— Opowiadaj! — niecierpliwił się Arsen. — I mów zwięźle!

— Otóż musicie wiedzieć, panowie, że we Lwowie na dworze wojewody Stanisława Jabłonowskiego służy pewien osobnik, który upodobał sobie moją skromną osobę i z tych czy innych względów uważa się za mojego przyjaciela. Jest to komisarz, pan Poradowski. Muszę przyznać się, że rzeczywiście, chociaż nie cenię go jako przyjaciela, niejeden wieczór przesiedzieliśmy w karczmie, pociągając piwko albo i coś mocniejszego... I oto ten człowiek pewnego razu znika i nie

ma go przez dłuższy czas. A gdy powrócił — od razu zawitał w moje progi. Na szczęście, nie zdążyłem jeszcze wysuszyć do dna gąsiorka wiśniówki i poczęstowałem go z dobrego serca. I wtedy to pan Poradowski, podpiwszy sobie tęgo, zaczął opowiadać, jak to oni we dwóch z panem Mątkowskim pojechali do Niemirowa i aresztowali tam Palija... Gdy to usłyszałem, omal nie udławiłem się udkiem kurczęcia, jakie właśnie obgryzałem... „Jak to?! Pułkownika Semena Palija?!" — zakrzyknąłem wielkim głosem. „Tak, właśnie" — spokojnie rzecze na to pan Poradowski. „Ależ za co?" — „A za to, że ten człowiek umyślił sobie poddać się wraz ze swoimi Kozakami władzy Moskwy!" — „Czy to on sam ci o tym powiedział?" — pytam. „Jeszcze czego! Ma się rozumieć, że nie... Doniósł mi o tym pewien chorąży kozacki, który się nazywa Swiryd Mnohohrisznyj". — „Matko Boska Częstochowska! — wykrzyknąłem przerażony. — Swiryd Mnohohrisznyj?!" — „A czegoż to pan Marcin taki zdziwiony? Znasz pan go?" — „Pytanie! Znam go jak zły szeląg, gdyż byliśmy razem w niewoli tureckiej... Szuja i świnia, jakiej świat nie widział! A ty, panie, wiarę dajesz komuś takiemu! Aresztowałeś bohatera spod Wiednia, uwierzywszy w słowa tego huncwota. Co na to powiedzą pan hetman i król jegomość?" Poradowski zaśmiał się i odparł: „Nie wiem, co powie król jegomość, ale co do pana Jabłonowskiego, to pochwalił mnie i kazał zamknąć aresztowanego w Podkamiennem, zakuwszy go uprzednio w kajdany... A pan Marcin chyba wie, jakie tam są lochy!" — „Cóż hetman zamyśla zrobić z pułkownikiem Palijem? Ukarać go na gardle?" — „Tego nie wiem... To jego sprawa, ja swoje zrobiłem..." Gdym to usłyszał, natychmiast z głowy wywietrzał mi chmiel. Pozbyłem się Poradowskiego i popędziłem do Podka-

miennego. Na miejscu upewniłem się, że ten Poradowski nie plótł bzdur, tylko powiedział mi najczystszą prawdę... Cóż miałem robić? Będąc w Podkamiennem sam niewiele mogłem pomóc ojczulkowi Semenowi... Powiedziałem więc, że wybieram się w swoje strony rodzinne, do Zakopanego, wskoczyłem na konia i pognałem do was, do Fastowa! Teraz już wiecie wszystko...

Wszyscy milczeli. Wreszcie Arsen pierwszy przerwał przygniatającą ciszę.

— Rzeczywiście, teraz wiemy wszystko. Dziękujemy ci, panie Marcinie, za tę ważną wiadomość... Teraz należałoby zastanowić się, co czynić dalej.

— Jak to co? — wykrzyknął Jacek. — Wyruszyć z Fastowa całym pułkiem, zdobyć Podkamienne i uwolnić pułkownika!

— Czekaj, chłopcze! Jesteś młody i przez to w zbyt gorącej wodzie kąpany. A poza tym są tutaj starsi od ciebie i póki o nic cię nie pytają, lepiej nie odzywaj się. W każdym razie tak jest przyjęte w wojsku. Czy ciebie w bursie inaczej uczono? Hę? — Dobrodusznie uśmiechnął się pod siwym wąsem Zawierucha i dodał: — Musimy wszyscy pospołu wytężyć umysł... Palija trzeba wyzwolić za wszelką cenę! Co do tego jesteśmy zgodni. Ale jak? Nie pójdziemy wszak w sile jednego pułku na wojsko kwarciane, jak to proponuje nasz młody towarzysz...

Jacek zarumienił się, gryząc w zębach trawkę.

— A ja myślę — odezwał się Roman — że w słowach Jacka jest sporo racji. Tylko musimy wyruszyć do Podkamiennego nie całym naszym pułkiem, a niewielkim zagonem. A tam, na miejscu, wywiedziawszy się wszystkiego dokładnie, doczekamy się ciemnej nocy, natrzemy na zamek, unieszkodliwimy wartę i wyzwolimy ojca Semena!

— Natrzeć to nie sztuka! Ale w jaki sposób przedostać się niepostrzeżenie całym zagonem do Podkamiennego? — zafrasował się Spychalski. — Nawet jeśli będziemy szli tylko w nocy, to i tak może nas ktoś zobaczyć i donieść Jabłonowskiemu lub jego regimentarzom. Wyłapią nas po drodze jak przepiórki...

— Cóż więc proponujesz, Marcinie? — zapytał Arsen.

— Cóż mogę proponować... Wiem jedno: do Podkamiennego należy wejść w sposób nie wywołujący najmniejszych podejrzeń!

— Ha, cóż, to się da zrobić — oświadczył Arsen po namyśle. — Wejdziemy do miasta nie zagonem wojskowym, a całkiem po prostu, jako karawana kupiecka... Powieziemy towary do Lwowa...

— Gdybyśmy to mieli co wieźć! — mruknął Zawierucha. — Jesteśmy goli jak święci tureccy...

— Coś wymyślimy... Siano, wełna, beczki — wszystko się nada, byle naładować wozy. A prócz tego musimy mieć siodła. Bo wozy będziemy musieli porzucić i uciekać wierzchem na koniach...

— Dobrze pomyślane, niech cię cholera! Gdybym miał twoją głowę, panie bracie, byłbym dziś regimentarzem! — wykrzyknął Spychalski i z zazdrością popatrzył na gęstą, dawno nie strzyżoną czuprynę Arsena.

Wszyscy się roześmieli, a Arsen powiedział:

— Przychodzi mi na myśl coś jeszcze...

— Mów!

— Zanieść prośbę do króla. Sobieski dobrze zna Palija i wysoko ocenił jego umiejętności w bitwie pod Wiedniem. Może podskoczyłbym do niego i opowiedział wszystko?...

— A jeśli odmówi? — wyraził wątpliwości Roman. — I tylko czas stracimy na próżno.

— Więc zróbmy tak. Wyszykujmy kupiecką karawanę na dwadzieścia wozów. Pojedzie z nią Roman, w charakterze starszego kupca, i ze trzydziestu do czterdziestu ludzi na ochotnika... Zanim ukończycie przygotowania i dojedziecie do Podkamiennego, zdążę wrócić od króla... Jeśli rozkaże wyzwolić Palija — obejdzie się bez rozlewu krwi. Jeśli odmówi — puścimy w ruch nasze szable! Co wy na to? Zgoda?

— Zgoda! Zgoda!

— Chodźmy teraz do mieszkania ojczulka Semena... A czy zdążył przynajmniej ożenić się z Teodozją?

— Zdążył. Ożenił się od razu po powrocie z wyprawy wiedeńskiej.

— To dobrze. Trzeba uspokoić i pocieszyć panią pułkownikową. Omówimy tam z nią i setnikami wszystkie szczegóły...

5

Swiryd Mnohohrisznyj ostrożnie uchylił drzwi wiodące do komnaty hetmana, wsunął w szparę głowę i zobaczywszy drzemiącego samotnie na tapczanie Jurasia Chmielnickiego, zapytał:

— Czy mogę wejść, jaśnie wielmożny panie?

Juraś drgnął przestraszony, aż zamrugała świeca.

— Tfu, diabli nadali! Czy nie mógłbyś zachowywać się trochę delikatniej?... Wejdź!

Mnohohrisznyj przywitał się, przysiadł na zydelku u brzegu stołu, na którym stała pusta karafka po winie, westchnął.

— Dlaczego wzdychasz? Opowiadaj! Z czym powracasz z Niemirowa? — spytał Juraś.

— Z niczym — odburknął Mnohohrisznyj. — Kiepsko stoją nasze sprawy...

— A mianowicie?

— Wszędzie na Prawobrzeżu, z wyjątkiem paszałyku kamienieckiego, przywrócono rządy Rzeczypospolitej. Polska skorzystała na zwycięstwie pod Wiedniem i teraz wyciąga ręce po ziemie ukraińskie, które w myśl umowy zawartej w Bachczysaraju miały być wolnym terytorium, a tak naprawdę to znajdowały się pod twoją, hetmanie, buławą...

— Wiem o tym sam — niecierpliwie przerwał mu Juraś. — Ale jak stoją nasze sprawy? Z kim rozmawiałeś? Kto jest gotów uznać moją zwierzchność?

— Eee, nikt! — Mnohohrisznyj machnął ręką, zniechęcony. — Król Jan Sobieski wraz z wojewodą ruskim Stanisławem Jabłonowskim rozdają akta nadawcze na wsie i miasta, jakby to była ich własność... O tym, żeby iść na służbę do waszej jaśniewielmożności, nikt nawet słyszeć nie chce! A mnie, twojego wysłannika, pułkownik Semen Palij przepędził z Niemirowa jak psa, chociaż sam nie ma do tego miasta żadnych praw. Sprawuje tam władzę jego przyjaciel Andrzej Abazin. No, ale odwdzięczyłem mu się odpowiednio za tę zniewagę! Popamięta mnie do końca życia!

— Przekleństwo! — Juraś rąbnął pięścią w stół. — Za mało ich popaliłem i powsadzałem na pal! Za mało obwiesiłem! Nie ludzie, a zbieranina jakaś! No, ale ja skręcę ich jeszcze w barani róg i zmuszę do posłuchu! O Boże, daj mi siły, bym mógł się podnieść z niedoli mojej, napełnij me serce odwagą, aby stało się niewzruszone i nieczułe na cudzy ból i cierpienia, a wtedy ja, w oparciu o życzliwą pomoc padyszacha, zgarnę cały naród w tę oto pięść!

Jeszcze raz uderzył ręką w stół i w napadzie szaleństwa, które rozsadzało mu pierś, zazgrzytał zębami. Oczy mu pałały jak w gorączce. W kącikach ust wystąpiła piana. Dawało o sobie znać wielodniowe przepicie.

Wciąż jeszcze nie chciał zrozumieć, że gra bitą kartą, że Ukraina odcięła się odeń jak od trędowatego. Chwytał się najmniejszej sposobności, by utrzymać się na powierzchni. Oszukiwał paszę Chalila, wielkiego wezyra i nawet samego sułtana, częstując ich kłamstwami, jakoby Kozacy nie mogli doczekać się tej chwili, kiedy przejdą pod jego, Jurasiową, buławę. Oszukiwał również siebie samego złudnymi nadziejami, wciąż się czegoś spodziewał, na coś czekał... Na co?

Chwycił się rękoma za głowę i wpatrzył tępym wzrokiem w ciemność za oknem, za którym rozpościerała się głucha noc. Mnohohrisznyj nie miał odwagi przerwać tej złowieszczej ciszy i tkwił nieruchomo jak kołek na niewygodnym zydelku.

Minuty upływały, a Juraś nie zmieniał pozycji. Zdawało się, że to nie człowiek, a jakiś posąg kamienny z bladym jak u nieboszczyka obliczem! Nawet gwar głosów za drzwiami i tupot nóg nie wyprowadziły go z tego stanu. Dopiero gdy drzwi otworzyły się raptownie i do komnaty wszedł Azem-aga z wyciągniętymi przed sobą rękami, a za nim kilku janczarów — Juraś odwrócił się i wykrzyknął gniewnie:

— Rozkazałem, Azem-ago, by nie wchodzić do tego pokoju bez pozwolenia!

Głos mu się urwał. Zobaczył, że Azem-aga niesie w wyciągniętych rękach szeroką drewnianą tacę, na której leży zwinięty jak wąż długi jedwabny sznur.

Jurasia przeszedł dreszcz, twarz jego powlokła się śmiertelną bladością.

Mnohohrisznyj zerwał się ze stołka, ale zrozumiawszy, że oto sułtan nadsyła hetmanowi wyrok śmierci, zastygł w miejscu jak rażony piorunem.

Tymczasem Azem-aga wolnym krokiem podszedł do stołu i z uroczystą powagą złożył na nim swój dar. Z

tyłu za nim ustawili się szeregiem milczący, surowi janczarowie.

Juraś przywarł spojrzeniem do sznura.

To był koniec. Koniec wszystkiego — nadziei, niepokojów, życia. Dobrze wiedział, że człowiek, który otrzymał od sułtana prezent tego rodzaju, żyć będzie tylko tak długo, jak długo to jest potrzebne po to, by umrzeć. I cenił go sułtan niezbyt wysoko, przysyłając swój dar nie na srebrnej, a na drewnianej tacy... .

— Nie! Nie! — Juraś zasłonił się ręką, jakby w obawie przed niespodziewanym ciosem. — To jest niemożliwe! To jakaś fatalna pomyłka! Sułtan nie mógł wydać takiego rozkazu!

— Sułtanowie nigdy się nie mylą — lodowatym tonem przemówił Azem-aga. — Przebacz mi, hetmanie Chmielnicki, ale przypomnę ci, że rozkaz sułtana winien być wykonany natychmiast. Sam to zrobisz czy mam ci pomóc?

— Nie-e-e! — zawył Juraś niesamowitym głosem. — Nie chcę!...

Azem-aga uczynił nieznaczny gest. Spoza jego pleców wychynęło trzech janczarów. Jeden z nich chwycił Jurasia za ręce i wykręcił je do tyłu, dwaj pozostali narzucili mu na szyję sznur i pociągnęli z całej siły.

Juraś zaczął charczeć i szarpać się w pętli, usiłując wyrwać się, ale zaraz opadł z sił i znieruchomiał.

I nikt właściwie nie pojął, czy hetman Jerzy Chmielnicki umarł od uduszenia pętlą czy ze strachu.

Wszystko było skończone. Azem-aga dopiero teraz zwrócił uwagę na Mnohohrisznego, który stał obok na wpół żywy z przerażenia.

— Pomożesz nam, Swiryd-ago! Wyniesiesz trupa. — I zwrócił się do janczarów, którzy stali z tyłu: — Przynieście worek!

Któryś z janczarów szybko rozwinął wielki worek,

inni pochwycili ciało hetmana za nogi i włożyli do worka głową w dół. Potem zawiązali mocno.

— Bierz go, Swiryd-ago! — nakazał Azem-aga. — Po raz ostatni usłuż swojemu hetmanowi!

Mnohohrisznemu z przestrachu odebrało mowę, a nogi jakby wrosły w podłogę.

— Czyś ogłuchł? — szturchnął go w plecy janczar.

Janczarowie pomogli Mnohohrisznemu zarzucić worek na plecy i pośpieszyli do wyjścia. Pierwszy szedł Azem-aga, z tyłu — janczarowie.

Mnohohrisznyj ledwo powłóczył nogami. Pod ciężarem straszliwego ładunku, który kamieniem przygniatał mu plecy, wszystko latało mu przed oczyma. Był pewny, że po raz ostatni stąpa po tej ziemi!

Na ulicy skierowali się w prawo, w stronę Mostu Tureckiego.

Noc była ciemna i pochmurna. Miasto wyglądało jak wymarłe — nigdzie ani przechodnia, ani światełka, czy choćby nawet szczekania psa! Jedynie ciężkie posapywanie Mnohohrisznego zakłócało tę cmentarną ciszę.

Na moście Azem-aga zatrzymał się.

— Tutaj!

Ktoś popchnął Mnohohrisznego do kamiennej balustrady mostu. Potknął się — i worek z klekotem spadł do nóg Azem-agi.

— Ciszej tam, ty nasienie szatańskie! — zaklął aga. — Zrzucajcie!

Janczarowie pochwycili worek i przerzucili go przez balustradę w dół, w niewidoczne stąd, zimne nurty Smotrycza. Stamtąd po pewnym czasie, gdyż koryto rzeki przebiegało dnem głębokiego wąwozu, doszedł głuchy odgłos pluśnięcia i natychmiast zamarł pod kamiennym łukiem mostu.

Mnohohrisznyj przeżegnał się.

— Boże miłościwy, przyjm do siebie tę duszę!

— Allach przyjmie... i zaprowadzi do swoich rajskich ogrodów — powiedział Azem-aga. Nie można było zrozumieć, czy mówi serio, czy po prostu kpi. — Hetman wiernie służył padyszachowi i rzetelnie zapracował sobie na królestwo niebieskie... A ty, Swiryd-ago, zabieraj się stąd! Jak najszybciej i możliwie jak najdalej. Zrozumiałeś?

Jakże można było nie zrozumieć!

Mnohohrisznyj skłonił się w milczeniu i rzucił się do ucieczki. Widział przed sobą twarz nieżywego Jurasia Chmielnickiego i w myślach dziękował Panu Bogu za to, że nie wokół jego szyi zacisnął się ów okropny jedwabny sznur i że to nie jego ciało spoczywa skurczone w ciasnym worku, przetaczane po śliskich kamieniach przez zimne, mętne fale...

6

Sekretarz Talenti pochylił w ukłonie głowę pokrytą rzednącymi czarnymi włosami, wyszedł z królewskiego gabinetu i nie zamykając za sobą drzwi, powiedział:

— Najjaśniejszy pan łaskawie udziela ci, panie Komarnicki, krótkiej audiencji.

Arsen znalazł się w znanym już sobie gabinecie. Sobieski siedział przy szerokim biurku, równie szeroki, otyły, z kopą czarnych, z lekka posrebrzonych siwizną włosów, i kierował nań uważne spojrzenie ciemnych oczu.

Arsen się skłonił.

— Dobrego zdrowia życzę waszej królewskiej mości!

— A-a, pan Komarnicki czy też pan Kulczycki, czy jak się tam nazywasz! Witam, witam bohatera spod Wiednia! Nigdy nie zapominam tych, którzy bili się mężnie pod moimi sztandarami... Bądź łaskaw usiąść. Opowiadaj, z czym przybyłeś?

Arsen zrobił kilka kroków w kierunku biurka, ale nie usiadł.

— Wasza królewska mość, dopuszczono się wielkiej niesprawiedliwości i przyjechałem prosić u waszmości pomocy i obrony...

— Co się stało? Przed kimże to powinienem cię bronić?

— Nie mnie, najjaśniejszy panie... Dopuszczono się niesprawiedliwości wobec znanego waszej królewskiej mości osobiście pułkownika Semena Palija, który mężnie walczył przeciw Turkom pod sztandarami królewskimi...

— Cóż mu się przydarzyło?

— Został podstępem schwytany w Niemirowie przez ludzi pana Stanisława Jabłonowskiego i wrzucony do lochów więziennych w Podkamiennem...

— Na jakiej podstawie?

— Bez żadnych podstaw... Po prostu padł ofiarą oszczerstw swojego dawnego wroga, który oświadczył, że pułkownik jest przychylny hetmanowi Samojłowiczowi i Moskwie...

Sobieski odchylił się na oparcie fotela.

— A jeśli to prawda?

— Nie ma na to żadnego dowodu! Wasza królewska mość sam był świadkiem, jak Palij nie szczędził życia własnego i sił w walkach pod Wiedniem, a także pod Parkanami... Wojska kozackie, pułk z Fastowa i wszystkie pułki Prawobrzeża są oburzone tą swawolą Jabłonowskiego. Wszyscy prosimy waszą królewską mość o wzięcie w obronę naszego pułkownika przed niesprawiedliwymi zarzutami i o wydanie nakazu wojewodzie Jabłonowskiemu, by wypuścił go z więzienia!

— To jesteś, panie Komarnicki czy też panie Kulczycki, Kozakiem? — zdziwił się Sobieski.

— Tak jest, wasza królewska mość.

— Oo! Teraz rozumiem, dlaczego waćpan tak obstajesz przy obronie Palija... Właściwie nie mam nic przeciwko pułkownikowi. To bez wątpienia wielce odważny człek i nigdy nie zapomnę jego wyczynów pod Wiedniem. Powiedz pan Jabłonowskiemu, że proszę, aby rozpatrzył tę sprawę z całą życzliwością... Tym bardziej, że nie chcę mieć jakichkolwiek komplikacji w stosunkach z Moskwą, teraz, gdy toczą się rozmowy na temat wieczystego pokoju i zawarcia z nią sojuszu, a także na temat wspólnej wyprawy przeciwko imperium Osmanów...

Król zabębnił palcami po stole i Arsen zrozumiał, że to znak, iż audiencja dobiegła końca.

Odczuł przykrość w sercu. W ten sposób jego wyprawa spełzła na niczym. Sobieski nie odmówił pomocy, ale też i nie dopomógł. Zamiast napisać list do hetmana, ograniczył się do mało konkretnych słów: „Powiedz pan Jabłonowskiemu, że ja proszę, aby rozpatrzył tę sprawę życzliwie!" Toż dumny magnat roześmieje mu się w nos i każe iść precz! I tak nie ma żadnej pewności, że wykonałby on pisemne zarządzenie króla, a cóż dopiero mówić o życzeniu wyrażonym słownie!

Arsen skłonił się w milczeniu i wyszedł z gabinetu.

7

Karawana wjechała do Podkamiennego i zatrzymała się na placu przed zamkiem. Słońce skryło się już za widnokręgiem i od ponurych ścian fortecy i spiczasto zakończonych wież padały na ziemię czarne cienie.

— Hej, kmiotkowie! Tutaj nie wolno stawać na nocleg! — zawołał stojący przy bramie hajduk-wartownik. — Naśmiecicie, a potem sprzątaj po was!

— Nie krzycz, panie! Nie jesteśmy głusi! — odpo-

wiedział Arsen, ubrany jak zwykły wieśniak: w białe płócienne portki i koszulę oraz słomiany kapelusz. — Chodź no lepiej do nas! Czy myślisz, że przyjechaliśmy na jarmark z pustymi rękoma? — i poklepał dłonią pękatą baryłkę.

Ten gest był tak wymowny, że hajduk, starszawy Huculi z Podkarpacia, zamrugał oczami, a następnie oblizał językiem suche spieczone wargi.

— Czyżby piwo?

— I to jakie! Znajdzie się takoż i tarańka do piwa, prościutko z Dniepru! — Arsen mrugnął do chłopaków, Jacka i Semaszka. — Ano, nalejcież panu parę kufelków! I wyszukajcie ładną rybkę! Żeby pan był zadowolony i pozwolił nam tutaj zanocować...

Jacek podał mu ogromny kufel.

Hajduk z początku przecząco kręcił głową — że niby stoi na warcie. Potem zamyślił się, rozważając widocznie, pić czy nie pić. Wreszcie przycmoknął językiem, rozejrzał się, czy nie ma nikogo w pobliżu, i ujął kufel. Powąchał. Na jego twarzy wyraźnie odmalowało się ukontentowanie.

— Ee! I wy to nazywacie piwem, braciszkowie? Niech mnie piorun trzaśnie, jeśli to nie jest gorzałka! — Podniósł kufel do ocienionych wąsiskami ust, pociągnął, posmakował. Wzniósł oczy w górę z zadowolenia, a potem od razu wychylił kufel do dna. — Ho, ho! A teraz, chłopcze, zdałoby się posmakować także piwka, jeśli macie!

Pił piwo małymi łyczkami, smakując i zagryzając tarańką.

— Widzę, że setne z was chłopaki! Najlepsi druhowie pod słońcem! Gdyby nie służba, chętnie bym został tu z wami na noc, jak mi Bóg miły! Zapada wieczór i byłoby całkiem przyjemnie położyć się na którymś z wozów, zakopać w sianku i uciąć sobie drzem-

kę! Hę? — mruczał pod nosem, gdyż gorzałka wyraźnie uderzyła mu do głowy.

Arsen znowu mrugnął do Jacka. Tamten przyniósł jeszcze jeden kufel gorzałki. Hajduk z udawaną naganą pogroził Jackowi palcem, ale wypił.

— Może byś zawołał tu do nas swoich towarzyszy? — zaproponował Arsen. — Bo nic nie zostanie dla nieboraków, jeśli my tutaj zaczniemy trącać się kufelkami!

— E tam, nie warto!... — zabełkotał pijany już na dobre hajduk. — Jest nas tylko dwóch... Ja stoję w bramie, a tamten, nowy, na dole przy wejściu do lochów... Ale to jakaś mizerota, chuchro... Gorzałki też pewnie nie pije, oferma... Poza tym nieużyty jakiś człowiek, nawet w pogawędkę się nie wdaje. Siedzi tylko i wciąż myśli, myśli... A co wymyśli, chciałbym ja to wiedzieć?

— A kogóż to pilnujecie?

— Mówią, że jakąś ważną personę, bo inaczej nie zakuto by go przecież w te ciężkie kajdany!

— A kiedyż podeślą ci kogo na zmianę, przyjacielu? Czy też przez całą noc będziesz tak stał sam jeden jak ten słup?

— Jaka tam zmiana! Będę miał dosyć tego stania — pójdę, walnę pięścią w drzwi: wychodź no który! Ktoś wreszcie wyjdzie...

Hajduk ledwie mógł ustać. Język mu się plątał, głowa chyliła na pierś. Gorzałka zwaliła go wreszcie z nóg. Żeby nie upaść, musiał chwycić się drabinki wozu.

— Gotów chyba? — cicho spytał Roman, podchodząc do pierwszego wozu. — Zaczynamy! Kozacy już wyprzęgli konie i siodłają je...

— Doskonale — zgodził się Arsen. — Kładźcie go, chłopaki! Chciał przespać się na sianku, niech więc

śpi! A zdejmijcie z niego żupan, będzie w sam raz na Spychalskiego!

Jacek i Semaszko ściągnęli z hajduka żupan, a jego samego rzucili na wóz i przykryli derką. Tamten coś zamamrotał i od razu zasnął.

Tymczasem nad miasteczkiem zapadł jasny wiosenny wieczór. Do zamku dolatywały dźwięczne pieśni dziewczęce i śmiech parobczaków, a gdzieś daleko, może na drugim końcu miasteczka, pobrzękiwały nieustannie cymbałki.

Osiodłano wierzchowce, Kozacy wyciągnęli ukrytą na wozach broń.

— Przyjaciele, ci z was, którzy pozostaną tutaj, muszą dobrze uważać! — powiedział Arsen. — Jak tylko usłyszycie strzelaninę, krzyki lub gwizdanie, śpieszcie nam na pomoc! Zrozumiano?

— Zrozumiano — padła odpowiedź — i niech się wam szczęści!

Arsen i Spychalski z grupką Kozaków ruszyli w stronę zamku. Tak jak się spodziewali, furtka w murze była otwarta. Na dziedzińcu panowała ciemność i cisza, świeciło się tylko w jednym okienku.

Arsen, skradając się, zajrzał przez szybkę. W wielkim pokoju o niskim sklepieniu spało pokotem kilku hajduków. Następnych dwóch właśnie się rozbierało, szykując się do snu. Jedynie przy stole siedział bezwąsy młodzieniaszek i kawałkiem grubego sukna czyścił do połysku pistolety, które stertą piętrzyły się przed nim na stole.

Nie spodziewają się licha — pomyślał Arsen i wymacawszy zasuwę w drzwiach, leciutko przesunął ją ręką. — Niech sobie posiedzą. Może obejdzie się bez rozlewu krwi...

Pozostawił kilku Kozaków na czatach i zawrócił ku

wejściu do lochów, gdzie czekał nań Spychalski z towarzyszami.

— Tędy — szepnął pan Marcin. — Ostrożnie! Schody są strome, jak nic można kark skręcić...

Wyjąwszy zza pasa pistolet, pierwszy zaczął schodzić w dół. Jego śladem postępował Arsen, potem Roman, Jacek, Semaszko i na końcu Zawierucha. Gdzieś w głębi pełgał płomyk świecy. Usłyszeli przeciągłe ziewnięcie wartownika.

Spychalski stąpał cicho jak kot, obmacując ręką kamienny mur. Z podziemi ciągnęło cmentarnym chłodem i pleśnią. Przystanął na najniższym stopniu, wyjrzał ostrożnie spoza węgła. Długa ciemnica ciągnęła się po obu stronach, w murowanej ścianie widniały sczerniałe od wilgoci i starości drzwi z zakratowanymi okienkami.

Więc tak wygląda magnackie więzienie! Pewnie niejeden prosty chłop zaznał tutaj nieludzkich męczarni!

Obok drzwi na niskim stołku siedział owinięty baranicą wartownik. Wiszący pod sklepieniem niewielki kaganek olejny oświetlał jego kudłatą czapę z owczej skóry i zgarbione plecy.

Wartownik posłyszał szelest i zapytał trwożnie:

— Kto tam? — Potem wstał i wystawił przed siebie muszkiet.

Spychalski wytrzeszczył oczy: na warcie w podziemiu stał jego stary znajomy, Swiryd Mnohohrisznyj.

— Cholera jasna! — zagrzmiał pod niskim sklepieniem potężny głos pana Marcina. — Czyżby to ty, panie Swirydzie? Nawet nie wiedziałem, że obaj pozostajemy w służbie jaśnie wielmożnego pana wojewody!

— Przepraszam pana, z kim mam zaszczyt?... — Nie poznając Spychalskiego dopytywał się Mnohohrisznyj.

— Cholera! Czyżbyś nie poznawał Marcina Spychalskiego?

— O, pan Marcin! Anim się spodziewał, że spotkamy się w takim miejscu... To pan służysz u jaśnie wielmożnego hetmana Jabłonowskiego?

— I to już od dłuższego czasu! Ale pan to chyba od niedawna, bo jakoś nie spotykałem cię wśród hajduków pana hetmana? — zapytał Spychalski, wynurzając się z mroku i podchodząc do Mnohohrisznego.

— Dopiero od paru dni... Ale bo też i służba pieska — gnije człowiek w tych lochach! Może by pan Marcin pomógł mi znaleźć jakieś cieplejsze miejsce? Kche, kche!... — Mnohohrisznyj udał, że przejął go dreszcz i chciał pokazać, że jest mu zimno.

— Dlaczegóżby nie? Pomogę! Kche, kche! — przedrzeźniał go Spychalski i chwyciwszy Mnohohrisznego znienacka za pierś, przycisnął go do muru i wyrwał mu z rąk muszkiet. — Psiakrew! Nareszcie cię mam! Zaraz ci będzie ciepło, a nawet gorąco! Rozgniotę cię jak pluskwę!

— Panie Marcinie, czyś zgłupiał? Puść mnie! — zaczął wyrywać się tamten.

Na ten krzyk pośpieszył Arsen z towarzyszami. Zorientowawszy się, kogo to złapał Spychalski, przytrzymał go za rękę, która zdążyła tymczasem wpić się w gardło przestraszonego na śmierć Mnohohrisznego

— Więc spotkaliśmy się w końcu, wujku Swirydzie! — Arsen pokiwał głową. — Rad służyłeś byle komu. A teraz to nawet panu Jabłonowskiemu!

— Zwenyhora! — wystękał oszołomiony niespodziewanym spotkaniem Mnohohrisznyj.

— Chłopcy, zakneblujcie mu usta! — rozkazał Arsen, zwracając się do Jacka i Semaszka. — Związcie mu także ręce, żeby nie uciekł, pies jeden! Posadźcie na konia i pilnujcie jak źrenicy oka!

Jacek i Semaszko pochwycili Mnohohrisznego, któ-

remu ze strachu nogi odmówiły posłuszeństwa, i powlekli go schodami na górę.

Arsen rzucił się do drzwi, poprzez kraty których wysuwały się na zewnątrz czyjeś ręce.

— Ojczulku Semenie?

— Ja, ja, gołąbku! Tak! Wypuśćcie mnie, syneczkowie, jak najszybciej! — odezwał się z kamiennego mieszka głos Palija.

Na drzwiach wisiała mocna kłódka.

Arsen szarpnął, ale zamek nie puścił.

— Pozwól no mnie, syneczku! — Odsunął go na bok Zawierucha. — Ongiś, bywało, zginałem w ręku końskie podkowy. Spróbuję teraz, czym nie utracił dawnej krzepy!

Zawierucha chwycił kłódkę swoimi potężnymi łapskami i napinając mięśnie, cały czerwony z wysiłku, zaczął zginać zardzewiałe żelazo. Dał się słyszeć trzask — pałączek kłódki pękł na dwoje. Drzwi stanęły otworem. Pułkownik znalazł się w ramionach swoich towarzyszy. Na rękach i nogach podzwaniały mu kajdany.

— Szybciej, ojcze! — zawołał Arsen. — Uciekajmy!

Podtrzymując łańcuchy rękoma, Palij wyszedł z podziemi. Kozacy podprowadzili mu konia i pomogli umieścić się w siodle.

— No, chłopcy, orły moje, dziękuję wam! — przemówił rozczulony Semen Palij.

Arsen dał znak — i zagon kozacki, porzuciwszy wozy, wierzchem na koniach popędził przez kręte uliczki Podkamiennego, kierując się na wschód...

8

Zaraz na pierwszym postoju, w lesie, odbył się sąd zaporoski.

Swiryd Mnohohrisznyj drżał jak w febrze. Ostatnimi czasy nie miał chyba słodkiego życia, gdyż zmarniał wyraźnie, schudł i zmizerniał, przez co ubranie wisiało na nim jak na kołku. Małe sprytne oczka przeskakiwały z jednej twarzy na drugą, najdłużej jednak zatrzymały się na obliczu Arsena.

— Braciszkowie, co chcecie ze mną zrobić? — zaskomlał.

— A co się robi ze zdrajcą? — spytał surowo Zawierucha.

— Nie jestem zdrajcą... Niech mnie piorun, jeśli zdradziłem kogokolwiek! — bełkotał Mnohohrisznyj. — Nie poczuwam się do żadnej winy!

— Zdradziłeś swój kraj, renegacie! Najpierw wysługiwałeś się Turkom, a teraz magnatowi Jabłonowskiemu! Sprzedałeś mu za trzydzieści srebrników pułkownika Palija! Czy to nie jest zdrada? — groźnie przemówił Arsen. — I jeszcze śmiesz twierdzić, że nie poczuwasz się do żadnej winy?!

Kozacy stanęli zwartym kołem, posępni, surowi. Mnohohrisznyj, który uniżenie schylał się do ich stóp, był w oczach wszystkich zebranych nikczemnikiem i plugawcem, równie ohydnym jak parszywy pies.

Jedynie Semen Palij nie brał udziału w kozackim sądzie. Siedział na koniu, rozkuty już z kajdan, pociągał fajeczkę i w milczeniu przypatrywał się oskarżonemu.

I skąd oni się biorą, takie oślizłe węże, nikczemnicy? — myślał przy tym. — Któraż to matka wydaje ich na świat? W jakich rodzinach wychowują się? Dlaczego wtedy, gdy inni nie żałują pracy i krwi dla ojczyzny, tacy jak ten tutaj szukają jedynie własnych korzyści i gotowi są zaprzedać swój kraj każdemu, kto zapłaci najwięcej?

Tymczasem Mnohohrisznyj zaczął płakać.

— Zlitujcie się, braciszkowie! Nie obarczajcie waszych sumień grzechem! Bóg pokarze was za mnie, niewinnego, jako złoczyńców i rozbójników!...

Arsen czuł, jak w jego sercu narasta gniew. Ledwo się powstrzymując, by nie zdzielić łotra szablą, palcami prawej ręki ścisnął mocno, aż do bólu, dłoń lewej. Odezwał się głucho:

— Nie wykręcaj kota ogonem, Mnohohrisznyj! Nie uda ci się to! Będziemy cię zaraz sądzić zgodnie z sądem kozackim, sądem honorowym i powinieneś mówić przed nami prawdę. Wiesz sam, że za najmniejsze kłamstwo na sądzie honorowym oskarżony jest karany na gardle bez wyroku!

Mnohohrisznyj pobladł jeszcze bardziej, poczuł, że język zesztywniał mu w ustach, a serce jakby się oberwało, kołacząc jak szalone gdzieś w piętach. Ledwo mógł ustać na nogach.

— Bracia! — zwrócił się Arsen do towarzyszów. — Wielu rzeczy nie wiemy o tym człowieku, o Swirydzie Mnohohrisznym, ale i to, co wiemy, świadczy na jego niekorzyść. Jednak, by nikt, a przede wszystkim on sam, nie mógł nam zarzucić, że czynimy nad oskarżonym samosąd, wysłuchajmy, co on nam odpowie na zadawane pytania, i dopiero potem postanowimy ostatecznie, co z nim zrobić... Czy zgadzacie się ze mną?

— Zgadzamy się! — jednogłośnie odpowiedzieli zebrani.

— W takim razie wybierzmy sędziego. Kogo proponujecie?

— Ciebie, Arsenie! — wykrzyknął Zawierucha. — Kogoż by innego? Ty lepiej niż ktokolwiek z nas znasz tego obieżyświata. Ty więc zadawaj mu pytania, a reszta posłucha i rozważy, czy mówi prawdę, czy też jego słowa są diabła warte!

— Zgoda, zgoda! — zawołali Kozacy.

— W takim razie zaczynamy... — Arsen wyszedł na środek koła, stanął przed Mnohohrisznym i przemówił cicho, lecz dobitnie: — Powiedz nam, Swirydzie Mnohohrisznyj, czy służyłeś kiedy w wojski zaporoskim?

— Służyłem — kiwnął głową Mnohohrisznyj i popatrzył na Zawieruchę.

— Tak jest, służył kiedyś — potwierdził stary — ale zachowywał się tak po łajdacku, że pewnego razu postanowiliśmy spuścić mu kije. Nie pomnę jednak, o co poszło... Ale on wywąchał, co się święci, i w porę dał drapaka...

— Czy tak było?

— Tak.

— Przejdźmy tedy do czasów późniejszych... A zapytałem cię o to, czy byłeś zaporożcem, gdyż chcę wiedzieć, jak mam cię ukarać. Wiesz zapewne, że żaden zaporożec nie podniesie ręki, żeby pokarać śmiercią swojego towarzysza... Taki jest nasz dawny obyczaj...

— Rozumiem — szepnął zmartwiałymi wargami Mnohohrisznyj.

— Teraz powiedz nam, czy jesteś odszczepieńcem? Czy zmieniłeś naszą chrześcijańską wiarę na bisurmańską?

Mnohohrisznyj milczał ze spuszczoną głową.

— Dlaczego nic nie mówisz? — huknął nań Zawierucha. — Tak czy nie?

— Tak... Ale ja to zrobiłem na niby!

Kozacy popatrzyli na siebie. Nie spodziewali się, że oskarżony tak łatwo i szybko przyzna się do tego największego grzechu, który był równoznaczny ze zdradą ojczyzny.

— Na niby! — przedrzeźniał go Zawierucha. — Ot, wezmę i zdzielę cię szabelką po tym durnym łbie — od razu wyznasz, czy na niby, czy naprawdę!

Arsen spojrzeniem ostrzegł starego: milcz, ojczulku! I kontynuował:

— W wojsku Jurasia Chmielnickiego służyłeś? Pomagałeś Turkom plądrować Czyhyryn?

— Nie ja jeden służyłem...

— A teraz powiedz, ile ci zapłacił Kara Mustafa za Złatkę?

— Za jaką Złatkę? — żółte ślepia wpatrzyły się w Arsena. — Nie znam żadnej Złatki!

— Za tę, którą porwałeś w Niemirowie i odwiozłeś do Kamieńca...

— Nikogo nie porywałem!

— Kłamiesz! Juraś sam opowiadał mi o tym, gdy razem z Safar-bejem — tego też nie pamiętasz, co? — wypytywaliśmy go w czasie przeprawy przez Dunaj... Złatkę zresztą wyzwoliłem i przywiozłem do Fastowa ze Stambułu... Jest moją żoną. Wszystko mi opowiadała...

Mnohohrisznyj nagle padł na kolana, wyciągnął przed siebie ręce, chcąc objąć Arsena za nogi.

— Przebacz mi... Nie wiedziałem... Toż ten przeklęty Juraś mi kazał... Czyżbym sam się poważył? — Udało mu się chwycić zakurzony but Arsena i przycisnąć do niego mokry od łez policzek.

Arsen z obrzydzeniem odepchnął go i cofnął się.

— A teraz ostatnie pytanie... Ile ci zapłacił marszałek Jabłonowski za to, że pomogłeś mu ująć naszego ojca, pułkownika Palija? Ile on ci płaci za twoją judaszową służbę?

Mnohohrisznyj klęczał, jego siwawa, łysiejąca czaszka chyliła się niemal do samej ziemi. Wstrząsało nim bezgłośne łkanie.

— Milczysz? Więc i to też prawda? — Arsen popatrzył na Kozaków. — Jak brzmi wasz wyrok, druhowie?

Na polanie zapadła cisza. Słychać było tylko rżenie koni i szum wiatru w koronach drzew.

— A cóż się tutaj długo namyślać? — wykrzyknął Zawierucha. — Nędznik dawno zasłużył sobie na sznurek!

— Śmierć! — rzucił krótko Roman.

— Na szubienicę go, zbójnika! — rąbnął ręką powietrze młody Semaszko.

— Gardłem pokarać, psiakrew! — ponuro odezwał się Spychalski.

— A wy co powiecie, ojcze Semenie? — zwrócił się Arsen do Palija.

Palij zszedł z konia, powolnym krokiem podszedł do towarzyszów. Mnohohrisznyj na krótki moment podniósł głowę, spojrzał na niego z nadzieją w oczach, ale natychmiast odwrócił wzrok, gdyż wyczytał w oczach Palija nienawiść i pogardę.

— Cóż mam powiedzieć? — zaczął pułkownik. — Mnohohrisznyj sam podpisał na siebie wyrok przez swoje haniebne uczynki! Nie znalazł na swoje usprawiedliwienie ani jednego rozumnego słowa!... Toteż niech otrzyma to, na co zasłużył!

— Niech się tak stanie — powiedział Arsen. —Ten człowiek nie zasłużył na to, by stąpać po ziemi. Słyszysz, Mnohohrisznyj? Wstań i wykonaj wyrok kozackiego sądu!

— Litości! — zaskomlał Mnohohrisznyj. — Więcej nie będę!

— Późno się opamiętałeś, wiarołomco! Rzeczywiście, więcej nie będziesz... Wykonuj wyrok! — głos Arsena zabrzmiał szorstko.

Mnohohrisznyj wstał powoli. Rękawem wytarł mokrą, bladą twarz.

— Dajcie mi pistolet — poprosił żałosnym głosem. — Proszę o to jak o łaskę!

— Nie, nie zasłużyłeś sobie na ten zaszczyt! Od kuli umierają wojownicy, natomiast zdrajcy — od pętli... Idź i wybierz sobie sznurek. A mocny!

Obrzuciwszy zamglonym wzrokiem zachowujących surowe milczenie Kozaków, którzy obstąpili go ze wszystkich stron, Mnohohrisznyj powoli podszedł do najbliżej stojącego wierzchowca i począł grzebać w sakwach. Wreszcie znalazł dostatecznie długi sznur i zaczął wiązać pętlę drżącymi palcami. Kozacy stali w milczeniu. Żaden się nie odezwał. Równie powoli i statecznie, jak robił wszystko dotychczas, dosiadł konia. Kozacy znowu otoczyli go kołem, uniemożliwiając ucieczkę.

Wszyscy milczeli. Nikt ani słowem, ani gestem nie chciał przeszkadzać w tych katowskich przygotowaniach. Zgodnie z pradawnym zaporoskim obyczajem, żaden z pobratymców nie mógł wziąć na siebie hańbiącego obowiązku kata. Skazany na gardło zaporożec sam musiał przygotować sobie pętlę, wybrać gałąź, uwiązać na niej sznur, podjechać konno i własnoręcznie narzucić sobie pętlę na szyję, jednocześnie spiąwszy konia pod boki...

Mnohohrisznyj długo wybierał gałąź, wreszcie upatrzył najmocniejszą, przerzucił przez nią jeden koniec sznura, zaciągnął węzeł... Ale w tym momencie opuściły go siły. Pochylił głowę na szyję konia i zakwilił jak dziecko.

— Braciszkowie mili, kochani, przebaczcie! Zlitujcie się nade mną!... Albo zastrzelcie przynajmniej!...

Wyglądał żałośnie. Drżąc na całym ciele, rozmazywał ślady łez na brudnej twarzy, a przy tym skomlał niby szczenię.

— Dosyć tych zawodzeń, nikczemniku! — huknął Zawierucha. — Sam wiesz, że nikt nie będzie brudził sobie rąk, dotykając takiej szkarady jak ty! Bądź czło-

wiekiem przynajmniej w tej swojej ostatniej godzinie, umrzyj jak należy! A jeśli nie — urządzimy ci zbiorową kaźń i zatłuczemy kijami na śmierć jak wściekłego psa! Toteż wybieraj, co lepsze — pętla czy kije... Jak wiesz, kijem zaporożec może zdzielić tylko jeden raz. Ale nie spodziewaj się przez to szczęśliwego dla siebie zakończenia! Ja pierwszy tak cię łupnę, że z miejsca ducha wyzionieszl No, wybieraj, co ci bardziej przypadnie do gustu!

Mnohohrisznyj zamilkł, zamarł nieporuszony, przelękniony, ale pełen nienawiści, podobny do zagnanego zwierza, błyskając spojrzeniem spod nastroszonych brwi. Potem poruszył się żywo, w pośpiechu, latającymi rękoma obciągnął na sobie odzież, jakby to miało teraz jakieś znaczenie, a wreszcie jednym krótkim ruchem narzucił sobie pętlę na szyję i mocno uderzył konia nogami po bokach...

9

Siedzieli w pięcioro w świetlicy: Palij, Arsen Zwenyhora, Roman Wojnow, Jacek i Semaszko. Na stole przd pułkownikiem leżał ciasno zwinięty i przewiązany niebieską wstążką rulon papieru.

Palij przygładził dłonią gęstą czuprynę, ogarnął spojrzeniem wszystkich obecnych.

— Przyjaciele moi — zaczął uroczyście. — Przed chwilą odczytałem wam to, co napisałem w liście do władczyni Moskwy, carowej Zofii, a także to, co przeznaczone jest dla przebywającego w Baturynie hetmana Samojłowicza... Uważałem i nadal uważam, że postępuję słusznie, gdyż jedynie ze strony Moskwy otrzymywaliśmy dotychczas i będziemy otrzymywali w przyszłości pomoc, i to w czasie, gdy spadają na naszą ziemię klęski wszelkiego rodzaju... Nawet nie-

dawno, gdy siedziałem z łaski pana Jabłonowskiego w lochu, od wojewody Szeremietiewa z Kijowa przybyły do Fastowa dwa tabory z żywnością i zbroją... Bez takiego wsparcia ani my tutaj, w Fastowie, ani Samuś w Bogusławiu czy Iskra i Abazin w Korsuniu i Niemirowie nie zdołaliby przetrzymać nawet roku...

— Słusznie, ojcze — powiedział Arsen.

— Pozostaje jedynie wręczyć te listy zgodnie z przeznaczeniem. Ktoś będzie musiał wybrać się w podróż, syneczkowie, aż do Moskwy!

— Ale kto? My dwaj z Romanem chyba... Prawda, Romanie? — zwrócił się Arsen do swojego szwagra.

— Bezsprzecznie — odparł tamten.

Ale teraz podniósł się młody Semaszko. Był, jak i jego matka Teodozja, smagły i przystojny, o bystrym spojrzeniu ciemnych oczu.

— Nie, ojcze — zawołał z zapałem. — Na dolę Arsena i Romana wypadło aż zanadto ciężkich podróży! Trzeba znać miarę! A my z Jackiem dopiero wstępujemy na naszą drogę... Niech więc to będzie dla nas pierwsza niełatwa próba. Wyślijcie nas! Przekonacie się, że i na nas można polegać!

Palij kochał pasierba jak rodzonego syna. Dumny był z jego urody i zdecydowania, a także z prawdziwie męskiej odwagi, która przebijała z całej jego junackiej postawy. Nie wątpił w niego.

Potem przeniósł spojrzenie na Jacka. Młodzieniec miał niebieskie oczy i jasną cerę i był dosyć wątły. Czy wytrzyma trudy podróży?

— A ty, Jacku?

Chłopak błysnął jasnymi oczami.

— Pozwólcie nam jechać, ojcze! Nie zawiedziemy waszego zaufania... Kiedyś przecież musimy zacząć!

Chłopcy stali obok siebie, młodzi i urodziwi, pełni

sił żywotnych, i z nadzieją we wzroku spoglądali na pułkownika.

— Dobrze — zgodził się Palij — pojedziecie obaj! To prawda, że trzeba kiedyś zacząć!

10

Dzień był ciepły, wiosenny. Złota tarcza słoneczna powoli wędrowała w górę po bezkresnym błękicie nieba. Rozbrzmiewał radosny krzyk żurawi: kru!... kru!... Gaj rosnący u stóp góry zielenił się młodym listowiem, piął się wzwyż gęstymi prężnymi gałązkami. Nad polami rozlegał się wesoły dzwonek niestrudzonego skowronka.

Spychalski szedł drogą wznoszącą się stromym wąwozem. Prowadził pod uzdę osiodłanego wierzchowca. U boku miał szablę, do siodła były przytroczone podróżne sakwy. Za nim, na wozie z rozpiętą budą siedziała Zińka. Powoziła końmi i mocno trzymała w silnych, opalonych w wiosennym słońcu rękach rzemienne lejce. Zza jej pleców, z budy wyładowanej ubogimi domowymi sprzętami, wyglądały dwie ciemne główki — chłopczyka i dziewczynki.

Z tyłu za wozem wspinali się pieszo pod górę Arsen ze Złatką i Roman ze Stechą.

U wierzchołka wysokiej góry, skąd otwierała się z jednej strony panorama na piękną Unawę, a z drugiej — widok na twierdzę fastowską, wznoszącą się na sąsiednim szczycie — Spychalski zatrzymał konia, zadarł do góry spiczasto zakończone wąsiska, rozłożył szeroko ręce, zawołał:

— Hej, hej, jakże tu pięknie! Tak pięknie, że słowo daję, proszę państwa, chciałoby się zgarnąć w objęcia całą tę wiosenną ziemię, przycisnąć do serca i potem umrzeć z tak wielkiego szczęścia!

— Tylko nie umieraj nam, panie Marcinie! Spodziewamy się, że często będziesz odwiedzał nas w Fastowie — rzekł podchodząc doń Arsen i otoczył Polaka ramionami. — Wiedz, że zawsze będziemy ci tutaj radzi!

— Dziękuję ci bardzo, bracie Arsenie, za twoje dobre serce! Gdyby nie tęsknota do ukochanej ojczyzny, pozostałbym tutaj wśród was na zawsze, przyjaciele najdroższi! Ale muszę jechać, bo ziemią moją jest ziemia polska, ojczysta, i równie piękna jak ta wasza... To ona woła mnie i przyzywa do siebie głosem matki. — W błękitnych oczach zabłysła łza, pan Marcin zaczął się żegnać. — Żegnajcie, drodzy przyjaciele! Niech wam życie upływa w szczęściu! Kocham was wszystkich jak bliskich! Zachowajcie więc w życzliwej pamięci pana Marcina, który nie zapomni was, póki żyć będzie!... Pani Zińka będzie mi śpiewać wieczorami wasze cudowne pieśni, a ja będę sobie wyobrażał, że znowu jestem razem z wami i dzielę wasze radości i smutki... Jeśli przytrafi się komuś z państwa być w moich stronach — pamiętajcie, że jest tam taka wioska, która nazywa się Zakopane i że mieszka w niej wasz najszczerszy druh i przyjaciel, Marcin Spychalski!

Nastąpiły ostatnie objęcia, ostatnie pocałunki — i oto pan Marcin dosiadł konia. Uderzył ogiera piętami pod boki, koń zaczął niecierpliwie przebierać nogami, czując, że czeka go daleka droga. Powstrzymywany przez rzemienne lejce, zarżał głośno, a potem ruszył z kopyta i z miejsca przeszedł w cwał.

Zińka otarła łzę z policzka, posłała wszystkim smutny uśmiech, pomachała dłonią i zawołała na konie. Koła zaskrzypiały, wóz ruszył naprzód i szybko zaturkotał po bitym gościńcu, kierując się na zachód.

Widzieli, jak Spychalski zatrzymał się na szczycie

oddalonego wzgórza, uniósł się w strzemionach, pomachał czapką — a po chwili zniknął w oddali...

— Już po wszystkim... Nie ma już wśród nas pana Marcina! Czuję się tak, jakby zabrał ze sobą cząstkę mojego serca — głucho przemówił Arsen. — Niewiele czasu minęło, jak pożegnałem wojewodę Mladena i Nenka, nie zdążyłem uronić łzy nad mogiłami Sikacza, Iwanyka i dziadka Szewczyka, a teraz przyszło to rozstanie ze Spychalskim, i kto wie, czy nie na zawsze... Żeby choć tobie, Romanie, nie przyszło do głowy opuścić nas i udać się nad Don, razem ze Stechą!...

— O to możesz się nie obawiać. Przylgnąłem ja do waszego Fastowa jak kora do drzewa. — Błękitnooki Kozak doński pochylił się ku szczęśliwie uśmiechającej się małżonce.

Arsen otoczył oboje ramionami, mocno przycisnął do piersi, a potem odepchnął leciutko.

— Cóż, idźcie... a my ze Złatką pozostaniemy tutaj jeszcze trochę...

Stali we dwójkę na wysokim wzniesieniu i długo patrzyli w tę stronę, dokąd skierował się pan Marcin ze swoją nową rodziną. Potem Kozak spojrzał w oczy swojej ukochanej, które jaśniały jak bezbrzeżne niebieskie morze... Jakże lubił patrzeć w ich niezgłębioną toń! Jak bardzo tęsknił za nimi! Ileż to dróg przeszedł, by móc codziennie wpatrywać się w nie wzrokiem pełnym miłości! Ile to razy wyrywał się z pazurów śmierci — po to, by te oczy nie przygasły od łez i tęsknoty!

Delikatnie ujął głowę Złatki w swoje szorstkie dłonie, zaczął pokrywać pocałunkami jej twarz.

— Złatko! Najdroższa moja!

— Arsenie!

Wokół nich drżało napełnione wiosennymi zapachami powietrze, niebo, spokojne i bezchmurne, rozpinało w

górze swój namiot i też zdawało się omdlewać z radości i szczęścia.

Usiedli. Arsen położył głowę na kolanach Złatki i przymknął oczy. Natychmiast zaczęły się przesuwać przed nim obrazy przeszłości — tułaczka, walki, wyprawy wojenne... I na cóż się zdało to wszystko? Komu potrzebne są męczarnie i krew, nieszczęścia i śmierć ludzka? Jakże mocno trzeba nienawidzić, żeby zapragnąć widoku pobojowiska, ruin i zgliszcz! Czyżby brakowało na świecie przestrzeni, słońca, ciepła? Czyż szczęście nie polega na uświadomieniu sobie tego, że się żyje, oddycha pełnym woni powietrzem rodzinnego kraju i rozkoszuje uśmiechem ukochanej kobiety i ciepłem jej delikatnych rąk?

Serce Arsena mdlało i zamierało w przypływie nie znanego dotychczas uczucia spełnienia i słodkiego upojenia. Złatka całowała jego oczy, zanurzała smukłe palce w puklach włosów, głaskała twarde zasklepione blizny... Zobaczyła, że ma za uchem ślad po kuli, pochyliła się i przypadła do niego ustami.

— Było ci nieraz ciężko, prawda, Arsenie — szepnęła.

— Było ciężko...

— Ale już nigdy więcej nie zostawisz mnie samej, prawda? Odtąd będziemy zawsze razem!

— Będziemy, Złatko! Będziemy, najdroższa moja!

Zaległo milczenie. Złatka wpatrywała się przed siebie w bezkresną przestrzeń pól, ukołysana szczęściem i radosnym wiosennym śpiewem skowronka. Arsen przytulił policzek do jej ciepłego kolana, wsłuchany w niepowtarzalną muzykę wiosny.

Nagle jego ucho ułowiło ledwo słyszalny tętent kopyt. Wstał, rozejrzał się. Zobaczył przesuwającą się wzdłuż horyzontu ciemną plamę. Co to może być? Czyżby wiatr, który pędzi przed sobą suche stepowe

badyle? Czy też jakiś jeździec podąża drogą z ważną wiadomością?

Arsen uważnie wpatrywał się w dal. Nie, to nie wiatr! Szybko, to znikając z pola widzenia w niewidocznych stąd jarach, to znów wyłaniając się na tle zielonych pagórków, przybliża się do nich ciemna sylwetka jeźdźca.

Goniec!

Jest już wyraźnie widoczny. Jak kwiat łopianu jaśnieje czerwone denko jego czapki, skrzy się w słońcu wysadzana szlachetnymi kamieniami pochwa zdobycznej kosztownej szabli. Pędzi naprzód skrzydłonogi wierzchowiec...

Złatka z niepokojem śledziła spojrzenie Arsena i też zobaczyła jeźdźca.

Któż to taki? Dokąd tak pędzi? Czyżby znowu wojna?

Arsen bez słowa przytulił ukochaną do piersi, jakby pragnął tym uściskiem obronić ją przed złem całego świata. Wsłuchiwał się w głosy doliny i wydawało mu się nawet, że rozróżnia dźwięk surm bojowych, które zwołują Kozaków na wyprawę, rżenie bojowych rumaków podczas krótkich postojów, przygłuszone rozmowy towarzyszy i ledwie słyszalny brzęk oręża w trwożliwej ciszy nocy... Zrozumiał w tej samej chwili, że szczęście jego będzie krótkie. Lada chwila życie znowu wezwie go w drogę, na spotkanie wiatrom i burzom...

SPIS TREŚCI

CZĘŚĆ PIERWSZA

ODALISKA 5
DO KRAINY ZŁOTEGO JABŁKA 51
WARSZAWA 63
SZTANDAR PROROKA 126

CZĘŚĆ DRUGA

WIEDEŃ 169
BĘDĄ PTASZKI PRZYLATYWAĆ 237
PODARUNEK SUŁTANA 255
I ZNOWU W DROGĘ 290

WYDAWNICTWO LUBELSKIE · LUBLIN 1983

Wydanie I. Nakład 10 000+272 egz. Ark. wyd. 15,3. Ark. druk. 21. Papier druk. mat. kl. V. 70 g, 82×104 cm. Oddano do składania w czerwcu 1982 r. Podpisano do druku w maju 1983 r. Druk ukończono w czerwcu 1983 r.
Cena zł 120,—

Druk: Rzeszowskie Zakłady Graficzne w Rzeszowie, ul. Marchlewskiego 19. Zam. nr 1228/82, T-3-234

Cena zł 120,—

Cena zł 120,—

7583

61/168

WYDAWNICTWO LUBELSKIE